KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/81-8/82 1954



• *«La Culture»* • *Revue mensuelle* •

St. MACKIEWICZ : **KRAJ I BERG**

M. St. KOROWICZ : **«WYBRAŁEM WOLNOŚĆ»**

T. PARNICKI :
NA PROGU WIELKIEJ PRZYGODY

SPIS RZECZY:







KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Juillet-Août 1954

3-2

INSTYTUT LITERACKI



Noty biograficzne autorów

Jan BRZĘKOWSKI, poeta i teoretyk awangardy, ur. 18. XII. 1903 w Wiśniczu Nowym. Studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, na Sorbonie oraz w Ecole du Journalisme w Paryżu. Przez szereg lat pracuje w redakcji P.A.T. w Paryżu i w Warszawie, następnie jako szef biura prasowego Ambasady R.P. w Paryżu. Lata okupacji 1940-1944 spędza we Francji współpracując z polskimi organizacjami oporu. Obecnie pracuje we Francji jako dyrektor uzdrowiska.

Związany z grupą ,,Zwrotnicy'' i ,,Linii'' współpracuje przed wojną w wielu czasopismach literackich polskich i francuskich. W latach 1929-1930 redaguje w Paryżu czasopismo ,,l'Art Contemporain — Sztuka Współczesna'', ukazujące się w języku polskim i francuskim. Wydał 6 tomów poezji : ,,Tętno'' (1925), ,,Na katodzie'' (1928), ,,W drugiej osobie'' (1933), ,,Zaciśnięte dookoła ust'' (1936), ,,Razowy epos'' (1947), ,Odyseje'' (1948) oraz dwie powieści mające charakter eksperymentalny.

W języku francuskim, oprócz artykułów i wierszy wydał dwa tomy poezji oraz rozprawkę o malarstwie.



Marek Stanisław KOROWICZ. Ur. w 1903 w Krakowie. Tamże studia uniwersyteckie (szkoła Nauk Politycznych U.J., doktorat praw). Uzupełniające studia we Francji w Paryżu i Dijon. Naczelnik polskiego urzędu spraw mniejszości w Katowicach; delegat do Górnośląskiej Komisji Rozjemczej; członek delegacji polskiej na posiedzenie Ligi Nar. w 1934/5, etc.

W czasie wojny, podchorążówka w Coëtquidan-Guer, przydział do 5 pułku strzelców pieszych, niewola, zwolniony jako chory, przebywa we Francji. Od 1944-1946 kierownik Wydziału Naukowego Polskiej YMCA we Francji. Wezwany przez Uniwersytet Jagielloński powraca do kraju w 1946. Ostatnio profesor prawa międzynarodowego publicznego U.J. w Krakowie.

Od 1 lutego 1954 profesor prawa i organizacji międzynarodowych w Fletcher School of Law and Diplomacy w Stanach Zjednoczonych.

W latach między 1929-1950 ogłosił 30 prac oraz około 150 artykułów.



Zbigniew JASIŃSKI, ur. w 1908 roku w Łodzi. 1914-1918, Wiatka i Charków. 1918-1926 —Poznań, 1926 — Państwowa Szkoła Morska. 1929, matura. 1929-1932, marynarka wojenna; 1932-1934, Wyższa Szkoła Dziennikarska w Warszawie; 1933-1937, w wydziale prasowym centrali LMK; w zarządzie gł. Akademickiego Zw. Morskiego. 1937, w Instytucie Bałtyckim w Gdyni. 1938-1939 w załodze yachtu ,,Poleszuk'' (Senegal i Gwinea Francuska).

1939, Ochotniczy Korpus Czechosłowacki gen. Lwa Prchali; ranny; zesłany do obozu w Tietkino (Kursk); wydany Niemcom na linii Bugu, zbiegł w transportu. Od 1944, żołnierz AK. 1943, kopalnia miedzi w Bor (Serbia). 1944, Warszawa i Powstanie, w zespole radiostacji AK ,,Błyskawica''.

1944-1945, Oflag X-B (Sandbostel), Gandawa, Paryż, Londyn. 1945-1952, marynarka wojenna, PKPR, studia nawigacyjne (Southampton University), praca ,,clerka'', marynarka handlowa. Ostatnio, Australia : złoża czarnych opali, szoferka, handel okrężny.

Przed wojną wydał dwa zbiory młodzieńczych wierszy i antologię ,,Morze w poezji polskiej'' (Gł. Księg. Wojsk., 1937).

IMPRIME EN FRANCE

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, PARIS (XVIIIe)

Na obcej planecie

Gdzie okiem zatoczyć — drzemiący, bezchmurny czyściec. Senne piekło, ze mną pośrodku. Ugór rudy i czarny, rozziany, spopielały od ognia co niedawno szalał po suchym, słomianym stepie. Tu i tam, upalony karłokrzew mimozy. Tu i tam, butelka po piwie, puszka od konserw. Tu i tam, na dnie wyschłego, słonego bagniska, trup owcy zdechłej z pragnienia. I ja, pośrodku.

A dalej — żółty, letargiczny horyzont. A za nim, wielotysięczna przestrzeń. Sennie spoglądam na wschód : tam oto miasto najbliższe, dalekie, dalekie Sydney. I na południe : Melbourne, pół dnia samolotem. Na północ : straszliwe bezludzie Queensland. Na zachód : Wielka Pustynia Australijska. A za nią, pustynia oceanów. A za pustyniami — Polska.

A znacznie bliżej, tuż obok mnie, Walter Schmidt. Jedyny towarzysz, Niemiec. Mówi, że nie był w SS. Zresztą, cóż mnie to teraz obchodzi ?

Nienawiść wyprażyła się, wywietrzała ze mnie. Nienawiść, pasja zbiorowa, wyosobniła się i już nie ciąży. Tyle to lat temu. Dziesięć lat. Wieki.



Wieki temu wymaszerowaliśmy z Warszawy. Szliśmy, zmęczeni, czarni, brudni, z wszami w bandażach — karnymi czwórkami, z dumną pieśnią na wargach, z rozwianym sztandarem na czele kolumny : wróg uszanował warunki kapitulacji. Długa była droga poprzez pustkę wypalonych dzielnic, a potem jeszcze dłuższa ożarowską szosą. Podmiejska ludność stała po obu stronach szosy, szlochając głośno, podając nam chleb, cebule, wodę, papierosy — żegnając nas krzyżem, modląc się : zwartym murem na przestrzeni całej długości szosy, aż do Ożarowa. Po raz pierwszy w ciągu pięciu lat okupacji ujrzeli polski sztandar, eskortowany przez wroga. Usłyszeli pieśń polską, której śpiewać nikt już nie bronił. Pieśń wywalczoną.

Obok mnie kroczył jeden z konwojentów, stary żołnierz Wehrmachtu; łzy ciurkały mu po policzkach. Mówił do nas jakąś staroświecką polszczyzną: może Polak-*Reichsdeutscher* urodzony w Rzeszy?...

— Wyście Polak, stary? — spytałem.

— Nie, synek, ja niemiecki Z *Filehne bei Notetz.*

— To czego płaczecie?

— *Chtó ta wié, synek, chtó ta wié...*

Przyglądałem mu się spod oka: okupant o ludzkich uczuciach. Rodowity Niemiec, nie volksdeutschowska kanalia. Żal mi było tego płaczącego starca. A jednocześnie: płacz, ty k.... twoja w szkopa mać!... *Filehne bei Notetz;* gdzież ja to widziałem, *Filehne bei Notetz?...* Ach, prawda, napis na fajansowych talerzach i kubkach — internat gimnazjum w Wieleniu, miasteczku podzielonym pół na pół między Niemcy a Polskę, z Notecią płynącą pośrodku: tam *Filehne,* tu Wieleń.

Stare ławy gimnazjum miały wyrzezane inicjały trzech dawnych uczniów, H.K.T. — trzech druhów — ponoć później twórców hakaty. Przy głównej ulicy pan Johann Latzke miał cukierenkę, jedyny zakład do którego belfrada pozwalała nam uczęszczać, niejako pod patronatem uczelni. Chodziło się tam oficjalnie na ciastka. A po kryjomu, na bilard i na grzane wino, w pokoiku dla wtajemniczonych. Roje much obsiadały ciastka, wisiały nad winem, otwieraliśmy okna na przestrzał, lokal przewiewało i muchy znikały. Było nas tam wielu, zbieranina z całej Polski. Kazik Nagel wyleciał z dwudziestu trzech szkół; Mietek Ozga z dwudziestu; ja, tylko z czternastu; mój młodszy brat, z ośmiu; ta była naszą ostatnią, podobno. Co starszym z nas, chłopom już pod wąsem, niektórzy z legionowym krzyżem — Latzke stręczył dziewczynki. Interes prosperował, i tak Ojczyzna zyskała nowego patriotę: wkrótce zniknął odrapany szyld nad zakładem, a na nowym, pięknie wymalowanym, widniało „Jan Lacki". Co się dzieje ze starym kanalią? Powinien mieć z siedemdziesiątkę — pewnie też w Wehrmachcie, po dawnemu Latzke?...

Stary żołnierz otarł łzę wierzchem dłoni i podał mi kostkę cukru. Do obozu rozdzielczego w Ożarowie wkroczyliśmy w ordynku, przy dźwiękach marsza, zagranego przez Niemców. Much nie było. W każdym razie nie było ich tyle, aby je pamiętać...



...pamiętać tu, w dalekiej Australii, jak na innej, dziwacznej planecie.

Tylko noce są tu piękne, gwiaździste. Cykady wyćwierkują monotonną pieśń wiecznie zakochanych. Oddech nocy niesie delikatną woń mimozy, kwitnącej gdzieś, jakoś. Zmęczona ziemia odpoczywa, trzaska cichutko, pulsuje tajemniczymi szeptami. Ponad nami podzwaniają gwiazdy.

Walter Schmidt leży na ziemi, na wznak, siodło pod głową, i patrzy w niebo. Pogwizduje cicho: *Stille Nacht, heilige Nacht.*

Za tydzień będzie Boże Narodzenie. Opowiedzieliśmy sobie już wszystko, mówić nie ma o czym. Z nałogu zapalam naftowego kopciucha i bezmyślnie przewracam strony podartych książczyn i tygodników. Wyczytane wszystko. Nie wiem po co włóczyłem te szpargały po świecie, znam je na pamięć.

Aż nagle — gdzież u diabła tkwił ten numer ,,Wiadomości''?... Wszystko inne już w strzępach — ten prawie dziewiczy. Rzucam się nań, znów staje się nowy, świeży. Nie ważne, że jest sprzed lat czterech. Co za gratka !... Gösta Borg, Szwed-ochotnik z niemieckiej dywizji SS. pisze o tym, co ,,Działo się w Warszawie'' widzianej z tamtej strony.



Na froncie, co prawda, a częściej poza frontem, bywa różnie.

Gdy zawodowi patrioci opowiadają mi, jak to Niemcy wiali, i jak to my, panie dobrodzieju, zawsze dzielnie, zawsze za wrogiem, zawsze ofiarni, zawsze szlachetni, itp. — staram się okazać dobre wychowanie. We własnym interesie, oczywiście. Raz bowiem, 5-go września 1939 roku, w Brześciu nad Bugiem, przy ,,inwalidzkiej'' budce z wodą sodową, mruknąłem nieopatrznie do Józka Spychalskiego, mego przyjaciela, z którym, wmieszani w bohaterskie szeregi armii pułkownika Umiastowskiego (silni, zwarci, gotowi), po raz pierwszy zawitaliśmy do tego uroczego miasteczka :

— Coś mi to śmierdzi generalnym wianiem generalicji.

— Źle z nami — westchnął Józek.

Ktoś obok nas wrzasnął :

— Defetyści !

Ktoś dodał :

— Na pewno Niemcy .

Ktoś inny :

— Płatni szpiedzy !

A już stu ryczało :

— Powiesić łajdaków ! Na latarnię !

Z latarniami w Brześciu skąpo, ale tuż za koślawym płotkiem rosły sobie dwa drzewka, jabłonki, w sam raz dla mnie i Józka. Najpierw każdy z nas wziął w zęby, w nos, w oko, i znów w zęby, w nos, a potem, gdy już leżeliśmy, kopniaka w brzuch, w nerki, w żołądek. Z jabłonek zrzucono suszącą się bieliznę, linki zamocowano odpowiednio, i dwa tuziny ochoczych dłoni podsadziły nas w górę. Ojczyźnie na chwałę. Wierzgałem i ryczałem, z bólu, strachu, wściekłości, że tak głupio, tak śmiesznie głupio, tak nikczemnie...

Gdy odzyskałem przytomność, obaj leżeliśmy na ziemi. Nad nami dwaj żandarmi, badali nasze papiery. Wokół nas zwarty, już spokojny, milczący tłum. Z papierów okazało się, że obaj z Józkiem jesteśmy ochotnikami : zwerbowani w P.K.U. na Pradze, rozkaz dotarcia do punktu zbornego w Brześciu nad Bu-

giem. Nie wiem, ile czasu ubyło zanim wróciłem do sił. Pomożono mi podnieść się i prawie zaniesiono na oczekującą furmankę. Ktoś położył mi kompres na spuchniętą twarz, ktoś wtykał do rąk jabłka, papierosy, pieniądze; i tak pojechałem do punktu zbornego. Sam. Józek został pod swoją jabłonką. Może mu tam jakaś dobra dusza postawiła krzyżyk z napisem : „Zginął dla Ojczyzny”. Z dopiskiem pod spodem : „Z powodów patriotycznych”.



Na wojnie, zatem, bywa różnie.

Ofiarni ginęli na barykadach. Darci wybuchami na kawały, siekani kulami na strzępy, głodni, czarni, straszni, płomienni, umierali — za prawo umierania tak jak sami wybrali. Nie w oświęcimiach, nie na pawiakach, nie w kazamatach Gestapo, nie za minutę spóźnienia się po godzinie policyjnej, nie za stanie we trzech na chodniku, nie za szepty w kawiarniach — ale w wybuchach i blaskach, w bitewnym szale, w zaciekłej walce o wolny krzyk i śpiew. O wolną śmierć. Na własny sposób.

...Myślę sobie o tym teraz, gdy do swędu pogorzeli stepowej wnika delikatna woń mimozy, i cykady podzwaniają monotonnie, a blade gwiazdy mrugają, zdziwione że Walter Schmidt usnął z głową na siodle, a ja czytać przestałem, leżę na wznak, patrzę w gwiazdy, palę papieros po papierosie, i spać nie mogę, i myślę, że to wszystko takie dalekie, senne, nierealne, że już przeminęło, i że było bardzo nierozsądne, głupie, idiotyczne, i co komu z tego przyszło, dwieście tysięcy ofiar stwierdza statystyka, zniszczona stolica, kupa gruzów i tyle...

Dwieście tysięcy, a na ich miejsce gotowych drugie dwieście, i trzecie, i barykady, i blaski, i krzyk, i śpiew, płacz, radość, szaleństwo, chwała, trupy, dzień porachunku, dzień pomsty, dzień sądu, dzień ostateczny, ostatecznego szczęścia, rozpaczy, walki i śmierci, klęski i zwycięstwa — wszystko skłębione w jedną, straszliwą, krwawą, płonącą, oszalałą, wolną Polskę !

Ginęli na barykadach.

A na tyłach — z zakamarków wynurzyli się inni, też Polacy, i plądrowali opuszczone mieszkania, pruli poduszki, cięli obrazy, łamali zamki, rąbali biurka, komody, schówki, szukając biżuterii lub po prostu żarcia. Wzdłuż ulicy Kruczej rozsiadły się szeregi cwaniaków spod ciemnej gwiazdy : przez ramię przewieszone futro lub złota, kosztowna tkanina; pod zwalonymi murami ustawiona rzędem zdobycz na sprzedaż : worek cukru, konserwy, obrazy, wiadro wody, buty. Głośno zachęcają do kupna, zachwalają, targują, aż nagle — huk ! świat zapada się na ukos, w czarność, w ciężki tuman ceglastego kurzu, w łomot niewidocznej lawiny gruzów walących się wpoprzek nagłej nocy. Zwolna kurz opada na gruzy, na trupy, na wszystko — rozrzedza się, rozwidnia, już majaczeją, wyraźnieją, pęcznieją sylwetki pa-

skarzy, już głośno zachwalają swój łup, nieczuli na zagładę miasta, nieustraszeni w swej bydlęcej żądzy szybkiego zarobku.

Tak pomieszały się, w moim Mieście, najszlachetniejsza ofiarność z najpodlejszym samolubstwem. Polacy z Polakami. W płonącym pięknie strasznej bitwy spalały się żywe serca najlepszych i pęczniały kałduny kanalii.

Ale kanalia użyczała wody konającym.



Nie wiem, co i jak czuł wróg po tamtej stronie barykad. Był doskonale wyposażony technicznie, miał pancerne dywizje, ciężkie działa i czołgi, pociąg pancerny, samoloty i bomby lotnicze — przeciw naszemu ubóstwu karabinów i amunicji. Rzadko widywałem Niemców podczas powstania. Byli tam, blisko, poprzez ulicę, za załomem muru, skąd trzaskał ogień maszynek. Ale dobrze przyjrzeć się można było tylko jeńcom. Patrzyliśmy chciwie w te twarze, szukając w nich wyrazów innych niż przed powstaniem. I znajdowaliśmy to, ku naszej uldze.

Przedtem byli pewni siebie, zarozumiali, butni, aroganccy, syci, wypasieni : *Herrenvolk* pośród tubylców. Bili przechodniów w pysk, szczęście gdy nie kolbą. Ustępowało im się z drogi na sam widok munduru, jak na widok dzikiego zwierzęcia.

Teraz, wzięci do niewoli, byli cisi, szarzy, przygarbieni, niepewni. Widywało się ich od czasu do czasu przepędzanych grupkami po trzech, pięciu, dziesięciu, pod pistoletem chłopca za młodego na barykadę; albo, dziewczyny w zdobycznym, za dużym hełmie, wpadającym na oczy. Jeńcy potykali się o dymiące gruzy, trwogę mieszając ze zdumieniem, że tylu żywych ludzi znajdują w tym piekle; ludzi czynnych jak mrówki, pogardliwych, milczących wobec pojmanego wroga. Oczy Niemców biegały niespokojnie, od twarzy do twarzy : czyżby to naprawdę być mogło, że polscy bandyci nie mordują jeńców ?...

Rannych wrogów kierowano do szpitali. Zdrowi otrzymywali te same polskie racje chleba i wody. O ile, oczywiście, byli z Wehrmachtu. Gdyby Gösta Borg wpadł był w nasze ręce, nie napisałby swego reportażu.

Pewnego dnia, na dziedzińcu gmachu P.K.O. zauważyłem grupkę jeńców. Zdejmowali mundury, potrzebne powstańcom. Stali w kalesonach, wolno przebierając się w wypłowiałe kombinezony robociarskie, zwalone tam na stertę. Niemcom drżały ręce, ruchy mieli wolne, bardzo wolne, jak w zwolnionym filmie, jakby każdy stanowił o czymś niezwykle ważnym. Pod okiem cierpliwego konwojenta przebierali się z tragiczną powagą. Było coś szczególnego w ich bladych twarzach, drżących rękach i wargach, powadze, powolności, cichości.

— Co to za jedni ? — spytałem konwojenta.

— SS — syknął.

Byli, zatem, już po sądzie polowym. Wkrótce zjawił się ksiądz-Polak, żołnierz A.K. Kilku z nich spowiadało się kolejno,

poważni, płaczący ukradkiem, po męsku, bardzo cicho, bardzo po ludzku. Ksiądz udzielał wrogom rozgrzeszenia. Całował każdego, i też płakał cicho. Starałem się nie patrzeć w te twarze. Było to jakby sromotne wdzieranie się w niemoją tajemnicę, której przenikać nie wolno. To inna rzecz — walczyć przeciw najeźdźcy; a jeszcze inna — widzieć zdrowych, spokojnie płaczących mężczyzn, którzy za chwilę będą martwi, bez walki. Po raz pierwszy żal mi ich było. Po raz pierwszy nie czułem nienawiści do Niemców. Żal, straszny żal — ich, księdza, siebie, Warszawy, wszystkiego. To bardzo głupie, to wszystko. Głupie. Nieludzko głupie.

Pamiętam inny obrazek, przed tym samym gmachem P.K.O. W szpitalu polowym zmarł żołnierz Wehrmachtu, i sześciu jeńców kopało mu grób uliczny. Raz po raz nadlatywały samoloty, gwizdały bomby. Zmarły leżał na rozoranej jezdni, kokon owinięty w krwawy całun. Jeńcy, wśród nich oficer, kopali dół, a młodziutki wartownik siedział opodal na paru spiętrzonych płytach wydartych z chodnika, i czuwał z palcem na spuście pistoletu. Gdy trupa opuszczono na dno jamy i przysypano ziemią — jeńcy stanęli, wyprostowani, po obu stronach świeżego grobu : głowy opuszczone, tak jak to bywa na Zaduszkach; oficer przemówił coś półgłosem, pewnie o dzielnej śmierci tego żołnierza, poległego w służbie niemieckiej ojczyzny. Konwojent czekał cierpliwie; na chwilę zacichło ruchliwe mrowie przechodniów; kanonada nie ustawała; słały się dymy. Oficer wydał półgłosem krótką komendę, jeńcy sprężyli się na baczność, ramię oficera ostro ucięło chwilę energicznym salutem : ,,Heil Hitler!''. Znienawidzony gest i nienawistne, przeklęte hasło. A przecież nie mogło być inaczej. Był to dzielny człowiek. Po raz pierwszy podczas tej wojny poczułem szacunek dla Niemca. Odwrócił się do konwojenta — pogrzeb był skończony. Chłopczyna skinieniem głowy wskazał im kierunek i jeńcy wsiąknęli w kurz ceglasty, odprowadzeni do innych robót.

◆

Dziesięć lat, kupa czasu. Wyparował ocean bezużytecznej nienawiści. Polska przefrymarczona Sowietom. Nasi kochani sojusznicy zadławili nadzieję, sposobem śród nich popularnym, jedwabnym. Patrząc na ich sztuczki i kruczki, na kramarską żądzę zarobku kosztem cudzych ideałów; i na nasze własne marne swary — na chandryczenie się zawodowych patriotów o przewodnictwo w niczym — na gruzach wszystkiego — serce polskie przestaje wierzyć w jakąkolwiek wartość.

Ale miało się w życiu coś co było własne, wielkie i święte. Dziś, po latach dziesięciu, kiedy się już nic nie ma okrom powolnego wytlewania się resztek dawności — to jedno jeszcze budzi po szmatławych nocach i świeci daleką łuną sprawy wciąż płonącej, to jedno : pamięć sześćdziesięciu trzech dni i nocy.

Przestały boleć wyroki zawodowych patriotów. Niech się zachłystują własną śliną, może ich struje. Powieszą niejednego Józka Spychalskiego — postawimy mu krzyżyk : „Dla chwały Ojczyzny".

I mniejsza o SS-manów, którym wspaniałomyślnie wybaczono grzechy wojny. Jeśli kilka miesięcy w alianckim obozie jeńców, z codzienną czytanką Biblii, oczyściły ich SS-mańskie dusze i zapewniły ciepły kącik za przypieckiem anglosaskiego Pana Boga, to niech ich dalej otacza dyplomatyczną opieką. Bo, zresztą, może to wszystko jest potrzebne, by dopełnił się jakiś głębszy, pozaludzki sens w astralnych wymiarach sprawiedliwości.

Bóg z nimi.

Ale niech nie pisują o nas reportaży.



W Młocinach schwytano Żyda poza obrębem miejscowego ghetta. Pracowałem wówczas w tamtejszej komórce Rady Głównej Opiekuńczej. Przez trzy godziny, naprzeciw okien urzędu gminnego, nieszczęsny biegał w kółko, spocony, zziajany, ponaglany lufą SS-mana siedzącego na stopniach urzędu. Padł wreszcie strzał z tyłu. Rana w głowę. Niemiec wsiadł na motocykl i odjechał. Ale przedtem zostawił przy konającym Żydzie polskiego (tak) policjanta, z rozkazem trwania aż do zgonu ofiary. Drugiej kuli było szkoda dla Żyda. Wyzionął ducha nazajutrz.

Mokotów, obława na mężczyzn, na nowy kontyngent do Oświęcimia. Z okna pierwszego piętra wyskakuje ktoś w kalesonach i koszuli, boso, i gna na przełaj przez pole, po śniegu. Zrywa się SS-man, spacerujący po polu z dziewczyną ; zabiega na ukos i sztyletuje zbiega w plecy. Ofiara pada, i historia powtarza się : polski posterunek przy konającym, aby nikt nie opatrzył mu rany. Nie dobito go. Skonał z upływu krwi i zimna. Działo się to w lutym, na oczach setek polskich twarzy, ukrytych za firankami pobliskich okien.

Hale Mirowskie, tuż obok ghetta. Targowisko zapchane ludźmi, między nimi żołnierze. Stoję z matką przed straganem, kupujemy wełnę na samodziały. Przez otwór ściekowy w murze ghetta przeciska się para Żydziąt : drobiny, jedno może mieć cztery, drugie pięć latek. Małe szkieleciki, półnagie, błąkające się śród straganów, by użebrać kawałek chleba dla siebie i swoich. Przechodzi rosły SS-man, wypasiony, ryży, szykowny. Chwyta biedactwa, zbiera ich kołnierze w lewą dłoń, a prawą dobywa pistoletu i kolbą zadaje dwa straszne, mistrzowskie ciosy. Główki pękają z trzaskiem — dwa trupki. Odwracam się gwałtownie, matka chwyta mnie w ramiona i wymiotuje mi w twarz ; ja wymiotuję na matkę.

„Działo się w Warszawie".

Zapomnieć. Nie pamiętać. Nie pamiętać tu, dokąd uciekłem od siebie, tu w pustym kręgu konającego kontynentu, wypalonej Australii, gdzie mnie los zatknął jak tykę samotną.

Piecze poranne słońce. Sennie ogarniam żółty, bezludny horyzont, i sennie dorzucam piachu, by wygasić tlejące żużle po ognisku. Blaszanki po ryżu myć nie trzeba, wody skąpo. Walter Schmidt siodła oba muły — jego kolej dzisiaj. Ja, senny po nieprzespanej nocy, pakuję moje juki, lżejsze o kilkanaście starych, podartych książek i tygodników. Lżejsze o powstanie, o zawodowych patriotów.

Walter podprowadza muły. Przyciąga popręg swojemu, i mówi śmieszną, kulawą angielszczyzną :

— No dobrze, to i co że byłem w SS ?... Co z tego — teraz ? No i co mi zrobisz ?

Nic mu nie zrobię. Lubię go. Jest dobrym kolegą. Rosły, silny, o cały wiek młodszy, opiekuje się mną na swój szorstki sposób.

Nie odpowiadam na zaczepkę. Muły ruszają stępa — mijamy wyschły strumień, tu i tam żółty kaktus, tu i tam upalona mimoza, tu i tam szkielet owcy. Muły kroczą cierpliwie poprzez senne pustkowie. Gdzie okiem sięgnąć — ugór rudy, z liszajami czarnej pogorzeli. Milczymy przeszło godzinę. Wreszcie, jak zwykle, Walter podrzuca :

— Powiedz coś o tej tam twojej Polsce.

Milczę, nie chce mi się. Co mu powiem ? Że mnie Polska znów ugryzła w nocy ? Że nie tacy jak Walter, ale swoi, swoi ! Że to im ta odpowiedź, pierwsza i ostatnia — dlaczego powstanie ? —i już nic, nigdy, nic więcej !

— No dalej, gadasz czy nie ? — naciera Walter. — Powiedz, jak tam na Boże Narodzenie, czy macie choinki ?

— Po co ci to ? — pytam.

— Bo ja wiem ? — wzrusza ramionami. — Ot, tak sobie. Wiesz, Europa. Chciałbym tam być teraz.

Tak, tak : chciałby być w Europie, niechby nawet w Polsce. Tak jak ja, niechby nawet w Niemczech.

I co nam obu z tego, tu, na obcej planecie ?

Zbigniew JASIŃSKI

Na progu Wielkiej Przygody

W lipcu bieżącego roku mija 25 lat od debiutu literackiego Teodora Parnickiego, którego twórczość omówimy obszernie w jednym z najbliższych numerów.

Parnicki — niewątpliwie jeden z najwybitniejszych prozaików naszego pokolenia — uczcił swój jubileusz w sposób najgodniejszy pisarza: przygotował dwie powieści: „Słowo i Ciało" (o której pisał już w „Kulturze" Paweł Hostowiec) oraz „Na progu Wielkiej Przygody", której początkowy fragment zamieszczamy poniżej.

Obserwując niewątpliwe ożywienie ruchu wydawniczego na emigracji mamy nadzieję, że obie prace Parnickiego ukażą się niedługo drukiem. Byłaby to najwłaściwsza droga wyrażenia uznania pisarzowi pracującemu w odległym Meksyku, w ciężkich warunkach, prawie w zapomnieniu.



Akcja powieści „Na progu Wielkiej Przygody" rozgrywa się w roku 179 *przed nar. Chrystusa, w Azji Centralnej (na terytoriach gdzie stykają się obecnie ze sobą Z.S.S.R., północno-wschodnia Persja i Afganistan), rządzonej wówczas przez grecką dynastię Eutydemidów.*

Sensacyjny wątek beletrystyczny — roman noir *na tle epoki starożytnej — pozwala autorowi na odmalowanie panoramy ówczesnego świata od Rzymu po Chiny oraz na uwypuklenie starć, wzajemnego przenikania się i odpychania różnych narodowości, kultur i religij.*

Dzisiejsza sytuacja polityczna na świecie nadaje książce swoistą aktualność.

Eleonorze Winczewskiej-Grygier
powieść tę poświęcam.

1.

Heliodor i Dioneja wychodzili naprzeciw swej ,,Wielkiej Przygodzie'', a zdawało się im, że to tylko jeszcze jedna podróż służbowa w dół wielkiej rzeki, którą sami nazywali Oksos, a która wiekom znacznie późniejszym miała być znana jako Amu-Daria.

Rzeka ta była tym dla królestwa greckiego w sercu Azji, czym Nil dla Egiptu — z tą przecież różnicą, że dla Dionei i Heliodora płynąć w dół rzeki nigdy nie mogło znaczyć : płynąć aż do ujścia. Jakoże mniej więcej w miejscu, gdzie średni bieg Oksosu przechodził w bieg dolny, kończyło się władanie dynastii greckiej Eutydemidów, a zaczynała się tak zwana ,,Scytia'', którą to nazwą Grecy skłonni byli — tym pochopniej, im dalej od Oksosu się znajdowali — określać olbrzymie przestrzenie, przeważnie stepowe, zamieszkałe przez liczne plemiona, na wpół osiadłe, na wpół koczownicze, językowo spokrewnione z podwładnym naonczas Grekom Iranem. Spośród plemion tych kilka czy kilkanaście zrzeszonych było w wielkie związki ponadplemienne, i właśnie jeden z takich związków, zwany Masageckim, wyposażony we wcale silną flotę, bronił dostępu zarówno handlowym, jak i wojennym okrętom greckim do ujścia Oksosu. Więcej jeszcze : flota Masagetów niejednokrotnie urządzała naloty pirackie bądź na ziemię niczyją po obu stronach wielkiej rzeki, bądź nawet na niewątpliwie władzy greckiej poddaną. Wówczas szerokie wody Oksosu stawały się widownią wielkich bitew, spośród których jedna — największa najwidoczniej — upamiętniona została przez wybicie monety, która przetrwać miała wieki i wieki i wieki, a której przy tym przeznaczone było przełomową odegrać rolę w dziejach Wielkiej Przygody Dionei i Heliodora.

W bitwie tej, po stronie greckiej, szczególnie odznaczył się okręt, zwany wówczas ,,Meandrią'', a przemianowany potem, rozkazem Króla Wielkiego Demetriosa Eutydemidy, na ,,Zgodę Narodów Serca Azji''. Okręt ten w wiele lat po bitwie stać się miał najczęściej zamieszkiwanym spośród domów Heliodora i Dionei, — nie należy więc się dziwić, że na jego to właśnie pokładzie mieli stanąć twarzą w twarz ze swą Wielką Przygodą; dziwne raczej byłoby, gdyby to stało się gdzie indziej. Szczególnie iż właśnie na pokładzie ,,Zgody Narodów'' bywali bardziej sobą, niż gdziekolwiek bądź; istotny zaś sens każdej Wielkiej Przygody w tym tkwi przede wszystkim, że człowiek poddawany jest przez nią próbie taki, jakim jest naprawdę, a nie za jakiego sam się ma lub mają go inni.

Drugą najistotniejszą cechą Wielkiej Przygody jest chyba zawsze element zaskoczenia. Nadchodzi właśnie wówczas, gdy

nie jest się na nią wcale przygotowanym. Tak się miało stać z Dioneją i Heliodorem. Wprawdzie, gdy było już po wszystkim, mówili sobie nawzajem, że właściwie nie powinni byli dać się zaskoczyć, bo przecież dostali sygnał w postaci budzącego grozę zaćmienia słonecznego, które wypadło w tym samym dniu, kiedy po raz pierwszy wspólnie wstępowali na pokład ,,Zgody Narodów''. Ale ponieważ nigdy nie byli w stanie odpowiedzieć sobie na pytanie, kto mianowicie mógłby chcieć takim sygnałem ich ostrzec — zdolność wrodzona i to nie osobista, ale plemienna zdolność do logicznego myślenia wcześniej czy później musiała doprowadzić ich do wniosku, że jedyne istotne znaczenie owego zaćmienia słonecznego w przebiegu ich Wielkiej Przygody polega na możliwości oprawienia tego przebiegu w dokładnie dopasowane doń ramy czasowe.

Oczywiście, względna to była dokładność; stanowczo by nie zadowoliła tych, którzy w liczne wieki po zniknięciu królestwa Eutydemidów z serca Azji mieli o tym właśnie zaćmieniu słonecznym mówić w terminach, zresztą, obliczania czasu, zupełnie dla Heliodora i Dionei niezrozumiałych, — że się odbyło dziewiętnastego października roku sto osiemdziesiątego pierwszego przed rozpoczęciem się ery chrześcijańskiej. Ale i tak, jak na czystej krwi członków narodu, który przy wszystkich innych swych olbrzymich, wręcz olśniewających zaletach umysłu, nie posiadał ani zbytniego zamiłowania ani szczególnych zdolności do tropienia dokładnych związków czasowych między wydarzeniami — bardzo wiele już mogli powiedzieć, zdolni będąc mówić : między pierwszym a ostatnim wspólnym ich wejściem na pokład ,,Zgody Narodów'' upłynęły mniej więcej dwa lata, przy czym owo ,,mniej więcej'' nie przekraczało w ich własnym przekonaniu siedmiu dni, bądź do dwu lat dorzuconych, bądź brakujących.

Rzecz inna, że gdyby ktoś — albo w dobrej wierze, albo ażeby sobie z nich zażartować lub zakpić — zaczął w nich wmawiać, że się mylą, że od zaślubin ich nie mniej więcej dokładnie dwa lata upłynęły, tylko dwa i pół albo półtora — trochę by im się to wydawało dziwne, ale nazbyt gorąco z żartownisiem, kpiarzem czy ignorantem nie spieraliby się, przedkładając nad upór w tej dziedzinie zjawisk możność poczynienia refleksji na temat niepochwytności myślą czy pamięcią biegu czasu ku wieczności, względnie na inny temat bardziej osobisty : wpływu ich wzajemnej ku sobie miłości, gdy byli razem, albo tęsknoty też wzajemnej za sobą, gdy się rozłączali — na zdolność do obliczania, jak długo są już małżeństwem. Czego natomiast za nic by sobie nie dali nikomu narzucić — to innych, niż rzeczywiste, odcinków tegoż biegu czasu ku wieczności, dzielących jakiekolwiek wydarzenie późniejsze od dnia ich zaręczyn. W tym sensie stanowili wyjątkową zupełnie parę wśród Greków, a poniekąd i nie tylko wśród Greków, bo normalnie dwoje ludzi lepiej pamięta, kiedy się pobrali, niż kiedy się zaręczyli, chyba, że małżeństwo miałoby się okazać nieszczęśliwe, czego przecież — co najmniej aż do stanięcia twarzą w twarz z Wielką Przygodą —

ni Heliodor, ni Dioneja nie byliby skłonni o swoim małżeństwie powiedzieć czy choćby tylko pomyśleć.

Każda jednak wyjątkowość, jeśli dobrze jej się przyjrzeć, zahacza o jakąś — innego zupełnie rodzaju — typowość. W królestwie Eutydemidów nie rejestrowano dokładnych dat zawieranych małżeństw, ani tym mniej zaręczyn, surowe natomiast groziły kary Grekom, zamieszkującym na obszarze tego królestwa, a później zjednoczenia królestw w nad-królestwo, na wypadek niepowiadomienia odnośnych urzędów królewskich o zgonach czy narodzinach. Powód tej skrupulatności, a i surowości na wypadek nieprzestrzegania jej był zupełnie jasny : w serce Azji wdarli się Grecy jako zdobywcy — zamieszkiwali je jako naród panów, stale zatroskany, by się nie dać pochłonąć bezmiarowi rządzonej przez siebie ludności tubylczej. I właśnie z tego to zatroskania rodząca się czujność nakazywała tak skrupulatne rejestrowanie wszelkich, drobnych nawet zmian, zachodzących w stosunku liczbowym między Grekami a tubylcami w wyniku czy to zgonów, czy urodzin wśród narodu zdobywców.

Że jednak nawet Grecy nie zawsze umieli być logiczni, z pomienionego zatroskania zazwyczaj nie wyciągali wniosku najprostszego, najbardziej oczywistego — i ta właśnie sprzeczność sprawiła, że datę dokładną zaręczyn Heliodora i Dionei bez trudu można było sprawdzić kiedy się tylko chciało, w odnośnym urzędzie, mieszczącym się w lewym skrzydle malachitowego przedsionku w pałacu Eutydemidów w stolicy ich Baktrze, zwanej też Aleksandrią Baktryjską. Wyjątkowość zaś i typowość w równym się złożyły stopniu na to, że między urodzinami Dionei a jej zaręczynami z Heliodorem zachodził niezmiernie ścisły związek i czasowy, i przyczynowy. Oczywiście aby związek ten mógł zaistnieć, wyjątkowość i typowość musiały wystąpić w formie szczególnie zaostrzonej, a i w szczególnie ostrym ze sobą wzajem starciu, a przy tym także w okolicznościach niezwykłych, choć wcale i niekoniecznie przypadkowych. W każdym razie ni Dioneja, ni Heliodor za przypadkowe ich nie mieli — przynajmniej aż do chwili zanurzania się na dobre w wirze Wielkiej Przygody. Ale też Dionei nie sposób było wyrobić sobie własnego zdania w tej sprawie; polegać musiała na tym, co jej opowiadał Heliodor, którego też dzień w dzień odkąd się pobrali, zamęczała dopraszaniem się o te opowiadania. Opowiadał, jak gdyby wcale to nie było zamęczanie go, bo z wyraźną przyjemnością, wręcz rozkoszą, choć i nie bez przyprawienia tej rozkoszy lekką goryczą refleksji iż droga ku zaręczynom z Dioneją omalże nie zawiodła go nad przepaść.

— Za co ja w żaden sposób nie mogę ponosić odpowiedzialności ! — wołała niezmiennie rozbawiona bardzo tą wzmianką o przepaści, ilekroć ją posłyszała. Zgadzał się z nią. W żaden sposób — stwierdzał — nie mogło być jej poczytane za winę to, iż mąż jej był od pierwszych lat swej służby dla Eutydemidów tak sprawnym agentem do zleceń szczególnych, bezpieczeństwa dynastii dotyczących, że ilekroć gdziekolwiek na terenie kró-

lestwa greckiego w sercu Azji wydarzyło się coś, co dynastię wprawiało lub mogło wprawić w niepokój a nawet tylko w zakłopotanie, zaraz ktoś z członków dynastii rzucał uspakajająco, wręcz niedbale : ,,Heliodor to załatwi''.

— Wielki zaszczyt — powiada Dioneja. Zapewne, ale nie tylko zaszczyt. Bo i czegóż się pod owe ,,to'' na przestrzeni dwudziestu ośmiu lat nie podciągało? Zaczęło się od doglądania koni królewskich — potem koniuchów — jeszcze potem koniuszych, wreszcie samego Wielkiego Koniuszego; z kolei gorliwość służbową Heliodora przerzucono ze skarbów czworonożnych a grzywiastych na gładkie i zupełnie kończyn wyzbyte : bryłki białej miedzi, sprowadzane do mennicy w Baktrze z jakiegoś nie wiedzieć gdzie mieszczącego się Isedonu, który, zresztą, był — jak mówiono — punktem przeładunkowym tylko. Potem znów okazało się, że opieka nad białą miedzią obejmować ma i czujne wsłuchiwanie się na ulicach, czy kto z Greków — i kto mianowicie — narzeka na lekkość i cienkość bitych z tejże miedzi monet; było to bardzo nieprzyjemne zajęcie, ale myślało się o nim z czułością i tęsknotą, wówczas, gdy na odmianę trzeba było zacierać ślady, wiodące ku tożsamości sprawców wielokrotnego pobicia okrutnego kilku pięknych bardzo chłopców, o których mówiono, że schodzą się u mistrza Menagenesa z królewiczem wówczas, a późniejszym królem Margiany, Antymachem, nie tylko w celu słuchania wspólnego wykładów o filozofii Portyku. W karierze służbowej Heliodora było to doświadczenie wyjątkowo bolesne, ze względu na ówczesne jego sny, w których późniejsza królowa Margiana odwdzięczała mu się za gorliwość służbową zupełnie inaczej, niż to się odbywało na jawie; ale i ono też, gdy przeobraziło się we wspomnienie już tylko wspomnieniem było przyjemnym, nie zaś bolesnym, szczególnie w zestawieniu z rzeczywistością dwu spośród dalszych zadań, jakie miał sobie powierzone : wyśledzenia i postawienia przed sądem dziewczyny greckiej, która tak się przejęła pewnym przedstawieniem teatralnym, iż pogrzebała tubylcze dziecko, zaniesione przez rodziców na wolne od wszelkiej zieloności miejsce, nad którym krążyły sępy oraz głośnej przez rok i coś sprawy o dziecko, na odmianę greckie, którego rodzice nie chcieli wychowywać i odesłali na przeznaczoną dla takich niemowląt wyspę, ale które uratowane zostało i ukryte przez tubylczą nałożnicę ojca dziecka. W tej ostatniej sprawie rola Heliodora była szczególnie godna współczucia : zaszedł oto wypadek mieszania się osoby ze społeczności tubylczej w prawnie zabezpieczone zwyczaje narodu zdobywców; z drugiej jednak strony właśnie greckie prawo przelewało władzę i opiekę rodzicielską na każdą osobę, która zechce niemowlę, przez rodziców odrzucone, uratować od śmierci. To samo prawo jednak — w warunkach lokalnych — przestrzegało surowo greckiego stanu posiadania w odniesieniu do rzeczy ruchomych i nieruchomych, jak też i istot żyjących. Gotowość więc wychowania greckiego dziecka w zwyczajach tubylczych równała się zamachowi na grecki stan posiadania i Heliodor, tropiący i dziecko

i jego zbawicielkę, znalazł się w wyjątkowo przykrej sytuacji : dopadnięcie ich równałoby się skazaniu ponownemu niemowlęcia na śmierć; zgubienie umyślne tropu, na którym już się znajdował, czyniłoby go współwinnym — i to przy pełnieniu obowiązków urzędowych ! — przestępstwa, mającego na celu uszczuplenie greckiego stanu posiadania w Baktrii. Ów dylemat jednak to był tylko pierwszy etap sprawy, wcale jeszcze znośny w porównaniu z drugim : oto Dion, syn Demetriosa, ojciec niemowlęcia, kilku dni wytrzymać nie mógł bez najukochańszej swej nałożnicy, a że była prawnie jego własnością, zażądał od Heliodora doprowadzenia zbiegłej do siebie z powrotem. Ta jednak schroniła się w ojczystej swej wsi, przynależnej do gruntów królewskich i gdy niecierpliwy kochanek, oburzony opieszałością królewskiego śledczego, zagroził najazdem całej osady wojskowej, której był archontem, na ową wieś — Heliodor zrozumiał, że stoi nad przepaścią : poleje się krew, grecka czy irańska, czy ta i tamta razem, dwustronna skarga pomknie pod stopy najpierw hiparchy, potem eparchy, wreszcie stratega satrapii. Wszyscy trzej uchylą się od wydania wyroku, zasłaniając się niepodwładnością śledczego do szczególnych poruczeń ich kompetencji, i wszystko skończy się w malachitowym przedsionku fioletowej sali pałacu w Baktrze, gdzie wyszedłszy od pozbawionego władzy w nogach ojca, królewicz Demetrios przypomni Heliodorowi ojcowskie słowa sprzed siedmiu lat : ,,Nie wiem anim nie ciekawy, coś zbroił tam, na Zachodzie, że chcesz tu zostać. Zostań ! Ale pamiętaj : jeśli okażesz się głupi — wrócisz na Zachód''.

Oczywiście, już się okazał głupi. I to głupi głupotą próżności : po co się zdradzał przed zarządem osady, że jego kompetencji w sprawach śledczych podlega całe pogranicze nie tylko w okresie stanu wojennego? Czy mógł jakoś ów swój akt głupoty odrobić? Owszem, mógł jakkolwiek za cenę narażenia się na wielkie ryzyko. Postanowił jednak na nie się narazić — nie miał innego wyjścia. Oto zarządcy dóbr królewskich przy pograniczu zlecił ogłoszenie stanu wojennego we wsi, gdzie się schroniła zbawicielka niemowlęcia. Gdy Dion, syn Demetriosa, wykonując swą groźbę, rzucił syna z trzydziestu innymi efebami i z chmarą niewolników na wieś — napastnicy zastali świeżo wzniesiony mur gliniany, gęsto obsadzony łucznikami. Co stało się dalej, Heliodor nie wiedział : wyruszył w drogę do Baktry po należną głupocie swej karę. Śpieszył się bardzo, ale przedzierać się konno przez posieczoną gęsto kanałami krainę nie było łatwo; gdy wjeżdżał między uśmiechnięte posągi, zdobiące wejścia głównego rynku stolicy, miał możność przekonać się raz jeszcze, iż nie ma szybszego jeźdźca nad soczystą plotkę : w Baktrze wiedziano już o sprawie uratowanego niemowlęcia. W pałacu zastał podanie piśmienne ośmiu wytwornych pań z najlepszego towarzystwa greckiego, pragnących zaadoptować ocalone niemowlę, a ponadto dwadzieścia cztery oświadczenia gotowości poniesienia kosztów wykupu spod władzy Diona zba-

wicielki dziecka. Heliodora wysłuchano w pałacu uważnie i doradzono mu, by na jakieś pół miesiąca udał się polować na rysie. Nie upolował nic, nie licząc zbiegłego z jakiejś karawany wielbłąda, a i tego przez roztargnienie tylko, zupełnie zrozumiałe, skoro się zważy, iż dni łowów schodziły mu przeważnie na egzaminowaniu siebie, czy coś, a jeśli tak, to co mianowicie wie o krajach, otaczających Baktrię z innych stron, niż z Zachodu. Egzamin wypadał co dzień mniej niż zadowalająco : poza Masagetami, których zwyczaje studiował z urzędu odkąd go przerzucono na północne pogranicze, o żadnym z barbarzyńskich narodów, Baktrię — serce Azji okalających, nie wiedział więcej, niż o barbarzyńcach z dalekich kresów zachodnich świata swych lat dziecinnych, Rzymianach i Kartagińczykach.

Oczywiście, tuż na wschodzie i na południu były góry i góry i góry, ale o tym wiedziało każde dziecko stołeczne, ilekroć wpatrywało się w dal z dachu jakiejkolwiek wyższej budowli. Równie oczywiście, dalej za górami na południu były Indie, a na wschodzie bajecznie żyzne oazy Parykenów, a dalej Funów czy Frynów, i właśnie w tych oazach dobrze by się zapewne wygnańcowi żyło, ale to by — niestety — nie było jeszcze wygnanie : z cytadeli i podgrodzia o dumnej nazwie Argos oazami tymi, choćby nawet i formalnie tylko, władała Baktria, bodajże nawet Isedonem jeszcze, choć naprawdę tam podobno robią, co chcą jacyś koczownicy — innej mowy niż Masageci, tak powiadają, ale bodajże stokroć jeszcze dziksi ; więc choćby to już i formalnie nawet nie była Baktria, równie dobrze mógłby wśród Masagetów się schronić, gdyby nie... Ale o tym ,,gdyby nie'' Heliodor nawet sam z sobą dialogów wyjaśniających unikał, wówczas, gdy niby polował na rysie, ale i przedtem też i długo jeszcze potem. Indie? O tych wiedział jeszcze mniej niż o wschodnich kresach królestwa. To jednak, co wiedział, przedstawiało się wcale nie zachęcająco dla samotnego wygnańca : najbardziej odstraszały go mrówki wielkości pantery, trudniące się wydobywaniem złota z piasków pustyni, a w wolnych chwilach od tego zatrudnienia polujące olbrzymimi rojami na ludzi, słonie i tygrysy. Poza tym jeszcze słyszał o wyrokach, skazujących na dożywotnie ciągnienie olbrzymich bloków kamiennych za takie zbrodnie, jak rybołóstwo lub rozdeptanie robaka. A i o stosach pogrzebowych, na których wraz z nieboszczykiem palono żony ; otóż wcale nie był pewien, czy tylko żony ; uchodził raczej za przystojnego i gdyby nie sny o późniejszej królowej Margiany, mogłoby się i jemu samemu było przydarzyć, że uczęszczałby na wykłady mistrza Menogenesa, ponosząc zapewne wszelkie tychże wykładów konsekwencje. Ale jeśli podobał się możnym świata Greków, to samo mogłoby mu się przydarzyć i w świecie Indów — a gdyby właśnie taki możny przedwcześnie odszedł spomiędzy żyjących i znalazł się na stosie, to by prawdopodobnie... Nie, Heliodora stanowczo nie nęciły Indie jako miejsce wygnania...

Ale i o powrocie na Zachód mowy być nie mogło. Myślał

więc z kolei o zachodzie północnym — to też zachód i tam też barbarzyńcy, na wpół koczownicy — ostatecznie jednak mógłby spróbować. Nie zabiliby go, nawet w ogóle niczym by nie wyrządzili mu krzywdy, gdyby w stanie był przynieść im jakiś pożytek — tego był pewien. Ale cóż on umie, czego by sami nie umieli? Owszem, zna nienajgorzej dzieła kilku wielkich poetów, ale cóż barbarzyńcom, w dodatku nieosiadłym, po poezji? Może by się jednak przydały im na odmianę jego zdolności i doświadczenia zawodowe? Wątpił: jeśli we wszystkim podobni są do Masagetów, a powiada się, że są — mieć muszą tajny wywiad na poziomie wcale nie niższym niż służba bezpieczeństwa królów Baktrii. Co do Masagetów — przekonał się osobiście — był już już bliski przegranej, i gdyby nie przypadek... Ale było to znowuż właśnie to samo „gdyby nie", na którego temat nie chciał nawet z samym sobą wieść dialogów rozjaśniających.

Niczego nie wymyśliwszy, wrócił z łowów do Baktrii. Sprawę niemowlęcia i jego zbawicielki znalazł posuniętą na dalszy jeszcze etap: Aspionia — tak się wybawicielka nazywała — twierdziła, że żadnej najwytworniejszej pani nie zamierza oddać dziewczynki, którą ocaliła od śmierci; dodawała nadto, że jak Dion jej, tak i ona jest niezmiennie jego spragniona uścisków, więc wcale nie pragnie wykupna spod jego władzy. Jeśli dziecko zostanie jej odebrane — zapowiadała — rzuci się do Oksosu, i ci, którzy znali ją, wierzyli, iż tak właśnie zrobi; ci zaś, którzy nadto znali Diona dodawali, że i on bez Aspionii żyć nie będzie w stanie, ale to stosunkowo najmniej alarmowało pałac i rynek baktryjski: ochotnicy, co by przedrzeć się z narażeniem życia spróbowali poprzez pastwiska koczowników ze Wschodu od Isedonu ku dziwacznej oazie skośnookich wytwórców jedwabiu i białej miedzi, właśnie o tym czasie szczególnie mile byli i przez dynastię i przez potentatów handlowych widziani. Dion, zresztą, i tak już znajdował się pod groźbą wyroku: zajazd jego syna z towarzyszami na siedzibę obwarowaną królewskich pańszczyźnianych skończył się, dzięki zarządzeniu samowolnemu Heliodora, mniej krwawo, niżby się to mogło było stać; tym niemniej krew się polała, zarówno tubylcza jak grecka, i to nie byle jaka krew: z jednej strony królewskich osadników, z drugiej — królewskich też ludzi pańszczyźnianych. Dynastia była wyraźnie zakłopotana: pod Baktrię ściągnęli z zamków możnowładcy z licznym pocztem konnych łuczników każdy; niby to na doroczny obchód ku czci Niepokalanej, ale w radzie królewskiej sądzono, że tym razem więcej niż wokół księżyca ze złota pod stopami boskiego posągu, tłoczyć się będą w przedsionkach fioletowej sali, wypominając jeśli nie mową, to spojrzeniem ową krew irańską, co tak obficie polała się była nad brzegami rzeki Arios w obronie dynastii w czasie najazdu z Zachodu Antiocha Seleukidy, czy więc może za ową przelaną przed laty krew wynagrodzeniem ma być ta dodatkowa, teraz przelana w zajeździe syna Dionowego i towarzyszy? Odpowiedzieć im: „Też macie czym się gryźć? Chłopska to była tym razem krew, nie wielko-

pańska!" na nic by się nie zdało : zdobywcy Baktrii dawno już stwierdzili, że największy ciemiężca swych pańszczyźnianych poczuwa się silnie do jedności krwi z nimi, uważając widocznie, że choćby nawet żywcem ich ze skóry obdzierać — jemu wolno, a Grekom, choć niby to naród władców, ani palcem tknąć ! Ale żebyż kłopot dla dynastii, sprawą córki Diona wywołany, wyczerpywał się niezadowoleniem czy pomrukiem choćby nawet tubylczych panów lennych i ich z kolei lenników ! Ale gdzie tam ! Wysłannicy samorządów, garstki wolnych miast greckich, z dynastią sprzymierzonych, a i królewskich też osad wojskowych, równie znacząco patrzyli w oczy królewiczom i ich krewniakom, przyjaciołom i towarzyszom, co tubylcy : oto polała się krew grecka, a tak mało tej krwi żywej na ziemi obcej, zdobytej ciężkim znojem i odwagą iście baśniową naddziadów. Czyżby się mylili wysłannicy tej a tej Rady Starców, przodownicy takiej a takiej bohaterskiej osady nadgranicznej, zakładając, że królewicz, z nimi rozmawiający, wciąż się jeszcze nazywa Demetrios Eutydemida, a nie Spitamenes, Bebos czy Aspiones? Każdy wolny Grek ma wedle niewzruszalnych ustaw i świętych, prastarych zwyczajów prawo i do swojej niewolnicy, i do rozrządzania życiem swego dopiero co urodzonego dziecka — czy więc się to godziło aby barbarzyńcy, gdy Grek praw swych dochodzi, odważali się stawiać opór i to na zlecenie wyraźne urzędnika królewskiego ?

Oczywiście — mówił po latach do żony Heliodor — może to jemu tylko się zdawało, że w spojrzeniach i greckich i tubylczych taka właśnie dawała się odczytać wówczas mowa ; może naprawdę jej wcale tam i nie było ? Ale, dodawał, postępowaniem naszym nie kieruje to co naprawdę jest, tylko to, co się nam być wydaje, więc mniemanie, choćby błędne Heliodora, iż z jego to przyczyny rozpętać się lada chwila może burza i nad Baktrią, i nad Baktrią całą — zupełnie było wystarczające, żeby wykrzesać z jego znękanej myśli rozwiązanie nieoczekiwane zupełnie dla wszystkich zainteresowanych w sporze o niemowlę i niemowlęcia tego wybawienie. Zrazu sam się owego nagłego pomysłu swego przeląkł, ale gdy królewicz Demetrios zaprowadził go do sali fioletowej przed ruchome krzesło ojca, gdy Król Wielki, Eutydemos, dotykając dwoma palcami grubego karku, na którym nagle szybko zaczęły pęcznieć żyły, powiedział dobitnie : ,,Czasem zbyt sprawnie tropić bardziej jest karygodne niż zgubić ślad", wówczas Heliodor wszelkie odrzucił wahanie : drżącym wprawdzie głosem, tym niemniej stanowczo, przejrzyście i zwięźle ujął w słowa swój pomysł rozwikłania całej tej, tak beznadziejnie, zdawałoby się, zawikłanej sprawy : oto on, urzędnik królewskiej służby bezpieczeństwa, wolny Grek, składa u stóp królewskich swą chęć poślubienia niemowlęcia, gdy dorośnie, i skłonny jest natychmiast objąć opiekę nad swoją narzeczoną i jej wianem, którym ma być ta właśnie wieś tubylcza, gdzie udzielone jej zostało schronienie, z tym, że z tytułu wdzięczności opiekuna w imieniu właścicielki zgłasza natych-

miastową gotowość uwłaszczenia wszystkich pańszczyźnianych, do tej wsi przynależnych, grunta zaś wsi puścić im w wolną dzierżawę dziedziczną na dogodnych warunkach — szczególnie zaś dogodnych dla tych rodzin, których członkowie ucierpieli cieleśnie w czasie zajazdu syna Dionowego i towarzyszy. Ponieważ jednak wolny i pełnoprawny Grek wolną i pełnoprawną tylko może mieć żonę, Dion, syn Demetriosa, musi uznać swe dziecko i zgłosić je do rejestru Greków, jako swoje, nadając mu imię zgodnie ze zwyczajami, jednakże bez obowiązku wyposażenia go, gdy nadejdzie czas zamążpójścia; udział zaś dziewczynki, co by jej przypadał po śmierci ojca, przejdzie na własność osady, jako odszkodowanie za krew, przelaną przy próbie dochodzenia przez Diona owych praw do niewolnicy. Demetrios, syn Diona, i inni efebowie, którzy brali udział w zajeździe, powołani zostaną do stałej służby wojskowej w oddziale Srebrnych Tarcz — toż samo, o ile zechcą, wszyscy ci spośród obrońców wsi w czasie zajazdu, którzy największą ujawnili dzielność, z tym, że nie do oddziału Srebrnych Tarcz, tylko lotnych Dzierżycieli Złoconego Łuku. Opiekun niemowlęcia nadto wykupi z dochodów ze wsi posagowej Aspionię od jej pana, będzie przebywała jednak nadal pod dachem Diona, jako piastunka i wychowawczyni przyszłej żony Heliodora tak długo, póki będzie sobie tego życzyła; o wynagrodzenie dla niej zatroszczy się opiekun jej wychowanki. Wreszcie ponieważ wszystko, co się stało, nie byłoby się stało bez woli boskiej — trzy miesiące w roku córka Diona wraz z piastunką będzie spędzała w służbie dla Niepokalanej, która dla jednej będąc Artemidą, Anaitą dla drugiej, jednakowej od obiedwu spodziewa się żarliwości wzamian za zdrój łaski, jaki raczyła na obie zlać, pocieszycielką strapionych będąc jednakowo dla Irańczyków i dla Greków. Oczywiście, narzędziem woli boskiej musi stać się królewska : cały ów plan o tyle tylko mógłby się okazać wykonalny, o ile spodobałby się prawnemu panu wsi, do gruntów królewskich przecież przynależnej, obdarować nią ocalone niemowlę jako wianem.

Sparaliżowany król i tryskający zdrowiem i siłą królewicz ani jednym słowem nie przerywali całego tego wywodu. Gdy dobiegł końca, Eutydemos oderwał dwa palce od karku, na którym nie dawały się już dostrzegać nabrzmiałe żyły, i powiedział: „Dzięki Towarzyszu". Demetrios zaś Eutydemida zdjął ze swej szyi złoty łańcuch i ozdobił nim Heliodora, po czym go zapytał, czyby nie zechciał towarzyszyć mu w rzecznej wyprawie ku pograniczu na tarasie komnat królewskich na pokładzie „Meandrii". Heliodor nie chciał, ale czyż mógłby odmówić?! I tak już miało być przez lata i lata : Heliodor stale nie chciał, ale nigdy nie odmawiał.

— Dlaczego nie chciałeś? — zapytała po latach i latach Dioneja, kołysana wysoko w ramionach mocno już podstarzałego, ale wciąż jeszcze widocznie zdolnego dźwigać wcale znaczne ciężary męża.

Widząc jednak, że się wyraźnie na to zanosi, iż na to pytanie odpowiedzi nie otrzyma, zadowoliła się podobnym do kociego mruknięciem : ,,Ale teraz chcesz'' i obwijając się mocno rękoma wokół jego szyi, zaczęła ponownie prosić, by dał się namówić na wyjazd do Argos. Bo pomyśleć tylko ! będzie eparchą Parykeny, najbardziej kwitnącej, najpiękniejszej części nad-królestwa, samej Baktrii nie licząc. Oczywiście, i ona też — mimo że klimat w Parykenie lepszy — wybrałaby Baktrię, ale ta przecież wyraźnie w rachubę już nie wchodzi; czy więc on naprawdę chce najpiękniejsze lata życia obojga spędzić w ciągłych podróżach między Tarmitą a Terą ? Ona go, zresztą, doskonale rozumie : oto po odejściu nowego Króla Wielkiego, Demetriosa, do Indyj młode pokolenie z królem Eutydemosem Młodszym na czele nie jest zdolne doceniać go, Heliodora, tak, jak przedtem był ceniony, ba, tym młokosom, głuptasom miło byłoby zapewne w ogóle go pozbyć się, i stąd ów pomysł, by go ,,zaszczycić'' eparchiatem Parykeny. Ale przecież właśnie to, że sama Parykena tylko wchodzi w rachubę, najlepszym jest dowodem, jak bardzo wciąż z nim jeszcze się liczą : nawet młodziutki król nie ośmieliłby się zaofiarować mu mniej. Niech jej źle nie zrozumie — ona się wcale dobrze czuje na pokładzie ,,Zgody Narodów'', dawnej ,,Meandrii'', a przy tym możność ciągłego odwiedzania ojczystej osady wielka to dla niej przyjemność, czy jednak on właśnie — on, jej mąż, kochanek, opiekun, ojciec, zbawiciel, bóg — nie marnuje swych zdolności i swego doświadczenia, robiąc wciąż — lata i lata — to samo, to, co z powodzeniem robić by mogli już teraz młodsi; ci, których on sam przecież wykształcił ?! Odkąd Menander objął dowództwo okręgu ochrony północnego pogranicza, zmalało niezmiernie niebezpieczeństwo, grożące królestwu ze strony Masagetów czy Chorazmiów; Menander zaś wcale się z tym nie kryje, ile zawdzięcza Heliodorowi — skutecznemu rozgromieniu przez Heliodora wszystkich ośrodków szpiegostwa masageckiego i chorozmijskiego; nie lata — dziesięciolecia muszą upłynąć, nim północnego sąsiada stać będzie na ponowne przygotowanie sobie wewnątrz królestwa gruntu, jako tako umożliwiającego jakąkolwiek bądź próbę najazdu czy choćby nawet tylko zbrojnego obsadzenia ziemi niczyjej. Jej samej zresztą wciąż się śnią owe dziesiątki palów, które widziała przedostatni raz odwiedzając matkę i ciotkę w Terze; nie chciała mu się do tego przedtem przyznać i zapewne dziwić się musiał, czemu ona tak często krzyczy przez sen i gdy zaraz po krzyku się budzi, tak się gwałtownie, a zarazem dziecinnie do niego całym ciałem tuli. Niechże więc teraz wie : to te sny, pełne wbitych na pale... takie potworne sny... Na jawie przecież wie, że to dobrze, że tak powinno być, że ci i te, co podrygiwali na palach, to wrogowie królestwa, przez niego, Heliodora, wytropieni, przez Menandra zasłużenie i przykładnie ukarani. A gdy ostatnio matkę i ciotkę odwiedziła, żadnych już nigdzie nie było pali : ,,Nie ma kogo na nie nadziewać, mówił Demetrios, jej brat stryjeczny. Nie ma szpiegów. Nie ma zagończyków spoza rzek.

Kupiec stamtąd to naprawdę kupiec, ujeżdżacz to ujeżdżacz, wróżka to wróżka''.

— I to teraz, gdy pół Tery prawie to twoja własność, chciałabyś się znaleźć tak daleko stamtąd? — przerwał żonie Heliodor, delikatnie a ostrożnie zsuwając ją ze swych ramion na podłogę. I wnet się rozzłościł na siebie samego : oto znów zapomniał! Dioneja nie znosiła stykania się bosymi nogami z niczym, co by nie było dziełem rąk ludzkich, a podłoga w pokoju okrętowym, gdzie się znajdowali, prawie w całości pokryta była skórą tygrysią, zaszczytnym a wzruszającym królewskim podarunkiem ślubnym, przysłanym z pismem odręcznym samego Demetriosa Eutydemidy skądś z Pięciorzecza Indyjskiego. Więc w myśl zasady, iż skoro się błąd popełniło, już się go nie odrobi, ale trzeba go zaraz naprawić — Heliodor natychmiast znów uniósł Dioneję tak, że usta ich i oczy na jednej znalazły się wysokości i dopiero odtrąciwszy swą stopą skórę w kąt, postawił ją ponownie, tym razem na deskach podłogi, przetkanych marmurowymi płytami o rybich kształtach. Było jej i na deskach i na płytach zimniej niewątpliwie, niż na skórze, ale po pierwsze, myślał, trzeba szanować dziecięce kaprysy, a po drugie w tym klimacie chłód to przyjemna odmiana, byle nie na długo. Co prawda, stopy na deskach, jak i ramiona, wciąż wokół jego szyi owinięte, bynajmniej nie ujawniały w swych kształtach dziecięcości, ani też wyraz oczu, wciąż prosząco weń wpatrzonych. ,,To ja się tak bardzo starzeję'' — pomyślał ze smutkiem — ,,więc dlatego wciąż skłonny jestem widzieć w niej dziecko''.

Stojącej doradził, by coś na siebie włożyła. Usłuchała bezzwłocznie, ale z miną i ruchami, znamionującymi, że jej samej jest zupełnie obojętne, czy będzie nadal naga, czy okryta. Było tak zawsze od czasu ich zaślubin i było tak tylko w stosunku do niego; od jej przyjaciółek, od matki i ciotki wiele nasłuchał się wydziwiań, wręcz utyskiwań i kpin, na temat jej przesadnej, wręcz chorobliwej wstydliwości, utrudniającej ogromnie współżycie z nią, towarzyskie, a nawet domowe. Zmuszony więc był nie wierzyć bądź swoim oczom, bądź uszom, aż mu kiedyś, gdy ją o tę sprzeczność zagadnął, wyjaśniła : on jest dla niej jak bóg zbawiciel albo i więcej : bóg stwórca; wszystko, co nią i w niej jest, to dzieło jego myśli i woli — jakież więc ona mogła by mieć przed nim tajemnice? Na każdym miejscu i o każdej dobie ma być przed nim, dla niego odkryta i otwarta — tak rozumie stosunek istoty śmiertelnej do bóstwa, a raczej — w zasadzie przynajmniej wzajemny między nimi stosunek : czy bogowie i boginie w świątyniach, w pałacu i na rynkach Baktrii nie są nadzy? Więc też jak na jej upodobanie, Heliodor za mało, za rzadko bywa przy niej i dla niej nagi, ale oczywiście, ona nie szemrze : to samo, co dla niej stanowi święty obowiązek, z jego strony może — ba, musi — być wyłącznie wyrazem kaprysu, zaspakajanego kiedy się chce i jak się chce.

— A jeśli wcale się nie chce? — przerwał jej kiedyś taki wywód mąż.

— To się nie musi.

— Więc wiedz, dziecinko, kochanie : ja nie chcę być eparchą ni Parykeny ni Fryniany; nie chciałbym nawet być wojewodą satrapii. Nie stanie się nigdy przedmiotem mojego kaprysu Argos, ni wszystkie uroki jego bliższych i dalszych okolic. Czy jasno się wyraziłem?

— Zupełnie jasno — odpowiedziała ze smutkiem rezygnacji, ale z niewyzbytą lekkiej wesołości przekorą : — Przypomnij jednak sobie, że nawet Posejdona samego udało się w końcu Laertydzie przebłagać. A Orestesowi — przebłagać Apolina.

— Mówisz o Orestesie matkobójcy?

— Nie myślisz chyba, że o Orestesie rzeźbiarzu?

— Przez ułamek chwili myślałem. Co prawda ten Orestes na odmianę synobójcą jest, nie matkobójcą.

Nigdy się właściwie nie wie, w jakim dokładnie momencie rozpoczyna się nowy rozdział w księdze życia, a tym mniej jeszcze się wie, dlaczego w tym właśnie momencie się rozpoczyna : wielka przygoda, która czekała na Heliodora i Dioneję w pobliżu ujścia do Oksosu kanałów, wypełnionych wodą z Politemnosu, wedle ustalonych pojęć w żaden sposób nie mogła się rozpocząć wcześniej, niżby ,,Zgodą Narodów'' do owego ujścia dotarli, szczególnie iż rzeczywisty przygody owej protagonista o cztery miesiące drogi jeszcze odległy był od tegoż ujścia w chwili, gdy o uszy i świadomość Dionei otarło się pierwszy raz zestawienie dwu Orestesów : baśniowego i dobrze jej osobiście znanego. A przecież gdyby zestawienie to nie zostało wtedy właśnie przez Heliodora zrobione, kiedy zrobione zostało — gdyby protagonista rzeczywisty wkroczył do wielkiej przygody jako ktoś, całkowicie dla świadomości Dionei obcy, żadnych w niej nie powodujący skojarzeń myślowych — cały przebieg przygody byłby niewątpliwie całkowicie inny niż był w rzeczywistości; więcej, przygoda ta, gdyby nawet się odbyła w ogóle, co też wątpliwe, stanowczo nie kryłaby w sobie możliwości tych powikłań, dzięki którym zasługiwała na miano przygody wielkiej. W najlepszym razie byłaby jeszcze jednym wyczynem służbowym Heliodora, może i niemniej godnym zapamiętania od kilkunastu innych na przestrzeni jego życia, ale też i nie godniejszym od tamtych. Jeśli zaś stało się inaczej — sprawcą był sam Heliodor. Ale właśnie sprawcą — tylko sprawcą, nie winowajcą. Bo czyż można mężowi, który jeśli o różnicę wieku chodzi, mógłby nie tylko ojcem, ale od biedy i dziadkiem być swej żony, za winę poczytać to, że drażni go wszelkie skojarzenie słowne i myślowe — zarówno rzeczywiste, jak domniemane — z imieniem mężczyzny, o którym mniema nie tylko to, że żonie jego się podoba, ale co więcej : że w pełni zasłużył na to, aby właśnie jej się podobał?

II

Nieraz — gdy było już po wszystkim — zastanawiali się, Dioneja i Heliodor, czy wielka przygoda na wodzie i tuż obok wody — przygoda, która kryła w sobie tyle dla obojga razem i dla każdego z osobna niebezpieczeństw, była w ogóle do uniknięcia, czy też — wcześniej czy później — w innych byłaby ich tak czy owak dopadła okolicznościach. Bo oto przecież — zwracali sobie wzajem uwagę — łatwo wcale ta właśnie przejażdżka wspólna ,,Zgodą Narodów'' mogła w ogóle nie dojść do skutku; wystarczyłaby choroba któregoś — z dwojga albo wcześniejszy — względnie znacznie późniejszy — wybuch zatargu między nimi na tle rozważań, jest czy nie jest wskazane, aby mieli dziecko. Zresztą, wedle Dionei, w ogóle zbyteczny to zupełnie był zatarg i całkowicie nieuzasadniony; Heliodor przecież zwracał jej uwagę na to, że on wówczas — przed przejażdżką, w objęcia wielkiej przygody wiodącą — żadnych nie miał danych ani faktycznych, ani myślowych na to, by mniemać tak, jak ona, względnie że tak ona właśnie mniema, odgadywać.

Oczywiście, może za mało się myślowo wysilił, by do możliwości istnienia tych danych dotrzeć, ale czyż go nie usprawiedliwia stan rozdrażnienia, wręcz zaalarmowania — i to wielostronnego zaalarmowania — w jakim właśnie wówczas się znajdował? Dioneja — choć tak niedawno dopiero jego żona — w samej rzeczy bezbłędnie wytropiła istotną przyczynę jego oporu w stosunku do zaszczytnych, jak się powszechnie mówiło, napomknięć częstych młodego króla Eutydemosa na to, jakby się zaufany agent jego ojca, a i dziada jeszcze, zapatrywał na perspektywę zasłużonego wypoczynku po trudach pracowitego żywota, który to wypoczynek, zresztą, szedłby w parze z dostojnym tytułem i z przywiązanymi do tego tytułu, wcale pokaźnymi dochodami i miejscem pobytu w najbardziej uroczym zakątku nad-królestwa. Ponieważ to były wciąż jeszcze napomknięcia tylko — inaczej i być nie mogło przed powrotem Króla Wielkiego z Indyj — Heliodor udawał, że ich nie rozumie; dziękował gorąco za troskliwość królewską i zapewnił, że wcale jeszcze nie odczuwa potrzeby wypoczynku, dochody zaś, jakie ma, w zupełności mu wystarczają — tytuł Towarzysza również, a jeśli chodzi o problem uroków miejsca zamieszkania, dzięki charakterowi swej działalności służbowej ma stale dużą możność wyboru, przy czym najlepiej się czuje właśnie tam, gdzie najczęściej z racji obowiązków swych przebywa : na tarasie komnat królewskich na pokładzie ,,Zgody Narodów'', dawniej zwanej ,,Meandrią''. Była to prawda, odkąd dzieliła z nim ten taras i dobrze się na nim czuła Dioneja; ale właśnie dając tej prawdzie świadectwo, bezwiednie dorabiał się sobie na nieuchronność Wielkiej Przygody. Gdy bowiem z czasem napomknięcia przekształciły się w jawny nacisk, a temu Heliodor równie bez osłonek już przeciwstawił zasadę, iż tak długo, póki nie stracił zaufania Króla Wielkiego,

nie musi — o ile nie chce — traktować jako rozkazy, życzeń króla Baktrii właściwej i przyległych satrapii północnych i wschodnich, stawało się jasne, że cokolwiek kiedykolwiek powiedział, zostanie użyte przeciw niemu samemu, o ile nadarzy się po temu sposobność. Nadarzyła się : w siedem miesięcy po zaślubinach Dionei i Heliodora Menander zaalarmował stolicę wiadomością o wielkiej koncentracji na środkowym biegu Oksosu galer, nie magasackich tym razem, ale chorazmijskich, rzekomo handlowych, w rzeczywistości jednak ponad wszelką wątpliwość — pirackich. Młody Eutydemos przerzucił tę wiadomość poprzez śnieżne szczyty Parapamisadów ojcu — rozminęła się w drodze z żądaniem Króla Wielkiego, by natychmiast skierowano nad rzekę Hindus starsze, od dawna pod broń niepowoływane roczniki greckich osadników wojskowych — najwidoczniej nie szło mu w Indiach tak gładko, jak zapewne sobie przed wtargnięciem tam wyobrażał. Król Eutydemos wezwał Heliodora, przyjął go w malachowitym przedsionku sali fioletowej, otoczony wojewodami i eparchami, przeważnie młodzikami, takimi jak sam i wezwał ojcowskiego agenta zaufanego do szczególnych poruczeń, by udzielił dostojnemu zgromadzeniu światłej rady, jakim to sposobem dałoby się równocześnie Indie zdobywać i bronić wybrzeży Oksosu przed wtargnięciem chorazmijskich piratów. Uwagę Heliodora, że są to sprawy ściśle wojskowe, odparł król, dostając poklask wszystkich obecnych, przypomnieniem iż dziad jego zwykł był mawiać : ,,Bez ramienia żyć jakoś można, bez głowy zaś nijak''; przypomnienie to należało, oczywiście, rozumieć jako drwinę, ale taką, co kryje w sobie groźbę, a może już i pułapkę także. Więc Heliodor udzielił rady : niech flota królewska na Oksosie uszykuje się w kołyszącą się na falach, przecież jednolitą niczym mur, zaporę, dokładnie na linii pogranicza. ,,To ją, jak mur też, będą próbowali taranami rozwalić i szturmem zdobywać'', zawołał eparcha Bubakeny. ,,Zupełnie słusznie'', odrzekł Heliodor : ,,toteż zaporę taką trzeba by tak, jak mur, obsadzić i wyposażyć''. ,,Wyposażyć będzie w co'', odezwał się ktoś inny z otoczenia królewskiego, ,,ale do machin trzeba rąk''. Ktoś zaś jeszcze inny dorzucił, że gdyby nawet na żądanie Króla Wielkiego, obsadzenie starszymi rocznikami, z osad północnego pogranicza powołanymi, takiej zapory wodnej równałoby się otwarciu lądowej granicy Masagetom. ,,Byłaby na to rada'', powiedziało ustami Heliodora dzieciństwo Dionei. Powiedziało trafnie, ale znów o krok — i to jaki krok! — przysuwając oboje bliżej Wielkiej Przygody. Rada bowiem owa polegała na tym, aby wezwani zostali do obrony pogranicza lądowego możnowładcy irańscy ze swymi pocztami wolnych dzierżawców, których dotąd, o ile wojna nie została formalnie wypowiedziana, bądź faktycznie rozpoczęta — starano się nie skłaniać do opasywania się żelazem bitewnym, a już szczególnie tak opasanych nie ściągać nazbyt tłumnie na tereny graniczne; że jednak młody król Eutydemos wyrósł był z dziecięcia w młodzieńca, karmiony słodką nauką, iż Baktria to dynastii własność, nie zaś

Greków baktryjskich w ogóle — jemu osobiście ta rada bardzo trafiła do przekonania i to tak dalece, że natychmiast zabrał się do dyktowania listu do ojca z odnośną sugestią, aż mu ostudzono zapał przypomnieniem, iż w drodze już musi być odpowiedź Króla Wielkiego na wiadomość ostrzeżeniu Menandra, więc by nie tworzyć gmatwaniny mijających się listów, lepiej byłoby może przeczekać pięć, sześć dni. Ta na odmianę rada nie pochodziła od Heliodora, ale król, choć jej usłuchał, przecież zrobił to bardzo niechętnie, wręcz z rozżaleniem, na jakie reakcją zwykle u niego bywała żądza nieprzemożona sprawienia przykrości ojcu; żądzę zaś taką zazwyczaj zaspakajał kosztem ulubieńców ojca, najchętniej kosztem małej swej siostry, Agatoklei, względnie słonia, którego przed kilkoma zaledwie miesiącami Demetrios Eutydemida przysłał jedynej swej córce w upominku z Indyj. A że ulubieńcem ojcowskim był też niewątpliwie Heliodor — Eutydemos Młodszy zaproponował mu przejażdżkę na słoniu Agatoklei, równocześnie także wydając takie rozkazy poganiaczowi, których skutkiem nieuchronnym musiało się stać włamanie się słonia do klatki, wypełnionej małpami. Z zamiłowaniem jednak do płatania złośliwych figlów nie szedł w parze u młodego króla nadmiar sprytu, co się rodzi zazwyczaj z przezorności; pragnąc z bliska przyglądać się opadnięciu słonia i Heliodora przez małpy, znalazł się sam w zasięgu zamieszania i otrzymał dotkliwy wcale cios w głowę, nie wiedzieć czy z jakiejś małpiej nogi a raczej ręki, czy trąby słonia. Rozwścieczony, uznał bez żadnych dłuższych dochodzeń słonia za winowajcę i kazał natychmiast rozstrzelać go z łuków, jako wściekłego; gdy ryki bólu i konania ściągnęły z wnętrza pałacu królewnę Agatokleję i ta, powiadomiona co się dzieje i dlaczego, uderzyła, mszcząc słonia, brata w twarz — król obił ją na oczach całego dworu, ale zaledwie się niezwykłe to widowisko skończyło, padł nieprzytomny na ziemię. Lekarze stwierdzili silną gorączkę, skutek ciosu w głowę, przez zwierzę zadanego, i doradzili natychmiastowe wysłanie gońców do Króla Wielkiego. Heliodor, choć sam wcale dotkliwie przez małpy podrapany i też nie całkowicie przytomny, gdy go ściągnięto ze słoniego grzbietu, o tyle jednak w pełni swych władz umysłowych wyszedł z tej przygody, iż zdolny był w lot dostrzec prawdopodobieństwo groźnych wcale dla siebie następstw choroby młodego króla : miał wielu sobie nieżyczliwych w otoczeniu Eutydemosa, niech więc tylko któryś z nich puści pogłoskę, że to on, korzystając z zamieszania, zadał fatalny cios, a nie żadna małpa ni słoń — czy nikt takiej pogłosce nie uwierzy ? Uwierzą wszyscy ci, komu to będzie na rękę, a poza nimi, i wielu też ludzi dobrej woli, którym wyda się wcale prawdopodobnie, iż zasłużony — iż pokaźnie już leciwy, wysoki urzędnik królewski, nie byle kto, bo Towarzysz ! — nie mogąc znieść zniewagi, tkwiącej w niepoczytalnym wybryku młodego władcy, bądź podmówił przewodnika, też ofiarę tegoż wybryku, by odpowiednio naszczuł słonia na króla, bądź sam wydarł przewodnikowi z ręki laskę i okutym jej końcem wymierzył sobie

sprawiedliwość, a choćby nawet i samym drzewcem tylko!... Oczywiście, Król Wielki zapewne by nie dał wiary takiemu oskarżeniu, gdyby Heliodor dopuszczony został, i to we właściwym czasie : ani o dzień, ani o godzinę za późno, do głosu, ale czy mu do głosu dojść dadzą?!... Miał świetne wyjście z niebezpiecznej sytuacji, to prawda : natychmiast, ale właśnie natychmiast, ani chwili nie zwlekając, wyprawić się do Indyj. Wiedział jednak bardzo dobrze, że tylko przekonanie niezłomne, iż grozi mu śmierć nieuchronna, mogłoby go popchnąć do kraju, o którym wiedział już znacznie więcej wprawdzie niż polując na rysie przed siedemnastu laty, ale też ta właśnie wiedza zwiększyła tylko jego odrazę. Cóż więc miał zrobić? Sięgnąć po pióro — nic innego mu nie pozostawało.

III

Król Wielki odpowiedział Heliodorowi listem, dyktowanym drugiemu z synów, swemu imiennikowi, co podkreślało poufność zawartości listu. Król Wielki bez obsłonek się przyznał do niechęci, jaką zawsze żywił do swego pierworodnego, ale zarazem też nie był wcale skłonny zadowolić się tłumaczeniem Heliodora. Zapowiedział wysłanie natychmiastowe do Baktrii najmłodszego syna, własny zaś powrót dopiero na wiosnę. Wysłanego syna wyposażył w bardzo daleko sięgające pełnomocnictwa : na wypadek, gdyby Eutydemos miał wyzdrowieć, cała sprawa przestałaby istnieć; gdyby jednak umarł, musiałoby zostać przeprowadzone śledztwo niezmiernie dokładne, i Król Wielki mógł tylko dać wyraz żalowi, że tym razem nie byłoby możliwe, aby kierował śledztwem Heliodor. Ale właśnie tu się zaczynała największa niespodzianka : Król Wielki najwyraźniej nie wierzył w nieszczęśliwy wypadek, jako wytłumaczenie ciosu, zadanego jego pierworodnemu. I tu tkwił powód, dla którego — przyznawał się do tego z całkowitą szczerością — nie był w stanie, jakkolwiekby gorąco pragnął, wyłączyć Heliodora spośród możliwych podejrzanych. Podejrzenie to jego jednak nie ma bynajmniej na celu zastosowania natychmiastowego jakichś sądowych sankcyj — wręcz przeciwnie : Król Wielki zalecał Heliodorowi, aż do odwołania, wykonywanie urzędowych swych czynności tak, jak gdyby nic się nie stało. Pochwalił też jego plan w sprawie ochrony pogranicza północnego, w szczególności zapory na Oksosie, ale też przyznał w pełni słuszność zastrzeżeniom eparchów Bubakeny i Bandobeny Większej. Czy miał na tę sprzeczność jakąś radę? Miał. Greków potrzebował do Indyj stanowczo, więc mowy być nie mogło, by poza regularną obsługą floty, jednego choćby osadnika dało się przerzucić na kołyszącą się zaporę. Należało więc użyć tubylców : oczywiście, nie możnowładców, ani ich wolnych dzierżawców, ale pańszczyźnianych. Tych z dóbr królewskich jednak byłoby na to za mało, więc Król Wielki polecał Heliodorowi natychmiastowe udanie się na pogranicze pół-

nocne z celem przeprowadzenia w porozumieniu z Menandrem zaciągu ochotniczego wśród pańszczyźnianej ludności tubylczej na terenach do pogranicza przylegających; oczywiście — wyjaśniał — termin ,,zaciąg ochotniczy'' nie odnosi się do poszczególnych osób, tylko do całych gromad wiejskich. Że zaś ochotnicza służba wojskowa musi być szczególnie dobrze opłacana — zaciąg ma być przeprowadzony na zasadzie wzajemności świadczeń między dynastią a skłonnymi dać ochotników gromadami — mianowicie każda gromada, która skieruje do Menandra trzydziestu młodych ludzi, dostałaby prawo do obwarowania się wraz z wszystkimi innymi korzyściami, jakie nabycie tego uprawnienia daje. Co wyłożywszy, Król Wielki życzył Heliodorowi powodzenia w przedsięwzięciu, które jak zdaje sobie w pełni sprawę, nie byle jakimi najeżone jest trudnościami, ale też właśnie trudności te mając na oku, dziękuje wszystkim bogom — greckim, irańskim, indyjskim — że zesłali jemu, a i w ogóle dynastii, takiego nieocenionego Towarzysza, jak Heliodor. Obyż Król Wielki był w stanie w najbliższym możliwie czasie — najlepiej w trzydziestolecie działalności owocnej Heliodora w służbie dynastii — nazwać miłego Towarzysza ukochanym Krewniakiem !

Ukończywszy czytanie listu, Heliodor wpadł w przygnębienie, graniczące z rozpaczą. Oto znalazł się w potrzasku. Król Wielki najniedwuznaczniej obszedł się z nim jak ze skazańcem, któremu się proponuje, by spróbował uratować swe życie, stając do walki z niedźwiedziem lub tygrysem. Trudności, o których Demetrios Eutydemida wspomina, nie są do przezwyciężenia : zaciąg niby ochotniczy pańszczyźnianych bezpośrednio do wojska królewskiego to jawne wyzwanie, rzucone możnym panom tubylczym, ale dynastia wyraźnie chce być z tym możnowładztwem dobrze, więc też jej głowa obiecuje Heliodorowi najzaszczytniejszy tytuł Krewniaka, jeżeli zdoła i rysia upolować, i z łowów wracając, tyleż mieć strzał w kołczanie, ile ich było przed łowami. Czcza więc to zupełnie obietnica, co by jeszcze nie było takie najgorsze, gdyby nie problem, co by się stało, jeśliby z zadania sobie powierzonego, Heliodor się należycie nie wywiązał, względnie gdyby się go w ogóle nie podjął. Otóż w świetle listu Króla Wielkiego był to wyjątkowo prosty i jasny problem : wysoko nad głową Heliodora zawieszono podejrzenie o królobójstwo ; nie spadnie na nią jednak o ile jej posiadacz zdoła wykonać to, czego od niego się żąda. Jednego, co prawda, nie rozumiał : jeśli Król Wielki tak jak on sam uważa zadanie to za niewykonalne i wymyślił je jedynie jako potrzask, co wedle mniemania królewskiego, naprawdę ma się stać ze skomplikowaną sytuacją obronności królestwa na pograniczu północnym ? Demetrios chętnym okiem widział pomysł zapory na Oksosie, rozumiejąc równocześnie, że najmniejsze osłabienie lądowej linii obronnej to wprost zaproszenie dla barbarzyńców spoza granicy, by zaporę oskrzydlili ! Osłabieniu temu ma przeciwdziałać zastąpienie pospolitym ruszeniem możnowładców tubylczych dotychczasowej och-

rony pogranicza : starszych roczników greckich, które potrzebne są Królowi Wielkiemu w Indiach. Ale zapora zostanie przełamana, o ile nie wzmocni się jej obsady; jeśli zaś ją się wzmocni zgodnie z zaleceniem Demetriosa, by powołać pańszczyźnianych, pospolite ruszenie, nowa ochrona lądowej linii granicznej, obrazi się, oburzy, rozwiąże i rozejdzie do swych zamków. Wówczas Masageci i Sakaurowie, którzy ponad wszelką wątpliwość sprzymierzą się z piratami chorazmijskimi, przełamią zaporę lądową i bez trudu zajdą rzecznej z dwu stron od tyłu. Czy to nie za droga byłaby cena przyjemności pozbycia się Heliodora, zrzucając mu na głowę zawieszone oskarżenie o królobójstwo? Szczerze zdziwiony, Heliodor zabrał się do pisania odpowiedzi na list Wielkiego Króla, którą zamknąć postanowił właśnie owym pytaniem w sprawie za wysokiej ceny. Nie zamierzał jednak pozostawać w Baktrii tak długo, aż znów list od Króla Wielkiego otrzyma. Powołując się na dany sobie rozkaz porozumienia się osobistego z Menandrem, opuścił stolicę bez wielkich przeszkód, choć i nie bez drobnych przykrości — w Tarmicie wstąpił po Dioneję i pośpiesznie wszedł z nią razem na pokład ,,Zgody Narodów''. Towarzyszyli mu poza nią, gońcy Króla Wielkiego, którzy po oddaniu listów w Baktrii, mieli jeszcze jeden dla doręczenia do rąk własnych Menandra. Budzili w Heliodorze mocno mieszane uczucia, ale nie tylko w nim samym : pierwszy bowiem oto raz Król Wielki posłużył się jako zaufanymi a w wielkie wyposażonymi pełnomocnictwa, gońcami, parą młodzieńców, z których żaden nie był Grekiem. Nie dziw więc, że w Baktrii, w Tarmicie, nawet na pokładzie okrętu szemrano — Heliodor zaś, choć i krył się właściwie za gońców niczym za potężną tarczę, szemraniu temu jeśli nie wtórował jawnie, to przecież w rozmowach z Dioneją niedwuznacznie mu potakiwał. Żona go słuchała uważnie dzień, dwa, trzy, aż wreszcie mu przerwała pytaniem : — Czy nasz dom nawodny nie zowie się ,,Zgodą Narodów''?

Oszołomiony, długo nie mógł się zdobyć na odpowiedź, a gdy nareszcie zabrał znów głos, nie zdążył go wydać, gdyż do drzwi ich sypialni ktoś bardzo gwałtownie zaczął się dobijać. Była późna godzina wieczorna. Heliodor uczuł, że gną się pod nim kolana : to po niego przysłano z Baktrii. Jął wołać omalże rozpaczliwie Mankurusa Inda i młodziutkiego Sogdyjczyka; tarcza była mu potrzebniejsza, niż kiedykolwiek. Ale okazało się, że to właśnie Sogdyjczyk się dobijał — miał dla Heliodora pilną wiadomość ogromnej wagi : oto na brzegu stoi, licznym pocztem otoczony, król Margiany, Antymachos Eutydemida, i domaga się, by go natychmiast wpuszczono na pokład ,,Meandrii''.

IV.

Ów Sogdyjczyk był to niedwuznacznie rękodajny Króla Wielkiego — nic więcej, choć w piśmie, polecającym go władzom Baktrii, Demetrios Eutydemida określał go mianem zastępcy kie-

rownika urzędu tłumaczy przy swej osobie. W samej rzeczy, młodzieniec ów, a raczej wyrostek, bo musiał być w wieku Dionei, mówił z jednakową biegłością po grecku, po baktryjsku, po sogdyjsku, a ze swym starszym towarzyszem mową Indów, co zresztą rzadko się zdarzało, gdyż Mankuras, choć i nie tak biegle jak Sogdyjczyk, umiał po grecku się wysłowić zupełnie poprawnie, choć i wyraźnie językiem książkowym tylko, gdy tamten istotnie znał doskonale wszelkie odcienie mowy pospolitej. Najwidoczniej właśnie ta wyższość w dziedzinie władania językami sprawiała, że stosunek wzajemny między gońcami był wcale trudny do określenia przez osoby trzecie. Głową poselstwa musiał niewątpliwie być Mankuras : on to wręczał listy Króla Wielkiego, uzupełniał je ustnym komentarzem, udzielał wyjaśnień, odpowiadał na pytania — wielki pierścień jednak Króla Wielkiego, znak pełnomocnictw, w jakie gońcy byli wyposażeni, połyskiwał na palcu Sogdyjczyka i widocznie przez cześć dla tego pierścienia Mankuras nigdy nie siadał w obecności swego młodszego towarzysza, chyba że ten na czas pamiętał wezwać go, by usiadł. Ale — wedle spostrzeżeń i Dionei i Heliodora — wyrostek rzadko kiedy pamiętał, względnie tak oboje małżonkowie sądzili — udawał, że nie pamięta; najwidoczniej wielką przyjemność, zdecydowanie dziecinną, sprawiało mu akcentowanie ciągłe swej symbolicznej wyższości nad głową poselstwa. Jeszcze dziwniejsze niż między nimi wzajem, był stosunek do obu służby, która im towarzyszyła : rozkazy odbierała tylko od Mankurasa, ale zwracała się po nie wyłącznie do Sogdyjczyka. Heliodor nie wiedział zupełnie, co o tym wszystkim ma myśleć; Dioneja zaś znalazła zupełnie jasne i proste, jak jej się wydawało, rozwiązanie całej zagadki : wyrostek był umiłowanym kochankiem Króla Wielkiego. Dla Heliodora jednak nazbyt już proste było to rozwiązanie : po pierwsze — mówił — nie narażają potężni umiłowanych swych kochanków na trudy, a nawet niebezpieczeństwa takich podróży jak przez przełęcze Parapamisadów tuż przed nadejściem zimy; po drugie, któżby, kto nie musi, chciał rozłąki tak długiej z takim kochankiem; wreszcie — i to właśnie wydawało się Heliodorowi najistotniejsze — Sogdyjczycy, o czym Dioneja powinnaby wiedzieć lepiej jeszcze od niego, brzydzą się uprawianiem miłości cielesnej z osobami tej samej płci aż do stopnia...

— ...niemożności zrobienia wyjątku nawet dla Króla Wielkiego?! — przerwała mu, śmiejąc się Dioneja : — Mój miły, ja w samej rzeczy znam Sogdianę lepiej niż ty. I w samej rzeczy nigdzie tyle się nie słyszy wielkich słów odrazy i oburzenia w odniesieniu do takiej miłości. Ale też z niczyich ust nie słyszałam tylu i tak pięknie brzmiących wyrazów zatroskania o stan posiadania greckiej krwi w Baktrii, jak z ust mojego ojca. Wreszcie raz jeszcze powtórzę : jaki filozof odmówi przyjęcia złota ze skarbca samego Króla Wielkiego ?

Nie pierwszy to już raz trzeźwe, praktyczne, wyzbyte złudzeń podejście Dionei do świata i życia zdumiewało Heliodora.

Nigdy jednak może tak silnie, jak właśnie w czasie tej rozmowy, która, jak się okazało w wiele dni później — taką przełomową miała odegrać rolę w dramacie spotkania się ich z Wielką Przygodą. „Powiada, żem jej ojcem, panem, zbawicielem, bogiem" — pomyślał nagle nieomal z goryczą — „a oto oświeca mnie, niczym wyrostka. Skąd się to u niej bierze — taka pewność siebie w stosunku do mnie? Trzy pokolenia królów nie gardziły nigdy moją radą..." Gorzkie te rozmyślania przerwało mu nagłe spadnięcie gwałtownego deszczu, jaki go zawsze cieszył, ale tym razem bardziej niż kiedykolwiek: wciąż bowiem przewidywał możliwość, że w Baktrze wokół łoża niemocy królewskiej wezmą jednak górę ci, którzy gdy wyjeżdżał, domagali się uwięzienia go jako najbardziej podejrzanego o targnięcie się na głowę Eutydemosa. Byłoby to, oczywiście, pokrzyżowanie planów Króla Wielkiego, i ten aspekt sprawy wówczas przemógł, ale czy nie dlatego tylko, że w stanie młodego króla właśnie wtedy nastąpiło polepszenie, i on to sam, zapytany, czy jednak nie byłoby to lekkomyślnością pozwolić Heliodorowi, by umknął, wyszeptał bezkrwistymi wargami: „Jeśli sobie tego życzy mój najdostojniejszy ojciec..." Ale jeśli w międzyczasie Eutydemos umarł? Albo wprost mu się tylko bardzo znów pogorszyło? Mankuras i Sogdyjczyk zapewniali Heliodora wprawdzie, że pod ich opieką czyli pod osłoną pierścienia Króla Wielkiego jest on całkowicie bezpieczny, najdosłowniej nietykalny; prosili go też bardzo, by się nie denerwował, nie kwapił się tak do wydawania rozkazów, mających na celu wprowadzenie na okręcie stanu pogotowia do natychmiastowego odpłynięcia. Wszak sam postanowił — przypominali mu — czekać aż nadejdą nowe wiadomości od Króla Wielkiego. Czeka ósmy już dzień, cóż więc znaczy poczekać drugie tyle najwyżej? Zresztą, w stanie są dać mu najbardziej pewną rękojmię; oto Sogdyjczyk poprzedniego dnia odwiedził dowódcę cytadeli w Tarmicie, Teodora, i postawił mu pytanie wprost: jak się zachowa na wypadek starcia między życzeniami Króla Wielkiego i młodego króla w Baktrii, względnie doradców tegoż? Teodor odparł pytanie pytaniem: jak ma wiedzieć, że to, co mu się podaje jako życzenie Króla Wielkiego, jest nim w istocie? Sogdyjczyk błysnął mu w oczy pierścieniem, jaki miał na palcu. Teodor przyjrzał się uważnie, po czym oświadczył, że cytadela Tarmity oddaje się bez zastrzeżeń pod rozkazy okaziciela pierścienia.

Cytadela Tarmity! Heliodor znał Teodora dobrze i dawno. Tak dawno, że wolałby nie mieć w pamięci pierwszych miesięcy tej znajomości. A jeszcze by bardziej wolał, ażeby nie miał ich w pamięci Teodor. Ale skoro niewątpliwie niczego z tamtych czasów nie zapomniał, to przecież i tego chyba, jak bezsilna się okazuje cytadela Tarmity, a raczej wola jej dowództwa, wobec niechęci Greków Baktrii dla innoplemieńców w chwilach, gdy komuś bardzo mądremu, względnie bardzo silnemu, naprawdę zależy na tym, by ową niechęć rozdmuchać do stopnia nienawiści, władnej uzewnętrznić się w ryzyku rozruchów. Więc Teodor Teo-

dorem, ale także i Teofil Teofilem : powinowaty królewski, choćby nawet dalekiego już stopnia, najzawzięciej gardłował, gdy spierano się wokół królewskiego łoża boleści, należy czy nie należy pozwolić Heliodorowi na opuszczenie Baktrii. Wedle Teofila, hańba to dla Greków otrzymywać rozkazy Króla Wielkiego za pośrednictwem barbarzyńców; pierścień na palcu Sogdyjczyka to świętokradztwo, któż bowiem zaręczy iż rzeczywista głowa poselstwa, Grek niewątpliwie, nie został strącony w jakąś przepaść przy przeprawie z Indyj do Baktrii ? List Króla Wielkiego ? Każdy list można sfałszować i upozorować autentyczność falsyfikatu przyłożeniem zrabowanej pieczęci. Oczywiście Teofil sam nie wierzył w to, co mówił, nie spodziewał się też zapewne, aby inni mu wierzyli; celem jego było jednak obudzić drzemiącą w każdej greckiej świadomości niechęć do innoplemieńców, cieszących się łaskami czy zaufaniem dynastii, a do takiego celu wcale przydatne okazywało się snucie podejrzeń, z których w razie potrzeby można by ukuć jako tako przekonywujące usprawiedliwienie.

Dioneja, której mówił to wszystko z coraz rosnącym podnieceniem, przyznała się, że nie rozumie, w razie jakiej to mianowicie potrzeby można byłoby ukuć z tego rodzaju podejrzeń takie usprawiedliwienie. Wówczas podniecenie Heliodora przeszło w coś jak gdyby uniesienie : wyciągając przed siebie rękę i nakierowując ją, a w ślad za nią i wzrok żony na mgliście rysujące się poza ciemnawą zasłoną ruchomą deszczu, mury cytadeli, zawołał : — Teodor uderzy na alarm... Miotacze kamieni i strzał obrócone zostaną ku brzegowi... Biedny Teodor ! Będzie się łudził, że zgraja napastników się nastraszy...

— Napastników ? Kto będzie napadał na kogo ?

— Tłum. Oh ! sami czystej krwi Grecy. A przy tym, zauważ, pełni przywiązania dla dynastii. Żarliwego, namiętnego przywiązania, takiego, co to nie w siłach jest znieść bezkarności domniemanego choćby tylko sprawcy zamachu na członka dynastii...

— Wysłannicy Króla Wielkiego cię obronią. Przecież mówili...

— Właśnie mówili... I słowu swemu zechcą być wierni. I za tę wierność zostaną rozszarpani...

— Majaczenia ! hałastra portowa nie nastraszy się skierowanych na siebie miotaczy ?

— Nie, bom już rzekł : biedny Teodor ! W roku sto piątym też uderzył na alarm, też na tłum nakierował miotacze mechaniczne pocisków. Łudził się młodzik tak samo, jak dziś łudzi się starzec. Obsługa miotaczy nie strzelała wówczas, nie będzie teraz strzelała do swoich w obronie innoplemieńców.

— Załoga „Zgody Narodów” ich obroni. A i ciebie także.

— Także ? Ależ nie : mnie obroni — to prawda, ale tamtych dwu — nie. Bo załoga, prócz wioślarzy, to też sami Grecy. Ale cóż mi przyjdzie po tej obronie, jeśli tamci dwaj zginą ? Jeśli pierścień Króla Wielkiego ściągnięty zostanie z sztywnieją-

cego szybko palca zabitego chłopca? Znajdę się bezbronny, bezradny, bezsilny w mocy Teofila. A dostać się w jego ręce... nie mówmy lepiej o tym więcej.

— Mówmy. Czy Teofil to twój wielki wróg?

— Największy chyba.

— Co przyczyną tej wrogości?

— Pozornie zazdrość.

— Jakie to dziwne ,wręcz zabawne! Zazwyczaj się mówi pozornie przyczyną wrogości na przykład Androklesa do Kleandra jest to a to, ale naprawdę ni to, ni tamto, tylko zazdrość... Ale żeby zazdrość mogła być tylko pozorem...

— Może być. Jest.

— A naprawdę przyczyną?

— Tyś.

— Ja? Jeszcze mniej rozumiem. Nienawidzi ciebie przeze mnie?

— Rzekłaś.

— Za to, żem twoja?

— Za to, że jesteś.

— Same zagadki! Za to, że jestem — czym. Czy też może raczej: że jestem — jaka?

— Żywa.

Ulewa coraz się wzmagała. Zeszli z tarasu. Dioneja głęboko zamyślona, Heliodor prawie rozweselony. W taki deszcz — zapewniał i żonę i siebie — mowy być nie może o jakichś rozruchach. Ani też o tym, by największa choćby nawet nienawiść ściągnęła Teofila przy takiej pogodzie nad brzeg Oksosu.

Coś jednak oto ściągnęło przy takiej pogodzie nad brzeg Oksosu króla Margiany. Najwidoczniej — brzmiał komentarz Dionei — istnieć muszą w naturze ludzkiej jakieś bodźce do działania silniejsze, niż największa choćby nawet nienawiść. Czy pan jej i bóg — pytała — zgaduje, jakie to mogą być bodźce?

Było to czysto retoryczne pytanie: w mniemaniu Dionei nie istniały, nie mogły istnieć pod planetami zagadki, których rozwiązanie nastręczałoby Heliodorowi jakiekolwiek poważniejsze trudności, z jednym może wyjątkiem: zagadek z dziedziny miłości. W wypadku jednak nagłego wynurzenia się spoza ruchomej ściany deszczu, graniczącej z gniewem niecierpliwości króla Antymacha, wyrażającej się w żądaniu, by go — wbrew przepisom — natychmiast wpuszczono na pokład — jeśli nawet i kryło się coś jeszcze, poza rozdrażnieniem, którego źródłem zmoknięcie, na pewno nie było to coś niczym z dziedziny miłości. A skoro tak, Heliodor w mniemaniu żony władny był, nim nowy zacznie bieleć dzień, w pełni zaspokoić jej ciekawość odnośnie bodźców, silniejszych niż silna bardzo nienawiść.

Tego jej optymizmu jednak sam Heliodor bynajmniej nie podzielał. „Zgoda Narodów” była czołowym okrętem nie tylko na Oksosie, ale w ogóle całego zjednoczenia czterech, a bodajże nawet pięciu już, Indie włączając, królestw greckich w nad-królestwie Demetriosa Eutydemidy. Stanowiła właściwie pałac ru-

chomy Króla Wielkiego i właśnie ten jej charakter powodował niezwykłą ostrość przepisów, mających obowiązywać — z dwoma wyjątkami — każdego, kto wszedł lub chciał wejść na jej pokład. Na czele zaś listy owych przepisów figurował zakaz wchodzenia na okręt lub schodzenia z okrętu między zachodem a wschodem słońca, przy czym zakaz ten — głosił to przepis najniedwuznaczniej ! — obejmował sobą najdosłowniej wszystkie istoty żyjące a śmiertelne, wyłączając samego tylko Króla Wielkiego i Towarzysza jego do spraw bezpieczeństwa, więc jak dotąd, od siedemnastu lat Heliodora. Dla uniknięcia nieporozumień przepis ten zaopatrzony był w wyjaśnienie uzupełniające, które precyzowało definicję ,,wszystkie istoty żyjące a śmiertelne'' w ten sposób, aby wszem i każdemu było oczywiste, iż pomieniony zakaz obejmuje także i członków dynastii. Oczywiście Król Wielki — ale już nie Towarzysz od spraw bezpieczeństwa — mógł z sobą wprowadzić na okręt lub z okrętu wyprowadzić, kogo chciał, o każdej porze dnia i nocy, więc też przez chwilę po otrzymaniu wiadomości o nagłym zjawieniu się na brzegu króla Antymacha Heliodor zastanawiał się, czy nie stoi oto znów w obliczu jednego z takich zaskoczeń, jakie Demetrios zwykł był stosować wobec swych bezpośrednich podwładnych w pierwszych latach swego panowania; a których motywem była częściowo kpiąca złośliwość, ale poza tym także i nadmierna gorliwość w pojmowaniu swych obowiązków władcy. Sam Heliodor kilka razy został w ten sposób zaskoczony i wprowadzony w błąd, nigdy jednak ze szkodą dla siebie, zawsze bowiem taka tajna inspekcja królewska jego służbowej działalności wypadała zadowalająco; tym przecież razem wcale nie był pewien, czy powinienby się cieszyć, czy lękać, gdyby domysł jego miał się okazać słuszny. Król Wielki bowiem mógł niespodzianie zmienić swe mniemanie sprzed kilkunastu dni, uznać swój powrót do Baktrii za konieczny, może nawet nie tylko sam powrót, ale na przykład także i celowość przekonania się na własne oczy, jak naprawdę wygląda sytuacja na pograniczu północnym; równocześnie zaś mógł wyrozumować — a byłoby to, wedle Heliodora, nadzwyczaj trafne rozumowanie — że prawdy o zagadkowym ciosie, wymierzonym jego pierworodnemu synowi, łatwiej i sprawniej będzie mógł dociekać w takich okolicznościach, gdy nikt, poza tymi nielicznymi, komu objawić się zechce, ani nawet będzie podejrzewał, że jest w pobliżu, nie zaś nadal po drugiej stronie śnieżnych szczytów Parapamisadów. Że objawiłby się, w pierwszym rzędzie, bratu młodszemu — to wydawało się Heliodorowi prawdopodobieństwem, graniczącym z pewnością : inaczej niż najmłodszego z braci, Apolodota, Demetrios Antymacha raczej nie lubił, niekiedy go może wręcz znosić nie był w stanie, ale równocześnie żywił do niego bezwzględne zaufanie; z drugiej zaś przy tym strony trudno było w danej chwili Heliodorowi wyobrazić sobie, by coś innego poza życzeniem Króla Wielkiego, skłonić mogło jego delikatnego i lubiącego pieścić się z sobą brata do narażenia się na wystawanie pod gwałtowną ulewą z peł-

ną świadomością przepisów, wobec których jego własna, nie wsparta przez moc starszego brata, największa choćby niecierpliwość musi się okazać nocną porą równie bezradna, co i rybaka czy zbieracza muszel czy poganiacza, pojącego w rzece opodal postoju ,,Zgody Narodów'' muły lub wielbłądy.

Jeśliby jednak słuszny to był domysł, Heliodor miałby równe właściwie powody do ulgi, wręcz radości, jak i do największego lęku. Oczywiście, Król Wielki osobiście osłoniłby go przed wszelkim niebezpieczeństwem, gdyby chciał. Ale właśnie, czy chciałby? Czy nie przybywa na pokład ,,Zgody Narodów'' już po ukończeniu przeprowadzonego przez siebie potajemnie śledztwa w sprawie zamachu na syna, i czy nie jest tego śledztwa wynikiem błędne przeświadczenie o słuszności podejrzeń, jakimi obarczali Heliodora Teofil i inni z otoczenia młodego króla? Więcej : czy nie byłaby w ogóle motywem najistotniejszym tajnego przedostania się poza plecami brata na własny okręt chęć śledzenia z bliska zachowania się Heliodora : Demetrios świetnie się znał na ludziach — lepiej niż ktokolwiekbądź z członków dynastii, niż nawet założyciel jej, jego ojciec; mógł więc sobie powiedzieć : ,,Mam go za winnego, ale nim wydam wyrok, spojrzę mu w twarz, przyjrzę się jego ruchom, wsłucham się w jego głos''.

Ale w tym właśnie punkcie rozumowania Heliodora lęk zaczynał ustępować miejsca uldze : gdyby tak miało być, iż Demetrios uważałby za wskazane przed wydaniem wyroku czas jakiś niepostrzeżenie obserwować winnego, znaczyłoby to, że nie jest jeszcze całkowicie o winie jego przekonany, że wciąż się jeszcze waha, a takie wahanie to sygnał nadziei na uniewinnienie. Od jednego zaś błysku nadziei łatwo dawały się zapalić i roziskrzyć dalsze : może — myślał na odmianę radośniej Heliodor — Król Wielki w wyniku tajnego śledztwa o czymś wręcz przeciwnym się przekonał : że jego długoletni Towarzysz zaufany do spraw bezpieczeństwa padł ofiarą oszczerstwa, więc żeby go chronić przed niebezpieczeństwem, lub choćby tylko nawet przed przykrościami, postanowił niepostrzeżenie czuwać z bliska nad nim przez cały czas aż do chwili, gdy swój sąd o zagadkowym uderzeniu syna zechce do publicznej podać wiadomości? Więcej jeszcze : przekonawszy się o niewinności Heliodora, mógł Król Wielki w swej gotowości do zadośćuczynienia posunąć się najłaskawiej aż do troski o zdjęcie z niego ciężaru zadania, jakim go obarczył był, zalecając ponowny wyjazd nad granicę. Że jednak powiedzieć : ,,Jesteś niewinny. Nie jedź'' nie mógł bez narażenia się na ujawnienie swej tożsamości, wybrał inną drogę : oto będzie Heliodorowi towarzyszył w całej wyprawie, dopomagając mu takimi czy innymi tajnymi sposobami do wybrnięcia z trudnego ogromnie dylematu — mianowicie jak pogodzić zapał możnowładztwa tubylczego dla służby interesom dynastii z godzącym w interesy i w miłość własną tegoż możnowładztwa, pomysłem poboru ochotniczego pańszczyźnianych?!

Uczucie ulgi jednak minęło równie prędko, jak napłynęło.

Opierało się bowiem — stwierdzał Heliodor z szybko rosnącym smutkiem — na przeoczeniu sprzeczności, równie jaskrawej, a może jeszcze nawet jaskrawszej, niż ta, której pogodzenia domagało się od niego zatroskanie dynastii o równoczesną sprawność i obronność granic i biegu podbojów pozagórskich. Bo oto jak mógł Król Wielki nierozpoznany przedostać się na okręt, skoro tylko objawienie się jego umożliwić było władne Antymachowi wejście na okręt przed wschodem słońca?! Czyli właśnie nocne zjawienie się króla Margiany przed okrętem rozwiewać musiało wszelką na to nadzieję, by ulgą tchnący odcinek biegu myśli Heliodora okazać się mógł zgodny z rzeczywistością! Plan bowiem rzekomy Demetriosa, który chwilę temu w swej wyobraźni tak szczegółowo a z takim upodobaniem odtwarzał, wykonalny był jedynie w dzień, które to stwierdzenie darło całe rozumowanie w strzępy; ze strzępów zaś tych jeden tylko był do ocalenia przed całkowitym rozwianiem się w nicości: możliwość, iż poza domniemanym zaskoczeniem nie kryje się nic bardziej dla Heliodora obiecującego, niż nagły kaprys władcy, nie liczący się z pogodą, a mający na celu jedynie naoczne przekonanie się, czy Heliodora i dowództwo okrętu stać będzie na to, by nieugięcie przeciwstawić moc przepisu woli drugiego, co do starszeństwa, członka dynastii. W zestawieniu z radością, chwilę temu przeżywaną, zaskoczenie domniemane, tak tylko dające się tłumaczyć, urastało w odczuciu Heliodora do rozmiarów złośliwej szykany, graniczącej w najbardziej wymyślnym okrucieństwem. Nie dziw więc, że metą całego tego biegu wytężonego jego myśli stać się musiało zaprzeczenie stanowcze możliwości, iżby Król Wielki znajdować się miał wśród osób, Antymachowi towarzyszących.

Ale skoro tak — pozornie to była meta, a w rzeczywistości krótki bardzo postój tylko. Bo przecież musiał natychmiast jakieś praktyczne wysnuć wnioski z faktu odrzucenia możliwości, tak długo, tak szczegółowo rozważanej. Czyli myśl swoją, swoją czujność, swoją wnikliwość natychmiast na nowy rzucić trop i to bez poczucia pewności, że wystarczająco wypoczęły po biegu poprzednim. A co jeszcze gorsze — bez pewności też, że na właściwy je skieruje trop. Bo oto choć poprzednio także punktem wyjścia było rozdroże, wiedział jednak, dokąd obie domniemane możliwości prowadzą : jedna do rozpaczy, druga do radości, i było jasne, która dokąd. Ale teraz znowuż dwa tylko widząc przed sobą tory dla biegu domysłów ku mecie, przy której jeden z nich uwieńczony ma zostać podniesieniem do godności faktu oczywistego, nie wiedział, ani którędy tory prowadzą, ani czy metą nie okaże się czasem przepaść, a wieniec nie będzie inny, niż taki tylko, jakim się zdobi ofiary przebłagalne tuż przed strąceniem ich w czeluście Hadesu. Żądanie bowiem króla Margiany — po odrzuceniu możliwości, iż towarzyszy mu tajnie Król Wielki — pozwalało się rozumieć tylko jako objaw bądź obłąkania, bądź zuchwałego zamysłu, którego istotny sens może być jeden tylko : Antymachos, wykorzystując prawdopodobieństwo

śmierci bratanka, szykuje zamach stanu. W jednym wypadku i w drugim nieostrożne wszczęcie alarmu groziłoby Heliodorowi nieobliczalnymi następstwami; ostrożność, co by się wyraziła zatajeniem prawdy dostrzeżonej — również. A Heliodor, odkąd miał — wreszcie naprawdę miał — Dioneję, bardzo nie chciał zostać strącony w czeluście żadnej przepaści, a już szczególnie jako ofiara przebłagalna i to — najniewątpliwiej — zastępcza ofiara. Wśród przymiotów, określających użyteczność agentów zaufanych do zadań szczególnych, nie na ostatnim miejscu — dobrze o tym wiedział — znajdowała się szczególna też przydatność takich agentów w chwilach dla dynastii szczególnie kłopotliwych : przydatność dobrze wypasionych wołów, hodowanych starannie z myślą o czasie, gdy trzeba będzie coś rzucić na żer opinii publicznej, gdy targnie tą głód nagły sprawiedliwości czy pomsty w następstwie grozy, której sprawcą rzeczywistym rozjuszony, lecz z przyrodzenia swego nietykalny byk, taką samą znaczony na łbie gwiazdą, jaka zdobi tarczę królewską. Metafory Heliodora wzbudzały szczere uznanie Dionei, ani ona jednak, ani on sam nawet nie zgadywali, nie przeczuwali stopnia nietykalności tego byka, czyj ryk nie mniejszą wcale stanowił zapowiedź wielkich nieszczęść przez to, że dochodził do uszu prawdopodobnych ofiar czy choćby tylko świadków owych nieszczęść, ściszony do tonu, jakim zwykło przemawiać królewskie zniecierpliwienie. Co prawda — mówili zgodnie sobie wzajem po latach — gdyby nawet byli przeczuli lub byli odgadli, na wiele by się im to nie było zdało : nowa a niezwykła odmiana nietykalności, w którą się uzbroiło domniemane obłąkanie czy też zbuntowanie się króla Antymacha, wyposażyła tylko Wielką Przygodę w dodatkowe dreszcze — wpłynąć jednak na sam jej przebieg nie mogła, na to bowiem było już za późno.

Teodor PARNICKI

Fragmenty z dziennika

Piątek.

W ,,Wiadomościach'' list Jeleńskiego, w którym odpowiada na notatkę Collectora o publikacji moich rzeczy w ,,Preuves''. Choć całkowicie zgadzam się z Jeleńskim, że istnieje pewne powinowactwo pomiędzy mną a Pirandellem (problem deformacji) a także Sartrem (w Ferdydurke'' znalazłoby się niejedno przeczucie wschodzącego egzystencjalizmu), wolałbym nawet aby, jak twierdzi Collector, z moimi poglądami nie mieli oni wiele wspólnego. Na wszelki wypadek wolę nie być do nikogo podobny — choć myśl to tylko jeden z elementów sztuki, choć zdarzało się, że brano myśl najpospolitszą w rodzaju ,,miłość uświęca'' lub ,,życie jest piękne'' i wydobywano z niej dzieło olśniewające natchnieniem i zdumiewające oryginalnością i siłą. Czym jest idea, czym jest nawet wizja świata w sztuce? Same przez się są niczym — mogą mieć znaczenie tylko ze względu na sposób w jaki zostały odczute i duchowo wyczerpane, na wysokość swego wzniesienia i na blask jaki z tej wysokości rozsiewają. Dzieło artystyczne nie jest sprawą jednej tylko myśli, ani jednego odkrycia, ale tworem powstałym z tysiąca drobnych inspiracji, tworem człowieka, który w swojej kopalni zamieszkał i z niej coraz nowy wydobywa minerał.

Ale od Sartrów i Pirandellów pragnąłbym odseparować się z innych względów — towarzyskiej, światowej natury. Zbyt często się zdarza w specyficznych warunkach naszego, polskiego, obcowania, że ktoś za pomocą tych ,,rozgłośnych nazwisk'' usiłuje mnie zlekceważyć i, nadymając się Sartrem, mówi z politowaniem : Gombrowicz. I na to ja nie mogę się zgodzić w tym dzienniku, który jest dziennikiem prywatnym, gdzie idzie zawsze i tylko o sprawy osobiste, gdzie pragnę bronić mej osoby i wyrobić jej miejsce wśród ludzi.

Ach ! Przyjacielu Jeleński !

Wydobyć się na koniec z tego przedmieścia, przedpokoju, kredensu, stać się nie autorkiem — polskim, czyli podrzędnym, nieprawdaż? — ale zjawiskiem mającym własny sens i rację !

Przebić się przez morderczą drugorzędność mego środowiska i wreszcie zaistnieć! Sytuacja moja jest dramatyczna i, rzekłbym, rozpaczliwa — ja już od dłuższego czasu sugeruję delikatnie tym umysłom, umeblowanym ,,rozgłośnymi nazwiskami'' że jednak i bez światowej sławy można coś znaczyć, jeśli się jest naprawdę i bezwzględnie sobą; ale oni chcą abym ja naprzód stał się rozgłośny; dopiero wówczas wciągną mnie do swego inwentarza i będą się nade mną głowić. W opinii tych wszystkich polskich roztargnionych koneserów gubi mnie to właśnie, że istnieje pewna zbieżność pomiędzy mną a myśleniem Sartrów czy też Pirandellów. Sądzi się przeto, że ja chcę powiedzieć to samo, co oni, wywalając otwarte drzwi; i że, jeśli jednak mówię coś innego, to dlatego tylko, że jestem bardziej nieudolny i mniej poważny, a także bardziej mętny; im wydaje się, na przykład, że moje odczucie formy wraz z jego konsekwencjami praktycznymi to ,,nic nowego'' i mniemają, że moja krytyka sztuki to nieprzemyślany grymas, złośliwość i kaprys — z zarozumiałością snobów (gdyż snob jest zarozumiały nie w poczuciu własnej wartości, lecz dlatego, że zna kogoś kto wartość posiada) nie zadadzą sobie trudu sprawdzenia, jaka jest wewnętrzna logika tych moich reakcji, a ich dusza lokajska będzie zachwycona gdy zdoła ująć moją duszę jako służebnicę i korną a niezręczną naśladowczynię tamtych pańskich duchów.

Mogę bronić się przed tym tylko definiując siebie — wciąż, bez przerwy siebie określając. Tak długo będę musiał siebie określać aż w końcu najpowolniejszy ze znawców dostrzeże moją obecność. Metoda moja polega na tym : ukazać moją walkę z ludźmi o własną osobowość i wykorzystać wszystkie te osobiste zadrażnienia, jakie powstają między mną a nimi, dla coraz wyraźniejszego ustalenia własnego ja.

Określić siebie wobec sartryzmów i całej, zaostrzonej, rozpalonej do białości, myśli współczesnej?

Ależ nic łatwiejszego! Ja jestem myślą niezaostrzoną, istotą średnich temperatur, duchem w stanie pewnego rozluźnienia... Tym, który rozładowuje. Jestem jak aspiryna, która, jeśli wierzyć reklamie, usuwa nadmierny skurcz.

Czytając mój dziennik, jakiego doznajecie wrażenia? Czyż nie takiego, że wieśniak z sandomierskiego wszedł do fabryki roztrzęsionej, wibrującej i spaceruje po niej jakby chodził po własnym ogrodzie? Oto piec rozżarzony, w którym fabrykują się egzystencjalizmy, tu Sartre z rozpalonego ołowiu przyrządza swoją wolność-odpowiedzialność. Tam warsztat poezji, gdzie tysiąc ociekających siódmym potem robotników w pędzie zawrotnym taśm, trybów, operuje coraz ostrzejszym nożem superelektromagnetycznym w coraz twardszym materiale, tam zasię kotły bezdenne, w których warzą się ideologie, światopoglądy i wiary. Oto czeluść katolicyzmu. Tam dalej huta marksizmu, tu młot psychoanalizy, oto studnie artezyjskie Hegla i obrabiarki fenomenologiczne, tam dalej stosy galwaniczne i hydrauliczne surrealizmu, lub też pragmatyzmu. I fabryka, pędząc i pędząc w łosko-

cie i wirze produkuje i produkuje coraz to doskonalsze instrumenty, te zaś instrumenty służą do ulepszenia i przyśpieszenia produkcji, więc coraz to wszystko staje się potężniejsze, gwałtowniejsze, bardziej precyzyjne. Ale ja, przechadzam się pośród tych maszyn i wytworów z miną zamyśloną i zresztą bez większego zainteresowania, zupełnie jak gdybym chodził po sadzie tam u siebie, na wsi. I co pewien czas, próbując tego lub owego wyrobu (jak gruszkę lub śliwkę) mówię : — Hm... hm... to jakieś dla mnie za twarde. Albo : — To, na moją miarę, zbyt obfite. Albo : — Do diabła z tym, to niewygodne, za sztywne. Lub też : — Ha, nie byłoby to złe, gdyby nie było takie rozpalone !

Więc robotnicy obrzucają mnie spode łba niechętnym wzrokiem. Oto, wśród producentów, zjawił się konsument !

Sobota.

Tak ! Być ostrym, rozumnym, dojrzałym, być „artystą", „myślicielem", „stylistą" tylko do pewnego stopnia i nie być nigdy za bardzo i właśnie z tego „nie za bardzo" uczynić siłę równą wszystkim bardzo, bardzo, bardzo intensywnym siłom. ry. Nie być w kulturze niczym więcej, jak tylko wieśniakiem, Pilnować w obliczu zjawisk gigantycznych własnej, ludzkiej mia- jak tylko Polakiem, ale nawet wieśniakiem i Polakiem nie być zanadto. Być swobodnym, ale nawet w swobodzie nie być nadmiernym.

W tym cała trudność.

Albowiem, gdybym wszedł do kultury jako czysty barbarzyńca, absolutny anarchista, doskonały prymityw lub idealny wieśniak, czy klasyczny Polak, wy wszyscy przyklasnęlibyście temu natychmiast. Uznalibyście, że jestem wcale niezłym producentem prymitywu w stanie czystym.

Ale byłbym wtedy takim samym fabrykantem, jak oni wszyscy — ci, którym produkt staje się ważniejszy od nich samych. Wszystko co jest czyste pod względem stylu, to elaborat.

Prawdziwy bój w kulturze (o którym tak mało się słyszy) nie toczy się, według mnie, między wrogimi prawdami, czy też odmiennymi stylami życia. Jeśli komunista przeciwstawia swój światopogląd katolikowi, to jednak są to dwa światopoglądy. A także nie jest najważniejsza ta inna antynomia : kultura-dzikość, wiedza-niewiedza, jasność-ciemność, owszem, można by powiedzieć, że to są zjawiska, które współgrają, wzajemnie się uzupełniając. Natomiast najważniejszy i najbardziej drastyczny i nieuleczalny spór, to ten, który wiodą w nas dwa podstawowe nasze dążenia : jedno, które pragnie formy, kształtu, definicji, drugie, które broni się przed kształtem, nie chce formy. Ludzkość jest tak zrobiona, że wciąż musi siebie określać i wciąż uchylać się własnym definicjom. Rzeczywistość nie jest czymś, co dałoby się bez reszty zamknąć w formie. Forma nie jest zgodna z istotą życia. Lecz wszelka myśl, która by pragnęła określić

tę niedostateczność formy, też staje się formą i przeto potwierdza jedynie nasze dążenie do formy.

A więc cała ta nasza dialektyka — filozoficzna, etyczna, artystyczna — toczy się na tle bezmiaru, któremu na imię niedokształt, który nie jest ani ciemnością, ani jasnością, lecz właśnie mieszaniną wszystkiego, fermentem, nieporządkiem, nieczystością i przypadkiem. Przeciwnikiem Sartre'a nie jest ksiądz. Jest nim mleczarz, aptekarz, dziecko aptekarza i żona stolarza, są nim obywatele sfery pośredniej, sfery niedokształtu i niedowartości, będącej zawsze czymś nieprzewidzianym, niespodzianką. I Sartre w sobie samym znajdzie przeciwnika z tejże sfery, którego można by nazwać ,,niedo-Sartrem''. A ich racje stanowi, że żadna myśl, ani forma w ogóle nie zdoła objąć bytu i, im bardziej wszechobejmująca, tym bardziej kłamliwa.

Czy przeceniam siebie? Naprawdę, wolałbym odstąpić komu innemu niewdzięczną i ryzykowną rolę komentatora własnych, wątpliwych osiągnięć, ale w tym sęk, że w warunkach jakich się znajduję, nikt tego za mnie nie wykona. Twierdzę, że na własnym podwórku sporo zdziałałem, aby ten konflikt z kształtem stał się wyczuwalny.

W moich utworach ukazałem człowieka rozpiętego na prokrustowym łożu formy, znalazłem własny język dla ujawnienia jego głodu formy i jego niechęci do formy, specyficzną perspektywą wydobyłem na światło dzienne dystans, jaki istnieje pomiędzy nim a jego kształtem. Ukazałem w sposób chyba nie nudny, lecz właśnie zabawny, czyli ludzki, żywy, jak forma powstaje między nami, jak ona nas stwarza. Wydobyłem na jaw tę sferę ,,międzyludzkiego'', która dla ludzi jest decydująca i nadałem jej cechy siły twórczej. Zbliżyłem się w sztuce bardziej może od wielu innych autorów do pewnego widzenia człowieka — człowieka, którego właściwym żywiołem nie jest natura, lecz ludzie, człowieka nie tylko umieszczonego w ludziach ale nimi naładowanego, natchnionego.

Ujawniłem, że ostateczną instancją dla człowieka jest człowiek, nie zaś żadna wartość absolutna, i spróbowałem dotrzeć do tego najtrudniejszego królestwa zakochanej w sobie niedojrzałości, gdzie tworzy się nasza nieoficjalna a nawet nielegalna mitologia. Uwydatniłem moc sił regresyjnych, ukrytych w ludzkości i poezję gwałtu, zadawanego przez niższość wyższości.

A jednocześnie związałem ten obszar przeżycia z podłożem moim — z Polską — i pozwoliłem sobie podszepnąć inteligencji polskiej, że właściwe jej zadanie nie polega na rywalizacji z Zachodem w wytwarzaniu formy, lecz na obnażeniu samego stosunku człowieka do formy i, co za tym idzie, do kultury. Że my w tym będziemy silniejsi, bardziej suwerenni i skuteczni.

I chyba zdołałem wykazać na własnym przykładzie, że uświadomienie sobie owego ,,niedo'' — niedokształtowania, niedorozwoju, niedojrzałości — nie tylko nie osłabia, ale wzmacnia. Iż może stać się zarodkiem nowej żywotności i rozwoju — podobnie jak na gruncie sztuki to odmienne (powiedziałbym: nie-

chętne, lekceważące) podejście do formy może zapewnić odnowienie i rozszerzenie środków artystycznego wyrazu. Proklamując wszędzie, gdzie się da, zasadę, że człowiek jest wyższy od swoich wytworów, dostarczam swobody, jakiej bardzo potrzebuje dzisiaj nasza pokurczona dusza.

Czy naprawdę, znawcy, jesteście tak krótkowzroczni, że trzeba abym wam pchał wszystko przed nos? Niczego nie jesteście w stanie zrozumieć? Gdy jestem wśród tych uczonych, mógłbym przysiąc, że jestem pośród drobiu. Przestańcie mnie dziobać. Przestańcie skubać. Przestańcie gdakać i kwakać! Przestańcie z dumą indyczą wydziwiać, że ta myśl już znana, że tamto już zostało powiedziane — ja nie podpisywałem żadnego kontraktu na dostawę idej nigdy niesłyszanych. We mnie pewne idee, będące w powietrzu, którym wszyscy oddychamy, związały się w pewien specjalny i niepowtarzalny sens gombrowiczowski — i jestem tym sensem.

Wtorek.

La Falda.

Uzdrowisko w górach Cordoby. Na avenida Eden panie i panowie przy kawiarnianych stolikach popijają refrescos, podczas gdy osły, przywiązane do drzew, obgryzają korę a głośnik nadaje uwerturę do trzeciego aktu Traviaty.

Nic nadzwyczajnego — a jednak dla mnie miejsce to jest jak twarze we śnie — skombinowane — te twarze tak dręczące, które są połączeniem dwóch oblicz odmiennych, zachodzących jedno na drugie i wzajemnie się maskujących. Zewsząd spogląda tu na mnie ta złowroga Dwoistość, kryjąca sekret ciężki i zawiły. A wszystko dlatego, że byłem tutaj lat temu dziesięć.

Teraz widzę.

Wówczas — zgubiony w Argentynie, bez pracy, bez oparcia, zawieszony w próżni, nie wiedzący co będę robić za miesiąc — zapytywałem siebie z tą ciekawością, dochodzącą nieraz do zupełnie chorobliwego napięcia, jaką zwykła budzić we mnie przyszłość — zapytywałem, co będzie ze mną za lat dziesięć.

Podniosła się kurtyna. Widzę siebie przy kawiarnianym stoliku tejże avenidy, tak, to ja. To ja za dziesięć lat. Kładę rękę na stoliku. Spoglądam na dom przeciwległy. Wołam na kelnera i proszę „un cortado". Bębnię palcami po stole. Lecz to wszystko ma charakter tajnej informacji, przekazanej tamtemu sprzed lat dziesięciu i zachowuję się tak jakbym był widziany przez niego. Ale zarazem widzę jego, gdy siedział tutaj, może przy tym samym stoliku. Stąd ta okropność podwójnego widzenia, którą odczuwam jak pęknięcie rzeczywistości, coś nieznośnego — jakbym sobie samemu zaglądał w oczy.

Głośnik nadaje uwerturę do trzeciego aktu Traviaty. Panie i panowie popijają refrescos.

Środa.

Miłosz: „La prise du pouvoir".

Bardzo silna książka. Miłosz to dla mnie przeżycie. Jedyny z pisarzy na emigracji, którego naprawdę zmoczyła ta burza. Innych — nie. Byli wprawdzie na deszczu, ale z parasolami. Miłosz został zmoczony do nitki, a w końcu huragan zdarł z niego ubranie — wrócił nagi. Cieszcie się, że przyzwoitości stało się zadość! przynajmniej jeden z was jest nagi. Wy, reszta, jesteście nieprzyzwoici — w waszych pantalonach i kurteczkach rozmaitego fasonu, z waszymi krawatami i chusteczkami od nosa. Cóż za wstyd!

Nie brak wśród nas talentów, urzekająca, na przykład, jest powieść Józefa Mackiewicza „Przyjaciel Flor", a Straszewicz wytrysnął kaskadą humoru — ale nikt z nich nie jest dość wtajemniczony. Miłosz wie. Miłosz wpatrzył się i doznał — jemu w blasku nawałnicy ukazało się coś... meduza naszego czasu. Od której Miłosz padł, spustoszony.

Spustoszony? Może za bardzo. Wtajemniczony? Czy nie zanadto, lub raczej — czy nie za bierne to wtajemniczenie? Wsłuchiwać się w swój czas? Tak. Ale nie — poddawać się czasowi. Trudno jest mówić o tym na podstawie dotychczasowych jego utworów prozą — „Zniewolonego Umysłu" i „La prise du pouvoir", oraz tomu wierszy „Światło dzienne" — gdyż tematyka ich jest specjalna, to rekapitulacja pewnego okresu a także świadectwo i ostrzeżenie. Ale wyczuwam, że Miłosz pozwolił aby Historia narzucała mu nie tylko temat, ale i pewną postawę, którą nazwałbym postawą człowieka przewróconego.

Czyż jednak Miłosz nie walczy? Tak, walczy, ale tymi tylko środkami, na które zezwala przeciwnik, wygląda to tak jakby on uwierzył komunizmowi, że jest zdruzgotanym inteligentem, i stanął do ostatniego, heroicznego boju jako zdruzgotany inteligent. Ten nędzarz, rozlubowany w hiobowej nagości swojej, ten bankrut, zapamiętały w bankructwie, dobrowolnie chyba ograniczył swoje możliwości skutecznego oporu. Błąd Miłosza — tak to widzę i jest to bodaj błąd dosyć rozpowszechniony — polega na tym, że on redukuje siebie na miarę biedy, którą opisuje. Lękając się frazesu, odbierając sobie prawo do wszelkiego luksusu, on, Miłosz, lojalny i rzetelny wobec swoich braci w nieszczęściu, chce być biedny jak oni. Lecz taka intencja w artyście jest niezgodna z istotą jego działania, gdyż sztuka to luksus, swoboda, zabawa, marzenie i siła, sztuka powstaje nie z biedy, ale z bogactwa, rodzi się nie wtedy gdy się jest pod wozem tylko wtedy, gdy się jest na wozie. Sztuka ma w sobie coś triumfalnego, nawet gdy załamuje ręce. Hegel? Hegel nie wiele ma wspólnego z nami, gdyż my jesteśmy tańcem. Człowiek, który nie pozwoli siebie zubożyć, odpowie na twórczość marksizmu inną twórczością, zaskakującą nowym, nieprzewidzianym bogactwem życia. Czy Miłosz zdobył się na dostateczny wysiłek, aby wygrzebać się z dialektyki, która go spętała?

Jeśli nie — wiem, że to nie wskutek braku sił, lecz wskutek nadmiaru lojalności. Ale talent nie powinien być zbyt lojalny. Lojalność jest ograniczeniem, a talent musi dążyć do bezgraniczności. Kolumb gdyby był zbyt lojalny wobec jajka, nie odkryłby Ameryki. Istnieje jeszcze wiele nieodkrytych Ameryk. Nie jesteśmy u kresu naszego lądu.

Takie dialogi prowadzę z Miłoszem, czytając go, ale wiem, że one zbyt niecierpliwe. Te książki są dostarczycielkami nowej rzeczywistości, ich cel — tak ważny — to oswojenie nas z historią. Przetworzenie — to kluczowe słowo sztuki — przyjdzie potem.

Piątek.

Idąc suchym łożyskiem potoku, który prowadzi do podnóża Banderity, wspomniałem (bo La Falda to ręka, która przebiega po mojej klawiaturze wydobywając zapomniane melodie) bliźniaków, z którymi tędy chodziłem na wycieczki. Nic bardziej wzniosłego! Cóż za objawienie! Rozkoszny i jakże natchniony żart Stworzyciela! Dwaj chłopcy szesnastoletni tak podobni do siebie, iż nigdy nie mogłem ich rozróżnić, w wielkich kapeluszach cowboyskich, z oczami rozbawionymi — ukazywali się zawsze ni stąd ni zowąd, jeden w pewnej odległości od drugiego, a ich identyczność wzmagała do tego stopnia ich efekt, że, będąc młokosami i smarkaczami, objawiali się jednak z potęgą, która wypełniała zda się całą przestrzeń i, igrając odbijała od gór. Wszystko w takim bliźniaku stawało się genialne i zdumiewające, dowcipne i wspaniałe, ważne i objawicielskie, tylko dlatego że gdzieś obok czaił się drugi bliźniak, absolutnie taki sam.

Rozważając tedy wagę i świętość objawienia, któremu dane mi było ongiś się przyglądać, wracam avenidą Eden. Gdy wtem ktoś mnie łapie za rękę: — Witoldo! Patrzę, a to bliźniak! Bliźniak, ale z wąsikami! I jakiś chuderlawy. Ha, bliźniak, ale już nie bliźniak! Bliźniak wyzuty z dawnego bliźniaka.

Obok młoda kobieta z dwojgiem małych dzieci.

Bliźniak powiedział: — To moja żona.

I zaraz ujrzałem, nieco dalej, drugiego bliźniaka również z wąsikami, z kobietą i z dzieckiem.

Czwartek.

Pani Irena Grobicka z Toronto kropnęła sobie liścik „Do redaktora „Wiadomości". Jest to utwór tak piękny, iż wyróżnia się w niezwykłej kolekcji, jaką stanowią listy czytelników w „Wiadomościach".

„Od roku 1946 — czytamy — moim „hobby" jest skrzętne badanie wśród znajomych ich stosunku do wieszczów jutra".

Zbadawszy wśród znajomych ich stosunek do wieszczów jutra, p. Grobicka doszła do stanowczego wniosku, iż:

„Mimo wszystko o wielkości pisarza decyduje Vox Populi.

Stu krytyków może krzyknąć, że sztuka jest genialna, ale gdy na sali jest pusto, sztuka musi zejść z afisza".

P. Grobicka, nie poprzestając na odkryciu tej prawdy, wyjaśnia jeszcze dlaczego nie została ona powszechnie uznana.

,,A że zezowaci i garść snobów, którzy ulegli demagogii zezowatych, wydzierają się jak oparzone koty, to właśnie dlatego że ich ten Vox Populi, ten tłum inteligentów, ta najwyższa instancja, nie chce wpuścić do pałacu sztuki".

Ale zezowaci nie są w stanie rozdrażnić p. Grobickiej, przemawiającej w imieniu najwyższej instancji tłumu inteligentów i, na domiar, strażniczki pałacu sztuki.

,,Ułomki nie mogą drażnić. Ułomki budzą litość".

Najbardziej jednak podoba mi się iście grecki finał:

,,Psy szczekają — karawana idzie dalej. Nieprześcigniona, eskortowana przez Vox Populi, helleńska karawana".

Środa.

,,Dziennik Kafki". W związku z tym zabrałem się ponownie do przeglądania ,,Procesu", porównując go ze sceniczną wersją Gide'a. Ale i tym razem nie udało mi się przeczytać uczciwie tej książki — olśniewa mnie słońce genialnej metafory, przebijające się przez chmury Talmudu, ale czytać stronę za stroną, nie, to nad siły.

Kiedyś będzie wiadomo, dlaczego w naszym stuleciu tylu wielkich artystów napisało tyle nieczytelnych dzieł. I jakim cudem te książki nieczytelne i nieczytane zaważyły jednak na stuleciu i są sławne. Z prawdziwym podziwem, z niekłamanym uznaniem musiałem przerwać wiele lektur, które nazbyt mnie nudziły. Kiedyś wyjaśni się, z jakiego to opacznego małżeństwa twórcy z odbiornikami rodzą się utwory pozbawione artystycznego sex appealu. Cóż za hańba! Chwilami mam wrażenie, że żyje wśród nas, pisarzy, jakieś głupstwo paczące całą naszą działalność, przed którym nie umiemy się bronić, gdyż ono wciąż anonimowe. Niekiedy absurd objawia się z bezwstydem rozkraczonej dziewki i kilka dni temu zdarzyło mi się coś takiego. Siedzę w barze. Przychodzi pewien Argentyńczyk aby mi pokazać zbiorowe wydanie utworów poety czylijskiego Pablo De Rokha — tom rozmiarów podręcznej walizki. Patrzę na walizkę. Otwieram ją. W środku cztery fotografie autora i trzy fotografie żony autora (też poetka), dalej odbitka manuskryptu, wstęp autora, w którym mówi, że ,,ludowi czylijskiemu oddaję te poematy" (czy coś takiego) tudzież wiele innych dodatków. Przeskakując po kilkadziesiąt stronic, czytam:

,,Wykrzykują twarze zbrodnicze swój blady trójkąt".

,,Słońce potężnie rozgłośne w systemie słonecznym, wóz śmieci pełen błyskawic".

,,Nawałnica wojenna w codziennym huraganie przekazuje grzmot zmierzchu"...

Cytuję może niezupełnie ściśle, ale i tak widać, że to wcale dobre, zupełnie niezła klasa. Ale...

Argentyńczyk powiedział : — To wielki poeta.

Odpowiedziałem nic. Zero. Z tym olbrzymim tomidłem na kolanach — z tym gigantycznym przedmiotem... materialna wielkość tej rzeczy miażdżyła mnie, jak but. I zresztą wiedziałem, że gdybym cokolwiek powiedział z tego co powiedzieć chciałem, on odpowie, że nie rozumiem poezji, że nie wniknąłem w duszę czylijską, że nie wyczuwam metafory lub że nie chwytam podziemnej wibracji słowa. Więc powiedziałem, że przeczytam i potem szedłem do domu, dźwigając to i złożyłem to u siebie w kącie, a po kilku dniach musiałem zabrać to i z powrotem zanieść Argentyńczykowi, co też uskuteczniłem, a gdy ten olbrzymi przedmiot znalazł się w końcu poza moim obrębem, musiałem jeszcze wybąkać jakieś słowa, które połączyły się w kosmosie ze wszystkimi słowami wybąkanymi przy innych podobnych okazjach przez innych tragarzy, aby zapewnić mistrzowi De Rokha wieczystą chwałę na wysokościach, amen.

Tak, tak... Ale tom De Rokhi jest tylko karykaturalnym powiększeniem mikrobu, będącego sekretnym wstydem literatury — że ona już nie pociąga i nie wabi. Nieszczęśliwi ! Was już nikt nie kocha ! Nikomu się nie podobacie ! Nikogo nie podniecacie ! Was tylko ceni się — nic więcej...

Jesteście świadectwem dostojeństw Ducha człowieczego i wielkości Sztuki, ale ludzie was nie lubią.

Sytuację pogarsza fakt, że krytyce współczesnej brak dostatecznej inteligencji, czy też dostatecznej siły, aby pokonać najtrudniejsze zadanie : powrócić do spraw elementarnych i wiecznie aktualnych, które jednak jak gdyby umarły wśród nas dlatego, że są już za łatwe, zbyt proste. Krytykę stać jedynie na doskonalenie — doskonalenie aż do absurdu — tego mechanizmu, który dziś nami rządzi i mocą którego powstają książki coraz lepsze, jako literatura. Ci panowie nigdy nie odważą się na naruszenie samego systemu, to zresztą przerasta ich możliwości. Gdyż taki czy inny charakter literatury jest wynikiem uzależnień, jakie powstają pomiędzy artystą a innymi ludźmi. Jeśli chcecie aby śpiewak inaczej zaśpiewał, musicie związać go z innymi osobami — zakochać go w kim innym i zakochać inaczej. Niewyczerpane są kombinacje stylów, ale wszystkie one są w gruncie rzeczy kombinacjami osób, oczarowaniem człowieka przez człowieka. Literatura pozostaje, niestety, romansem starszych, subtelnych panów wzajemnie w sobie zakochanych i wzajemnie sobie świadczących. Odwagi ! Rozbijcie to zaklęte koło, idźcie na poszukiwanie nowego natchnienia, pozwólcie aby was ujarzmiło dziecko, szczeniak, półinteligent, zwiążcie się z ludźmi innej kondycji !

Jak dotąd tylko marksizm zdobył się na taką reformę samej sytuacji pisarza, poddając go proletariatowi. Lecz naprawdę poddał go tylko teorii i biurokracji, z czego powstała najnudniejsza literatura w dziejach. Nie. Nie dokonacie tego wymędrkowany-

mi i suchymi jak pieprz teoriami — trzeba aby przypływ odmładzającego czaru, bijącego z tamtych, niższych, warstw, wydobył was z was. Z chwilą gdy zdołacie naprawdę zakochać się w niższości, zaczniecie się jej podobać — ale nawet gdyby miłość wasza była dla niższych braci waszych za trudna, wy już, zakochani i jawnie zakochani, przestaniecie być samotni.

Witold GOMBROWICZ

Józef Czechowicz

(PORTRETY POLSKICH POETÓW)

Historia literatury karmi się kroniką ludzi i zdarzeń. Jednak w tym szkicu nie stawiam sobie za cel wyłącznie kronikarstwa. Rzecz jest o poecie przemilczanym to znowu wielbionym, w dodatku o człowieku z którym łączyła mnie przyjaźń. Czechowicz nie ma swojej rubryki w podręcznikach, jego życie i dzieło zostało zaledwie tknięte przez doktorantów. Mamy więc tu do czynienia z materiałem surowym, zabrać się do niego to znaczy mówić o poezji polskiej w ogóle, o mnóstwie spraw z nią związanych i z których wyrasta.

UPRAWNIENIA

Józef Czechowicz urodził się w Lublinie 15 marca 1903 roku, wyemigrował ze swego rodzinnego miasta po to, żeby wrócić tam w ucieczce 1939 roku i tam został zabity przez niemiecką bombę w wielkim bombardowaniu 9 września. Oto pisarz jak najrdzenniej międzywojenny. Tłem jego działalności była głównie Warszawa i niewątpliwie warszawiak miałby większe ode mnie uprawnienia do rysowania jego portretu. Bo moja znajomość literackiego środowiska warszawskiego tamtych lat pozostawia sporo do życzenia : spędziłem w tym środowisku tylko lata 1937-1939, a stolica wydawała mi się po Wilnie Babilonem nieprawości, do czego zresztą istniały obiektywne powody. Inna moja niedostateczność uprawnień polega na tym, że brak jest pism i książek. Wiem jednak, że badacze zawdzięczają wiele ludziom, którzy nie starając się o erudycję spisują to, co zdarzyło im się widzieć.

POCZĄTKI

W tym niezwykle płodnym dla poezji polskiej okresie 1918-1939 nie często spotykało się poetę, który by, jak Czechowicz, pochodził ze starego mieszczaństwa, to znaczy nie takiego, co tworzyło się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat wskutek odpływu z dworów i dworków albo polszczenia się Żydów. Rodzina jego — jak sam lubił podkreślać — mieszkała w Lublinie od wieków; jednym z jej protoplastów miał być słynny Arianin Marcin Czechowicz. Rodzice Józefa Henryka byli bardzo ubodzy. Ojciec pracował, jeśli się nie mylę, jako woźny. To ubóstwo tłumaczy, jak sądzę, ,,nieprzepisowe'' naówczas wykształcenie Czechowicza, który nie zdawał gimnazjalnej matury i nigdy nie liznął uniwersytetu.

W roku 1920, wówczas siedemnastoletni, wstąpił jako ochotnik do wojska. Śladów jego udziału w obronie linii Wisły zachowało się nie wiele w tym co napisał — trochę wzmianek w wierszach i opowiadania prozą o dzieciach w czasie wojny (drukowane w ,,Pionie''), oparte na wspomnieniach z Wołynia. Sam był wtedy prawie dzieckiem.

W Lublinie uczył się w seminarium nauczycielskim. W roku 1925 ukazała się jego pierwsza praca literacka, rozprawka o balladzie ,,Lilie'' Mickiewicza. Wierszowanych pierwocin nie znałem za jego życia, nigdy o nich nie mówił. Dopiero za okupacji niemieckiej odkryłem w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie w rocznikach gazet lubelskich z 1924 roku dużo wierszy Czechowicza zupełnie różnych od późniejszych. Bardzo mnie zdziwiły. Brzmiały jak przekłady z Jesienina. Tu wypada nadwątlić nieco legendę o wpływach Zachodu na poezję naszą po pierwszej wojnie światowej. Znajomość poetów np. francuskich była udziałem nielicznych, natomiast istniał pociąg do Rosjan i to nie najlepszych — nie tyle Chlebnikow, Błok i Majakowski, co Siewierianin, Balmont, a zwłaszcza Jesienin, którego tłumaczono i naśladowano maniacko — pewnie na tej samej zasadzie na jakiej polscy oficerowie, upiwszy się, śpiewali wyłącznie rosyjskie piosenki (erotyczny pociąg Polaków do języka rosyjskiego jest jedną z tajemnic, których nie umiem zgłębić). Ja również zachwycałem się kiedyś Jesieninem, potem mi przeszło. Kiedy w magazynie Biblioteki czytałem te jesieninowskie wiersze Czechowicza, przypomniała mi się cała ,,krowia'' faza w poezji, której głównym mistrzem był poeta Włodzimierz Słobodnik; ponieważ wieś znał tylko z obrazków, pisał głównie o krowach. Przypomniał mi się również jeden z tych mitów literackiego świata, które szczególnie dopomagają sławie — mit Jesienina, chłopskiego syna spod Kaługi czy Riazania i jego przyjaciółki, amerykańskiej tancerki Izadory Duncan, jej tragicznej śmierci — udusił ją szal, co wkręcił się w koła samochodu — i jego samobójstwa, prawdopodobnie spowodowanego przez świadomość, że dla takich jak on nie ma miejsca w Rosji. Miałem kiedyś przyjemność

poznać brata Izadory Raymonda, który do dziś chodzi po Paryżu w greckiej chlamidzie i sandałach na bose nogi. Oskar Miłosz opowiadał mi ze zgrozą o pijackich hecach Jesienina (wtedy dostawało się paszporty na Zachód), których był świadkiem. Nie każdy ma sympatię do chuligaństwa, a ten piewca wsi rosyjskiej stanowił okaz doskonałego chuligana. Wspominam o tym, ponieważ ów mit działał przez pewien czas w Polsce, jakkolwiek moje pokolenie otarło się o niego tylko, koło 1930 roku zaczął dogasać.

Czechowicz nie włączył tych swoich wczesnych wierszy do żadnego z tomów i szybko zerwał z ,,zaunywną'' manierą. Wieś polska zawsze dostarczała mu materiału do poezji (a czymże była Polska z wyjątkiem paru miast jak nie wsią?), ale kształtował ten materiał w swoisty sposób, szukając wzorów w tradycji rodzimej. Osobowość jego harmonizowała z jego stylem : nic z chuligaństwa i duszy otwartej dla wszystkich, charakter pisma drobny i precyzyjny, zamiłowanie do kaligrafii, grafiki i liternictwa.

Z wyglądu, należał do czarnowłosego typu z szerokimi kośćmi policzkowymi, który rozpowszechniony jest zwłaszcza nad górnym biegiem Wisły (może ślad najazdów tatarskich). Przez okrągłość twarzy, spłaszczony trochę nos, który wreszcie jednak zakręcał w nadwiślańską faję, zachowywał coś z dziecka. Komitywę z dziećmi znajdował łatwo i pisał dobre teksty dla najmłodszych czytelników. W literaturze lubił element zabawy.

Trzeba podkreślić w jego lubelskich początkach : prowincjonalność, brak pieniędzy, samouctwo. Znalazł kilku towarzyszy-poetów w Lublinie, którzy marzyli o sławie, ale tę zyskiwało się przez druk w pismach stołecznych. Wydawali za swoje pieniądze (niektórzy z nich mieli już posady) pismo poetyckie ,,Reflektor''. Z nich tylko Czechowicz dobrnął do mety i dziś, w piętnaście lat po śmierci, pozostaje, śmiem to twierdzić, jednym z kilku najwybitniejszych poetów pomiędzy pierwszą i drugą wojną światową. Wcześnie zyskał świadomość swego powołania i pozostał mu wierny. Jest całkiem rzadkim zjawiskiem w Polsce przez swoją niezależność wewnętrzną, odporność na wpływy, realizację wbrew modom. Do wierszy miał stosunek dobrego, spokojnego rzemieślnika (stare mieszczańskie nawyki?). Wypił mniej wódki niż ci, co pływali na powierzchni, nie zaznał przyjemności posiadania służby czy samochodu, ale coś osiągnął.

Pierwszy jego tom wierszy ,,Kamień'' ukazał się w Lublinie w 1927 roku, nakładem owego ,,Reflektora''. Widać na nim zamiłowania Czechowicza do ładności druków. Duży format, papier pakowy, na którym nikomu wówczas nie przyszłoby na myśl drukować, staranny dobór czcionek i okładki (żółta, odbijająca od ciemno-szarych stronic wewnątrz). Są tu niektóre utwory słabe, ale droga zarysowuje się już wyraźnie.

Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego, został nauczycielem szkoły powszechnej we wsi białoruskiej Słobódka, na Wi-

leńszczyźnie. Czy to była jedyna jego posada nauczycielska, nie ręczę. Stamtąd, dzięki nielicznym protektorom, którzy poznali się na jego talencie, udało mu się przenieść do Warszawy — jakieś stypendium i studia na Pedagogicum.

JEGO TWÓRCZOŚĆ

Poezja Czechowicza była zwalczana przez pewne koła jako ,,grafomańska'' a równocześnie znalazła wielu naśladowców, którzy ukazywali go w krzywym lustrze i przez to wyrządzali mu niedźwiedzią przysługę. Po drugiej wojnie światowej na długi czas pogrzebano ją w Polsce, bo miał opinię ,,poety sanacyjnego''. Jej analizę trzeba byłoby podjąć z tekstami w ręku, niestety rozporządzam tylko jednym tomikiem, paroma notatkami i tym, co zostało mi w pamięci. Zamiast więc analizy krótki opis.

Najpierw tło. Mniej więcej od roku 1913 buszowały w Polsce różne awangardy. Futuryzm propagował całkiem interesujący Józef Jankowski, autor poematu ,,Spłon lotnika'' (1915 !). Pochodził z Wilna i tam na starość umieszczono go w domu obłąkanych. Wydawnictwa futurystów nazywały się ,,Tram w popszek ulicy'', ,,Nuż w bżuchu'', ,,Ja z prawej strony i ja z lewej strony mojego mopso-żelaznego piecyka'' a nazwiska bohaterskie owego okresu to Bruno Jasieński, Aleksander Wat, Anatol Stern. Był cały ruch ,,Zdroju''. Był też grupujący poetów o nowatorskich skłonnościach ,,Almanach nowej sztuki'' Gackiego. Te próby nie natrafiły na podatny grunt. ,,Oficjalna linia'' poezji została wytyczona przez grupę ,,Skamandra'' i powaga nazwisk Tuwima, Słonimskiego, Lechonia, Wierzyńskiego, Iwaszkiewicza, Pawlikowskiej utrwaliła się powoli, jakkolwiek prawicowe gazety prowadziły przez długi czas kampanię przeciwko ,,żydowskim łobuzom'', a całe prowincje zwarcie endeckie, np. poznańskie, do podobnych bzdur moralnie podejrzanych odnosiły się wrogo. Z drugiej strony prowadziła na ,,Skamandra'' ataki awangarda, co nie przestawała tu i ówdzie pączkować. Że ,,Skamandrytom'' wiele dałoby się zarzucić, że duch jaki chciał płynąć przez ich utwory odznaczał się nonszalancją, obracaniem w kawał albo w fintę słowną, w ładną pointę, spraw godnych przemyślenia, że byli to poeci ,,żywiołowi'' (co nie zawsze jest zaletą) — można to dziś stwierdzić. Wszystko jednak zależy od znalezienia, kiedy się stawia zarzuty, gruntu pod nogami. Tadeusz Peiper, wydawca ,,Zwrotnicy'' — gdzie poza tym drukował Julian Przyboś — zdawał sobie sprawę, że z tą beztroską w Polsce — wyrażającą się w poezji — coś jest nie w porządku, ale prawił o maszyniźmie dwudziestego wieku w kraju zacofanym i gdzie prawił — w Krakowie. Poetyka ,,Skamandra'', ta ,,śpiewankowość'', jak to nazywali awangardowi szydercy, współistniała w czasie z niezwykle śmiałymi próbami wyjścia poza melodię, ku konstrukcji obrazu, robionymi na Zachodzie, ale w Polsce do rewolucji poetyckiej, datującej się

od Baudelaire'a i Rimbauda, zabrakło przed pierwszą wojną danych, nie weszła ona w język — nie było np. w pełni przetrawionych przekładów z tych poetów, co świadczy, że stosunek do nich pozostawał snobistyczny i powierzchowny. W tych warunkach „Skamander" i tak posiadał znamiona rewolucyjne, zwłaszcza przez wprowadzenie wielu wyrazów zaczerpniętych z życia nowoczesnego, czego nie umiała Młoda Polska. Ukazywał się więc jako pierwsza poezja Polski mieszczańskiej, ponieważ wkład końca dziewiętnastego wieku pozostawał w tej dziedzinie wątpliwy.

Jest coś zadziwiającego w uporze z jakim powraca ta przeciwstawność : „Skamander" — awangarda ile razy się dyskutuje o poezji Dwudziestolecia. Spór był oparty przeważnie na komedii pomyłek, warto więc byłoby złożyć go do lamusa, tym bardziej, że kogo zaliczyć do owej awangardy nie wiadomo. Jednak papierowe potyczki kryły w sobie pewne głębsze konflikty i dlatego są interesujące. Ostatecznie potomność ma niejakie prawo zrozumieć do czego odnosiły się kpiny poety Światopełka Karpińskiego, który opisywał rozmowy w kawiarni dwóch awangardystów : Rzeczycy i Przeczycy :

I na to Rzeczyca wymienia Peipera
A wtedy Przeczyca z zachwytu umiera.

Czy w tym dwuwierszu, który wyszedł (czy nie mylę się ?) spod pióra Tuwima :

Szkoda papieru i atramentu
Tudzież Peiperu i Putramentu.

Konflikty karmiły się różnością typów ludzkich. Wyobraźmy sobie nieśmiałego, trochę jąkającego się młodzieńca, który zdradza silne skłonności do wałkowania przeróżnych pryncypiów — systematycznie, zaciekle i nudnie. Młodzieniec jest prowincjałem. Natyka się na pisma czy osoby poetów, którzy wybuchają śmiechem na widok jego zasadniczości i tępią go przy pomocy dowcipów, stanowiących dowód ich obycia w wielkim świecie. Oto gotowa podstawa do uraz.

Ostrożnie jednak. Nieśmiały a zaciekły intelektualista jest w dwudziestym wieku wielką potęgą. Jak jego w tej Polsce dwudziestolecia zaklasyfikować ? Bardzo trudno. Wiek ? Przynależność do zubożałej nad miarę inteligencji pracującej ? Formułki się łamią. Wystarczy stwierdzić, że istniał. I był jednak zadatkiem jakiejś Polski innej. A nieprzychylna mu atmosfera literackiej Warszawy, „małego Paryża", trąciła prowincją bardziej nawet niż Lubliny, Krakowy i Wilna, gdzie się gnieździł.

Nie mówię tu o polityce. Zachodziły różne dziwaczne sprzężenia. Awangardowość i lewicowość szły przez długi czas razem, potem zaczęły się rozchodzić, żeby wreszcie za okupacji niemieckiej zaciekli młodzi (zabrakło już tonu Warszawki) wielbili

Przybosia, zarazem żywiąc sympatię głównie do Narodowych Sił Zbrojnych. Ale te fluktuacje w tej chwili mniej nas obchodzą, narastała potrzeba pryncypialności, ów młodzieniec, na którąkolwiek stronę go rzuciło, niezbyt życzliwie odnosił się do autorów, którzy wkroczyli w literaturę pod znakiem ,,życia'' i niechęci do ,,rozwiązań''.

Co do poetów ,,Skamandra'' jako ludzi : niejeden z mego pokolenia miał okazję przekonać się, że nie byli oni zdolni do dysputy, że ograniczali się do anegdot, żarcików, wspomnień itd. (bo ostatecznie dyskusja jest śmieszna i dowodzi złego wychowania). Każdego, kto ich męczył rozumowaniem, obdarzali epitetem durnia, grafomana czy nudziarza i rzecz była załatwiona. Nawet o najskłonniejszym do wysłuchiwania zasadniczych żalów, Iwaszkiewiczu, napisało pismo awangardy : ,,Iwaszkiewicz ma londyn w głowie'' (że niby taka mgła).

Obraz tła może się obejść bez rozdzielania laurów. Oczywiście, że legenda jakoby historia międzywojennej poezji ograniczała się do ,,Skamandra'' z przyległościami, należy do przeszłości. Posługując się przykładem z malarstwa, można by określić sytuację tak : w kraju, gdzie malowano ,,jak żywe'' obrazki z natury (niestety nieżywe) albo symboliczne sceny, znalazły się talenty, które usiłowały wprowadzić prawdziwe malarstwo, jednak w momencie, kiedy już wszędzie mnożyły się ,,programy'' (futurystyczne, kubistyczne, sztuki społecznej itd.) wymierzone właśnie przeciwko praktykowanemu przez nich malarstwu. Co nie przesądza jeszcze nic o realizacji i ilości bezwartościowych prób po jednej i po drugiej stronie.

Powiedziałem ,,programy'' — to nie jest zupełnie dokładne. Ściślej byłoby mówić o wysiłkach uzasadnienia jakiejś sztuki, która tworzyła się poza uzasadnieniami, o wysiłkach zrozumienia ku czemu się zmierza — podczas gdy program poetów ,,Skamandra'' polegał na wstręcie do programów i nawet obrażało ich, jeżeli ktoś ich łączył w jedną grupę czy szkołę.

Krytyk Ludwik Fryde, który rozpoczął swoją działalność w ostatnich latach przed wojną, był przykładem jąkającego się, bladego młodzieńca, wyjątkowo zresztą bladego, bo miesiącami żywił się tylko śledziem i herbatą. Swojego dzieła o klasycyzmie Mickiewicza nie zdążył napisać z powodu człowieka o na zawsze nieznanym nazwisku, który go zadenuncjował jako Żyda w 1941 czy 1942 roku w jakimś dworku pod Lidą. Otóż Fryde, który przyjaźnił się z Czechowiczem i razem z nim założył na rok przed wybuchem wojny kwartalnik ,,Pióro'' (wyszły dwa numery, nakład drugiego zresztą się spalił), próbował określić w tym piśmie cechy pewnej (bo jak się rzekło, było ich wiele) awangardy, za punkt wyjścia biorąc książki Czechowicza, Świrszczyńskiej, Piętaka, Miłosza, Zagórskiego, Rymkiewicza. Jeżeli nie całkowicie można się z nim zgodzić, to zwróćmy uwagę na upór, wolę nazwania.

Oddaję więc głos Frydemu :

,,Jakie są najogólniejsze wspólne rysy tych książek? N e-

g a t y w n i e łączy je wyraźna odrębność w stosunku do liryki Młodej Polski i ,,Skamandra''. Nie tworzy w nich bowiem dominanty estetycznej kasprowiczowska żarliwość uczuć, potężnych i patetycznych w ,,Hymnach'', łagodnych i przyciszonych w ,,Księdze Ubogich''; wzruszenie liryczne występuje tutaj jedynie jako punkt wyjścia — ostatecznym celem jest e m o cj a e s t e t y c z n a, czyste przeżycie poetyckie. Nie ma też na ogół u wymienionych poetów retorycznej deklamacji, t u p o t u s ł ó w - r z e c z y jak u Lechonia, Tuwima, Wierzyńskiego. W nowym stylu akcent pada na *treść znaczeniową wyrazów*, słowo jest tu *nie tyle rzeczą ile znakiem*, wskazującym jednakże na inną rzeczywistość niż zespół pojęć i wyobrażeń, zawartych w systemie języka praktycznego. W konsekwencji inną funkcję niż u Skamandrytów pełni u młodych poetów struktura rytmiczna; rytm nie służy tu do zacierania znaczenia, podkreślania nastrojowości czy witalistycznej soczystości, lecz przeciwnie : zaostrza i precyzuje poetycko znaczenie i wyobrażenia, *jest jeszcze jedną metaforą''* (podkreślenia Frydego).

Może najtrafniejsze tutaj jest stwierdzenie, że słowo może wskazywać ,,inną rzeczywistość niż zespół pojęć i wyobrażeń, zawartych w systemie języka praktycznego''. To otwiera perspektywę na rozwój poezji w Polsce po drugiej wojnie światowej. Cały wysiłek tak zwanych czynników zmierzał do wykrycia odstępstw od ,,języka praktycznego'', do tępienia ,,innej rzeczywistości''. Nie chcę bynajmniej twierdzić, że wśród samych poetów nie istniała potrzeba uproszczenia mowy tak, aby stała się zdolna udźwignąć pewną intelektualną treść, do czego dużą przeszkodą było rozchwianie, mgiełkowatość, częste zwłaszcza u naśladowców Czechowicza. Sam należałem do tych, którzy o taką nową mowę walczyli. Jednakże poeci chcieli czegoś innego niż biurokraci : struktury logicznej, która by nie przekształcała się w retorykę, czyli jakby dalszego ciągu awangardy, wyciągnięcia z niej wniosków i usunięcia błędów. I dzisiaj co jeszcze z poezji się ocala zawdzięcza wigor oporowi wobec oficjalnego klasycyzmu, którego przykładów dostarcza zarówno wiersz jak architektura.

Przejdźmy jednak do Czechowicza. Grupując cechy jego wiersza w punkty, nie oddaję się pedanterii, tak jest po prostu łatwiej uniknąć tej esseistyki, w której nie wiadomo gdzie głowa a gdzie ogon.

1. *Tradycja.* Czechowicz, tak jak Garcia Lorca w Hiszpanii, odgadł sekret : że awangardowość importowana nie prowadzi do niczego. Chciał rozluźnić budowę zdania, zwolnić słowa do innych niż potocznie używane związków, ale nie przeciw duchowi języka. Cenił przede wszystkim pieśń ludową i lirykę mieszczańską, a więc Zimorowicza, Szymonowicza i te liczne anonimowe wiersze taneczne XVII wieku, jakie dochowały się do naszych czasów. Z nowszych — Lenartowicza (bardzo podobne tym niepowierzchownym podobieństwem są ich wiersze

o wsi) i przekłady Porębowicza poezji ludowej innych narodów (nie wiem natomiast czy znał znakomity tom przekładów trubadurów prowansalskich, który miał tylko jedno wydanie w XIX wieku). Warto tutaj też jeszcze raz przypomnieć, że pierwszą jego opublikowaną pracą była rozprawa o balladzie „Lilie", a więc też o poezji ludowej w pewnym sensie. Jeżeli do tego dodać, że z obcych najbliższym był mu William Blake, otrzymamy już zupełnie szczególne nowatorstwo, w niczym nie przypominające kultu maszyny i urbanizmu u niektórych jego rówieśników.

2. *Elementy ruskie.* Lubelszczyzna jest, jak wiadomo, kresami polskiego etnicznego obszaru. Pociąg Czechowicza do polskich poetów Rusi Czerwonej miał zapewne również językowe przyczyny. Był to pociąg do jakiejś pra-słowiańszczyzny w mowie. Myślę tutaj nie o nowoczesnych językach wschodnio-słowiańskich, ale o tych kronikach i dokumentach W. Księstwa Litewskiego, które czytającemu dają dziwne uczucie swojskości : ani polski, ani ukraiński, ani białoruski, ani rosyjski, coś bliżej samego rdzenia ich wszystkich. Poetą, który odznaczał się szczególną wrażliwością na te rzeczy, był Tuwim, choć głównie poprzez swój kult dla rosyjskiego, dla jego dźwięku i rytmicznej siły. Wydaje mi się, że pra-słowiańskość, jeżeli próbować ją ująć intuicyjnie, jest raczej szepcząca i szeleszcząca, wcale nie staccato i ta właśnie nęciła Czechowicza. Dobierał wyrazy, które brzmiałyby czysto, to znaczy które miałyby swoją dawność, siedziały w gwarach ludowych. Nie kierował się w tym zresztą chęcią, żeby być bardziej zrozumiałym, lubił po prostu. Nawiasem zauważę, że np. poezja amerykańska połowy XX wieku jest, z wyjątkiem paru poetów murzyńskich, przeważnie niedostępna dla przeciętnego Amerykanina, nie tylko przez swoją awangardowość, również przez swój żargon „inteligentny", który wyszydzałem u swoich amerykańskich znajomych; pełno w nim zapożyczeń z nowoczesnej francuszczyzny czy pozostałości z greki („acme", „epitomize" itd.). W Polsce w omawianym okresie „inteligentność" szalała w krytyce i zwłaszcza w „Wiadomościach Literackich", będąc uczniem wileńskiego gimnazjum, że świętym podziwem i szacunkiem odkrywałem jacy oni wszyscy są mądrzy, jeżeli nic nie rozumiem.

3. *Bezbronność.* Polska czyli jej wieś i małe miasteczko to nie było nic wesołego i nie zmieni się to chyba w ciągu najbliższych paru dziesiątków lat. Koślawe wózki, kobiety z bosymi stopami rozplaskanymi na twardziźnie ścieżek, melancholijne kury na kupach nawozu, jakaś otępiałość bytowania nie życia, szczególnie dotkliwa, jeżeli porównywało się ją z sadami i ogródkami krajów bałtyckich czy Czechosłowacji. Wrażenie nędzy (nie troszczę się tu o statystyki, ale tak na oko) potęgowało się w miarę zbliżania się do Warszawy i nawet przybysz z niebogatej Wileńszczyzny popadał na mazowieckiej równinie w przygnębienie. A w Warszawie w Belwederze siedział Piłsudski i martwił

się. Tragedia tego człowieka nie została dotychczas przez nikogo opowiedziana, bo trzeba by ustalić, co pojmował ze spraw, których nie pojmowali jego poplecznicy. Miał kiedyś powiedzieć: ,,Próbowałem zatrzymać na chwilę koło historii'' — nie robię żadnych domysłów, co to mogło znaczyć i powtarzam to na odpowiedzialność nieżyjącego historyka literatury Antoniego Potockiego, jednego z ,,zawodowych paryżan''. Za tę całą senną nędzę Piłsudski był odpowiedzialny, uwikłany we władzę, z której nie wynikało nic. Odpowiedzialny również za poezję Czechowicza, który, chociaż daleki od zamiarów ,,wyrażania ludu'', wyrażał jakoś ogólną atmosferę, jak każdy prawdziwy poeta. Bezbronne piękno — oto jego wiersze. Piękno? Tak, bo umiał je zobaczyć, tę sielskość kraju ,,gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie''. Nie poryw, nie wola czynu, nie rewolucyjne dążności niektórych ugrupowań chłopskich — w jednym ze swoich młodzieńczych utworów tęskni do czasu ,,w którym ludu karabinem będę z wiosną'', ale to należy raczej do wyjątków. Świadomy, że owo polskie bytowanie trwać nie będzie, że jest kruche i skazane przez wzrost walczących ze sobą potęg, przeczuwający swoją śmierć w wojnie której wizja ciągle się w tym, co pisze, powtarza, jest zepchnięty jak wszyscy, co nie chcą ani Niemiec ani Rosji, w bezruch. Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu w 1929 roku (byłem na niej z wycieczką naszego gimnazjum) położyła ostatni akcent na optymiźmie w pierwszym dziesiątku lat po pierwszej wojnie światowej i odtąd — również w poezji — zaczęło się trwożne oczekiwanie jakiegoś wypełnienia.

Pomiędzy samowiedzą, która nie mogła odwrócić losu, a czystą sztuką, która wyrzekając się związku z ludźmi, zubożała siebie, jaki wybór? Czechowicz tak ujmował ten dylemat, który dzisiaj w całym szeregu krajów zachował pełną aktualność:

,,W naszych czasach szala wagi obciążona sumieniem pochyla się na dół, zaś ku światłu dziennemu unosi się raczej szala artystycznej czystości źródlanej. Może dlatego, że sumienie nasze zagłusza nawałnica spraw państwa współczesnego, które im bardziej się krystalizuje i umacnia, tym dalej odsuwa się od civitas dei świętego Augustyna. I zbieg okoliczności, zestawiający w czasie ową walkę o czystość sztuki z okresem powszechnego upadku sumienia w najprostszym chrześcijańskim sensie tego słowa, stwarza sytuację tragiczną: albo jedna walka, albo druga. Dla artysty nie ma drogi pośredniej, bo pośrednia to tyle samo co poślednia. Więc dając prymat sprawom sumienia, sprzeniewierzamy się sztuce, a właśnie jest czas, kiedy można wywalczyć jej autonomiczne prawa; dając siebie samego sztuce czystej, obniża się ją o całe sumienie''.

4. *Miniaturowość.* Nie chcę bynajmniej pasować Czechowicza na wieszcza. Był to poeta minor, zdający sobie sprawę ze swoich ograniczeń. ,,Gromu białego nie mieć, a chmurę mieć'' napisał o sobie. Gustował w epoce polskiego Baroku i kiedy recytował Lenartowicza: ,,Złotniczeńku, zrób mi kubek, tylko proszę,

zrób mi ładnie", kubek jaki sam rzeźbił, był to kubek barokowy. Nie silił się na wielkie poematy, bo wiedział, że forma jaką rozporządzał — i jaką rozporządzały miejsce i czas — nie jest po temu. Co prawda ubolewał nad wąskością kręgu, w jakim musiał się poruszać i próbował go przełamać — ciągnęło go do teatru. W ostatnich latach przed wybuchem wojny pracował nad dramatami poetyckimi i ich zbiór, do którego dał tytuł jeden z nich : ,,Czasu jutrzennego", miał się ukazać w 1938 roku, ale odwlekało się i nie ukazał się nigdy. Sztuka ,,Czasu jutrzennego" została wystawiona przez jeden z warszawskich teatrów na wiosnę 1939 roku. Dyrektor tego teatru bał się niemiłego politycznie zapachu, bo temat wojenny (grupa żołnierzy na froncie) a nie potraktowany w bohatersko-patriotyczny sposób, więc, żeby nie oskarżono go o defetyzm, wynalazł sposób : zamiast w hełmy ubrał żołnierzy w maciejówki — że to niby Legioniści z 1914 roku a więc i o przeszłości i pro-rządowo. Czechowicz bardzo się tym zgryzł. Recenzenci zbryzgali ten, właściwie, poemat dramatyczny, którego główną treścią było przeczucie śmierci u młodego chłopca. W redakcjach panował wtedy klimat krzepy. Utwory teatralne czy pseudo-teatralne, względnie ich fragmenty, Czechowicz drukował w ,,Pionie". Ich badanie zostawiam innym.

5. *Religijność.* Jakkolwiek niepraktykujący, Czechowicz był głęboko wrośnięty w tradycję chrześcijańską. Rzekło się, że cenił Williama Blake'a z jego odwrotną niż w teologii walką Niebios i Piekieł (także jego rysunki). Miał temperament mistyczny, sztukę ujmował jako zbliżanie się do Dziwu. Czytywał powieści Micińskiego (,,Bazylissa Teofanu", ,,Patiomkin"), z sympatią odnosił się do Swedenborga i Jakuba Boehme, zgłębiał Norwida od jego kontemplacyjnej strony. Dziwo czy Dziw, którego poszukiwał przebywało na krawędzi jawy i snu, rzeczywistości i fantazji ludowej. Oczywiście nie silę się tu pokazać jak skomplikowane są myśli i uczucia nowoczesnego człowieka o skłonnościach religijnych. Może najsłuszniej byłoby określić Czechowicza jako bliskiego Arianom przez wyobraźnię chrześcijańską, wstręt do przelewu krwi, niechęć do państwa i wszelkiej władzy — takim był przecie Marcin Czechowic, żarliwy wróg ,,urzędu miecz sprawującego". Gdyż igranie z ,,cudownością" nie powinno nam przesłaniać innego, bardziej ukrytego nurtu u Czechowicza-poety, który w naukowych teoriach widział pewną względność i starał się dotrzeć do stałej jakiejś zasady poza nią. Rzeczywistość mitologizował, nie mogąc jej zaatakować bezpośrednio szukał dla niej w przeszłości figur i symboli. Pierwszy w Polsce odkrył T. S. Eliota (poza profesorem Wacławem Borowym), czytał jego pismo ,,Criterion" i przełożył kilka jego wierszy, właśnie tych, gdzie obrazy z Ewangelii splatają się z aktualnością (np. ,,Wędrówka trzechkrólowa"). Rozpowszechniony jest pogląd, że poeci to organizmy szczególnie wrażliwe na przyszłość, że wyczuwają to, na co ślepi są jeszcze inni. Ta opinia wydaje się słuszna. Jednak jest chyba

również w poetach mocniejsza niż w innych pamięć setek tysięcy lat życia przed powstaniem tego, co nazywa się cywilizacją. Społeczeństwom pierwotnym właściwe jest zupełne zatarcie granicy między rzeczywistością subiektywną i obiektywną, a raczej wszystko jest tam subiektywne i w ramach danego układu wiara magiczna wywołuje materialne skutki (jeżeli szczep wierzy, że ktokolwiek dotknie tabu — umrze, członek szczepu, który dotyka tabu, umiera rzeczywiście). Można przypuścić, że poeci są to osobniki i przyszłościowe i regresywne, nigdy w pełni nie pogodzone ze światem obiektywnych praw i rzeczy — co nie wróżyłyby im ani szczęścia, ani nawet istnienia w obecnych czy też już dojrzewających warunkach. Czechowicz jest zapewne jednym z ostatnich poetów polskich, w każdym razie na długo.

KILKA JEGO WIERSZY

Zakładam, że zapoznać się z twórczością Czechowicza nie jest dzisiaj łatwo i dlatego przytaczam kilka jego wierszy, aby postać lepiej się ukazała. Osobliwość formy polega między innymi na tym, że nie uznawał dużych liter i przecinków — nie kaprys z jego strony, ale chęć, aby uniknąć dzielenia zespołów słownych według prawideł „języka praktycznego”. Uważam tę jego chęć za uzasadnioną, bo zdania mają u niego otoczkę wyrazów puszczonych luźno, ustawionych według innej niż logiczna konieczności. Zacznijmy od dwóch wierszy wiejskich.

PRZEZ KRESY

monotonnie koń głowę unosi
grzywa spływa raz po raz rytmem
koła koła
zioła

terkocze senne półżycie
drożyną leśną łąkową
dołem dołem
polem

nad wieczorem o rżyska zawadza
księżyc ciemny czerwony
wołam
złoty kołacz

nic nie ma nawet snu tylko kół skrzyp
mgława noc jawa rozlewna
wołam kołacz złoty
wołam koła dołem polem kołacz złoty

SEN SIELSKI

Od powały nocy co zwisa
Przez szum jaskrów i bylic
byłby bulgot deszczu jak zmora parskał
lecz znane są słowa zaklęć siarka
zwełnienie grzyw kobylich

Chodziła Maria Panna między gwiazdami
chłodziła Maria Panna dusz cierpiących upalenie
a ja w gromie stoję północy się boję
po co wam przebywać ze śpiącymi i ze snami
nie męczcie odfruńcie dokąd chcecie
kruki wilcy niedźwiedziowie jelenie
amen

O ciemności tak czysta teraz
błysnął nad gankiem twój srebrny grzebień
ta cicha mowa w rowie
to lepiech
ogłasza wodną spowiedź
gwiazdy maryjne palcami przebiera

a nam jak mówić gdy za szybą sad
i dalej ule grzędy kopru marchwi

oczyść nas ktokolwiek jesteś wszędzie
odfruńcie od nas dzieła ludzkie i zwierzęce
po to klęczymy
leżąc na słomie jak martwi
od niezliczonych lat

Teraz dwa wiersze z Warszawy. W drugim z nich występuje matka, często wspominana przez Czechowicza w wierszach i w rozmowie. Ta prosta spracowana kobieta to była jego wielka miłość. Cała jego ,,dziecinność'' w niej znajdowała wsparcie. Jej stratę na parę lat przed wojną odczuł boleśnie. Nieuczona, odgadywała lepiej niż inni jego ,,łzy gniewu''.

TA CHWILA

ręko smagła otwórz okno dnia z podwórka utocz
i nalało się jak w dzbanek soku godzin zimnych
oddech gęstwin równomierny deszczu tupot
przyśpiew rynny

to jest w kuchni dom na pradze niedaleko remiz
tramwajami co za czerwień ulice się dławią
a zły odblask bije zorzą po kamieniach
i deszcz i deszcz i deszcz i deszcz i deszcz

oczy patrzcie senna topiel szyby w siwym dreszczu
tęczy szabla kropel magia chmur ciężkie delfiny
upadają na twarz ziemi cieniem wieszczym
srebrnym hymnem
srebrnym hymnem deszcz i deszcz i deszcz i deszcz

NIENAZWANE NIEJASNE

smyczki ze struny na strunę
karabiny z ramienia na ramię
złotej firanki łunę
uśmiech rozpruje
choć tak smutna chorągiew na bramie

chociaż kowal niósł podkowę w ogorzałej ręce
niósł i grzmiało z głębi kuźni mimo pory wczesnej
a tramwaje śpiewne kryły się czym prędzej
za rogiem ulicy gdzie budynki rzeźni

chmura szła i ciemny dym z komina statku
tutaj na powiślu sam nie wiem co gra
kozę prowadzili w starodrzewiu cień
była pstra

liryczne okno to i naprzeciw matko
matko matko matko uśmiechać się chciej
matko czy zgadujesz co wyrażam nawet
łzy gniewu a nieraz pieką gdy nie zasnę

chyba że ty także ulatywać umiesz
słupem wichru wierszem wgórę nad Warszawę
w to co jak północ niejasne

Wreszcie dwa wiersze bardziej ,,treściowe''. Norwida w owym okresie stawiano — istniała w każdym razie ku temu dążność — na równi z trzema wieszczami. Później, po drugiej wojnie światowej, wyznaczono mu miejsce ,,poety mniejszego''. Czechowicz Norwidowi staremu, już umierającemu w przytułku św. Kazimierza, złożył piękny hołd. Podaję tylko fragment. Drugi wiersz należy do całej serii tych, w których Czechowicza nawiedzał duch zbliżającej się grozy.

Z „DOMU ŚWIĘTEGO KAZIMIERZA":

o wszystkie mosty paryża serce się tłukło i tłukło
brooklyn przydeptał ręce spłynęły pasma krwi
notre dame we snach dygotała zbliżała twarz wypukłą
krzyknąć polska zbudzić się powieki smutne odwinąć
mógł sen lat wielu minąć ten także musi minąć
zamknięte drzwi
drzwi

poranek płoty naprzeciw szyn kolejowych plątawisko
dzwon gasnący z kościoła wśród nawałnicy drzew
zakonnic śpiew

płacz dzieci
chyba już wszystko
nie można chwiać się jak tamta sosna pod gwiazdą
palce na piórze zwinięte cierpko cierpiąco
grają niby na flecie naszą syberię nasz dom
gonią przed oczy śniadą pól naszych gorącość

kraju bliski tak bliski że całujesz
setką ludzi ty chodzisz od skroni do skroni
bocianich gniazd żałujesz
i chleba kruszyny nie ronisz
kraju

fabryki ciepło ryczą do pracy łzę płoszą zaranną
nie można chwiać się jak sosna pod gwiazdą źródlaną

naród czeka i nie wie
stoi w adama głosie
sypia w juliusza śpiewie

NIC WIĘCEJ

niepokój z ognia
siwobiały wodospad
rozwiane włosy matki
gdy je czesze rozcięły na pół

smutek wlatuje przez okna
dośnić dospać
dosięgnąć katedr ostatnim
obrotem kół

jak tło mozajki spękana
ręka na trzonie łopaty
moja może być zbrodnia
i dobry dar
janku joanno anna
szepcze jesienny badyl
skądże to w oczach wilgotnych
rudy żar

tak naznaczyło mnie signum
tonąc widzę w odmęcie
widzę kto dni me ciosa
z bólu i cyfr

niczego nie rozstrzygną
słupy płomienne w rzędzie
kładą się
jest kosa
będzie wichr

POLITYKA

Kiedy mówi się o powiązaniach politycznych jakiegoś pisarza, nie wolno przedstawiać ich abstrakcyjnie, zapominając o prostej, może brutalnej prawdzie : że rozstrzyga o nich dostęp do pism, w których drukuje swoje utwory. Te pisma opierają się na inwestycji pieniędzy a pieniądz to polityka — choć nie zawsze polityka partii czy rządu. Prywatna myśl pisarza ulega zaszeregowaniu przez potomnych na tej podstawie i dopiero wygasanie namiętności, jakie budzi doraźna polityczna walka, pozwala odkryć w jakim stopniu pozostał sobą, a w jakim stopniu podporządkował się celom ruchu, partii czy grupy.

Baza czytelnicza w Polsce ówczesnej była wąska. W dziewiętnastym wieku prenumeratorów pism literackich dostarczały głównie dwory, ale w większości bibliotek dworskich, jak to obserwowałem z zainteresowaniem, rok 1914 stanowił datę, kiedy urwał się dopływ nowych publikacji i w Dwudziestoleciu tak zwane ziemiaństwo przeżywało już na ogół zmierzch intelektualny. Nowi czytelnicy rekrutowali się przeważnie z inteligencji pochodzenia żydowskiego (lekarze, prawnicy, dentyści itp.). Dopiero w drugim dziesiątku lat zaczęła się tworzyć inna grupa odbiorców ,,wartości kulturalnych'' — młoda inteligencja nie-żydowska, orientująca się politycznie na skrajny nacjonalizm i faszyzm. Ten obraz może się wydać bardzo uproszczony, ale potwierdzają go w ogólnych zarysach rodzaje wydawnictw periodycznych i listy ich prenumeratorów.

Na próżno próbowałem dotychczas znaleźć opracowania dotyczące nakładów książek i pism w dawnej Polsce — a przecie

ważne byłoby dowiedzieć się ilu czytelników miał np. „Konrad Wallenrod". Co do Dwudziestolecia, to wyrafinowane „Ateneum" Napierskiego osiągnęło cyfrę pięciuset prenumeratorów, a biorące publiczność pod włos „Wiadomości Literackie" biły, jak przypuszczam, około 8.000 egzemplarzy dobiegając w momentach najwyższego powodzenia w okolicę 12.000.

W moim gimnazjum, kształcącym różnych Żagiellów, Bołbotów, Jurahów, Woynów, Murza-Murziczów, Blinstrubów — spisy jego uczniów brzmiały jak stara litewska kronika — znałem tylko jednego kolegę, który „Wiadomości Literackie" czytywał. Ale kim byli jego rodzice, że prenumerowali to pismo? Ojciec Słonia, adwokat, dawny działacz Socjaldemokracji Kr. Polskiego i Litwy, matka lekarka, Żydówka, z przeszłością rewolucyjną. Pismo uchodziło za liberalne. Natomiast rodziny różnych zdetronizowanych kniaziów i władyków nie troszczyły się o takie nowalijki. Zresztą dla naszych nauczycieli literatura polska kończyła się na Kasprowiczu i Wyspiańskim.

„Wiadomości Literackie" ze „Skamandrem", wydawanymi od czasu do czasu numerami „Pologne Littéraire" i „Przyjacielem Psa" miały swoją politykę, nie zmierzającą wcale do zdobywania dla kogoś władzy i popierania jakiejś partii. Trzy czynniki, jak sądzę, na nią wpływały. Pierwszy streściłbym pytaniem: „Dlaczego u nas nie jest jak za granicą?". Bo za granicą i tolerancja i swoboda obyczajów i lekkość piór i antyklerykalizm i zrozumienie artystycznych nowin. Pisarze „Wiadomości" wstępowali na arenę pod znakiem pewnego obrazoburstwa, protestu przeciwko patriotyczno-męczeńsko-patetycznemu frazesowi, który pozostał po rozbiorach. Młody Lechoń przecie pisał: „A wiosną niechaj wiosnę nie Polskę zobaczę".

Drugim czynnikiem był opór całej właśnie hurra-patriotycznej klerykalnej opinii, tej właśnie która jeszcze uznawała Kasprowicza. Na stancji w Wilnie mieszkałem przez jeden rok szkolny u państwa Biszewskich. Ona pod samowarem mówiła do wszystkich: „Dietyńka moj", a on czytał „Gazetę Poranną", organ skrajnie endecki. Dzięki temu zapoznałem się z artykułami niejakiego Stanisława Pieńkowskiego, wymierzonymi przeciwko „Wiadomościom Literackim", tudzież Żydom i masonom w ogóle. Był to jegomość niewątpliwie obłąkany, co nie przeszkadzało mu mieć gorliwych admiratorów. Te i temu podobne napaści, niezbyt skomplikowane, bo polegające przeważnie na potokach wyzwisk, popychały zaatakowanych do zjadliwych i niszczących przeciwnika kpin albo do lawirowania tak, żeby owego „Ciemnogrodu" zbytnio nie rozdrażnić.

Trzeci i najważniejszy czynnik to publiczność. O nią chodziło, na niej opierał się byt pisma. Inteligent, o którego zdobycie zabiegano, zwracał ku zagranicy oczy pełne tęsknoty. Zwłaszcza jeżeli był to inteligent żydowski, w którym trwał mit zachodniego Oświecenia i bardziej już praktyczna czułość do krajów, gdzie nie dawano by mu odczuć, że jest Żydem. „Wiadomości Literackie" dostarczały mu upragnionego kontaktu z zagranicą,

co prawda trochę dziesiątą wodę po kisielu. Ale cenne jest złudzenie, że to zupełnie jak w Paryżu, że ów jest ,,polskim Gide'm'' a ów ,,Polskim Anatolem France''. Klientela pisma zresztą zmieniała się w okresie jego istnienia, to jest 1924-1939 i od tego zależały fluktuacje polityki redakcji.

,,Wiadomości Literackie'' zrośnięte były z zakątkiem Warszawy, gdzie mieściły się literackie kawiarnie — jednym z zakątków, gdzie musi być gęsto od cieni umarłych — policzmy publiczność przychodzącą tam kiedyś na małą czarną i młodych ludzi, którzy padli w czasie straszliwych walk, jakie tam właśnie się toczyły w 1944 roku. W kawiarni ustalano ,,notowania giełdowe'' nazwisk pisarzy (ten dobry, ten zepsuł się, ten idiota) i pismo, stosownie do tego jaki zapach unosił się dokoła autora, udzielało mu zaszczytnego miejsca, drukowało w kąciku, albo nie drukowało wcale.

Zgromadziwszy ekipę błyszczących nazwisk (jak Boy-Żeleński, Słonimski) pismo zdawało się przestrzegać zasady, by materiał był żywy i sensacyjny, poświęcając pewne tylko kolumny ,,inteligentnym'' wymądrzaniom się o ekspresjonizmie, impresjonizmie, rimbaudyzmie itp. Do rozważań zasadniczych odnosiło się niechętnie (,,nuda''). Wyczuciu zainteresowań czytelnika trzeba zapewne przypisać fakt, że poświęcano sporo uwagi literaturze sowieckiej (książki sowieckich autorów były w Polsce chętnie wydawane i czytane) i że w okresie kryzysu, kiedy chłop dzielił zapałkę na czworo, a inteligent zaciskał pasa, rozpętało kampanię ,,świadomego macierzyństwa'' przekształcając się w rodzaj ,,wiadomości seksualnych''.

Skłonności monopolityczne są bardzo ludzkie i stwierdziwszy, że wydaje jedyne pismo literackie w kraju, redakcja życzliwie, jak można wnioskować, oceniała użyteczność hasła : ,,kto nie z nami ten przeciwko nam'', tępiąc tych, co zdradzali brak szacunku, werbując cokolwiek z talentów nadawało się do spożycia. ,,Wiadomości Literackie'' pozostają imponującym przykładem udanej ,,free enterprise'' w dziedzinie kultury — co w Polsce nigdy nie było łatwe — choć sądzę, że ,,Kłosy'', ,,Biesiada Literacka'', ,,Bluszcz'' i ,,Tygodnik Ilustrowany' za rozbiorów też wychodziły jakoś na swoim.

Drugim pokaźnym tygodnikiem literackim, też z dążnością do przekształcenia się w koncern było (ale dopiero w latach bliższych wybuchu drugiej wojny) ,,Prosto z mostu'', które wyłoniło się z rubryki literackiej dziennika ,,ABC''. Powstało ono, jak to zwykle się zdarza, dzięki woli jednego człowieka, Stanisława Piaseckiego, a wyrażały się na jego stronicach potrzeby i pasje. Potrzeby : nawet bez wyjątkowej przenikliwości umysłu spostrzegało się wtedy, że ,,oświecenie'' i liberalizm ofiarowywane czytelnikom przez ,,Wiadomości'' wyglądały jakoś żałośnie i kulawo, że stosunek do tradycji narodu i do problemów współczesnych pozostawał dziwnie płytki.

Młodzi chcieli coś zrobić z Polską, a nie żeby im migano Francją i Anglią, jak tam ładnie i miło. Co prawda, jak do tego

się zabrać, nie wiedzieli, wiedzieli tylko, że trzeba kogoś wziąć za mordę i przeprowadzić „rewolucję narodową". Tylko kogo wziąć? Biło się Żydów i to dostarczało pewnych doraźnych satysfakcji. Ale w myśleniu, w kulturze trzeba było nadać tym dążnościom wyższy fason. Piasecki, w przeciwieństwie do wielu prawicowych przywódców tego stulecia, których porażki tłumaczy w dużym stopniu ich lekceważenie albo wręcz nienawiść do intelektualistów, rozumiał, że przy odrobinie starań łatwo jest zebrać ekipę pisarzy, spragnionych jakiegokolwiek dynamizmu i że taka ekipa jest *conditio sine qua non* nowego ruchu.

Pasjom politycznym dawały wyraz na łamach pisma dość dobre pióra. Więc i Mussolini i rasa i św. Tomasz z Akwinu i różne spory o państwo autokratyczne i rdzenna polskość. Bez ironii wspominam, że totaliści polscy zawsze potrzebują paru Żydów, żeby im dodawali ognia — wiadomo, że Piasecki był — jeżeli już ich rasa interesowała — pół na pół. Ostatni raz go widziałem w 1940 roku w Warszawie na krótko przed jego aresztowaniem za wydawnictwo podziemne. W momencie wybuchu wojny „Prosto z mostu" wywierało wpływ bez porównania większy niż „Wiadomości", nie znam cyfry nakładu, ale bodaj była podwójna. Jeżeli chodzi o ślad w umysłach, to weźmy pod uwagę, że większość klienteli „Wiadomości" — ci liberałowie żydowscy z małych miasteczek — zginęła, natomiast młodzież podziemia, ta która w 1939 roku chodziła jeszcze do szkoły, należała do najgorliwszych wychowanków i „Prosto z mostu" i pism pokrewnych.

Te dwie imprezy czy koncerny naprawdę się liczyły, jeżeli chodziło o lansowanie nowych nazwisk i ustalanie literackiej hierarchii. Poza nimi istniało mnóstwo prób — od czysto kapliczkowych poetyckich wydawnictw począwszy aż po sferę polityki, gdzie pisanie służyło albo wyłącznie jako środek, albo ozdoba. Jestem pewien, że młodzi poloniści w dzisiejszej Polsce z trudnością już tylko chwytają tę strukturę przedwojenną, opartą na niesłychanym zróżniczkowaniu odbiorców. Cały szereg szczebli: mnóstwo autorów pracowało dla „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" i innych gazet, dla „Tęczy", dla „Asa", dla „Tajnego Detektywa" itp. i na ogół nie notowano ich na giełdzie walorów. Zasadnicza cecha struktury polegała też na dystansie pomiędzy pracownią badacza i prasą. Wyniki poważnych studiów w dziedzinie historii i historii literatury publikowano w wydawnictwach specjalnych i długo teraz, kiedy właściwie wszystko stało się publicystyką i kiedy robi się szum dokoła „osiągnięć", to dziedzictwo pozostanie w Polsce podstawą wiedzy. Nie te pracownie nas jednak interesują. Interesuje nas kiosk z pismami czy periodyki zawieszane na kijach w bibliotece im. Tomasza Zana w Wilnie, gdzie ja, uczeń (jak mnóstwo uczniów na obszarze Rzeczypospolitej) mogłem zapoznawać się z takim czy innym autorem. „Prosto z mostu" jeszcze wtedy nie wychodziło a endecy w pisarstwie przedstawiali się smętnie. Nad młodzieżą piszącą roztaczał opiekę Juliusz Kaden-Bandrowski w swoim

dodatku do pisma ,,Głos Prawdy''. Wpadały mi w ręce kolekcje numerów komunistycznego ,,Miesięcznika Literackiego'', który drukował przeważnie reportaże o losach robotników i chłopów, odsłaniając podszewkę rzeczywistości. Komunistyczne czy sympatyzujące periodyki ukazywały się i gasły w owym dwudziestoleciu napotykając trudności cenzuralne większe czy mniejsze. Ich linia ciągnie się od tego ,,Miesięcznika'' poprzez ,,Lewar'', ,,Poprostu'', ,,Kartę'', ,,Sygnały''.

Wiersze Czechowicza odkryłem z dodatku Kadena-Bandrowskiego i zapamiętałem natychmiast to nazwisko. Spotkanie wymaga komentarza do ówczesnej aury, w której świeżość i rozpęd, a więc radykalizm były jeszcze po stronie piłsudczyków; na czytanie ,,Głosu Prawdy'' źle patrzył nasz prefekt jak i większość nauczycieli. Świadczyło o sympatii dla ,,masonów''. I później na uniwersytecie Stefana Batorego walki toczyły się między endekami i całą resztą, od biedy i w cudzysłowie, ,,pro-sanacyjną'' : endecy, bardzo silni, stanowili główne i najbliższe niebezpieczeństwo.

Nic więc dziwnego, że Czechowicz i inni młodzi pisarze znajdowali jakie takie możliwości druku właśnie w organach prorządowych, które zabarwiały się duchem walczącej opozycji wobec ,,narodu który ich nie chciał''. Inne ujścia były zamknięte. Namaszczające swoje sławy ,,Wiadomości Literackie'' ściągnęły na siebie szybko nienawiść młodego pokolenia gdyż, co tu dużo mówić, liberalna zasada : ,,podamy ci rękę kiedy zbawisz się sam'' nigdy u młodzieży nie wywołuje zachwytu. Ta młodzież pozbawiona oparcia w fortunach rodzinnych (co już się dokonało przed drugą wojną) potrzebuje opieki, co zresztą nie znaczy, że wystarczy jej płacić, aby ją mieć. Daję tu inny aspekt tych pryncypialnych uraz, o których już wspomniałem. Uraza do ,,Wiadomości'' za to, że wszelką awangardę i roztrząsania zaciekłe traktowały jako bzdury albo pomijały ,,grupy peryferyjne'' milczeniem wytworzyła pewien niepisany kodeks : że w ,,Wiadomościach'' nie trzeba drukować (skwysyny nas nie chcą, to obejdziemy się bez nich). To wszystko jest może bardzo śmieszne, ale naprawdę czułem wyrzuty sumienia z powodu kilku swoich wierszy wydrukowanych w ,,Skamandrze''. Czechowicz do endecji i jej odrośli nigdy nie szedł, do komunistów odnosił się sceptycznie, co więc pozostawało jeżeli nie ta tkanka pośrednia, złożona z różnych ,,Głosów Prawdy'' i później ,,Drogi'' czy ,,Pionu''? Zresztą zachował zawsze szczerą sympatię do Piłsudskiego, nie zachowując natomiast żadnych złudzeń co do rządów grupy, którą ten we władzę wyposażył. Bez pociągu do polityki, starał się wybierać mniejsze zło, ,,aby do wiosny''. Nie był wyjątkiem, stanowi przykład uplasowania, z którego jego rówieśnicy i młodsi niekiedy przeskakiwali do komunizmu, w miarę jak różnica pomiędzy rządowością i szturmującą falangą ,,narodowej rewolucji'' zaczęła się zacierać. Przez pewien czas (w 1937 roku jeśli się nie mylę) prowadził ,,Pion'', trzeci tygodnik literacki Dwudziestolecia, o najmniejszym wpływie, zawsze chyba deficy-

towy i zasilany z państwowej kasy. W ,,Pionie'' właśnie roili się młodzi pryncypialiści (między innymi Ludwik Fryde, Herling-Grudziński, Liszański) i prowadzili dysputy na całe strony. Utrwaliło się zdanie, że ,,Pion'' jest nudny i że nie warto go czytać — w istocie był on mieszańcem, skrzyżowaniem cennego periodyku, poświęconego teorii literatury (która już wyłaziła poza uniwersytet), z porcją oficjalnych serwitutów — te kiedy piłsudczycy stracili rozpęd nie obchodziły już nikogo. Redaktorzy zmieniali się.

Może mi ktoś słusznie zarzucić, że pomijam cały ruch lewicowy, ludowców, ,,wiciowców'', i socjalistów różnych odcieni. Nie staram się jednak tutaj dawać obrazu polityki w ogóle, ograniczam się do publikacji, w których intelektualiści znajdowali przytułek. Chociaż pewne bojowe jednostki wyładowywały się w pismach programowych, o czym decydowało mocne związanie z własnym środowiskiem, np. wiejskim, jak u Mariana Czuchnowskiego, nie było organów literackich i krytyczno-literackich o większym zasięgu, które by służyły tym tendencjom. Wyjątek raczej może stanowił Kraków, gdzie ciągle coś kiełkowało. Młodzi, jeżeli nie endecy, byli prawie wszyscy mniej czy bardziej lewicowi, ale po latach kiedy Piłsudski budził nadzieje, zostało coś w rodzaju stopu lewicowości i pół-rządowości, co się tłumaczy tym, że sanacja, bez żadnego jednolitego programu, służyła jako dziura przez którą przeciskano się na widownię publiczną. Sam debiutowałem w piśmie ,,Żagary'', dodatku do ,,Słowa'' Stanisława Mackiewicza i ta nasza grupa, wściekle radykalna, przy organie konserwatywnych ,,Żubrów'', może służyć za przykład tego o czym mówię. Zresztą nie przeczę, że na sposób mego ujęcia wpływa perspektywa wileńska tzn. terenu gdzie brakło ludowego podglebia, bo Wilno, polsko-żydowska wyspa na granicy litewskiego i białoruskiego etnicznego obszaru, nie mogłoby mieć żadnego ludowego radykalnego ruchu, nie opartego o innojęzyczne elementy. Co do Litwinów, to napięcia nacjonalistyczne przesłaniały wszystko, co do Białorusinów, parę ciągle zamykanych i szykanowanych przez administrację ich gimnazjów produkowało bojowców, zapatrzonych w Mińsk, jako jedyny ośrodek, gdzie ich język dostąpił pasowania na ,,język kultury''. Jeżeli jednak w Wilnie odcięcie od podglebia akcentowało się z narodowościowych powodów, gdzie indziej działały w tym samym kierunku inne dane rzeczywistości, głównie ,,przedziałkowość'' — tu chłop, tu robotnik, tu inteligent, bez krążenia krwi w zbiorowym organizmie.

Tak więc ,,sanacyjność Czechowicza'' wynikała z pewnej siły bezwładu czy z braku. Wszystko to razem było dziwaczne. Zaprzyjaźniony z dygnitarzami Tuwim to pisał ,,wiersze o państwie'', w których i głaskał dumę Becka, wymieniając go po nazwisku i przeczył wierze w Państwo z przesłanek metafizycznych, to znów dawał do teatrzyków utwory sławiące Dnieprostroj — cóż za brawa eleganckiej publiczności kiedy piękna aktorka w szarym swetrze komsomołki (z wytwornej wełny) recytowała

coś, gdzie rymowało się szachty i Kiachty i Uchty! Taki czy inny rewolucyjny poeta wyrżnął odę na cześć industrializacji na wschodzie i szedł pić z wojewodami. A Czechowicz, jak najdalszy od komunizmu, w jednym ze swoich ostatnich wierszy opisywał dworzec o czwartej rano, „zarosłe głody człowiecze" co „kaszlą w runo wytartego szalika" i kończył przepowiednią, że przez tę nędzę i krzywdę „runą mury Jerycha", przepowiednią, jak zawsze u niego, zabarwioną metafizycznie i nie odnoszącą się w szczególności do Polski.

HOMOSEKSUALIZM

Bez poruszenia tego tematu nie można oddać barwy ówczesnych literackich środowisk i nie ma sensu bawić się w pruderię. Posiadam, wydaje mi się, warunki, żeby być obiektywnym. Nie należę do tej sekty, miałem natomiast wśród moich przyjaciół homoseksualistów, którzy oczywiście twierdzili że jestem ich, tylko „nieuświadomiony", i fakt, że jakoś się nie uświadomiłem, w niczym nie przeszkadzał naszym szczerym rozmowom. W tych rozmowach na ich gusty patrzyło się nie bez humoru. Aspekt biologiczny czy medyczny pominę, zajmę się natomiast na chwilę dwoma innymi, to jest społecznym i stylu czy mody.

Straszliwy siłacz Apolinary, który przychodził do mego przyjaciela Olka B. jak do siebie do domu, dusił go łapami za gardło i zabierał z szafy garnitury, był robotnikiem z Powiśla. Inny taki adonis, Krucz, handlował na Czerniakowie rowerami i założył potem sklepik warzywny. I właśnie Powiśle, Czerniaków, Ochota, podmiejskie Pruszkowy i Zielonki dostarczały miłośników tego sportu, który miał cały rytuał spotkań, zebrań i kontaktów. „Milieu" porozumiewało się sobie tylko wiadomymi sposobami, w śródmieściu za główne punkty oparcia wybrawszy pissuar na Placu Napoleona i łaźnie miejskie — do łaźni chodziłem czasem z Olkiem B. i dostarczał mi niezłego przedstawienia przez sam sposób zawierania znajomości z różnymi chłopcami. Co najciekawsze w homoseksualizmie, to stapianie się rozmaitych sfer i kręgów społecznych, „międzyklasowość" w stopniu, którego się nigdzie indziej nie spotyka. U owych chłopców z Powiśla i Czerniakowa, kiedy zawierali związki z panami ze śródmieścia, poważną rolę grała też kombinacja materialna. W każdej jednak dżungli społeczeństwa łóżko, jako miejsce największej zażyłości, zahacza o pozycję, dźwiganie się w hierarchii czy pieniądz — gdzież zbiegają się wszystkie nici w Paryżu Balzaka? Dziś też, kiedy ktoś zapyta z czego żyją mieszkańcy Quartier Latin, odpowiedź: „Mężczyźni żyją z kobiet a kobiety z mężczyzn" nie powinna tylko śmieszyć. Choć znikła trotuarowa prostytucja i choć bezpośrednia odpłatność — banknot, pończochy etc. praktykowana jest w granicach podarunku nie warunku, albo wcale, życie trudne finansowo traci swoje ostre kanty dzięki przyjaźniom, wzajemnym pomocom, ułatwieniom,

protekcjom itp., a gdzie są przyjaźnie tam nie zawsze kończy się na czułości duchów. I chyba każde społeczeństwo o nieco dżunglowatym charakterze jak świat światem było takie.

Interesowność więc tych pięknisiów z Powiśla nabierała wyjątkowego posmaku głównie przez możliwości szantażu i ,,dania wycisku''. Od czego natomiast zależy wzrost homoseksualizmu w pewnych okresach i w pewnych krajach, trudno określić. Tłumaczenie tego zgnilizną kapitalistyczną jest wątpliwe. Są podstawy do przypuszczeń, że np. dopiero w Polsce ludowej homoseksualizm wkroczył na tory wspaniałego rozwoju (,,Idziemy w lud''). Na ogół łagodzi obyczaje. Spośród oficerów sowieckich, z którymi miałem okazję zetknąć się na linii frontu w 1945 roku najzabawniejszy chyba był pewien Ormiaszka, lekarz z Tyflisu, który łaził wszędzie ze swoim przyjacielem, poruczniczkiem z Leningradu. Jadł odstawiając paluszek i bardzo inteligentnie mówił o ormiańskiej literaturze.

Na pewno styl i moda pomnażają zastępy tego klanu, ilu do niego należy z ,,biologicznej konieczności'' nigdy nie wiadomo. W internatowych szkołach niektórych krajów ogromny procent uczniów przechodzi przez to doświadczenie i w ogóle u młodych chłopców występuje pewna seksualna podwójność (jak u młodych piesków — dlatego św. Paweł nazywał ich ,,psami''). Styl środowiska przyczynia się często do tego, że przyznają się do zboczenia różni ekscentrycy, samotnicy, którym nie bardzo udaje się z płcią przeciwną, nawet ci, co tak są pogrążeni w wewnętrznych problemach, że z natury wybierają ascetyzm — dają świadomie żer plotkarskiemu otoczeniu, interesującemu się przede wszystkim ,,kto z kim'', zostają zaszeregowani i święty spokój. Czasem nabierają nowych nawyków, czasem grają tylko komedię. W kołach literackich Warszawy takie zgrywy były w dobrym tonie, jak o tym świadczy następujący wierszyk Kamila Weintrauba :

...Więc jeden prawnik
całkiem jawnie
rymuje chucie swe natchnione,
tłumaczy Gide'a,
straszna gnida,
i chciałby zostać Corydonem.

...Gdy nocną ciszą
gwiazdy wiszą,
owe natchnione serafinki
wychodzą z domu
pokryjomu
i idą na dziewczynki.

Snobizm, maskarada, niepokój o to, z czego się będzie jutro żyło, nieokreślone źródła dochodu Iksa, Zeta i Ygreka, próby odgadnięcia przez kogo trafia się do kogo, wielogodzinne wałkowania plotek po kawiarniach (,,co słychać?'') — dla mnie prowincjusza taki był Babilon, najnieznośniejszy przez poczucie, że przebywa się poza kręgiem wtajemniczonych w funkcjonowanie tej machiny i że rozumieją się oni wzajemnie na podstawie znaków i mrugnięć. Żebyż to dyskusje pryncypialne, z którymi byłem oswojony, ale nie, same aluzje i anegdoty. I te krawaty, garnitury, jedwabne skarpetki — dla posiadacza jednej pary

skarpetek, którą cerował i prał sam (jak ja zapoznający się z tym światkiem w moich wizytach tam z Wilna w 1932 i 1933 roku) wszystko to przedstawiało się egzotycznie i wrogo, niby krąg kapłanów Baala. Narzucone przez otoczenie własne miny i gesty poniżały i budziły niesmak. Mętliku przymnażała w owym bagienku homoseksualna dwuznaczność i jeżeli mam niechęć do „piesków" to nie z innej przyczyny niż właśnie ich talent do stwarzania zbiorowych fluidów, które są „louches" czyli jakieś zezująco-podejrzane. Dwie po Dwudziestoleciu zostały książki, które służyć mogą jako źródło informacji o stołecznych wykwitach : o sferach wyższych „Pożegnanie jesieni" St. Ign. Witkiewicza, o sferach niższych „Wspólny pokój" Uniłowskiego.

Wreszcie parę słów o aspekcie artystycznym mężołóstwa. Częstość tego zjawiska wśród pisarzy i malarzy niekoniecznie znaczy, że wskrzeszają oni erę Platona czy Leonarda da Vinci. Częściej niż rzadziej jest to skaza, wyrażająca się w trudnej do uchwycenia słodyczce stylu. Podobno kiedy Joseph Conrad dostał egzemplarz swojej „Fantazji Almayera' w przekładzie André Gide'a, rzucił go po przeczytaniu paru stronic na ziemię i zaczął deptać z furią. Żadnej zresztą zasady ustalić się nie da, połączenia osobistych skłonności i formy w sztuce są przecież skomplikowane. Mężołóżcy zdają się w dwudziestym wieku kwitnąć tam, gdzie styl traci swoją rzeczowość i zabarwia się liryzmem subiektywnych wyznań, gdzie tonacja i koloryt cenione są więcej niż przedstawienie faktów i rzeczy. Bądź co bądź ich patronem i najdoskonalszym przykładem pozostaje Proust, który potrafił złowić pewien świat rzeczywisty w sieć wzruszeniowo-wspomnieniową.

DOM NA POWIŚLU

Czechowicza poznałem na wiosnę 1934 roku w czasie „Najazdu awangardy na Warszawę". Mało kto pamięta tę imprezę. Hajże naprzód, do szturmu na szańce oficjalnie uznanej literatury rzucili się poeci z Wilna, Krakowa, Lwowa, Lublina etc. Naturalnie ktoś płacił za bilety i organizował. Kto? „Legion Młodych", organizacja młodzieży piłsudczyków, wtedy właśnie idąca na lewo, jak najdalej na lewo, zanim ten jej kurs nie skończył się z trzaskiem czy tylko z cichym pyknięciem. Kogo tam nie było na tej estradzie przy ulicy Karowej : Przyboś i Piętak, Łobodowski i Kurek, Zagórski i Miłosz, Czechowicz i Domiński i tak dalej, i tak dalej (zresztą naprawdę nie pamiętam kto był). Większość z nich z „Legionem Młodych" nigdy nie miała nic wspólnego, ale ten występował w roli mecenasa. Ryczeli albo jęczeli, albo jąkali, albo śpiewali swoje wiersze i nawet zebrało się trochę młodej publiczności — tej, co w szkole, wbrew księdzu prefektowi, masonizowała i lewicowała.

Dla Czechowicza był to jeden z najszczęśliwszych jego okresów. Wielbiony przez młodych poetów, zyskał już pewną sławę i w małym państewku awangardy nosił tytuł księcia albo jak

sam sobie przyznawał „Cesarza Encyklopedii" (mnie obdarzając tytułem „Brata Strasznego"). Pracował wtedy w Związku Nauczycielstwa Polskiego jako redaktor „Płomyczka", pisma dla najmłodszych (zarówno „Płomyk" jak „Płomyczek" odznaczały się doskonałym doborem ilustracji i tekstów). Biura Związku w nowoczesnym domu przy ulicy Smulikowskiego to przykład Polski lepszej, która wyłaniała się przecie — mam na myśli po prostu wygląd, stronę zewnętrzną, i architekturę i czystość, i sensowność ludzkiej pracy — dlatego dobrze się czułem w nowych dzielnicach Warszawy, jak np. w tym co powstawało koło Filtrowej. W kompleksie budynków Związku Czechowicz miał małe mieszkanie na parterze. Bardzo wygodnie — żeby wracać w nocy z łamania numeru, musiał zrobić tylko kilka kroków przez asfaltowe podwórze. W mieszkaniu kilimy, rzeźby ludowe, płyty, książki. Drugim lokatorem był bratanek — niech będzie bratanek — lnianowłosy Stefanek, chłopak wielkiej naprawdę piękności. Ciągle dłubał w swoich śrubach i sprzęgłach — chodził do szkoły mechanicznej i został później mechanikiem.

U Czechowicza na Smulikowskiego nic z zezowato-podejrzanej magmy warszawskiej, jego dwór stał na uboczu, jakby na wsi. Czeredy młodych pisarzy nawiedzały jego siedzibę, wylegiwały się na tapczanach i pożyczały pięć złotych na wódkę. Ale to wszystko inne, raczej sielskie, spokojna dobroduszność gospodarza, żadnej potrzeby obronności. Brak pieniędzy, brak nazwiska nic tu nie szkodziły, a pryncypialne kłótnie nie ściągały niczyich sarkazmów. Każdy więc tutaj wędrował jak do oazy życia prostszego i łatwiejszego. Obecność Stefanka akceptowano w sposób naturalny. Nigdy szczególne przyjaźnie Czechowicza nie przyczyniały mi przykrości, ich gatunek był mało agresywny.

Tuż u wylotu Smulikowskiego w Dobrą, przy Dobrej 9, kilku młodych poetów wynajmowało sublokatorski pokój u starej Rozalki, zarabiającej praniem. Gnieździli się tu i straszliwy Łobodia czyli Józef Łobodowski, który po paru kieliszkach odczuwał potrzebę bokserskich pojedynków, albo wręcz duszenia i męczenia kogoś; Stanisław Piętak, czarnowłosy, okrągłolicy i nieśmiały chłopak z sandomierskiej wioski; mały, chudy, sarkastyczny Henryk Domiński; za dobry i za wrażliwy żeby żyć Ludwik Michalski (okrył żałobą całą wspólnotę popełniwszy samobójstwo przez skoczenie do Wisły); zresztą ilość mieszkańców pakownego „wspólnego pokoju" pozostawała nieokreślona. Spało ich tam na podłodze, „na waleta" znacznie więcej niż się mieściło łóżek. Doszlusowywali Wacław Mrozowski, Wacław Iwaniuk, Czesław Janczarski, wreszcie zjawił się Arturek.

Awangardowy Rzeczyca wyśmiewany przez Światopełka Karpińskiego istniał rzeczywiście. To był jego pseudonim, naprawdę nazywał się Artur Buksbaum. Dziwny stwór, jakby postać z powieści Brunona Szulca, pochodził z mieszczańskiej żydowskiej rodziny w Przemyślu. W dawnych czasach zostałby może rabinem albo nawet cadykiem, wykoleiły go poezja i inte-

lektualizm. Stwór to niedokładne, raczej stworzonko, z gatunku „jaki słodki", ciemno-niebieskie spojrzenie zza okularów, puszyste włoski. Przyjechał do Warszawy studiować na uniwersytecie i ugrzązł, a ponieważ nie miał żadnych źródeł dochodu (rodzina próbowała go zmusić do rozsądku przecinając dopływ gotówki), więc żył z pożyczek, a głównie utrzymywał go Czechowicz. Poznałem go już w 1932 roku, wtedy podnosił palec do góry i mówił: „Wypływam! „Tygodnik Ilustrowany" będzie drukować mój wiersz". Zginął w ghetcie w Przemyślu. Twierdzili o nim, że nieznośny, dokuczliwy i że nie można się od niego odczepić, jednak myślę, że zbrodniarz hitlerowski, który go zabił, zabił dziecko.

Pokój na Dobrej za zaplecze uważał Czechowicza. Gdzieś koło południa (dyskusje, wódka, dziewczynki — z czego wynikały kłopoty z leczeniem trypra — zapełniały wieczory i trzeba było się wyspać) ziewający adepci literatury wlekli się Tamką w górę do śródmieścia, żeby zarobić parę groszy, głównie w prasie Ompu, organizacji młodzieżowej, robionej przez rząd dlatego, że wszędzie się coś takiego robi, ale robionej niemrawo. Ich stosunek do tego zajęcia przynoszącego zresztą mało, był cyniczny i w pewnym sensie prekursorski, zważywszy na naszą epokę, albo też nawiązujący do starych tradycji zawodu. Niektórzy z dawnych mieszkańców pokoju na Dobrej żyją i notuję tu tylko spostrzeżenia kogoś z boku, niedokładne. Dają one jeden z obrazów potrzebnych chyba jako kamień w mozajce.

Henryk Domiński zniknął bez śladu w roku 1940 kiedy po raz ostatni go widziałem. Już wtedy należał do podziemnej organizacji wojskowej i dostał niebezpieczną misję. Tom wierszy, jaki opublikował przed wojną i parę artykułów to jedyny jego dorobek. W numerze 53-54 pisma poetyckiego „Kamena" (oczywiście prowincjonalnego) znalazłem jego poemacik prozą, który może kogoś, tak jak mnie, wzruszy. Czy Emilia w nim występująca nie łączy się z Rozalką, gospodynią mieszkania przy ulicy Dobrej? Sądzę, że tak, jest tu barwa Powiśla. Owa cyganeria nie odznaczała się bynajmniej skłonnością do demonizmu, przeciwnie, tęskniła do skromnego, twórczego życia i ładu uczuć. To pięknie, jeżeli można zamiast tablicy na nieznanym grobie Henryka Domińskiego, umieścić jego własny wiersz, opowiadający o miłości, w imię której umarł.

MODLITWA

Jakie są twoje oczy, Emilio? Pochylona nad balią rzucasz na mnie od czasu do czasu szybkie spojrzenie i znów ciemne źrenice topisz w białym obłoku piany. Ten krótki moment, gdy wzrok nasz na drżącej linii promienia lampy naftowej znajduje punkt styczny, wystarcza zupełnie, abym pojął ohydę swych grzechów.

Ach! Emilio, odkąd ty panujesz w tej izbie podłej, przypominającej nikczemność naszego istnienia, zapomniałem o Bogu.

To do ciebie płyną moje modlitwy, na twoich starczych rękach wieszam słowa gorące. W tej samej chwili ty rozwieszając bieliznę myślisz tkliwie : jakiż on podły, ten mój wnuk !

Nie znam twoich oczu, Emilio ! Mimo swych lat siedemdziesięciu w źrenicach zachowałaś ogrody wiosenne.

Trzeba długo żyć, trzeba mieć w sercu wiele pogardy dla świata i sporo miłości dla ludzi, aby takie światła zachować pod chmurną brwią.

Emilio, która jesteś zwykłą praczką, której dłonie żre mydło, która zwątpiłaś o gwiazdach i zwierzętach, za tobą idę, za wysokim szumem twej krwi biegnę, aby odnaleźć w sobie przeszły i przyszły czas.

Emilio otoczona zielonym warzywem, Emilio napełniona rozmową straganów, Emilio schylona śpiewem nieszpornym, Emilio z kościanym różańcem w dłoni, daj mi srebrny liść miłości, oświeć mnie jak latarnią swą ciemną źrenicą, o Emilio oczyść mnie, odkup mnie żarem swych oczu, doświadczeniem pokoleń, które w tobie swój początek i kres znajdują, które przez ciebie płyną jak nieujarzmiona rzeka.

Emilio moja niepokochana, Emilio, zakonie mojej wiary.

U lokatorów pokoju na Dobrej Czechowicz szukał aprobaty. Zupełna samotność nie jest twórcza, dowód, że istnieją ludzie, którzy rozumieją co się robi, podnieca do wysiłków i wydobywa z nas więcej, niż zdaje się nam że umiemy. Nie wszyscy młodzi zachowywali proporcje pomiędzy podziwem dla Czechowicza a dążnością do własnych sposobów wypowiedzi, jak choćby Domiński. Naśladowali niewolniczo i z tego wyłoniła się moda ,,czechowiczowania'', przybierająca w ostatnich latach przed wojną katastrofalne rozmiary. Pisma pełne były wierszy bez przecinków i wielkich liter, wierszy, które obracały te same obrazy sielskie i starały się uchwycić ulotne wrażenia — a impas polityczny czy ideologiczny sprzyjał ucieczce w bierne doznawanie świata, niekoniecznie zresztą kontemplacyjne, przede wszystkim naskórkowe. Czechowicz palił fajkę i traktował tę modę z pobłażliwą życzliwością, ale w istocie bardzo mu ona szkodziła, bo irytacja, jaką czuł czytelnik tej niby awangardy, a najczęściej grafomaństwa, obracała się przeciwko najbardziej znanemu nazwisku. Raczej triumf dla przeciwników nowatorskich dziwactw z tego wynikał. Nie ulega wątpliwości, że później młodzi poeci podziemnej Warszawy odziedziczyli po czechowiczowskich obrzędach rodzaj nieartykułowanego bełkotu płynących swobodnie skojarzeń i to, w połączeniu z desperackim czynem którego wzywali nadawało ich wierszom szczególny charakter.

Jak powiedziałem, okres ,,domu na Powiślu'' był dla Czechowicza szczęśliwy. Wiersze i piosenki dla najmłodszych, które drukował w ,,Płomyczku'' chciał kiedyś zebrać w książkę. Miałem w czasie okupacji w ręku ten manuskrypt, ale pewnie uległ zniszczeniu, natomiast wśród niepodpisanych utworów w ,,Płomyczku'' nikt już chyba nie rozróżni, które wyszły spod jego pióra.

ROK 1937

,,Coraz to ciemniej, wiatr północny chłodzi''. Pisze się o tym niechętnie, schodząc w pokłady własnego wstydu. Pomiędzy tym, jak zachowywałem się ja czy inni i tym, jak należało się zachowywać widać cały dystans, choć jak ,,należało'' pozostaje mgliste. Dla literata ważne jest co zrealizował w latach powszechnej niemocy, nie przypadkiem stawiam datę 1937. Nie wielu może pochwalić się sensowną w owym roku pracą, żyć wtedy w Polsce to było jak poruszać się w żywiole kleistym i opornym, a przecie bez dostatecznego oporu.

O ,,duszy polskiej'' nie mam zamiaru rozprawiać, ale kto wie, czy nie powinna zastanawiać najwyższa łatwość, z jaką wskakuje ona w każdą kontr-reformację. Fermenty drugiej połowy XVI wieku musnęły tę duszyczkę tylko na powierzchni, już za panowania Zygmunta III z powrotem układała się do snu, a również w moim Wilnie kilka pogromów przeciwko znienawidzonym kalwinistom, jakie urządzili studenci, świadczyło o powrocie do równowagi. Niestety Sienkiewicz z jego pochwałą zdrowej ciemnoty odgadł co zachwyca. Polska tamtego dwudziestolecia nie była ani sanacyjna, ani żadna inna, szukała z uporem swojej dawnej, swojskiej formy, w której dopiero wygodnie. Większość moich miłych i porządnych nauczycieli w szkole, ,,młodzież narodowa'' na uniwersytecie, dekle korporantów — to elementy tego samego dążenia. Widziałem rozruchy studenckie w Wilnie, tym razem wymierzone oczywiście przeciwko Żydom. Przy ulicy Wielkiej sklepy zaryglowane, pustka, na jezdni odłamki szkła, a ulicą walił tłum studencki ryczący dziko i waląc lagami w deski i kraty, rozbijając resztki witryn. Przechylenie się rządu ku endecji, zapożyczenie przez Ozon niektórych jej sloganów płynęło z chęci wejścia w formę powszechną, trzcina gięła się jak wiatr wiał.

Taki koloryt lokalny zyskiwał dramat szerszy mojego stulecia, polegający na tym, że są tylko dwa gatunki ludzi mocno siedzących w siodle — czarni i czerwoni — a reszta jest przez nich uważana za masę godną pogardy, którą należy modelować jak glinę, albo tępić. I czarni i czerwoni mogą występować w różnych przebraniach, ale to niczego nie zmienia. Około 1937 roku w Polsce czarni nie potrzebowali już przebrań. Sytuacja przedstawiała wtedy pewne analogie z tą, jaka powstała po drugiej wojnie w paru krajach Zachodu. Lawirujący rząd, daleki od kultu dla legalności i demokracji, zakładający obóz koncentracyjny Berezy, ciągle jednak trochę zażenowany i naciski tak zwanej ,,opinii publicznej'' domagającej się ofiar na pożarcie. Co było najpierw : jajko czy kura, rząd przyczynił się do pewnego stanu umysłów czy stan umysłów decydował o kontredansach rządu, nie warto zgłębiać. W kraju wielojęzycznym i wielonarodowym jak ówczesna Polska wprowadzono na uniwersytetach ghetto ławkowe, na każdym zresztą poziomie dbano

o usztywnienie przedziałów między Polakami, Białorusinami, Ukraińcami, Litwinami czy Żydami.

W gazetach i periodykach rozpowszechniała się wtedy metoda denuncjacji, bardzo na ogół przez Polaków lubianej, ponieważ denuncjacja nigdy nie jest nudna, nigdy nie zmusza do umysłowego wysiłku a wzmaga dobre samopoczucie dając rzekomo wgląd w ukrytą maszynerię. Powstały nawet pisemka, które obierały ją jako wyłączną prawie specjalność, np. ,,Merkurjusz Polski''. Cel denuncjacji jest zwykle podwójny : przypodobanie się czytelnikom i zadanie komuś ciosu (tylko zapach krwi naprawdę podnieca). Oskarżano zwykle o Czerwoność, a jeżeli się nie dało, o pierwsze z brzegu przestępstwo, byle zostawiało pole do aluzji i insynuacji. Kiedy dokoła zaatakowanego unosił się niemiły zapaszek, chlebodawcy jego dostawali stracha i tracił źródła zarobku.

W grudniu 1935 roku zacząłem pracować w Polskim Radio w Wilnie. Instytucja ta nosiła nazwę spółki akcyjnej, jednakże w praktyce była państwowa, jak B.B.C. Gdyby moją opowieść czytał dwudziestoparoletni człowiek w dzisiejszej Polsce, stwierdziłby : ,,No tak, rozumiem, to znaczy że pracownicy musieli być pro-rządowi na sto procent''. Tak silna jest zawsze lekcja tego co ma się przed oczami. Rzeczywistość wyglądała inaczej, poza wymaganiem elementarnej lojalności, nie zanadto wnikano w poglądy urzędników. Wkręcał mnie do Radia człowiek duchowo niezależny, nie pozujący wcale na ,,sanatora'', ceniony za swoją pracowitość i rzetelność.

W 1936 roku huczało w Wilnie od procesu grupy która wyłoniła się z ,,Żagarów'' i wydawała przez pewien czas pisma ,,Poprostu'' i ,,Karta''. To nie była już dawna grupa i od mego powrotu z Paryża w 1935 roku nasze stosunki jakoś się nie kleiły. W niemożności przyjęcia stanowiska tych moich kolegów zawierał się cały mój późniejszy, lata trwający, konflikt. O tym że nie stałem się wtedy zwolennikiem Rosji zdecydowały moje wady, bardziej niż zalety. Jednakże wady bywają czasem innym obliczem zalet, a zalety innym obliczem wad. ,,Anarchiczny poeta'' tak to się popularnie nazywa. W każdym razie siedząc wśród publiczności na sali sądowej zaciskałem pięści w furii, ale nie z politycznej solidarności, tylko z osobistej sympatii dla niektórych oskarżonych, a jeszcze bardziej z odrazy do władzy w ogóle.

Wiele wstydliwych spuszczań oczu u moich przełożonych na wiosnę 1937 kiedy denuncjacje i pewnie donosiki do odpowiednich biur odniosły skutek, to jest województwo zażądało od Radia, żeby mnie się pozbyło. Do mikrofonu (horror) dopuszczano tam osoby niewłaściwego pochodzenia i nawet chóry białoruskie. Przykrość stracenia posady leżała w logice wypadków. Dla naprawdę czarnych wszyscy inni to utajeni czerwoni, dla naprawdę czerwonych wszyscy inni to utajeni czarni. Choć, jak wiadomo, ta logika w Polsce, zgodnie z formą tradycji nie sięgała perfekcji. Palmy męczeńskiej nie zdobyłem.

W Warszawie spotkałem się z Czechowiczem, którego po-

dobny los spotkał wcześniej. „Wiadomości Literackie" nie darzyły go względami, a zwłaszcza nienawiścią pałał do niego w tym kręgu K. W. Zawodziński. Ta figura była interesująca. Oficer kawalerii, dosłownie opętany miłością do poezji, stał się naczelnym krytykiem poetyckim i wkład jego w badania nad wierszem polskim mógłby być poważny, gdyby nie liczne aberracje. Potrafił godzinami recytować to, co go upajało dźwiękiem, a więc przede wszystkim wiersze rosyjskie (inni oficerowie śpiewali „Żurawla" po paru kieliszkach, on recytował). On głównie przyczynił się do ugruntowania sławy „Skamandrytów" pisząc pochwalne hymny na ich cześć, nieco przebierając miarę, bo jeden z chwalonych miał o nim się wyrazić, że półkule mózgu i półkule siedzenia u Zawodzińskiego się pomieszały — w głowie jedna taka, druga taka. Ale wiele mu będzie, myślę, wybaczone bo naprawdę kochał. Różnice między przywiązaniem do takiej albo innej poetyki były dla niego sprawą życia i śmierci, każdego kto twierdził że „awangarda" jest też coś warta, uważał za osobistego wroga. Nawet w jadłodajni literatów (rok bodaj 1941), która mieściła się przy ulicy zmieniającej często nazwy — Foksal, Pierackiego, znów Foksal, Młodzieży Jugosłowiańskiej, i znów Foksal — piana wystąpiła mu na usta kiedy ktoś wspomniał o Przybosiu. Otóż głównie namiętności Zawodzińskiego przyczyniły się do stracenia przez Czechowicza posady w „Płomyczku". Związek Nauczycielstwa Polskiego znalazł się pod obstrzałem — nie ma dymu bez ognia, tylko że dym wiatr zwykle zwiewa w całkiem nieprzewidzianą stronę. Wanda Wasilewska siedziała w redakcji „Płomyka", ukazał się jego numer poświęcony dzieciom Związku Sowieckiego, więc uderzono w bębny na alarm. Takie kampanie, jak już wystartują, zwracają się w równej mierze przeciwko komunistom, jak intelektualistom i homoseksualistom, bo jak odróżnić te trzy kategorie? Czystość moralna (na papierze) zaczynała wchodzić w modę. Zawodziński uderzył w Czechowicza w imię oburzonej moralności („Pan nie wiesz z kim pan masz do czynienia", „Ja pana zniszczę").

Powtarzam tylko to co opowiadał mi Czechowicz, który „Wiadomości" i Zawodzińskiego czynił odpowiedzialnymi za utratę domu na Powiślu i nędzę w jaką popadł. Tu można odsłonić kulisy pewnego wydarzenia, które wywołało popłoch w światku literackich kawiarń. Mianowicie ktoś roztrzaskał wielką lustrzaną szybę w witrynie „Wiadomości Literackich" przy ulicy Królewskiej i powszechnie przypisywano ten wybryk O.N.R-owi, jako zapowiedź nowej nocy Św. Bartłomieja, prorokowanej ze smakiem przez Gałczyńskiego. A ja znałem sprawcę. Był nim Stefanek II, przyjaciel Czechowicza, knajak z Czerniakowa, ze szramą od noża na policzku. Widząc, że Czechowicz martwi się z powodu jakiegoś artykułu o sobie w „Wiadomościach", postanowił się zemścić. Królewską przechodzi linia tramwaju, nic prostszego (jeżeli się ma wprawę) niż stanąć na tylnej platformie i kawałem żelaza owiniętym w gazetę wyrżnąć

w witrynę kiedy się ją mija. Satysfakcja duża, bo ten trzask i ta dla nich strata — taka szyba kosztuje kupę pieniędzy. Stefanek II został rozstrzelany przez Niemców za jakieś bojowe knajackie wyczyny.

Tak więc Czechowicz bladł na wzmiankę o ,,Wiadomościach'', ale to nie przysparzało mu złotych na komorne i chleb. Mnie udawało się lepiej, za przyczyną Haliny Sosnowskiej.

Duża, silnie zbudowana, z twarzą Junony, wciąż przystojna, ale zanadto władcza na amory, Sosnowska była wicedyrektorem Polskiego Radia. Wielbicielka Piłsudskiego naprawdę, należała do tego pokolenia które u zarania niepodległości marzyło o Polsce ,,szklanych domów'' i którego tragedię przedstawił Żeromski w ,,Przedwiośniu''. Na wychodzenie powietrza z sanacyjnego balonu patrzyła ze zgrozą, w rozpacz ją wpędziło samobójstwo Sławka.

Sosnowska to patriotyzm, uczciwość, pewien brak politycznej wyobraźni, żelazna energia, dar władzy, managerstwo w wielkim stylu. Nic dziwnego, że wszystkich mężczyzn w Radio trzymała za łeb. Do umizgów rządu wobec czarnych odnosiła się krytycznie.

Otóż Sosnowską oburzyło wyrzucenie mnie z radiostacji w Wilnie, bez żadnego uzasadnienia, tylko na podstawie presji administracji. Jak tam się boją, to my się nie boimy. I zostałem przyjęty do Dyrekcji Programów w Warszawie, a wkrótce znalazłem się w bezpośrednim zasięgu Haliny Wielkiej. Pozwalałem sobie na wiele i uchodziło mi na sucho. Faworyzowała mnie, czy zasłużenie, nie wiem, ale może potrzebowała w bliskim otoczeniu odrobiny destrukcji i sarkazmu; nie zawsze grzeczni i łagodni wygrywają. Sosnkowska za moim poduszczeniem przyjęła do Radia Czechowicza.

Nędzne życie, pełne poczucia winy : zamiast realizować jakieś dzieło i iść za swoją wizją, tkwić w biurze i pojmować, że się grzęźnie w egzystencji bez wyjścia. I to radio oczywiście służyło jako ucieczka od odpowiedzialności wobec swego przeznaczenia. Szukam nazwisk pisarzy którzy by wtedy kroczyli śmiało, wbrew wszystkiemu, i trudno mi znaleźć. Im większa świadomość, tym większa skłonność do przewałkowania się jeszcze przez jeden dzień, z trwogą wyłażącą ze wszystkich kątów. Stawiam tu pytanie, na które nie umiem udzielić odpowiedzi : jak postępować powinien był wtedy człowiek, który *wiedział* w ogólnych zarysach co nastąpi ? Wiedziałem — tak jak wiedziałem już w roku 1939, że emigracja nie wróci do kraju. Odsłaniać tutaj w jaki sposób do tego doszedłem — to zajęłoby zbyt wiele miejsca. Zresztą są różne rodzaje wiedzy (nie mam na myśli spirytyzmu, chodzi o różne warstwy w nas samych). Stwierdzam, że *wiedzieć* nie rozwiązuje niczego i każdy narkotyk jest wtedy dobry byle pozwolił zapominać, na dzień, na miesiąc, czy na rok. Rozwinąwszy to, co w tym prostym zdawałoby się zdaniu siedzi, łatwo dosięgnąć pewnych przerażających konkluzji, więc kropka tutaj jest najbardziej wskazana.

W samym Radio nie wiele udawało się przeprowadzić, poza parowaniem i utrącaniem zbyt oczywistych absurdów i użeraniem się o klateczki audycji dla słuchaczy, którzy chcą także myśleć, nie tylko przeżuwać. Pracowaliśmy razem z Czechowiczem i usta nam rozdzierały się od ziewania. Na posiedzeniach podsuwaliśmy sobie karteczki z wierszykami w stylu: ,,Bądź zdrów, ojcze krów!'', ,,Krowa krowie nic nie powie, a jak powie to nie krowie'', ,,Nie mogę, powiedział byk i znikł''. (Dużo mówiono o audycjach dla wsi i to pewnie zaraźliwość tej tematyki). Czechowicz na urzędowym biurku sporządzał zeszyciki wypełnione swoimi rysunkami i sentencjami zwróconymi do naszej koleżanki Janki, jak np.: ,,Spiesz się powoli, mawiali Rzymianie/ I tak w końcu szału każde z nas dostanie'', czy: ,,Co masz zjeść jutro/ Zjedz dziś/ Zwłaszcza gdy chodzi o futro/ A molem tyś''.

Personel był przeważnie przyjemny i ludzki, wieża Babel poglądów i tendencji których się na ogół nie kryło, z tym tylko ograniczeniem że nieliczni wielbiciele Rosji zachowywali rezerwę. Z najbliższych kolegów muzykolog Adam Szpak, który w drobnym ciałku żydowskiego intelektualisty nosił duszę bohatera, zginął z rąk Niemców ,,po aryjskiej stronie'', polonista Szulc w Oświęcimiu, ktoś jest we Francji, ktoś w Ameryce, a Halina Sosnowska oskarżona o konspirację dostała w Polsce 12 lat więzienia. Prawie wszyscy dawni pracownicy, którzy przetrwali wojnę i zostali w kraju, są zatrudnieni w Radio, przy czym ci, co wyłazili ze skóry, żeby dowieść że są gorliwymi wyznawcami Ozonu, przysięgli że zawsze w głębi serca byli komunistami, a ci, co pluli na Ozon, nie przysięgli i toleruje się ich od biedy.

Dzięki denuncjacjom i wyjazdowi z Wilna dźwigałem się szybko na szczeblach ,,kariery'', zarobki moje rosły. Powodzenie? Ładne powodzenie! Zimny pot oszustwa wobec siebie a przez to i wobec innych. Ale co robić? Wybiec na place i wrzeszczeć: ,,ratunku!''. Że co? I czy ta świadomość aż tak ostra? Bynajmniej, bełkotałem jak inni, żeby zagłuszyć głos, który powtarzał nieubłagalnie to samo. I to nie był głos tylko lęku — żebyż to tak jak w tych moich wierszach, w których widziałem przemarsz niemieckich czołgów przez senno-słowiańskie ziemie. Nie, poczucie że *takie* życie nie ma sensu, w tym żywiole jak z waty, że czy to potrwa jeszcze rok czy pięć lat, nie ma znaczenia. Czysto subiektywne? Ale Czechowicz to samo czuł, to samo wyrażało się w całej literaturze. I nie bardzo pomagała nowa maszynka do kawy, w której bulgotał aromatyczny płyn w letnie ranki na tarasie, wśród borów Polesia, ani żadne trucizny emocjonalnych powikłań, które w takich wypadkach wynajdują sobie ludzie. A czym był w powieści Gombrowicza drukowanej w odcinku ,,Czerwoniaka'' tajemniczy ręcznik, który skręcał się sam jak wąż w domu gdzie straszy, nie dowiedziałem się, bo wybuchła wojna i nigdy już nie wydrukowano dalszego ciągu. Co mam sobie powiedzieć? Ech, ty, durny.

ŚMIERĆ

Któregoś ranka 1938 roku opowiedziałem Czechowiczowi swój sen. Widziałem dom, z jedną ścianą ze szkła, Mongoł grał za nią na skrzypcach i to był on, Czechowicz, dźwięk nie przedostawał się do mnie. Przemilczałem, że ten dom nazywał się we śnie Dom Umarłych, a twarz grającego Mongoła napiętnowały już znaki rozkładu. Moja powściągliwość tłumaczy się tym, że znałem jego obsesję rychłej śmierci.

Owego 9 września 1939 roku opuścił na chwilę swoich przyjaciół na zatłoczonej uchodźcami ulicy Lublina i wstąpił do fryzjera. Zaraz zaczął się nalot. Ciało rozpoznano po małym czerwonym słowniczku angielskim, z którym się nie rozstawał. Pochowany został w swoim rodzinnym mieście.

NA ZAKOŃCZENIE

Więc jednak coś ze wspomnień? Nie, starałem się dać portret z tłem. Moja postawa wobec zjawisk może nastręczać wiele wątpliwości. Bo obnażając Czechowicza, obnażałem równocześnie moją własną nieprzynależność, niekonsekwencję tych co odrzucają i gdybym był politykiem, nie zostałoby dla mnie nigdzie miejsca na ziemi. Zważmy jednak, że układy i konstelacje spotykane w dwudziestym wieku wydałyby się egzotyczne dla kogoś żyjącego w wieku osiemnastym i wydadzą się egzotyczne dla obywateli wieku dwudziestego pierwszego. Pokazanie okresu, w którym żyć nam wypadło jako egzotyki jest warte trudu. Widzi się wtedy ludzi podnoszących z wysiłkiem olbrzymie ciężary z tektury. Pot jaki spływa im po twarzach i napięcie mięśni są jednak rzeczywiste. Dręczy ich świadomość, że te ciężary są właściwe tylko jednemu momentowi czyli że, rozumowo rzecz biorąc, pułapka historyczna w jakiej się znaleźli mogłaby zostać otwarta za jednym pociśnięciem guzika.. Ale w praktyce? Zostawała bierna falistość Czechowicza albo mój protest, ślepy i bez skutku.

Żeby mówić o tym wszystkim trzeba pewnej rezygnacji. Jeżeli się uzna, że jest się powołanym do dawania świadectwa, a nie do ,,odgrywania roli'', wiele się traci ale i wiele się zyskuje. To już jest wybór i zapewne taki właśnie robiłem, niezupełnie świadomie, przed wojną, przez nadmiar wyobrażeń, potwierdzonych później przez wypadki. Wskutek tego że łączy się dzisiaj pisarstwo z ,,rolą'', poruszają się na scenie tuziny postaci z watowanymi mięśniami, ich ślepe miotanie się w tamtym dwudziestoleciu czyni z nich ofiary szantażu, przekształcają swoją przeszłość stosownie do wymagań nowych.

Za dużo polityki w rozdziale o poecie który od niej stronił? Równie słuszne byłoby zarzucać komuś, że dusząc się, szuka skąd wydobywa się zapach palonej siarki. Chodzi o poezję,

o możliwość jej istnienia w układzie niedoskonałym czyli nie więcej niż ludzkim, albo niewygodnym i też jeszcze ludzkim. Triumf ,,z wyżyn naukowej wiedzy'' nad ludźmi omawianego okresu byłby dość żałosny. Poezja Czechowicza i wielu innych — w istocie rozkwit poetycki — przypada na lata 1918-1939, natomiast druga połowa stulecia przypomina w najlepszym razie erę pozytywizmu, jak wiadomo poetycko dla Polski niezmiernie ubogą. Dotknięta śmiertelną chorobą, sztuka ta zamiera w kraju, dotknięta inną chorobą, zamiera na emigracji. Dwa warunki, jak się zdaje, są potrzebne jej do życia : 1. Żeby była konieczna, 2. Żeby była wolna.

Konieczna. A więc żeby to co się wyraża w wierszu nie dało się wyrazić żadną inną drogą i żeby wiersz, w poczuciu jego autora, był aktem przenoszącym z miejsca góry. Zakłada się więc eksplorację rzeczy dotychczas nienazwanych. Takie jest nowoczesne pojęcie tej sztuki, co nie znaczy, że musi obowiązywać zawsze. Odwrót do panegiryku na zadany temat, do współzawodnictwa rymopisów jedynie w pracy nad formą, jest jednak trudniejszy niż można przypuścić i to decyduje o nie-konieczności poezji w kraju. Uwiąd jej na emigracji stanowiłby wdzięczny temat dla socjologa. Nie-konieczność pojawia się tutaj jako skutek bierności środowiska, które żyje przyzwyczajeniami i nie potrzebuje odkrywczości odczuwanej jako nieprzyjemna i nawet groźna. Natomiast poeci wyrzuceni poza jakiekolwiek środowiska tym samym musieliby być gigantami żeby przezwyciężyć brak konieczności słowa. Wolna. ,,Być wolnym, to panować nad światem zewnętrznym, którego przymusu jednak doznaję. Wolność powstaje z chwilą, kiedy zbliżam się do tego co nie jest mną i rozpoznaję tam siebie, albo jeszcze, z chwilą kiedy konieczność zewnętrzną czynię świadomie, modelując ją, elementem mego życia osobistego'' (mówi Jaspers). I jeszcze : ,,Wolność połączona z żądaniem prawdy sprawia że nasza pozycja przestaje być niewzruszona''. Poeci w kraju nie czynią sytuacji historycznej w jakiej się znaleźli elementem swego życia osobistego. Żądania prawdy (i idącej za tym gotowości żeby ciągle korygować swoje sądy i akty nie dlatego, że ktoś wymaga czy zabrania) nie da się stłumić. Poeci na emigracji nie panują nad światem zewnętrznym w tym sensie w jakim panował np. Słowacki, czy nawet Sienkiewicz kiedy pisał swoją epopeję ,,ku pokrzepieniu serc'' ponieważ sądził, że w narzuconych mu warunkach to właśnie jest czyn obracający przymus (ucieczka w przeszłość) przeciwko przymusowi (tak samo Matejko).

Stwierdzenia nie są proroctwami, przeciwnie, powinny pomagać ludziom w ich wysiłkach wyrywania się z pułapek. Dla Czechowicza poezja była konieczna i przez nią przezwyciężał nacisk świata, świadomie rezygnując z wielu danych pisarstwa, byle utrzymać to co leżało w jego mocy : przez to wygrywał, przegrywając, co jest zapewne klasyczną formułą sztuki pióra. Powracałem uparcie do tła, żeby nie pominąć jego niepokoju czy wyrzutu sumienia, że był tylko artystą kameralnym i niczego nie

mógł odwrócić (a przecie bywają pisarze władczy). Jedynie pokazując opór na jaki napotyka czyjś los, oddaje się sprawiedliwość. Nie wieszcz, nie jeden z tych co wskazują drogę narodom na pokolenia, leży na lubelskim cmentarzu. Uczciwy poeta. Niech okrywa jego grób ,,ciemne złoto sławy''.

Czesław MIŁOSZ

BIBLIOGRAFIA UTWORÓW CZECHOWICZA :

Lilie, A. Mickiewicza — szkic literacki, Lublin 1925.
Kamień — poezje, Lublin 1927.
Dzień jak codzień — poezje, Warszawa 1930.
Ballada z tamtej strony — poezje, Warszawa 1932.
Z błyskawicy — poezje, Warszawa 1936.
Arkusz poetycki — poezje, Warszawa 1938.

Wespół z Franciszką Arnsztajnową :
Stare kamienie — Lublin 1935.

Poza tym w pismach, głównie w ,,Pionie'' i w ,,Drodze'' : dramaty, opowiadania prozą, a także przekłady z Rudyarda Kiplinga, T. S. Eliota, Williama Blake'a, oraz poetów ukraińskich.

O wierszu nowoczesnym

Nie ma już świata, który pamiętamy z dzieciństwa. Każdy rok przynosi nowe formy rzeczom, które poznaliśmy wówczas. Krój i kolor sukni wiosennej, linie auta czy serwisu stołowego, nawet kształt i barwy tulipanów idą w ślad za czasem. W domach naszych nie widać już kruchych cacek, które zapełniały, przepełniały pokoje naszych babek. Przeglądanie albumu rodzinnego, lub starych roczników jest dla nas zstępowaniem w pożółkłą i obcą przeszłość, z której patrzą na nas wąsaci panowie, oparci o podręczny, tekturowy krajobraz.

Podobne przeobrażenia zachodzą również i w sztuce. Każde pokolenie jest świadkiem walki Dawnego z Nowym, buntu Młodych przeciwko sztuce oficjalnej i przyjętej przez ogół. Moje pokolenie pamięta triumf stołecznego Skamandra, popieranego przez liberalne mieszczaństwo, i walkę o głos Awangardy, której pociski miotane z dalekiej prowincji, niestety nie donosiły.

Niechęć do rewolucyjnych poczynań, jaka cechuje Polaków w dziedzinie społecznej czy politycznej, widać również jak na dłoni w dziedzinie sztuki, a przede wszystkim w poezji. Przeciwnie niż we Francji, gdzie rewolucyjnie odkrywczy poeta cieszy się wiecznym zaufaniem towarzyszącego mu czytelnika. Nasi poeci nie potrafili uwolnić się od przesądów mających swe źródło w ,,ukochaniu tego co nasze''. Wierszyki ludowe, folklor, są nadal uważane za najczystszą poezję. Wdzięczną śpiewkę utożsamia się z utworem poetyckim, spontaniczność ceni się bardziej od świadomej pracy artysty. I niechęć do utworów, których zrozumienie przekracza chwilowo możliwości czytelnika, jest również dowodem niecierpliwej i trochę sarmackiej postawy : ,,Tylu poetów, i to wielkich, pisało po ludzku! — a tu młodzi zaczynają wydziwiać''.

Poezję ,,zgęszczoną'' wyznawali od dawna poeci Awangardy i ich następcy. I gdyby nie dziegciowocukierkowaty socrealizm, być może dzisiejsza poezja polska stałaby pod znakiem Przybosia, Miłosza i Różewicza (Gałczyński mający coś z Jarry'ego i z Préverta, był uroczym heretykiem Skamandra). Niestety los chciał inaczej. I dziś, pod pretekstem kontynuowania

Mickiewicza, Ważyk składa rozbrajająco naiwne laurki (po jedną aż do Chin pojechał!) i żal bierze czytać wiersze, które wypada pisać Różewiczowi.

Starsze pokolenie czytelników, wykształcone w czasach kiedy poezja była rozmaita, wolna, patrzy z przerażeniem na upadek sztuki. Młodzież poznaje poezję, czytując wątłe płody muzy upaństwowionej, a nadomiar złego krytyka każe jej patrzeć na ,,formalistów'' jak na ,,wroga klasowego''. Jedynie czytelnik emigracyjny ma to smutne szczęście iż może poznawać poezję żywą, prawdziwą, a nie uprawianą w celach pozaestetycznych. (Mam na myśli twórczość poetów francuskich, anglosaskich, jak również lirykę poetów obszaru języka hiszpańskiego).

Rok temu pisałem w tym miejscu o poezji w ogóle, obecnie chodzi mi wyłącznie o wiersz nowoczesny, nie zawsze zrozumiały dla stroniącego od wysiłku czytelnika.

Zatrzymajmy się na chwilę przy *hermetyźmie,* pod które to pojęcie podciąga się zwykle lada tekst niejasny, czy po prostu zakalcowaty. Od czasu Hermesa, boga ,,potrójnie wielkiego'', uważanego przez Egipcjan za rodzica sztuk i nauk, poprzez Grecję i Chrześcijaństwo, istnieje bogata literatura, złożona z tekstów religijnych i filozoficznych, których autorzy celowo zaciemniali podawaną wiedzę, uniedostępniając ją w ten sposób profanom. Pitagoras, średniowieczna astrologia i alchemia, Kabała i Nostradamus, potem budowniczowie katedr i wolnomularze — aby poprzestać na bardzo pobieżnym i uproszczonym wyliczeniu — dowodzą istnienia nieustannych poszukiwań, aby odnaleźć klucz do Wielkiej Zagadki Bytu. Dla tych wszystkich noc oświetlana wewnętrznym płomieniem człowieka, lepiej sprzyja szukaniu niż dzień pełen krzyku targowiska.

Hermetyzm ów wywarł wpływ na literaturę. Przejęto z niego symbolikę liczb i znaków, kolorów i metali, jak również inkantacyjną muzykę słów, nie mówiąc o motywach. Byłoby jednak błędem uważać, iż poezja, o której piszemy, jest wyłącznie dziedzictwem wyżej naszkicowanej skłonności czy postawy człowieka wobec wszechświata. Równolegle bowiem przebiega linia rozwoju świadomości artystycznej, świadomości iż styl danego pokolenia nie opina już ściśle nowych treści i że trzeba szukać nowego. Wczorajsza opończa stała się luźnym workiem i poeci zaczynają budować wiersz, w którym myśl wyrażona jest zwięźlej. Przekładnia, często stosowana elipsa, spiętrzają ładunek liryczny, rozłożony dotychczas wzdłuż rozgadanych zdań, i nowymi zestawieniami przywracają wytartym słowom ich dawną, pierwszą pozłotę. Taka poezja odzyskuje swą siłę poznawczą i walor inkantacyjny. W literaturze francuskiej reprezentują ten typ poezji : Gérard de Nerval, Mallarmé i Valéry. Ta ,,alchemia liryczna'', aby użyć określenia R. Lalou, nie była obca również i Przybosiowi :

Iść tamtędy, kędy wczoraj ścięto brzozy na bierwiona,
by usłyszeć pierwszą ciszę po ich szumie.

Miejsca po ich obalonych koronach
wznosiły się w górę,
trochę jeszcze widoczniejsze od powietrza.

— — — — — — — — — — —

(„Wczoraj")

Fragment powyższy wzbogaca nas o nową rzeczywistość. Poszerza naszą wiedzę o zjawiskach. Teraz wiemy, że można słuchać pierwszej ciszy, która następuje po śmierci czegoś, co śpiewało.

A oto inny przykład:

Zielony błysk! Strzeliły drzewa.
Bielmo śniegu spadło mi z oczu:
Wiosna!...

— — — — — — — — — — —

(„Wiosna 1941")

Dla porównania strofa z wiersza o wiośnie Staffa:

— — — — — — — — — — —

Już baziami wierzb śmieją się jary,
Już z pokrywy śniegowej ni śladu!
Szumią wiatru ciepłego pogwary!

— — — — — — — — — — —

(„Znów wiosna")

Zwrotka Staffa, niewątpliwie świeża, jest opisem statycznym. Radość z powrotu wiosny przelał poeta na krajobraz („śmieją się jary"). Uczuciami swymi podszył się pod przyrodę. Tercyna Staffa to uroczy „widok z natury". Przyboś nie dał się uwieść malowniczości wiosny. Lapidarnie wyraził jej stawanie się. Zdynamizował i przerysował naturalne zjawisko. Ani jeden obraz u Przybosia nie zgadza się z obiektywną, sprawdzalną rzeczywistością. Ale te trzy krótkie zdania zakończone okrzykiem są prawdziwsze od każdej wiosny. Dają esencję wszystkich wiosen, tych które były i będą.

Czy to ja przesuwam swój cień fiołkowy
wzdłuż złocistych liczydeł słońca: wzdłuż cytryn,
aby pojąć... jak pojąć nieskończoność dwubłękitną:
wniebowstąpienie morza?

(„Czy uwierzysz?")

Fragment wiersza napisanego we Włoszech zawiera w pierwszej części celną metaforę. Mijając drzewa pokryte cytrynami-liczydłami, poeta sugeruje jakby jakąś operację matematyczną, która pomogłaby mu pojąć... Uderzony ogromem piękna, rezygnuje pozornie z dopowiedzenia myśli, aby za chwilę olśnić nas niespodzianie podwójną metaforą. Horyzont złożony z morza i nieba staje się dwubłękitną nieskończonością, mało tego, morze... wniebowstępuje ! Ta ostatnia metafora budzi w nas skojarzenia religijne ; już ktoś kiedyś wstępował w niebo i morze otrzymuje w naszym wzruszeniu atrybuty boskości.

Czytanie poezji jest aktem współtwórczym i tylko taka poezja godna jest miana nowoczesnej, która zaprasza czytelnika do współudziału w dziwnym, religijnym spotkaniu, jakim jest wiersz.

Świetny poeta niemiecki starszego pokolenia, Gottfried Benn, mówiąc o problemach liryki (*), wymienia między innymi cechy, których nie powinien posiadać wiersz nowoczesny. Przede wszystkim łącznik dwóch członów porównania, *jak,* tak częsty jeszcze u poetów (np. oczy jak gwiazdy). Słusznie twierdzi Benn iż przez użycie *jak* wdziera się do liryki element narracyjny, felietonowy, powodując osłabienie napięcia. Równie przestarzałym, pokutującym w dzisiejszych wierszach, jest, jak to nazywa Benn, *ton seraficki,* to jest osiąganie pseudogłębokich nastrojów przy pomocy chwytów grających na sentymentalności czytelnika. Wprowadzanie *harf, ciszy, nocy, szmeru źródła* i tym podobnych słodkości.

Teoretyk literatury, P. Servien, pomaga nam sprecyzować sprawę języka lirycznego, w odróżnieniu od naukowego (**). Według niego *język naukowy* jest zbiorem zdań, mających ten sam sens dla wszystkich. Zdania te posiadają równowartościowe odpowiedniki tak w mowie do której należą, jak i w innych językach. Przeciwieństwem jest *język liryczny,* którego zdania nie mają jednego, jedynego znaczenia dla wszystkich ; również nie można im znaleźć równowartościowych odpowiedników. Powstają z rytmu i brzmienia słów i wartość ich związana jest ściśle z tymi dwoma elementami. Nie dają się sprowadzić do języka naukowego.

Jako przykład języka naukowego podajemy dwie linie wyjęte z wiersza Balińskiego :

— — — — — — — — — — —

Po statku biegają Anglicy, których ogarnął niepokój
krótkiego, niewyżytego urlopu, który się kończy.

— — — — — — — — — — —

(,,Scena epicka zakończona przysłowiem'')

(*) Gottfried Benn, *Probleme der Lyrik,* Limes Verlag.
(**) Pius Servien, *Principes d'esthétique,* Ed. Boivin.

Na strofie Miłosza można zaś sprawdzić słuszność definicji języka lirycznego:

— — — — — — — — — — —

Wszelkich spazmów miłości zakryta pieczara,
a jeśli słońce wschodząc jej bramy uchyli,
syczą spalone zamki króla Baltazara,
oddane we władanie zimnym krzykom pawi.
Mży śnieg. I drzewo każde, przełamane, krwawi.

(,,Ptaki'')

Słowo jest mikrokosmosem. Poeta, któremu dany jest rząd nad niebami rzeczowników i czasowników, ma o tym pamiętać — inaczej zdradza poezję, przechodząc na stronę inżynierów.

Marian PANKOWSKI

Twarze przyjaciół

Gdy podczas nocy zaginionej
przebijam wzrokiem ciszę rosochatą, ciemność niezamieszkałą
uderzają mię w skronie twarde rybie skrzela [*jak wieki*
podchodzi do mnie gość daleki
odchyla namiotu zasłonę
i wprowadza do wnętrza wirujące karuzele.

Konie białe i bułane w powietrzu zawisłe
miękko krają horyzont w falistych lansadach
pod strażą anielską na białym niedźwiadku
przybywa zaklęta królewna wśród lodowców uśpiona
do zorzy przykuta polarnej srebrnymi nićmi
babiego lata. Na zamarzłych sadzawkach
średniowieczne czarownice spod wód ramiona
jak kwiaty wznoszą do nieba

i kwitną bazie, białe sople lodu.

Nad tajgą polarną gdzie wiatr północny
rozrzuca kości po srebrnej pościeli
szamani z wnętrza ciemności
faunę arktyczną wywołują miękkim ruchem ręki
reny chyże, wiewiórki przemyślne i psy wierne czarnym ściegiem
do sań zaprzężone gdzie na skórach spoczywa Anhelli.

Twarze przyjaciół jak dagerotypy wyblakłe
powstańcy bladzi o smętnym uśmiechu Grottgera
z mgły wypływają przyprószonej śniegiem
twarze
tych co nie wrócili, co nie chcą umierać
dla historii, zatrzymane u wrót cmentarzyska
nad którym rozwieszono śnięte nietoperze.

Budzi mię pies zdjęty grozą i sierść jeży
strach zwisa mu u pyska
kulisty jak piorun.

Far West

Była to dolina szczęścia pełna słońca i zieleni
korony drzew wysokich przysłaniały niebo
stary górnik palił fajkę gładząc włosy dziecka
czarny pies leżał mu u stóp.

Drogą ciągnęły wozy wypełnione sianem
i śmiechem dziewcząt który z pól podchodził do kuchni
gdzie matka przyrządzała obiad. Żab rechotanie
oznajmiało wieczór, piękny jak wieczory dzieciństwa.
Księżyc zastygał we włosach siostry przewiązanych wstążką.

I przyszły czasy nowe. Zamiast drzew kominy w niebo rosły.
Czarni panowie nowe wytyczali szyby.
Kolej przekrajała miasto i dom starego górnika
sczerniał od pyłu węgla. Siostra była już dorosła
i wychodziła z Bobem. Nad miastem zawisał
zgiełk taneczny, huk strzałów i gorączka złota.
Dolores tańczyła w oberży wypełnionej ludźmi,
a mężczyźni — kulami przebijali czarne serca kart.

Aż wreszcie nadszedł dzień zapłaty.
Stary górnik czytał o tym w Biblii, ale nie wiedział
że ogień niebieski może być tak straszny.
Rudy żar spadł na dachy i gniew Pana poraził
nieprzyjacioły — czarny Anioł zniszczenia przeszedł ponad
[miastem
Płonęły domostwa drewniane, wiatr rozwiewał żagwie
nowe wzniecając pożary, ludzie o włosach czerwonych
w palących uciekali szatach spod stóp
krzyki wzbijając i dym. Spłonął dom okolony drzewami
i zginął stary górnik. A ogień strawił
niedoczytaną kartę Biblii.

Odległe wspomnienia

Kiedy pierwsze wspomnienie jak szyszkę wyłupuję z drzewa
widzę nade mną księżyc, złoty bochen chleba zwieszony
[nad światem
wieczór zapach magnolii w ogrodach podmiejskich do krzewów
[rozlewał
gdy z drugiej strony Wisły nadbiegł pierwszy huk armaty.

Wielką salę ratusza radni gęsto obsiedli jak sowy
jędrne piersi dziewczęce śmiechem zmurszałe wypełniają sienie
stróż nocny szorstkim gwizdem godziny zdejmuje z wieży
[ratuszowej
i do mieszkań podchodzi stukiem halabardy dziwne wznosząc
[cienie.

Psy bezpańskie dalekie monotonnie obszczekują księżyc
chłopcy dziewczęta białe na ulicę wybiegają rojno
skrzypiąc wchodzi do nieba bryczka pełna czarnych księży
i miasteczko znów w ciszę zapada jak zawsze przed wojną.

Jan BRZĘKOWSKI

Chciałam...

Chciałam wybudować z klocków symfonię,
Układałam ją mozolnie i długo,
Przymierzałam klocek do klocka,
Ale nagle zobaczyłam,
Że nie dziwo mi się tworzy, lecz dziwoląg.
Więc zburzyłam w gniewie
Swą niedokończoną symfonię.

Chciałam zrobić poemat na drutach,
Żeby był różnokolorowy jak życie,
Żeby mi pod ręką narastał zrobiony rzędami,
Ale włóczka się plątała.
Więc porwałam ją w złości
I zrzuciłam z drutów
Swój niedokończony poemat.

Chciałam życie rozegrać jak bajkę,
Porozdzielałam role,
Już się miała podnieść kurtyna,
Ale książę się zbuntował.
Zerwał diadem z mych włosów
I uderzył mię berłem po twarzy.
Wszyscy byli smutni
I nie chcieli grać więcej,
Tylko się cieszyły czarownice.

Teraz jestem sama.
Nie mam więcej klocków, ani włóczki.
Ale wiem, że się w bajkę przemieni
Moje podeptane życie.

Londyn, 1954.

Nie pytaj mnie

Nie pytaj mię,
Czy kocham.
Czy obłok kocha niebo
Po którym płynie?

I nie mów mi,
Że zawsze.
Czy zawsze ty będziesz ty,
A ja — ja?

Spotkaliśmy się w chwili
Między ósmym a dziewiątym zakrętem,
Kiedy dziś nie było jeszcze dziś,
A wczoraj nie było już wczoraj.

Spójrz, chwila mija,
I ręka w twoim ręku
Nie jest tą samą ręką
I obłoki zmieniają się w kształcie.
Ni prośbą, ni zaklęciem
Nie zatrzymasz ich w locie,
Jutra nie odgrodzisz od dziś.

Więc czy warto próbować?
Nie patrz na mnie z takim żalem.
Przecież chyba wystarczy,
Że na którymś zakręcie,
W jakiejś chwili naszego istnienia
Ty byłeś ty, a ja — ja,
I obłoki płynęły po niebie.

Londyn, 1953.

Danuta BIEŃKOWSKA

Sylwetka

Płakał.
Miał znowu śmierć na dłoniach.
Wyrastały mu na plecach
ciężkich,
skrzydła;
potężne smutną siłą słońca.
Wiatr go kołysał na swych rzekach
a błyskawica przygniatała
światłem.
Nad pszeniczną, złotą ziemią człowieczą,
wschodziła śmierć
latem.
Zabierała mu pisklęta
hodowane w lesie szczęścia.
Zostawał sam.

Stanisław ZEMBRZUSKI

Archiwum polityczne

Kraj i Berg

Poniżej zamieszczamy artykuł p. Stanisława Mackiewicza, który został mianowany premierem polskiego Rządu w Londynie w dniu 8 czerwca 1954, a więc w ostatnim dniu kadencji prezydenta Zaleskiego. Artykuł ten został napisany na zaproszenie redakcji ,,Kultury'', która — zajmując najbardziej wyraźne stanowisko — pragnie jednak dać czytelnikom jak najwszechstronniejsze naświetlenie obecnego kryzysu na emigracji.

Redakcja ,,Kultury'' zwróciła się do mnie uprzejmie o artykuł, który byłby czymś w rodzaju zastępstwa konferencji prasowej z okazji objęcia przeze mnie prezesury Rządu Polskiego na wygnaniu. Najchętniej korzystam z tej okazji wypowiedzenia się na łamach pisma tak wspaniale redagowanego.

Naprzód małe sprostowanie prasy emigracyjnej i polonijnoamerykańskiej, która podała, że Prezydent miał zamiar powołać gabinet gen. Tokarzewskiego i że w tym gabinecie mieli otrzymać teki pp. Modrzewski, Pragier i ja. Takiego zamiaru nie było i Prezydent takiej propozycji gen. Tokarzewskiemu nigdy nie czynił. We czwartek 3 czerwca Prezydent zlecił tworzenie gabinetu p. Modrzewskiemu. Ten jednak w niedzielę 6 czerwca wieczorem zrzekł się misji na skutek stanowiska grup politycznych z którymi współpracował. Wobec tego Prezydent zwrócił się do wojewody Dziadosza, a ten ostatni zaapelował w poniedziałek rano do Prezydenta, aby zwrócił się do mnie.

Rząd został utworzony w składzie trzech osób : mojej jako premiera i kierownika ministerstwa spraw zagranicznych, p. Dziadosza jako ministra spraw wewnętrznych i kierownika ministerstwa dla obywateli polskich zagranicą, oraz p. Lubodzieckiego, byłego prokuratora Sądu Najwyższego w Warszawie jako ministra sprawiedliwości i kierownika ministerstwa skarbu, i był zaprzysiężony w dniu 8 czerwca.

KRAJ, KRAJ I KRAJ

Ideologia tego rządu, tak jak ja ją rozumiem, polega na haśle : kraj, kraj i kraj. Państwo polskie na uchodźctwie nie jest żadną organizacją emigrantów, ale sukcesorem państwa polskiego, którego władze piętnaście lat temu zmuszone były do opuszczenia granic kraju. Jeśli rozmawiamy z rządami państw obcych to bynajmniej nie jako jakieś przełożeństwo emigracyjnego polskiego ghetta, czy polskiej diaspory, lecz jako *negotiorum gestor* polskiego narodu, jako reprezentant sił tego narodu. Prawda, że polskie dywizje będące armią z prawdziwego zdarzenia, znajdują się dziś pod komendą komunistycznych generałów, ale żołnierze i oficerowie tej armii, to Polacy i na ich usposobieniu może zaciążyć stanowisko rządu polskiego na uchodźctwie.

Swego czasu, jeszcze jako członek Rady Narodowej wystąpiłem z wnioskiem, aby rząd polski na uchodźctwie zażądał od rządów państw zachodnich oświadczenia, że w razie wojny broń atomowa ani inna broń o podobnie sile niszczącej nie będzie zwrócona przeciwko terytorium państwa polskiego.

Nie cytuję tego przykładu, aby wszczynać dyskusję nad celowością takiego żądania, ale dlatego aby zilustrować jak rozumiałem obronę kraju przez rząd polski na uchodźctwie.

Piszę ten artykuł dnia 20 czerwca, a więc w kilka dni po zeznaniach króla Michała rumuńskiego przed komisją Kerstena. Kongresman Kersten mało obyty z obyczajami europejskimi zwracał się do niego mówiąc : ,,królu Michale powiedz mi'', otóż w pewnym momencie powiedział :

— Królu Michale, co by Pan powiedział swemu narodowi, gdyby na tym stole stał nadawczy aparat radiowy ?

Odpowiedź króla zdumiała Amerykanów.

Powiedział on :

— Nothing.

— Jakto nic, dlaczego nic — zaczęli się pytać członkowie komisji.

— Oczywiście, że nic — odpowiedział król — bo gdybym był optymistyczny to mógłbym łatwo wywołać w kraju jakieś zrywy niedorzeczne, a pesymistycznie mówić bym nie chciał, bo nie chciałbym gasić dobrych wobec nas zamierzeń polityki amerykańskiej, które zresztą, jak dotychczas, więcej znajdują wyrazu w słowach niż w uczynkach.

Oczywiście całkowicie, nie tylko rozumiem, ale i podzielam to stanowisko naszego sąsiada i sojusznika.

Król Michał jest człowiekiem zupełnie niezależnym, czego nie można powiedzieć o Rumunach pracujących we Free Europe. Polityka polska, czy rumuńska, zagranicą o tyle przedstawia wartość o ile jest polityką niezależną.

PREZYDENT ZALESKI

Uważam sobie za zaszczyt, że Prezydent Zaleski w tym bardzo ciężkim momencie zwrócił się do mnie, gdyż wiem, że cała jego polityka jeszcze od czasów, kiedy w 1941 roku sprzeciwił się układowi Majski-Sikorski, aż do kryzysu ostatniego, miała na celu wyłącznie obronę niezależności polityki polskiej.

Piękną jest przysięga Prezydenta Rzeczypospolitej. Narzuca ona na człowieka, który ją złożył, niesłychanie ciężki a w warunkach naszych tragicznie trudny obowiązek bronienia niezależności tej polityki kosztem nawet życia własnego, a w każdym razie największych poświęceń osobistych.

Prezydent Zaleski otwarcie zwalczał akt zjednoczenia generała Sosnkowskiego ponieważ uważał, że władzę nad państwem oddaje stronnictwom Bergu, jednocześnie odsuwając masy emigracyjne od jakiegokolwiek większego wpływu na Radę Jedności Narodowej.

Potem jak wszystkie stronnictwa Rady Narodowej dały się wciągnąć do kapitulacji przed stronnictwami Bergu, wciągnięte do tego przez obrotnego i energicznego p. Grażyńskiego, Prezydent sam osobiście rozpoczął polemiczną walkę z tekstem Aktu Zjednoczenia, który był jakąś naszą nową konstytucją oddającą wszelką władzę arystokracji kilku partyj.

Ta polityka prezydenta Zaleskiego była źle zrozumiana przez społeczeństwo, gdyż miał on przeciwko sobie prawie wszystkie organy prasowe polskie zarówno w Europie, jak w Ameryce.

Uważał jednak, że skoro ,,agentura obca'' dotarła do najstarszych i najbardziej renomowanych stronnictw polskich to urząd Prezydenta nie powinien zawieść i kapitulować.

Odmówił wyznaczenia na następcę gen. Sosnkowskiego, gdyż ten daleko poszedł w kompromisie i ustępstwach.

Dnia 8 czerwca przeczytałem na konferencji prasowej oświadczenie Prezydenta, w którym odwołuje on własną zapowiedź ustąpienia w dniu 9 czerwca 1954 r. a to dlatego, że musi dokonać wyznaczenia swego następcy bez nacisku z jakiejkolwiek strony.

BERG, BERG, BERG !

Tak jak przedtem pisałem : Kraj, Kraj, Kraj, tak obecnie piszę : Berg, Berg, Berg i te dwa hasła łączą się najściślej z sobą.

Wyraz Berg oznacza bowiem politykę pewnych stronnictw zupełnie odmienną od tej, którą wyznaję. Berg to system polityczny, przy którym pewne stronnictwa polityczne uważały za możliwe i stosowne wydzierżawiać swoje firmy polityczne pewnym wywiadom obcym. System ten nie tylko naraża kraj na wielkie niebezpieczeństwa, ale uniemożliwia rządowi, który by był oparty na współpracy z tymi stronnictwami, jakiekolwiek

poważne zabieranie głosu wobec mocarstw zachodnich imieniem kraju.

Nie można przecież być jednocześnie łapsem używanym do posług szpiegostwa wojennego i reprezentantem interesów swego kraju i swego narodu.

Mój poprzednik, rząd p. Hryniewskiego, złożył do Sądu Obywatelskiego w Londynie akt oskarżenia przeciwko szeregowi bardzo wybitnych polityków z Rady Politycznej o udział w aferze szpiegowskiej. Nie wiem czy ci politycy nie odmówią stanięcia przed Sądem Obywatelskim, bo zdaje się, że nie wiele posiadają do powiedzenia w swej obronie. Niezależnie jednak od ich decyzji, mój rząd będzie najenergiczniej dążył do wyświetlenia tej sprawy.

AMERYKA

Oczywiście, że mój jak najenergiczniejszy sprzeciw, aby polskie partie polityczne występowały w roli handlarzy śmiercią w różnych organizacjach szpiegowskich, nie ma nic wspólnego z polityką rządu na emigracji wobec Stanów Zjednoczonych. Od Ameryki i jedynie od Ameryki spodziewamy się naszego wyzwolenia. Toteż w obecnej chwili powinniśmy politykę polską jak najbardziej dostosowywać do trudnej roli dyplomacji amerykańskiej w Europie. Ale mam nadzieję, że politycy amerykańscy powinni zrozumieć, że gotów jestem być kontrahentem, nie mogę być agentem. To drugie wyklucza, to pierwsze.

SPRAWA NASTĘPCY PREZYDENTA

Po zapowiedzeniu na konferencji prasowej, że oczyszczenie życia politycznego polskiego na emigracji, od handlarzy śmiercią będę uważał za pierwszy obowiązek rządu, od razu przystąpiłem do załatwienia sprawy Następcy Prezydenta.

W tym celu odbyłem w piątek 11 czerwca, sobotę 12 czerwca i poniedziałek 14 czerwca dłuższe konferencje z generałem Andersem.

W tych dniach różne wiece i zgromadzenia uchwalały różne rezolucje, że kadencja Prezydenta Zaleskiego już się skończyła, motywując to prawniczo w sposób najzupełniej bzdurny. Między innymi z takimi argumentami pseudo-konstytucyjnymi wystąpił marszałek Senatu p. Bogusław Miedziński, którego zawsze uważałem za człowieka pierwszorzędnie inteligentnego. Zdaje się, że przez krótki czas p. Miedziński stał się rycerzem niezłomnym dla endeków i socjalistów, chociaż dotychczas nie miał miru w tych ugrupowaniach.

Konferencje z gen. Andersem, któremu proponowałem następstwo miały wiele stron dodatnich.

Generał Anders odcinał się w nich od wszystkich anty-

konstytucyjnych wystąpień, aczkolwiek potępiał odwołanie przez Prezydenta aktu z 16 maja 1953 roku. Generał Anders godził się być następcą, godził się na to, że z okazji wyznaczenia następcą, będą przez Prezydenta i przez niego wygłoszone przemówienia, według projektów, które opracowałem, a w których Prezydent wypowiada motywy, które kierowały jego polityką; godził się wreszcie na pewien, krótki czasokres pomiędzy wyznaczeniem go na Następcę Prezydenta, a przekazaniem mu władzy.

Ze swej strony proponowałem, aby ten czasokres trwał trzy miesiące.

Kwestia czasokresu stała się przyczyną zerwania czy też przerwania rokowań w dniu 15 czerwca popołudniu.

Jeden z wybitnych polityków, związanych sympatiami z Radą Polityczną, a wtajemniczony w treść rokowań zapytał się mnie dość naiwnie:

— A jakie Pan daje gwarancje, że przez ten trzymiesięczny czasokres nie będzie poruszał pan sprawy Bergu?

— Żadnych, odpowiedziałem.

INNI KANDYDACI

Wobec przerwy w rozmowach z generałem Andersem zaczęto mówić o innych kandydatach.

Pewna grupa osób, z posłem Jóźwiakiem na czele, wysunęła kandydaturę gen. Hallera.

Odżyła kandydatura gen. Sosnkowskiego zwłaszcza, gdy doszły wiadomości, że gen. Sosnkowski odcina się od projektów niekonstytucyjnego załatwienia obecnego kryzysu.

Co do mnie osobiście, to najchętniej bym widział wyznaczenie następcą jakiegoś wybitnego człowieka, który by przyjechał z kraju. Podkreśliłoby to ten fakt, że Prezydentura Rzeczypospolitej nie jest w dyspozycji emigracji polskiej, lecz jest naszym konstytucyjnym urzędem, reprezentującym wszystkich Polaków i ogół obywateli polskich.

Ale sprowadzenie takiej osobistości z kraju, o której nawet konkretnie myślałem, w sposób legalny, jest oczywiście niemożliwe, a kandydat na Prezydenta nie może być wykradany za pomocą „bergowych" chwytów.

W chwili, w której to piszę, ważna sprawa Następstwa nie jest jeszcze rozstrzygnięta, być może będzie inaczej w chwili, kiedy ten artykuł będzie drukowany.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Pisałem dotychczas o kraju i Bergu, jako o dwóch tematach łącznych. Krajowi trzeba służyć, nie wolno z niego pić krwi, w postaci narażania go na niebezpieczeństwa amatorsko orga-

nizowanych dostaw szpiegowskich. To jakaś polityka istotnie godna upiorów.

Ale oczywiście w tej służbie Krajowi trzeba mieć realny program polityczny. Krytykowałem często różne sztubackie pomysły naszej pseudo-polityki, różne ,,międzymorza'' i tego rodzaju naiwności. Od dwóch tygodni poznałem trochę akt naszego ministerstwa spraw zagranicznych. Wydaje mi się, że możliwości realnej polityki zagranicznej rządu na emigracji są wprost ogromne, znacznie większe niż przypuszczałem.

Ale emigracja polska od siedmiu lat zajmuje się przecież tylko jedną sprawą, a mianowicie wypędzaniem swego Prezydenta, jednocześnie ciągle przyznając, że jest to człowiek najodpowiedniejszy i najbardziej przygotowany do roli Prezydenta.

Toteż o polityce zagranicznej pisać nie będę, bo nie wiem, czy w chwili, kiedy artykuł dojdzie do rąk czytelników lipcowego zeszytu ,,Kultury'' będę jeszcze premierem i kierownikiem ministerstwa spraw zagranicznych na emigracji.

Stanisław MACKIEWICZ

Kronika angielska

ZAMACH CZERWCOWY

Podziemie.

Na drugi dzień po podpisaniu Aktu Zjednoczenia opozycja zeszła w podziemie. Londyn jest zarzucony anty-zjednoczeniowymi broszurami, ulotkami, drukami. Walka podziemna jest wygodną taktyką ponieważ prowadzona jest anonimowo a autorzy anty-zjednoczeniowej literatury kryją się pod bezpieczną maską pseudonimów. Jest coś obrzydliwego w tym widowisku.

W okresie kiedy toczyły się rozmowy, panowie którzy dziś pod najdzikszymi pseudonimami rozsyłają anty-zjednoczeniowe broszury, mieli możność przedstawić swe zarzuty publicznie, a jeżeli nie godzili się z decyzją swych stronnictw czy ugrupowań, które podpisały Akt Zjednoczenia winni byli demonstracyjnie swoje partie opuścić.

P. St. Mackiewicz napisał szeroko kolportowaną broszurę pt. ,,O sąd obywatelski nad handlarzami śmierci". Klub Ziem Wschodnich wraz z tymi ,,handlarzami śmierci" podpisał Akt Zjednoczenia. O ile mi jednak wiadomo p. St. Mackiewicz nie wystąpił z Klubu Ziem Wschodnich w celu zademonstrowania, że nie godzi się z decyzją swojego ugrupowania.

Również p. J. Kuncewicz, który walczył do upadłego przeciw Akto-

wi Zjednoczenia w chwili gdy jego stronnictwo podpisało ów Akt — nie wystąpił z jego szeregów.

Jak mogli przedstawiciele stronnictw, które wchodziły w skład byłej Rady Narodowej, wysuwając tak poważne i istotne zastrzeżenia odnośnie treści Aktu — z własnej i nieprzymuszonej woli ów Akt podpisać ? Panowie Pragier, Kuncewicz i St. Mackiewicz zostali skompromitowani decyzjami ich własnych stronnictw, które nie bacząc na opinie tych luminarzy przystąpiły do ,,nowej Targowicy". Ponieważ ci panowie nie wystąpili ze swych ugrupowań i stronnictw należałoby wnioskować, że poddali się kornie decyzjom powziętym przez ich partie i w konsekwencji stoją dziś na stanowisku Aktu Zjednoczenia. Dla polityka istnieje bowiem w takiej sytuacji tylko jedno przyzwoite wyjście : albo poddać się decyzji swojej partii i przyjąć związane z tym konsekwencje — albo z partii wystąpić.

Moralna postawa przeciwników Zjednoczenia byłaby dziś zupełnie inna, gdyby Klub Ziem Wschodnich, S. L. ,,Wolność" i Związek Socjalistów Polskich — odmówiły podpisania Aktu Zjednoczenia. Jeżeli przywódcy tych ugrupowań zostali przegłosowani, powinni byli demonstracyjnie swoje partie opuścić następnego dnia po podpisaniu Aktu Zjednoczenia i podać do publicznej wiadomości motywy swej decyzji. Brakło im jednak zarówno odwagi cywilnej jak i wyrobienia politycznego.

Sedno sprawy.

Sednem sprawy jest Skarb Narodowy. — Podczas gdy Rada Polityczna żyła z pieniędzy pochodzących z obcych źródeł — woła anonimowy wróg zjednoczenia — stronnictwa Rady Narodowej zorganizowały Skarb Narodowy. I teraz wpływem na tę instytucję trzeba się będzie podzielić po połowie ze stronnictwami Rady Politycznej.

Ideałem ,,grupy zamkowej" była polityczna i finansowa samowystarczalność. Skarb Narodowy, który przynosi dziś około 40 tysięcy funtów rocznie — umożliwia finansowanie miniaturowego ,,państwa na emigracji". Grupa ,,zamkowa" ani nie życzyła sobie, ani nigdy nie dążyła do porozumienia z Radą Polityczną. Projektowano natomiast powołanie Rady Rzeczypospolitej, w skład której weszłyby stronnictwa pro-rządowe oraz radni z wyborów. Innymi słowy, cała rekonstrukcja odbyłaby się znów z wyłączeniem stronnictw Rady Politycznej.

Obiektywnie należy stwierdzić, że plan ten miał wszelkie szanse powodzenia. Hasło wyborów jest popularne i Rada R. P. w której zasiedliby radni pochodzący z wyborów skupiłaby na sobie znacznie więcej uwagi społeczeństwa emigracyjnego niż drewniana, mianowana Rada Narodowa. W ten sposób Skarb Narodowy zostałby uratowany a grupa ,,zamkowa" nie musiałaby się z nikim dzielić wpływami i władzą. Wybory przeprowadzone przez rząd byłyby oczywiście zbojkotowane przez tych, którzy są związani z Radą Polityczną czy z p. Mikołajczykiem. W praktyce można więc było uznać za pewne, że do Rady R.P. z wyborów wejdą wyłącznie zwolennicy rządu i ,,zamku".

Dlaczego ów plan upadł ?

Piłsudczycy górują często doświadczeniem administracyjnym nad innymi ugrupowaniami, które przez długie okresy odsunięte były od udziału w rządach. Równocześnie jednak są politycznie jałowi i nie potrafili wykry-

stalizować programu, który by umożliwił zastąpienie lojalności wobec „leader'a" lojalnością wobec ruchu.

Przegrana grupy „zamkowej" odbyła się na tym tle. Liga Niepodległości z Dr Grażyńskim na czele opowiedziała się za generałem Sosnkowskim widząc w nim najwybitniejszego piłsudczyka z współcześnie żyjących. Właściwie powyższa decyzja Ligi przesądziła o wszystkim. Taki rozwój sytuacji rozpatrywany z perspektywy „zamku" oznaczał w praktyce przejście Ligi Niepodległości, a więc czołowego pro-rządowego ugrupowania do ...opozycji.

Ci nieliczni piłsudczycy „zamkowi", którzy w ulotkach i broszurach potępiają generała Sosnkowskiego nawołując swych kolegów by... „oszukani i zdradzeni stanęli przy tym, który jest uosobieniem majestatu Rzeczypospolitej" — wykazują rozbrajający brak znajomości własnego obozu politycznego. Piłsudczycy są ugrupowaniem ideowo-autorytatywnym i szli zawsze za wodzem — bywało przeciw legalizmowi. Rozłam dokonał się nie na płaszczyźnie programowej lecz personalnej. Liga Niepodległości poszła za wodzem.

Stronnictwa, które wraz z Ligą Niepodległości wchodziły w skład dawnej Rady Narodowej wykazały w tej sprawie zupełną bezradność. Bezradność i dezorientację wprost niewiarygodną. Weźmy przykład pierwszej z brzegu. 31 marca br. PPS wydała okólnik, w którym powiedziano, że PPS od czerwca 1947 r. nie uznaje p. Zaleskiego jako prezydenta i nie uzna jakichkolwiek dokumentów przez niego podpisanych. Dosłownie następnego dnia, to jest 1 kwietnia p. Pragier imieniem Związku Socjalistów Polskich zgłosił akces do Zjednoczenia. Identycznie postąpili p. Kuncewicz i St. Mackiewicz. Obecnie w broszurach i ulotkach stanowisko P.P.S. określa się jako „zamach stanu na osobę prezydenta" — dodając patetycznie a kłamliwie, że „do dziś dnia nie wiadomo jak do tej skandalicznej sprawy ustosunkowały się stronnictwa Rady Narodowej".

Owszem — wiadomo doskonale jak się do tej „skandalicznej sprawy" ustosunkowały stronnictwa Rady Narodowej. Ustosunkowały się jak najbardziej pozytywnie bo z opóźnieniem wprawdzie, ale przecież złożyły podpisy pod Aktem Zjednoczenia.

W Radzie Narodowej, która była nieustającą akademią rocznicową łatwo było wygłaszać podniosłe i nudne przemówienia. W chwili jednak gdy Rada Narodowa zamknęła swe podwoje i nastąpił okres, który w porównaniu z poprzednim bezruchem można nazwać okresem pewnej gry sił — stronnictwa Rady Narodowej (osierocone przez Ligę Niepodległości) wykazały już nie brak wszelkiego temperamentu politycznego, ale brak prymitywnego rozeznania w sytuacji.

Wszyscy wszystko unisono podpisali i dopiero po upływie kilku tygodni zrozumieli co podpisali. Zaczęła się gwałtowna kampania by odrobić „katastrofę" i wymusić na Prezydencie przedłużenie kadencji.

Mimo, że osobiście nie jestem entuzjastą Aktu Zjednoczenia, który ma liczne i poważne usterki — jestem za zjednoczeniem. Rozumiałem jednak w pełni zastrzeżenia wysuwane przez przeciwników tej koncepcji. Ale wszystkie te argumenty miałyby tylko wówczas jakiś sens i walor polityczny, gdyby trzy „oporne" stronnictwa Aktu Zjednoczenia *nie* podpisały. Z chwilą gdy Akt podpisano opozycja przestała być opozycją a stała się dywersją zmierzającą do obalenia Zjednoczenia metodami anty-konstytucyjnymi i anty-legalnymi.

Sednem całej sprawy — jak zaznaczyliśmy — jest Skarb Narodowy. Państwo na emigracji nie jest związkiem mistycznym — jak to wielu sądzi — lecz jest firmą Limited z dochodem idącym w dziesiątki tysięcy funtów rocznie. Zjednoczenie rozpatrywane pod tym realistycznym kątem widzenia oznacza zmianę „board of directors" tej instytucji. Grupa „zamkowa" — wśród której nie brak ludzi wielce zasłużonych dla Skarbu Narodowego — nie mogła się pogodzić z myślą, że w razie zjednoczenia trzeba będzie książeczki czekowe i prawo podpisu przekazać innym osobom.

Prezydent Zaleski w pierwszych dniach czerwca uznał Akt Zjednoczenia za niezgodny z Konstytucją mimo, że główne postanowienia Aktu były znane od lipca ubiegłego roku było więc jedenaście miesięcy czasu na stwierdzenie jego zgodności z Konstytucją. Prezydent Zaleski otrzymał podpisany egzemplarz Aktu Zjednoczenia w dniu 15 marca br. i ani w marcu, ani w kwietniu, ani w maju nie uważał go za sprzeczny z Konstytucją. Przecież wyraźnie oświadczył, że „postępująca realizacja Zjednoczenia umożliwi mu wyznaczenie generała Sosnkowskiego na następcę prezydenta". W tym okresie prezydent Zaleski zamierzał sam podpisać dekrety o powołaniu Rady Jedności Narodowej co jest również dowodem, że Akt Zjednoczenia uważał wówczas za zgodny z Konstytucją. Wobec takiego stanowiska Prezydenta rząd p. Hryniewskiego zaproponował, by w tym samym numerze „Dziennika Ustaw R.P." ogłoszono dwa dekrety : o powołaniu i składzie Rady Jedności Narodowej oraz akt wyznaczający następcę Prezydenta R.P.

Komisja porozumiewawcza stronnictw nie wyraziła sprzeciwu w tej sprawie. Rząd p. J. Hryniewskiego przedłożył odpowiednie dekrety w dniu 7 maja. Prezydent Zaleski oświadczył jednak, że ich nie podpisze.

W tym momencie nastąpił zwrot. Skrajne skrzydło grupy „zamkowej" wywarło nacisk na p. Zaleskiego i widocznie zdołało go przekonać. Rząd p. Hryniewskiego, który składał się również ze zwolenników Prezydenta, ale o bardziej umiarkowanym temperamencie — podał się do dymisji. Ster legalnego ośrodka ujęli w swe ręce nieprzejednani wrogowie zjednoczenia pp. Pragier, St. Mackiewicz, Kauzik-Modrzewski i J. Kuncewicz, którego telegraficznie ściągnięto z Paryża. Premierem i ministrem spraw zagranicznych został p. St. Mackiewicz, który na łamach detroickiego „Dziennika Polskiego" proponował na następcę prezydenta p. Statysa Łozorajtisa...

Grupa „zamkowa" wmanewrowała prezydenta Zaleskiego w sytuację bez wyjścia. Prezydent nie mógł ustąpić 9 czerwca z tej prostej przyczyny, że nie mógł znaleźć następcy. Trzeba było bowiem znaleźć następcę, który by zobowiązał się, że po przejęciu urzędu nie zrezygnuje na rzecz generała Sosnkowskiego. Konsultowano wiele osobistości zarówno tu jak i na kontynencie. Ale nie znaleziono kandydata, który by zechciał dać gwarancję, że będzie trwał na urzędzie prezydenta wbrew woli i opinii społeczeństwa.

Dobrodziej p. Mikołajczyka.

Kryzys czerwcowy jest wydarzeniem, które kompromituje nas zarówno wobec obcych jak i wobec Kraju. Jedynym politykiem dla którego skandal czerwcowy jest czystym zyskiem jest p. Mikołajczyk.

Według naszych informacji był moment kiedy w komitecie p. Mikołajczyka zapanowała panika. Gdyby bowiem 9 czerwca prezydentem został generał Sosnkowski, gdyby zrealizowano Akt Zjednoczenia i powołano

Radę Jedności Narodowej — komitet p. Mikołajczyka znalazłby się vis-à-vis reprezentacji politycznej, która jednoczyłaby wszystkie bez wyjątku polskie partie i ugrupowania polityczne. Wówczas byłoby oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że jeżeli ktoś na emigracji ma tytuł do reprezentowania Kraju to rzecz prosta Rada Jedności Narodowej jednocząca ogół niepodległościowej emigracji a nie p. Mikołajczyk. W komitecie p. Mikołajczyka zdawano sobie sprawę, że Amerykanie — wcześniej czy później — z takiego rozwoju wypadków wyciągnęliby odpowiednie wnioski. Nie oznacza to, że uznaliby Radę Jedności Narodowej czy rząd o nią oparty — za legalny rząd polski. W najbliższym okresie nikt tego nie przewidywał. Amerykanie musieliby natomiast stwierdzić, że reprezentatywność komitetu p. Mikołajczyka w porównaniu z reprezentatywnością R.J.N. — jest więcej niż wątpliwa. Być może doszliby również do wniosku, że w takiej sytuacji finansowanie ugrupowania p. Mikołajczyka jest przedsięwzięciem politycznie nieopłacalnym. Tak czy inaczej w obliczu Rady Jedności Narodowej komitet p. Mikołajczyka zmalałby politycznie i skurczył się do swych właściwych rozmiarów.

Nic też dziwnego, że w komitecie śledzono przebieg czerwcowego skandalu z zapartym tchem. P. Mikołajczykowi od czasu jak po raz drugi pojawił się na emigracji nikt nie wyświadczył tak olbrzymiej usługi jak p. August Zaleski w dniu 9 czerwca br. P. Zaleski nie tylko odwrócił klęskę grożącą P.N.K.D. — lecz niepomiernie wzmocnił pozycję p. Mikołajczyka, który — sądzić należy — potrafi to zdyskontować.

Wnioski.

Kryzys spowodowany decyzją prezydenta Zaleskiego ma charakter konstytucyjny, moralny i polityczny. W dniu 11 czerwca br. Komisja Porozumiewawcza stronnictw wydała komunikat w którym powiedziano m. inn.:

,,Komisja Porozumiewawcza stwierdza, że dnia 9 czerwca 1954 roku skończyła się kadencja p. A. Zaleskiego na urzędzie Prezydenta Rzeczypospolitej. W ciągu pełnych siedmiu lat swojego urzędowania prezydent Załeski nie wyznaczył następcy w sposób prawem przepisany, łamiąc Konstytucję, którą zaprzysiągł stosować".

Innymi słowy stronnictwa podpisane pod Aktem Zjednoczenia, to znaczy wszystkie polskie niepodległościowe stronnictwa polityczne i ugrupowania — przestały uznawać p. A. Zaleskiego za prezydenta R.P. z dniem 9 czerwca br. Co więcej oskarżają go o złamanie Konstytucji.

Nie jest moim zamiarem na tym miejscu analizować problemy konstytucyjne, tym mniej moralne, związane z obecnym kryzysem — chciałbym natomiast wysunąć pewne sugestie praktyczne.

W chwili obecnej tak zwany ośrodek ,,legalny" składa się z kilku panów, którzy nie reprezentują niczego i nikogo a symbolizują natomiast warcholstwo i bezsens. Byłoby rzeczą absurdalną by ci panowie odcięci od społeczeństwa emigracyjnego i pełniący swe funkcje wbrew woli ogółu mieli dysponować Skarbem Narodowym.

Jeżeli więc obecny kryzys miałby się przedłużać należałoby zaapelować do kierowników komisji Skarbu Narodowego w poszczególnych krajach by zamrozili konta Skarbu Narodowego i odmówili przekazywania pieniędzy do centrali w Londynie.

Zbiórka na cele Skarbu Narodowego winna być prowadzona nadal lecz należy odmówić prawa dysponowania pieniądzem publicznym ludziom, którzy doprowadzili polską politykę emigracyjną do całkowitego bankructwa.

LONDYŃCZYK

Spóźniona wolność dla Azji

W ostatnim numerze „Foreign Affairs" (kwiecień 1954) ukazał się artykuł sekretarza stanu J. Foster Dulles'a pt. „Polityka bezpieczeństwa i pokoju". Równo trzy lata temu w numerze kwietniowym z roku 1951 na łamach tegoż kwartalnika George F. Kennan sprecyzował zasady polityki „containment".

W rzeczywistości jednak polityka „containment" liczy już sobie siedem lat, gdyż słynny artykuł Kennana (podpisany pseudonimem „X") ukazał się w lipcowym zeszycie (z roku 1947) „Foreign Affairs".

Gdy Kennan ogłosił swój pierwszy artykuł o polityce „hamowania" — nie było na świecie bomby wodorowej. Przed kilku tygodniami amerykański minister lotnictwa, Harold Tallbott, stwierdził, że jeden nowoczesny samolot z załogą złożoną z trzech ludzi, może zrzucić bomby, których siła niszcząca byłaby trzy razy większa od siły niszczącej wszystkich samolotów połączonego lotnictwa brytyjskiego i amerykańskiego z okresu drugiej wojny światowej.

Ów „jeden nowoczesny samolot o załodze złożonej z trzech lotników" nie jest bynajmniej monopolem amerykańskim i należy wnioskować, że ocena siły niszczącej podana przez ministra Tallbotta w zbliżonej mierze odnosi się również do lotnictwa sowieckiego.

Znakomity rozwój fizyki atomowej, który w rezultacie dał nam bomby o sile niszczycielskiej przekraczającej najśmielsze marzenia generałów wszystkich epok — stał się również źródłem politycznej teorii „odstraszenia".

Teoria „odstraszenia" nie jest skomplikowaną konstrukcją myślową. Zwolennicy jej wychodzą z założenia, że potencjalny agresor nie zaatakuje jeżeli będzie wiedział, iż spotka się z akcją odwetową w niewiadomym czasie i w niewiadomym miejscu. Szkody spowodowane ową akcją odwetową — daje się do zrozumienia — byłyby niepomiernie większe niż ewentualne korzyści związane z agresją. Innymi słowy polityka „odstraszenia" ma na celu uczynić agresję przedsięwzięciem nieopłacalnym.

W praktyce wszystko to jednak wygląda nieco inaczej. Sekretarz stanu Foster Dulles w cytowanym artykule pisze bowiem

wyraźnie : ,,(polityka ,,odstraszenia'') nie oznacza, że jeżeli komuniści podejmą atak gdzieś w Azji, bomby atomowe czy wodorowe muszą koniecznie spaść na wielkie skupienia przemysłów w Chinach czy w Rosji''.

W autorytatywnej interpretacji ministra Dullesa polityki ,,odstraszenia'' nie należy rozumieć w ten sposób, że każda nowa agresja spowoduje automatycznie akcję odwetową w miejscu i w czasie wybranym przez sztab główny Stanów Zjednoczonych.

Polityka ,,odstraszenia'' sformułowana z całą logiczną bezwzględnością równałaby się stale obowiązującemu ultimatum pod adresem Sowietów. Komuniści wiedzieliby wówczas, że epoka ,,wojen lokalnych'' dobiegła kresu. Przyjąć można niemal za rzecz pewną, że tak sformułowana polityka ,,odstraszenia'' na długi okres czasu zagwarantowałaby państwom Zachodu pokój, gdyż wszystkie dostępne informacje wskazują, że Sowiety nie życzą sobie konfliktu w skali światowej.

Niemniej z wielu przyczyn nie było rzeczą możliwą polityki ,,odstraszenia'' sformułować logicznie i konsekwentnie. Słowo ,,odwet'' wprowadza w panikę sprzymierzeńców Ameryki, którzy w każdej akcji tego typu widzą przede wszystkim ryzyko ,,rozszerzenia'' konfliktu i groźbę dla pokoju. Automatyczna akcja odwetowa wyłączałaby miesiącami trwające negocjacje — co jest dostateczną przyczyną by sprzymierzeńcy Ameryki z góry potępili ten typ polityki.

Lecz w gruncie rzeczy to są wszystko przyczyny wtórne. Polityka ,,odstraszenia'' nie mogła być sformułowana inaczej w przeciwnym bowiem wypadku nie mieściłaby się w ramach ,,containment''. Polityka ,,hamowania'' jest wyrazem współczesnej mentalności społeczeństw Zachodu i dlatego żadna inna polityka nie jest w tej chwili do pomyślenia.

Z teoretycznego punktu widzenia bomba wodorowa niewątpliwie stwarza możliwość prowadzenia konsekwentnej polityki ,,odstraszenia'' w skali światowej. Groza wojny wodorowej mogłaby być politycznie wykorzystana dla pokojowego utrwalenia obecnego układu światowego na czas nieokreślony.

Są zapewne politycy, którzy sądzą, że umiejętne polityczne wygranie broni wodorowej umożliwiłoby — być może — realizację pewnych postulatów polityki ,,wyzwolenia''. Osobiście nie idę już tak daleko. Nie można wykluczyć, że Rosja czuje się tak potężna, iż nie wycofałaby się z Europy wschodniej czy skądkolwiek indziej nawet pod groźbą ,,wodorową''. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że na czas nieokreślony zrezygnowałaby z dalszych podbojów, gdyby każda następna agresja pociągała automatycznie odwet ,,atomowy''. Było rzeczą całkowicie realną politycznie ,,zamrozić'' obecny stan rzeczy a tym samym zagwarantować pokój na czas jednego a może dwóch pokoleń.

Tak jednak nie stało się.

Nadanie reklamiarskiego rozgłosu doświadczalnym wybuchom wodorowym na Pacyfiku, apokaliptyczne oświadczenia

w rodzaju deklaracji ministra Tallbotta itp. — były największym błędem w „wojnie psychologicznej" jaki popełnili Amerykanie od roku 1947.

Słowo „wojna" przestało być na Zachodzie terminem strategiczno-politycznym, przestało być symbolem ludzkiego wysiłku, cierpienia i zwycięstwa, a stało się synonimem kosmicznej katastrofy, zbiorowego samobójstwa ludzkości i końca świata.

Rozpętana przez amerykański aparat prasowo-filmowo-propagandowy wodorowa psychoza stała się manną z nieba dla gentlemenów zainteresowanych w sukcesach sowieckiej kampanii pokojowej. Koniunkturę wykorzystano niezmiernie umiejętnie. Wydobyto na stół — moralność, religię, naukę, etykę — w antywodorowy rydwan wprzągnięto biskupów, profesorów, pisarzy, polityków. Posypały się listy pasterskie, orędzia, deklaracje, uchwały, artykuły, audycje radiowe. Stworzono umiejętnie i fachowo nowe socjalne „tabu".

Interesującą rzeczą byłoby wiedzieć, czy amerykańscy specjaliści studiowali ów proces montowania „tabu" wodorowego w opinii społeczeństw zachodniej Europy. W moim przekonaniu to było swojego rodzaju „arcydzieło" taktyki w wojnie psychologicznej. Amerykanie jeżeli obserwowali dokładnie tę operację mogli wiele nauczyć się od swoich przeciwników.

Nie jestem fizykiem atomowym i nie wiem czy zrzucenie w punkcie „N" stu bomb wodorowych spowodowałoby katastrofę, która położyłaby kres niespokojnemu zjawisku, które nazywamy „życiem".

Natomiast jako publicysta mogę stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że narodziny bomby wodorowej Sowiety wygrały politycznie na swoją korzyść. Dziś bowiem bomba wodorowa rozpatrywana z perspektywy Zachodu nie jest zagadnieniem ani militarnym, ani taktycznym, ani politycznym. Jest otwartym problemem etyki i moralności a tym samym jest zagadnieniem ponad-politycznym. Ten proces „pacyfikacji" jest w pewnej mierze równoznaczny z wyjęciem spod prawa, co w konsekwencji odbiera bombie wodorowej statut narzędzia militarnego.

Na marginesie następująca uwaga : Nie formułuję w tym artykule mojego prywatnego poglądu na moralny aspekt broni atomowych. Ograniczam się do analizy stanu faktycznego.

Z politycznego punktu widzenia należy stwierdzić, że „fellow-travellers'om" w pewnej mierze powiodło się stworzyć „moralny front ludowy" w sprawie bomby wodorowej. Ci panowie starają się wykazać, że „H-bomb" jest moralnym zagadnieniem ogólno-ludzkim, zagadnieniem o tak olbrzymiej doniosłości, że w obliczu tego problemu nikną różnice polityczne, partyjne czy narodowe.

Otóż to nie jest prawda. Bomba wodorowa nie jest moralnym zagadnieniem ogólnoludzkim. Bomba wodorowa jest wyłącznie moralnym zagadnieniem Zachodu. Z punktu widzenia etyki

marksistowskiej Sowiety będą w pełni moralnie uprawnione do użycia bomb wodorowych, jeżeli krok taki okaże się politycznie celowy. Po drugiej stronie ,,żelaznej kurtyny'' problem ten nie jest w ogóle problemem. Zagadnienie istnieje tylko po tej stronie barykady i komuniści i ,,współ-pasażerowie'' starają się mu nadać aspekt dogodny dla zamierzeń polityki sowieckiej.

Operacja ,,pacyfikacji'' bomby wodorowej na Zachodzie dała Sowietom ogromne korzyści. W pierwszym rzędzie politykę ,,odstraszenia'' odarto z wszelkiego realizmu. Przy obecnie panujących nastrojach uznać należy za pewne, że Stany Zjednoczone nie zdecydowałyby się na odwetowe bombardowania okręgów przemysłowych Chin nawet wówczas, gdyby armie chińskie otwarcie wystąpiły w Indochinach. Równocześnie jednak bomba wodorowa jest bezpośrednią przyczyną redukcji amerykańskich sił lądowych i budżetu zbrojeniowego, który z 50 bilionów dolarów w roku 1953 skurczył się do 45 bilionów dolarów w roku 1954-1955. Jeżeli politykę ,,odstraszenia'' stosuje się tylko w stosunku do własnego budżetu wojskowego a na zewnątrz uprawia się nadal politykę ,,containment'' — to w rezultacie może się okazać, że obecnie przeprowadzana redukcja sił lądowych utrudni utrzymanie Indochin w chwili, gdy pomoc wojskowa stanie się tam nieodzowna. Ponieważ polityka ,,odstraszenia'' jest, jak dotąd, czysto papierową formacją redukowanie ,,konwencjonalnych'' sił lądowych było krokiem co najmniej przedwczesnym.

Oceniając koncepcję polityczną czy to będzie ,,containment'' czy ,,odstraszenie'' należy przede wszystkim zadać podstawowe pytanie : w jakim stopniu dana koncepcja jest odpowiedzią na politykę przeciwnika ?

Sowiety w obecnym okresie stosują metodę ,,wojen lokalnych''. To jest taktyka dobrze dostosowana do warunków azjatyckich. Ten typ ekspansji dyktowany jest również geopolityczną sytuacją bloku komunistycznego, który graniczy z około dwudziestu krajami na obwodzie liczącym 20 tysięcy mil.

Polityka ,,containment'' ignoruje geopolitykę. ,,Hamowanie'' miało polegać na budowaniu ,,ognisk siły i oporu'' w punktach zagrożonych agresją. Ponieważ polityka ,,hamowania'' jest koncepcją czysto defensywną, oczywiście każdą agresję czy to na Korei czy w Indochinach — traktowano jako ,,wojnę lokalną''.

Imperium, którego granice wynoszą 20 tysięcy mil, nie można otoczyć chińskim murem. Nie można również wzdłuż 20 tysięcy mil budować ,,ognisk siły i oporu'', gdyż przekracza to możliwości zarówno Stanów Zjednoczonych jak i ich sprzymierzeńców. Jedyną odpowiedzią na taktykę Sowietów (które każdej chwili mogą uderzyć w kilku punktach odległych od siebie o tysiące mil) — jest zerwanie z zasadą ,,lokalną'' i zagrożenie odwetem w miejscu wybranym przez Stany Zjednoczone.

Tak zdefiniowana polityka ,,odstraszenia'' stanowiłaby odwrót od tradycji ,,containment'' i w praktyce uniemożliwiono by Sowietom parcelowanie Azji metodą wojen lokalnych.

Na tym realistycznym tle należy rozpatrywać „burzę moralną" wokół bomby wodorowej. Krucjata anty-wodorowa zmierza w rzeczywistości tylko do jednego celu a mianowicie do *uratowania polityki „containment"*, którą James Burnham trafnie nazwał formułą zwycięstwa Sowietów.

◆

Na ogół na Zachodzie nie zdajemy sobie sprawy z faktu, że Vietnamczycy są pierwszym narodem azjatyckim, którego nacjonalizm dojrzał pod przywództwem komunistycznym. I dlatego ich problem jest klasyczny i skupia na sobie uwagę wszystkich ludów Azji.

W roku 1918 w małym zakładzie fotograficznym, w paryskiej dzielnicy Batignolles, pracował jako laborant młody Vietnamczyk o skomplikowanym nazwisku Nguyen-Ai-Quoc. Ów młody człowiek był aktywnym socjalistą i w roku następnym zwrócił na siebie uwagę jako autor memoriału w sprawie Indochin, który przedłożył konferencji pokojowej w Wersalu.

Czegóż się domagał ten paryski fotograf dla Indochin?

Jego żądania były bardzo skromne. Ai-Quoc domagał się bowiem wolności słowa, prawa zakładania stowarzyszeń i proponował, by przy parlamencie francuskim stworzyć stałą reprezentację indochińską.

Jakże łatwo można było wówczas zaspokoić żądania vietnamskiego fotografa, który dziś znany jest całemu światu pod nazwiskiem Ho-Chi-Minh — co oznacza „Ten, który oświeca". Od roku 1919 lista jego żądań niepomiernie wzrosła.

Aby postać Ho-Chi-Minh dojrzeć we właściwej perspektywie trzeba przyjrzeć się mu od strony Azji. Francuzi dławili ruch narodowy — ba, nawet teraz w roku 1954 nie zgodzili się na sugestie amerykańskie by utworzyć armie narodowego Vietnamu.

W rezultacie kolonializm i nieodłączne jego cienie — ucisk i eksploatacja — rozbudziły rewolucyjny nacjonalizm, który politycznie organizują i kształtują komuniści. Ho-Chi-Minh'a jego współrodacy nie uważają za „sługusa Moskwy" lecz za bohatera narodowego, który walczy o niepodległość swej ojczyzny. Na tym bowiem odcinku rozwoju historycznego idea niepodległości i ruch wolnościowy są cennymi sprzymierzeńcami komunizmu. Komuniści tej autentycznej nacjonalistycznej rewolucji dali swoich przywódców, dali plan, organizację, taktykę i środki.

Europejska i amerykańska myśl polityczna w swym najśmielszym wyrazie, w obliczu obecnej sytuacji w Azji — pragnie przeciwstawić komunizmowi — spóźnioną wolność i niepodległość. Tak stawia problem Victor Purcell w swej świeżo ogłoszonej książce pt. „Malaya — Communist or free".

Osobiście sądzę, że wolność i niepodległość nie stanowią już dziś nawet minimalnego programu. By zwycięsko przeciwstawić się komunizmowi na terenach Azji (gdzie w najbliższych trzech dekadach zadecyduje się los świata) — Ameryka musiałaby zaoferować coś znacznie więcej.

Cejlon jest w pełni niepodległym dominium. Niemniej co szósty mieszkaniec tej pięknej wyspy jest komunistą. Konferencja premierów azjatyckich, która przed kilku miesiącami odbyła się w Colombo, wykazała całkowitą bezradność i przygnębiający brak wizji.

Jest dziś rzeczą zupełnie oczywistą, że ludy Azji widzą w komuniźmie coś więcej niż sprzymierzeńca w walce z kolonializmem. Widzą w nim przede wszystkim ,,religię techniki'', która wiedzie do raju uprzemysłowienia. Wielu wykształconych Azjatów, którzy nie są komunistami, podziela pogląd tych radykalnie lewicowych polityków europejskich, którzy sądzą, że na terenach Azji tylko dyktatura typu komunistycznego może spowodować początkową akumulację dóbr kapitałowych, co jest warunkiem wstępnym wszelkiego uprzemysłowienia. Komunizm niesie z sobą zapowiedź rewolucji przemysłowej i plan rozwiązania arcyproblemu Azji, którym jest nie demokracja, nie wolność — lecz głód.

Patrząc z perspektywy azjatyckiej trzeba obiektywnie powiedzieć, że komunizm osiągnął wielkie sukcesy. Chiny — ten chory olbrzym Azji — stają się realną potęgą a specjaliści amerykańscy obliczają, że za trzydzieści lat Chiny będą trzecią potęgą przemysłową świata.

Niewątpliwie dziś trzeba by zapłacić bardzo wysoką cenę za uchwycenie inicjatywy w Azji. Trzeba by po prostu rewolucji, przemysłowej projektowanej przez komunizm, przeciwstawić plan rewolucji przemysłowej w wydaniu amerykańskim.

W obecnej sytuacji nie można tłumaczyć ludom Azji, że broni się je przed komunizmem i na tej podstawie rządzić w oparciu o wojsko i policję. Jeżeli Stany Zjednoczone ograniczą się tylko do obrony ,,status quo'' to ludy Azji osądzą, że Ameryka broni kolonialnego czy semi-kolonialnego porządku. Na drodze czysto wojskowej komunizm w Azji jest nie do zwalczenia. Pomoc udzielana na zbrojenia poszczególnym państwom azjatyckim — nie wystarczy.

Z jakiego punktu należałoby wyjść?

Trzeba by odpowiednią polityką przekonać ludzi, że w krajach gospodarczo zacofanych komunizm nie jest jedyną receptą na akumulację dóbr kapitałowych i podjęcie procesu uprzemysłowienia. Aby wyjść z błędnego koła propagandy, Stany Zjednoczone musiałyby wystąpić z olbrzymim, konkretnym planem gospodarczej rozbudowy Azji — powołać w tym celu nową organizację narodów azjatyckich — z nieubłaganą konsekwencją poprzeć wolnościowe dążenia narodów kolonialnych nawet wbrew polityce sojuszników Ameryki i na swej inicjatywie skupić uwagę narodów Azji.

Propagandyści, jeżdżący po Burmie czy po Indiach z ramienia takiej czy innej amerykańskiej instytucji — nie wiele zrobią. Zawodowa, zrutynizowana dyplomacja cywilna i wojskowa również nie podoła temu zadaniu.

Taki plan gospodarczy musiałby być wynikiem rozbudzonego amerykańskiego idealizmu, który by postawił sobie za cel urzeczywistnienie ekonomicznego samostanowienia dla narodów azjatyckich.

Polityka tego typu wymagałaby całkowitej rewizji stosunku do Indii i wielu innych rewolucyjnych zmian. Ale w Azji na rewolucję trzeba odpowiedzieć polityką na miarę rewolucji, bo ,,status quo" tylko w Europie oznacza bierny bezruch.

Łaskawy Czytelnik pomyśli, że jest to przecież idea fantastyczna i utopijna.

Nim się odpowie czy dany plan polityczny jest utopią trzeba wpierw zadać pytanie : kto go realizuje ?

Stalin, nim go okrzyczano największym realistą stulecia, przez wiele lat był tylko utopistą. Plany Stalina podjęte przez polityka mniejszego kalibru pozostałyby do dziś dnia papierową utopią.

Polscy i czechosłowaccy inżynierowie budują nowoczesne zakłady przemysłowe w Chinach. Czy to nie brzmi jak utopia ?



By móc zainicjować nową politykę azjatycką Stany Zjednoczone muszą w pierwszym rzędzie zatrzymać pochód komunistyczny. Polityka ,,containment" nie jest skuteczną odpowiedzią na sowiecką koncepcję wojen lokalnych. Na terenach Azji jedyną realną odpowiedzią na imperializm sowiecki jest polityka ,,odstraszenia".

Polityka ,,odstraszenia", jeżeli ma być skuteczna, nie może być uzależniona od jednomyślnej zgody wszystkich sprzymierzeńców Ameryki. Stany Zjednoczone nie będą mogły nigdy prowadzić tego typu polityki w charakterze ,,prezesa" azjatyckiego NATO. Prawdziwą politykę odstraszenia może prowadzić tylko ,,leader" a nie ,,chairman" kolektywnego ciała.

Jednomyślność w obozie sojuszniczym jest rzeczą wielkiej wagi. Ale ponieważ główny potencjał siły znajduje się w Ameryce — odpowiedzialność za losy wolnego świata w przeważającym procencie spoczywa nie na rządach sojuszników lecz na rządzie Stanów Zjednoczonych.

W Azji może powstać każdej chwili sytuacja, która będzie wymagać natychmiastowej akcji. Jeżeli Stanom Zjednoczonym nie powiedzie się uzyskać zgody sojuszników powinny podjąć interwencję w oparciu o tych, którzy będą gotowi ją poprzeć.

Solidarność nie zawsze jest atutem politycznym. Jeżeli wszyscy solidarnie popierają pogląd, że należy się cofać i powoli przygotowywać ewakuację Azji — tego rodzaju jedność jest tylko stuprocentową gwarancją katastrofy.

Politykę ,,odstraszenia" i nową politykę azjatycką Ameryka musi podjąć w dużej mierze w swoim własnym imieniu. W dniu, w którym to się stanie, Stany Zjednoczone staną się prawdziwym przywódcą wolnego świata.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Czy koniec Azji... Europejczyków

Przed rewolucją 1917 socjaliści wszystkich krajów mieli wzrok skierowany na Zachód Europy. Stamtąd, z wysoko uprzemysłowionych i postępowych krajów Zachodniej Europy, miał przyjść socjalizm, tam przede wszystkim klasa robotnicza miała wystąpić w swej historycznej roli ,,grabarza kapitalizmu''. Historia zadrwiła z marksistów : oto jedyne naprawdę samorodne i wielkie rewolucje komunistyczne zwyciężyły w Rosji i w Chinach. Ale komuniści wzięli odwet na historii : sparodiowali marksizm, tworząc metodę politycznego sukcesu, która jest mieszaniną Marxa, Clausewitza i Dżingischana. Zmienili też kierunek geograficzny rewolucyjnych dążeń socjalizmu. Lenin uczył, że droga do władzy proletariatu w Paryżu i Londynie prowadzi przez Azję. Stalin jeszcze bardziej na kierunek wschodni był nastawiony. Dziś przeżywamy dalszy etap tej polityki, która prowadzona jest z żelazną konsekwencją : komuniści szturmują Indochiny — tę bramę Południowo-Wschodniej Azji, z myślą i — w zasadzie — z szansą opanowania prędzej czy później *całej* Azji.

Zdarzenia, które się przed oczami naszymi rozwijają, są tak wielkie, że trudno całkowicie objąć i ocenić ich skutki, zwłaszcza pośrednie. Przedstawimy poniżej kilka myśli na temat skutków ewentualnego opanowania Indochin przez komunizm. Zaczniemy od omówienia skutków gospodarczych, które zresztą, oczywiście, przeplatają się z politycznymi i wraz z nimi stanowią całość życiową.

RYŻ I POLITYKA

Ryż jest podstawowym, najważniejszym artykułem wyżywienia ludów azjatyckich. Na terenie Azii koncentruje się główna część światowej produkcji ryżu. Azjatycka produkcja ryżu przekracza zapotrzebowanie Azji. Czy wobec tego wszystko jest

„w porządku"? Nie. Z różnych bowiem względów, o których nie możemy tu szczegółowo mówić, sprawa handlu ryżem między narodami azjatyckimi przedstawia się gorzej niż sprawa produkcji. Produkcja również zresztą cierpi ostatnio wskutek braku stabilizacji stosunków politycznych i niepokoju, stwarzanego przez wojnę w Indochinach. W tej sytuacji Japonia, Indie, Cejlon, Malaje i Indonezja odczuwają — w krótszych czy dłuższych okresach czasu — ujemne skutki niedostatecznego importu ryżu podczas gdy Chiny — właśnie Chiny! — są w tym względzie samowystarczalne. Prawda, że np. Indochiny mogą grać rolę eksportera nadwyżek produkcyjnych, prawda, że Sjam w jeszcze większym ewentualnie stopniu mógłby być pomocny jako eksporter tego podstawowego artykułu, ale właśnie Indochiny wiszą na włosku, właśnie Sjam może w bliskiej przyszłości stanąć wobec bezpośredniego niebezpieczeństwa. W razie dalszego niepomyślnego rozwoju sytuacji w Indochinach i dalszego posuwania się komunistów poza Indochinami — cały śpichlerz ryżowy Azji może stanąć pod znakiem zapytania, to znaczy może się wymknąć z rąk wolnego świata. W tym wypadku niejeden kraj azjatycki może znaleźć się w zasięgu nacisku komunistycznego — poprzez ryż — konieczny artykuł wyżywienia.

Na tym sprawa nie kończy się jednak. Ryż jest bowiem nie tylko „chlebem Azji", ale także kluczem do ogólnej pomyślności gospodarczej tego kontynentu. Cena ryżu ma wpływ istotny na koszta produkcji innych artykułów, zarówno pozostałej żywności, jak i materiałów surowych, produkowanych na tych obszarach. Ilość rozporządzalnego ryżu i jego cena decydują o możliwościach eksportowych, a są tam kraje, których cały byt gospodarczy jest funkcją ryżowych nadwyżek eksportowych. Np. Burma, która 90 procent swej powierzchni uprawnej przeznacza na ryż, miała po wojnie okres, w którym 80% całego jej eksportu stanowił ten artykuł : jej eksport i finanse publiczne po prostu stały na ryżu. Gdyby więc np. komuniści odcięli jakiś wolny jeszcze kraj o strukturze par excellence eksportowej, to zostałby on gospodarczo podkopany niezależnie od tego, że miał by dosyć ryżu na własne spożycie. Ten szerszy, ponad-aprowizacyjny, aspekt gospodarczy sprawy rozszerza niebezpieczeństwo ewentualnej utraty Indochin i innych krajów Południowo-Wschodniej Azji na rzecz bloku sowieckiego. Ryż jest więc wielkim czynnikiem politycznym na kontynencie azjatyckim : tym bardziej, że uprawa rolna w tych krajach nacechowana jest „monokulturą" (ryżową) i że wobec tego brak tam pola manewrowego dla stworzenia niezależności ekonomicznej i oparcia się naciskom politycznym z zewnątrz. Ryż rządzi Azją, należy więc do tych dóbr, które — w obecnej sytuacji międzynarodowej — pośrednio rządzą światem.

KAUCZUK I MALAJE

Wiadomo powszechnie jak bardzo ważnym dobrem jest kauczuk: zarówno z ekonomicznego jak i politycznego punktu widzenia. Geograficzne uplasowanie odnośnych plantacji wygląda w ten sposób, że najpoważniejsze znajdują się na Malajach i w innych krajach tej części świata. Warto więc zwrócić uwagę na następujące cyfry, charakteryzujące (w zaokrąglonych tysiącach ton) rozmiar produkcji kauczuku — jednego z największych aktywów gospodarki wolnego świata.

Producent	1949	1950	1951	1952
Malaje	671	694	605	550
Indonezja	432	693	792	675
Cejlon	89	114	105	105
Inni bez Z.S.R.R.	297	355	360	
Świat bez Z.S.R.R.	1.490	1.855	1.862	1.690
W rubryce „Inni" są — między innymi:				
Sjam		112		
Vietnam i Kambodża		48	52	60

Dane za rok 1952 *oparte są na przewidywaniu ekspertów z końca* 1951.

Z tabliczki tej widać, że Malaje i Indonezja są największymi producentami kauczuku, można też zorientować się, jaki ubytek kauczuku w gospodarce wolnego świata zostałby spowodowany, gdyby komuniści opanowali poszczególne kraje azjatyckie. Kwoty Vietnamu już zagrożone, a zwłaszcza Sjamu zagrożonego być może w bliskiej przyszłości, aczkolwiek silnie ustępujące Malajom i Indonezji, są jednak również istotne.

Niebezpieczeństwa ekonomicznego i politycznego, związanego z tą sprawą, nie moglibyśmy jednak w pełni ocenić, gdybyśmy wzięli pod uwagę tylko bezpośrednią stratę odnośnych zasobów. Podobnie jak ryż jest nie tylko artykułem wyżywienia, lecz również gra zasadniczą rolę w całej gospodarce Południowo-Wschodniej Azji, tak też kauczuk jest nie tylko ważnym towarem konsumpcyjnym i strategicznym. Z punktu widzenia Wielkiej Brytanii kauczuk gra rolę niepomiernie większą, Malaje — to nie tylko źródło cennego surowca. Ogólno-gospodarcza ważność kauczuku sprowadza się do tego, że jest to główny *dollar earner* całego obszaru sterlingowego. Jak podaje „Economist", w pierwszym sześcioleciu powojennym kauczuk był źródłem dochodu, wyrażającego się cyfrą przeszło 1.5 miliarda dolarów czyli przeszło 1/4 całego dochodu dolarowego, który obszar sterlingowy w ogóle osiągnął w eksporcie w tym okresie czasu. A i dla samych Malajów kauczuk jest rzeczą niezmiernie wielkiej wagi gdyż wartość jego eksportu dochodzi czasem do 70% wartości

całego eksportu malajskiego, gdyż np. w roku 1953 eksport kauczuku doszedł do 302 milionów dolarów i prawie wyrównał sumę wszystkich importów tego roku, zaś podatek eksportowy od kauczuku stanowi mniej więcej połowę dochodów skarbu Malajów. Dlatego nie dziw, że zarówno rząd brytyjski jak i malajski z biciem serca śledzi rozmiar eksportu i ruch cen kauczuku, od których tak wiele w ich losach zależy. Biorąc to pod uwagę, trudno sobie po prostu wyobrazić, co mogłoby obszarowi sterlingowemu wyrównać olbrzymi uszczerbek, gdyby Malaje zostały stracone na rzecz komunistów. Wydaje się jednak rzeczą pewną, że rząd brytyjski, który za wygórowaną nawet cenę chce doprowadzić do *modus vivendi* z komunistami, *nie* będzie skłonny zapłacić za to — ceny malajskiej. Oczywiście — nie tylko ze względów gospodarczych.

Przedstawiliśmy powyżej „sprawę ryżu" i „sprawę kauczuku" nie dlatego, aby wyczerpywały one zagadnienie skutków ewentualnych dalszych zwycięstw komunistów w południowo-wschodniej Azji. Tak bynajmniej bowiem nie jest. Skutki te, nawet w zakresie czysto gospodarczym, są znacznie szersze. Ale niewątpliwie ryż i kauczuk są najbardziej „reprezentatywne" na terenie zagadnienia, o które chodzi. Co się tyczy w szczególności Indochin, to należy pamiętać, że 5/6 ich powierzchni uprawnej stanowią plantacje ryżu, i że przed wojną Indochiny były trzecim pod względem wielkości eksporterem ryżu w świecie. Indochiny mają jednak również kauczuk, antracyt, cynk, rudę żelazną itd. Inne kraje azjatyckie, o których wspominaliśmy powyżej, mają także i inne jeszcze — po za ryżem i kauczukiem zasoby, stanowiące dziś aktywy gospodarcze wolnego świata.

FRANCJA I INDOCHINY

Ciężary finansowe Francji, w związku z wojną w Indochinach są znaczne, ale w miarę jak wojna przedłuża się, dotkliwość ich maleje dzięki pomocy amerykańskiej. W październiku 1952 Prezydent Auriol stwierdził, że Francja wydaje na tę wojnę dwa razy więcej niż dostała w postaci Marshall Aid. W drugim kwartale 1953 Bidault, charakteryzując ofiary Francji, powiedział, że ciężary finansowe związane z wojną, stanowią centralny fakt w zakłóceniu równowagi finansowej i politycznej jego kraju. Jeżeli zaś weźmiemy rok 1954, to wprawdzie zobaczymy, że budżet wojny w Indochinach dochodzi do astronomicznej sumy 626 miliardów franków, ale z tej sumy U.S.A. płacą 78%, zaś Francja tylko pozostałe 22%, czyli nieco więcej niż 137 miliardów. Ta ostatnia suma stanowi zaś, z gruba biorąc, tylko 1/8 całego budżetu wydatków państwowych. Tak przynajmniej przedstawiają się cyfry w świetle marcowej dyskusji we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. Toteż nie dziw, że niemilitarystycznie chyba usposobiony socjalista, M. Pineau, powiedział w tej debacie, że gdyby wojna indochińska skończyła się jutro, to ciś-

nienie wydatków zbrojeniowych na budżet nie tak bardzo by zmalało, gdyż korpus ekspedycyjny, złożony z regularnych żołnierzy, i tak by musiał być nadal utrzymywany. Inny mówca poszedł jeszcze dalej stwierdzając, że wojna w Indochinach straciła wszelki w ogóle impakt na budżet francuski. Można więc powiedzieć, że nie w finansach leży dziś dotkliwość tej wojny dla Francji.

Dotkliwość ta sprowadza się do innych momentów: 1) Straty w ludziach, zwłaszcza w oficerach, których ,,reprodukcja'' na terenie szkół wojskowych ledwo podąża za stratami; 2) Uwiązanie w Indochinach 1/3 korpusu oficerskiego i 2/3 korpusu podoficerskiego; 3) Wybitny uszczerbek dla pozycji Francji w Europie, zwłaszcza wobec szybko odradzającej się siły Niemiec; 4) Destrukcyjny wpływ ośmioletniej wojny bez sukcesu a z perspektywami porażki, wpływ tym bardziej szkodliwy w stosunkach wewnętrznych wobec istnienia we Francji silnych wpływów komunistycznych; 5) Kapitał francuski, inwestowany w Indochinach, w wysokości jakichś 300 miliardów franków, ulega w toku wojny częściowemu zniszczeniu a całkowitemu zagrożeniu w razie przymusowego wycofania się Francji z tej ongiś rentownej kolonii; 6) Zmienia się na niekorzyść Francji jej pozycja handlowa w południowo-wschodniej Azji.

Każdy niemal z tych ujemnych skutków, dotyczących Francji, jest też pośrednim uderzeniem w Europę, a nawet w wolny świat jako całość, którym silna Francja jest tak bardzo potrzebna zawsze, a zwłaszcza w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej. Toteż gdyby ostatecznie komuniści opanowali Indochiny, to powyższa ,,lista strat'' wolnego świata powiększyłaby się o dalsze punkty: 7) Bezpośrednie zagrożenie, niemal pewna strata Sjamu z jego dużą mniejszością chińską; 8) Wystawienie Burmy i Malajów na niebezpieczeństwo infiltracji komunistycznej; 9) Osłabienie W. Brytanii bądź to przez automatyczne wzmożenie się walk na Malajach, bądź też może nawet przez utratę Malajów; 10) Wystawienie na niebezpieczeństwo amerykańskiego systemu obrony, opartego na łańcuchu wysp od Japonii do Formozy i Filipin; 11) Pozbawienie Japonii ważnych dla niej azjatyckich rynków zbytu i prawdopodobne jej zwrócenie się ku rynkowi chińskiemu. W sumie wszystko to oznacza, że utrata Indochin mogłaby zapoczątkować to, co Eisenhower nazwał początkiem procesu dezintegracji świata i, dodajmy, mogłaby doprowadzić do uczynienia z całej Azji bloku komunistycznego, którego siła łącznie z już istniejącym blokiem sowieckim byłaby niezwyciężalna. Gdyby tak się stać miało, to przyszły historyk, pisząc o naszej epoce, powiedziałby zapewne, że były w niej trzy zdarzenia przełomowe : zwycięstwo rewolucji w Rosji, zwycięstwo rewolucji w Chinach i upadek Indochin.

Te wszystkie przedstawione powyżej możliwości nie są oczywiście pewnością, są jednak prawdopodobieństwem, jeżeli w tej ostatniej godzinie wolny świat nie skonsoliduje się w celowym wysiłku.

RZECZYWISTOŚĆ I HOROSKOPY

Żeby podjąć celowy wysiłek, żeby prowadzić celową politykę, trzeba przede wszystkim widzieć rzeczywistość w świetle pełnego realizmu, trzeba patrzeć na historię z wysokiej wieży *detachment*. Co więcej : natężenie tego *detachment* musi być wprost a nie odwrotnie proporcjonalne do stopnia zagrożenia. Spróbujmy zdać sobie sprawę z dwóch rzeczy najważniejszych.

Przede wszystkim — stosunek ludów azjatyckich do hasła wolności, którym w stosunku do nich szermujemy. Dla Europejczyka, zwłaszcza intelektualisty, wychowanego w kulturze Zachodu, wolność jest ważniejsza niż chleb. Dlatego my, ludzie kultury zachodniej, nie mamy wątpliwości, że żadna cena nie jest za duża, gdy chodzi o obronę wolności. Zwycięstwo totalizmu w skali światowej byłoby, z naszego punktu widzenia, odczłowieczeniem ludzkości, pozbawiłoby życie wszelkiej wartości. Jest błędem sądzić, że hasło wolności jest równie atrakcyjne dla ludów, żyjących np. w głębi Azji, w nędzy niegodnej człowieka, w nędzy trwającej od wieków. Dla nich dodatkowa garstka ryżu jest ważniejsza od wolności, której zresztą, w naszym znaczeniu tego słowa, te ludy nigdy właściwie nie zaznały. Biały człowiek od stuleci eksploatował je, był obojętny wobec ich losów i cierpień. Geoffrey Tyson, który omawiał ostatnio książkę Ragnara Nurkse, profesora ekonomiki na Uniwersytecie w Columbii („Problems of Capital Formation in Under-developed Countries"), podaje, że 67% dochodu światowego (światowej siły nabywczej) przypada na 18% ludności świata i że około 17% dochodu światowego przypada na rzecz 66% ludności świata. Te 66% ludności zamieszkuje Azję, Afrykę, południowo-wschodnią Europę i łacińską Amerykę. W marcu bieżącego roku nieradykalny członek Izby Gmin mówił , 1.200 *million of our fellow-men are hungry, disease-ridden, ill-clothed and ill-housed from cradle to grave.*

Z punktu widzenia realnie dziś istniejącej sytuacji politycznej jest rzeczą bez znaczenia, że na pewnych obszarach nędzy, kiedyś, w dalekiej przyszłości, mogłaby nastąpić zmiana na lepsze pod wpływem polityki inwestycyjnej U.S.A. i niektórych państw zachodnio-europejskich. Nieufność ludów kolorowych do białego człowieka jest bowiem faktem, który formował się przez stulecia i zaskrzepł w *votum nieufności* tych ludów pod adresem Europy i Ameryki. W tej sytuacji przychodzą komuniści z hasłem wyzwolenia od nędzy. Hasło to, jak widzimy, w przemożny sposób opanowuje masy azjatyckie, czego dowodem zwycięstwo rewolucji w Chinach oraz dalsze postępy komunizmu w Azji. I nie o to chodzi, co *my* myślimy o realności tych haseł : chodzi o to, że są one skutecznym środkiem dla zdobywania wpływu, a następnie władzy, przez komunistów. Nasze hasło „wolność dla Azji" trafia więc w próżnię : o obronę tej wolności większość

tych ludów wcale nas nie prosi, w nasze obietnice — nie wierzy (jest paradoksem, że narody wschodnio-europejskie, które wierzą Zachodowi i oczekują od niego pomocy w odzyskaniu wolności, żadnej pomocy nie otrzymują).

Dlatego oczywiste jest, że tylko konkretne czyny, podnoszące stopę życiową ludów kolorowych, czyny dostatecznie szybkie i absolutnie przekonywujące, mogłyby stworzyć „konkurencyjne” w stosunku do komunistów wpływy polityczne wolnego świata w milionowych masach azjatyckich .Tylko umysły infantylne mogą sobie wyobrażać, że problem komunizmu można rozwiązać środkami wyłącznie wojskowymi (inne umysły infantylne wyobrażają sobie, że siły wojskowe są rzeczą nieważną). Należy uświadomić sobie, że walka z Hitlerem to była fraszka w porównaniu z walką z totalizmem komunistycznym. Hitleryzm był ideologią nihilizmu, komunizm jest zwartym systemem filozoficznym, umiejętnie kapitalizującym odwieczne tęsknoty człowieka do ludzkiego życia, to znaczy przede wszystkim — do pokonania nędzy. W stosunku do totalizmu brunatnego siły zbrojne mogły być środkiem głównym; w stosunku do czerwonego — mogą co najwyżej być środkiem równorzędnym : obok szerokiej polityki socjalnej i ekonomicznej. Należy też pamiętać, że na terenie wolnej Azji, komunizm *nie stwarza podstawowych przesłanek swego sukcesu politycznego :* wykorzystuje tylko, i to w sposób umiejętny, istniejącą nędzę i beznadziejność życia setek milionów ludzi.

Z tym wiąże się zagadnienie ruchów antykolonialnych, opanowujących cały świat. Trzeba się liczyć z tym, że antykolonializm zyskał już bardzo mocną pozycję w powszechnej świadomości ludzkiej, że psychika plantatorska nigdzie już dziś ostać się nie może. Sposób wycofywania się państw z polityki kolonialnej musi być jednak nacechowany zupełną szczerością intencji, jeżeli państwa te chcą istotnie stworzyć do siebie zaufanie ludów kolorowych : bez tego zaufania żadna twórcza i skuteczna polityka na terenie Azji nie może być przeprowadzona. Polityka kolonialna zamaskowana byłaby polityką szybko zdemaskowaną. Z tego punktu widzenia np. zrewidowanie stosunku do Bao Dai, który ma minimalne oparcie w Vietnamie i jest w rzeczywistości francuską marionetką, wydaje się rzeczą konieczną. Słusznie powiedział Laniel w październiku 1953, że w Vietnamie nie ma czynnika, który by stanowił przeciwwagę polityczną Ho Chi Minha. Można sądzić, że za cenę rzeczywiście nie-kolonialnego, obiektywizującego podejścia Francji do sprawy Vietnamu można by np. uzyskać poparcie Indii w sprawie uwolnienia Laosu i Kambodży od najeźdźców komunistycznych.

Jest też rzeczą pierwszorzędnej wagi, aby zdać sobie sprawę z tego, że istotą sytuacji politycznej w Azji jest olbrzymie zwichnięcie równowagi sił wskutek zwycięstwa rewolucji w Chinach i że stworzenie równowagi na jakiejś nowej, znośnej podstawie jest niemożliwe bez pozyskania, choćby w pewnym stopniu, Indii na rzecz Zachodu. Ewolucja polityczna Indii w tym kierunku jest

zaś możliwa pod wpływem działania dwu czynników : dalszego rozwoju imperializmu chińskiego, który, jak wiemy, już zaczyna wpływać na sposób myślenia Nehru, i rzeczywiście konstruktywnej polityki azjatyckiej Zachodu. Ale trudno być optymistą w tej sprawie bo Zachodowi zawsze brak wielkiej wizji w wielkich sprawach, a CZAS — ten potężny czynnik w polityce — zwykle pracuje przeciwko tym, którzy widzą tylko koniec własnego nosa.

Nie wiemy, jak się dalej będzie rozwijała arcy-skomplikowana sprawa Południowo-Wschodniej Azji. Wiemy jednak na pewno, że polityka *containment* w stosunku do komunizmu azjatyckiego musi się opierać na *dwóch* filarach : jednym jest tak czy inaczej pomyślana *pomoc inwestycyjna dla niekomunistycznej Azji,* szeroka i szybko realizowana, drugim jest *NATO dla Azji,* oczywiście z udziałem narodów azjatyckich. Wiemy również, że odpowiedzią na rzeczywiście samorodne bunty antykolonialne musi być przyznawanie rzeczywistej niezależności. Wiemy wreszcie, że jeżeli wolny świat prowadzić będzie swą politykę azjatycką poza szerokim kontekstem momentów społecznych, gospodarczych, psychologicznych i politycznych tak rozumianych, jak je odczuwa sama Azja, to w ciągu jednego-dwóch pokoleń blok sowiecki opanuje cały świat — nawet bez wojny(*).

Stanisław ZARZEWSKI

(*) No dobrze, powie Czytelnik, prawda, że polityka, o którą chodzi, nie może być oparta na jednym tylko filarze i że oba są konieczne. Ale na sfinansowanie polityki ,,dwufilarowej'' Zachód nie ma pieniędzy. Przecież finansowanie ,,filara wojskowego'' nastręcza wielkie trudności; większość narodów, nawet U.S.A. nie mogą sobie pozwolić na zbyt wielkie wydatki, a zainwestowanie Azji w stopniu politycznie dostatecznym wymagałoby olbrzymich sum. Ten argument jest poważny. Ale nie uchyla istniejących konieczności, które jednak muszą być spełnione : jest bowiem pewnikiem, że w istniejącej sytuacji politycznej świat rasy białej nie zdoła się wykręcić od naprawienia skutków polityki, którą przez długi szereg generacji prowadził na terenach, zamieszkałych przez ludy kolorowe (chociaż również prawdą jest, że praca jego stworzyła tam niejedną dobrą rzecz — ale decyduje wynik ,,netto''). Jak więc sfinansować ten potrzebny gigantyczny plan pomocy gospodarczej bez zaniedbywania koniecznych wydatków wojskowych ? Droga do tego prowadzi przez głębokie przeoranie całej struktury wydatków Zachodu, znalezienie optimum we wzajemnym ustosunkowaniu wydatków trzech kategorii : 1) nakłady inwestycyjne w Azji; 2) wydatki wojskowe Zachodu; 3) wydatki cywilne Zachodu. Oczywiście, nie może się tu obejść bez odpowiedniego zredukowania pozycji 3, które stanowi cenę przeprowadzenia omawianej polityki. Odnośne ciężary muszą być nałożone na te warstwy społeczne, które wskutek tego nie staną się żerem polityki komunistycznej. I jeszcze jedno : nie należy sobie wyobrażać, że militarne rozbicie bloku sowieckiego byłoby samo przez się ,,załatwieniem sprawy'' na dłuższą metę. Po takim czysto militarnym zwycięstwie problem Azji — i nie tylko Azji — pozostałby bowiem i dalej by ważył na losach wolnego świata, podmywając jego strukturę i stanowiąc groźbę na przyszłość. Bez bardzo daleko idącej integracji Zachodu żadna jednak konstruktywna polityka na terenie Azji nie może być przeprowadzona.

Socjologia polskiej emigracji

Profesorowi Florianowi Znanieckiemu.

WSTĘP

Zjawisko masowej emigracji z górą czterech milionów ludzi z ziem polskich na przestrzeni pięćdziesięciu lat poprzedzających kryzys światowy w latach trzydziestych tego stulecia nie zostało jeszcze poddane gruntownej analizie naukowej. Brak jest do tej pory w literaturze naukowej opracowania aspektów demograficznych całości ruchów emigracyjnych z uwzględnieniem tak przyczyn emigracji leżących w przeludnieniu rolniczym Polski i jej strukturze gospodarczej jak i konsekwencji demograficznych emigracji (1). Nie zdobyliśmy się jeszcze na naukową ocenę roli politycznej polskiej emigracji zarobkowej tak w Europie Zachodniej jak i w Ameryce Północnej i Południowej. Brak jest wreszcie gruntownej analizy socjologicznych aspektów tego zjawiska jakim była emigracja zarobkowa w ciągu półwiecza 1880-1930 w porównaniu do emigracji politycznej ubiegłych dziesięciu lat (2).

Kiedy rozpoczynałem mój staż naukowy, w rok niespełna po otrzymaniu dyplomu nauk ekonomicznych i socjologicznych, nie zdawałem sobie dobrze sprawy z wielce skomplikowanego charakteru przedmiotu mojej pracy naukowej. Mając świeżo w pa-

---

(1) Opracowanie S. Fogelsona „Les migrations et leur rôle démographique en Pologne, 1871-1936" (*Congrès International de la Population*, Paris 1937) omawia wyłącznie konsekwencje demograficzne emigracji z Polski.

(2) Nie oznacza to, że brak w literaturze naukowej studium socjologicznych aspektów emigracji polskiej w poszczególnych krajach. Należy tu przede wszystkim wymienić monumentalne dzieło Floriana Znanieckiego i W. I. Thomasa *Polish Peasant in Europe and America* (New York, 1927) i dwa tomy *Wspomnień Emigrantów* w opracowaniu Instytutu Gospodarstwa Społecznego w Warszawie, poświęconych emigracji zarobkowej we Francji (1937) i Ameryce Południowej (1939).

mięci zasady teoretyczne badań socjologicznych zbudowałem pierwszą koncepcję mego studium na zasadzie analizy statystycznej społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii. Wydawało mi się bowiem, że takie aspekty socjologiczne jak stopień wynarodowienia lub też tendencje zachowawcze wyrażające się w sposobie bycia, strojach, używaniu mowy polskiej — można mierzyć tak, jak socjolog mierzy opinię publiczną lub podział społeczeństwa na grupy zawodowe. Po okresie wstępnych prób znalezienia reprezentatywnej grupy Polaków, której poglądy wyrażone w odpowiedziach na ankietę, dawałyby przekrój społeczności polskiej — przekonałem się jak dalece błędne byłoby takie podejście do rzeczy. Pomijając już trudności znalezienia reprezentatywnej grupy Polaków wszystkich warstw społecznych i przedstawicieli młodszego i starszego pokolenia — metoda statystyczna dałaby tylko niepełny obraz ustosunkowania się osób odpowiadających na ankietę do takich spraw jak przyjmowanie obywatelstwa brytyjskiego, posługiwanie się mową polską, nauczanie dzieci przedmiotów ojczystych, małżeństwa mieszane, kuchnia angielska i szereg innych przejawów tendencji asymilacyjnych.

Przystosowanie się grupy imigrantów do życia na obczyźnie jest procesem dynamicznym a nie zjawiskiem statycznym. Toteż badanie tego procesu na przestrzeni pewnego okresu czasu winno przede wszystkim być oparte na analizie czynników, które wpływają na dynamikę procesów asymilacyjnych; analiza właściwych procesów asymilacyjnych nastąpić może dopiero w następnej kolejności i w tej fazie metoda statystyczna jest pomocna. O ileż więcej dowiedzieć się można z listów i notatek autobiograficznych, które zebrali Thomas i Znaniecki w swym monumentalnym dziele o chłopie polskim w Europie i Ameryce, aniżeli z wyników ankiet, przeprowadzonych metodą Gallupa wśród powojennej fali uchodźców w Stanach Zjednoczonych lub w Australii. Metoda studium socjologicznego grupy społecznej oparta na analizie takich dokumentów jak listy, szkice autobiograficzne, prasa, kroniki stowarzyszeń, kościołów, została po raz pierwszy zastosowana przez Znanieckiego i Williama Thomasa trzydzieści pięć lat temu w pierwszym wydaniu *Polish Peasant*, które ukazało się w Stanach Zjednoczonych w roku 1919. Książka ta jest do dziś klasykiem socjologii empirycznej : metodyka i przedmiot studium Thomasa i Znanieckiego zostały w pełni zastosowane i ulepszone przez słynną już dzisiaj chicagowską szkołę socjologii.

W artykule niniejszym pragnę dać czytelnikowi krótkie (niestety) streszczenie mej pracy przygotowanej do publikacji w języku angielskim. Część pierwsza mego artykułu zawiera przegląd historyczny emigracji z ziem polskich ze specjalnym uwzględnieniem emigracji do Wielkiej Brytanii w okresie 1880-1930.

W części drugiej tego artykułu (we wrześniowym numerze *Kultury*) przeprowadzę analizę dynamiki procesów asymilacyjnych i omówię kolejno trzy kategorie procesów asymilacyjnych, które wyodrębniłem dla celów analitycznych, a mianowicie : asy-

milacja, akomodacja, konflikt. Specjalną uwagę poświęcę zjawisku wynaradawiania się dzieci polskich. Artykuł zakończy porównanie dynamiki procesów asymilacyjnych w zgrupowaniach Polaków w Wielkiej Brytanii, Belgii, Francji i Stanach Zjednoczonych A. P.

Zanim przejdę do rzeczy pragnę zastrzec się, że nie zamierzam precyzować mego osobistego stosunku do asymilacji. Potępianie asymilacji polskiego wychodźctwa wojennego lub też pochwała tendencji asymilacyjnych zmuszałaby autora do wypowiedzenia sądów wartościujących, które wyklucza obiektywizm analizy naukowej. Ograniczam się więc do przedstawienia faktów, oceny szybkości i natężenia procesów asymilacyjnych, wyodrębnienia grup bardziej i mniej podatnych na asymilację. Czynię to w nadziei, że rzetelna analiza naukowa pozwoli naszym organizacjom społecznym i ośrodkom polityki niepodległościowej zająć w tej sprawie konkretne stanowisko.

TŁO HISTORYCZNE

Polscy marynarze, lotnicy i żołnierze wojsk lądowych, którzy przybyli do Wielkiej Brytanii w pierwszym roku drugiej wojny światowej nie byli pierwszą grupą żołnierzy polskich, którą los rzucił do tego kraju. Pobyt w Wielkiej Brytanii oddziałów Polskich Sił Zbrojnych w latach 1939-1945, zamienionych następnie decyzją jałtańską w emigrację polityczną i uzupełnionych falą uchodźctwa wojennego z Niemiec, Europy Zachodniej i Środkowego Wschodu oraz Afryki — miał swój odpowiednik w drugim ćwierćwieczu 19-go stulecia.

W Anglii bowiem znalazła się spora, jak na owe czasy, grupa członków Wielkiej Emigracji, która swym charakterem, postawą niepodległościową, a także nasileniem swarów politycznych, przypominała do żywa dzisiejszą 150-ciotysięczną społeczność polską, rozsianą po całej Wielkiej Brytanii.

Wielka Emigracja po Powstaniu Listopadowym nie była nigdy wielką jeśli chodzi o jej liczebność. Istniały wprawdzie, jak to pisze Adam Lewak w rozdziale „Czasy Wielkiej Emigracji" (*Polska, jej dzieje i kultura,* Warszawa, 1938), plany sprowadzenia do Francji około 20.000 żołnierzy polskich, internowanych po przekroczeniu granicy galicyjskiej we wrześniu 1831 roku; plany te jednak spotkały się ze sprzeciwem rządu francuskiego, który zezwolił jedynie na udzielenie wiz wjazdowych „indywidualnym oficerom przychylnie ustosunkowanym do rządu francuskiego". Liczba emigrantów politycznych z Polski, osiadłych we Francji w latach trzydziestych i czterdziestych, nie przekraczała nigdy sześciu tysięcy. Ośrodki w Belgii i Anglii liczyły około tysiąca każdy. Wielkość emigracji popowstaniowej można więc oceniać tylko miarą myśli politycznej niektórych jej przedstawicieli a przede wszystkim wkładem do kultury duchowej Polski.

Głównym ośrodkiem emigrantów polskich na Wyspach Brytyjskich był Londyn, gdzie znaleźli się przedstawiciele obu czołowych kierunków politycznych ze Stanisławem Worcellem na czele. Nieco mniejsza grupka zawędrowała do Edynburga. Ówczesne ,,masy emigracyjne'' stanowiły obozy żołnierzy wypuszczonych z internowania przez Prusaków i w drodze do Algieru zmuszonych przez burzę na Kanale La Manche do szukania schronienia w Portsmouth i na wyspie Jersey. Te dwie grupy, obejmujące około 400-tu żołnierzy, stworzyły później gromadę ,,Grudziąż'' i gromadę ,,Humań'', które to grupy pozostały pod wpływem takich polskich przedstawicieli myśli socjalistycznej Saint Simona jak Zenon Świętosławski i Tadeusz Krępowiecki.

Podobnie jak i obecnie tak i wówczas przyszłością uchodźców polskich zainteresowało się społeczeństwo angielskie. Stało się to za sprawą Tomasza Campbell'a (3) poety i filantropa, który w lutym 1832 roku powołał do życia Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski (Literary Association of the Friends of Poland). Towarzystwo to przetrwało do roku 1924 i w czasie blisko stuletniej działalności w obronie praw Polski liczyło w szeregach swych członków tak wybitne osobistości, jak : Hume, Peel, Gladstone, Dickens i Lord Shaftesbury.

Pierwszym osiągnięciem Towarzystwa było wyjednanie w Parlamencie dotacji skarbu brytyjskiego na rzecz ,,pomocy i rozmieszczenia (resettlement) żołnierzy polskich'' w roku 1834. Dotacja ta, wynosząca 10.000 funtów rocznie, odnawiana była przez dziesięć lat i stanowiła podstawę działalności opiekuńczej Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski, mającej na celu zaopatrzenie materialne byłych żołnierzy polskich i, jak to się powtórzyło w okresie P.K.P.R.'u w sto dziesięć lat później — rozmieszczenie ich w pracy zarobkowej.

Źródłem informacji o tej działalności Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski są drukowane sprawozdania przedkładane corocznie na walnym zebraniu członków. I tak na przykład w sprawozdaniu z roku 1837 czytamy, że :

,,...we wszystkich grupach zawodowych spotkać możemy uchodźców polskich. Przedstawiciele warstwy szlacheckiej (gentlemen by birth) oraz wyżsi oficerowie znajdują zatrudnienie jako sprzedawcy tytoniu, krawcy, szewcy a niejednokrotnie nawet jako terminatorzy w zakładach rękodzielniczych. Wielu zatrudnionych jest w drukarstwie i zakładach litograficznych, niektórzy utrzymują się z lekcji gry na fortepianie, skrzypcach lub gitarze. Spora grupa znalazła zatrudnienie jako nauczyciele języków obcych w szkołach i prywatnie, nauczając języków francuskiego, niemieckiego, włoskiego i rosyjskiego, zdobywając sobie pełne uznanie swych pracodawców. Są wśród nich również tłumacze języków obcych, a spora grupka znalazła za-

---

(3) Campbell był głęboko poruszony tragedią rozbiorów Polski. Na wiadomość o upadku Powstania Kościuszki napisał wiersz pt. ,,Poland'', który zakończył następującą strofą :

,,...And have I lived to see the sword in hand —
uprise again, immortal Polish Land''.

trudnienie przy przepisywaniu rękopisów i nut. Czterech uchodźców utrzymuje się z malowania portretów, dwóch pracuje w charakterze prywatnych sekretarzy. Nie brak również ludzi z talentem literackim, którzy publikują artykuły na łamach prasy codziennej i periodycznej... Mr. Baxter zatrudnił dużą grupę Polaków przy kopaniu kanału w Szkocji; Mr. Kirkman Finlay zatrudnia pięciu jako gajowych w swych lasach koło Glasgowa; Mr. Charles Tennet z Paisley w Szkocji zatrudnia dwóch oficerów polskich przy wyrobie koszyków (4).

Następną falą uchodźców polskich w Wielkiej Brytanii byli ludzie, z zaboru pruskiego uciekający w latach osiemdziesiątych — przed polakożerczymi wysiłkami Komisji Kolonizacyjnej Bismarcka i poszukujących lepszych warunków do życia w krajach uprzemysłowionych. Wielu z nich znalazło się w Anglii ,,przypadkiem'', w drodze do Stanów Zjednoczonych. Pozbywszy się oszczędności w czasie czekania na transport w Hamburgu lub Bremen dojeżdżali do Liverpoolu i tu, z konieczności, zostawali. Wielu znajdowało zatrudnienie w okręgu przemysłowym Lancashire i odłożywszy potrzebną kwotę wyruszało po paru latach w dalszą podróż do odległej Ameryki. Pod koniec lat osiemdziesiątych i z początkiem lat dziewięćdziesiątych rozpoczęły napływać do Wielkiej Brytanii spore grupki emigrantów z zaboru rosyjskiego, a nieco później i z Galicji.

Z początkiem dziewiętnastego stulecia liczba Polaków dosięgła 4.000 osób rozmieszczonych w trzech ośrodkach : Londyn, hrabstwo Lanark w Szkocji i Manchester z przyległym okręgiem przemysłowym (5).

Najliczniejszy i najlepiej zorganizowany ośrodek londyński (z kościołem polskim i Towarzystwem Polskim istniejącym od 1886 roku), skupiał około dwutysięczną rzeszę Polaków, zatrudnionych w przemyśle meblarskim, wyrobów skórzanych i tytoniowych we wschodniej, najuboższej części Londynu. (Dzielnice Whitechapel, Beckton, Mile End). Ponad tysiąc Polaków z rodzinami pracowało w kopalniach węgla i stalowniach w okręgu Motherwell i Bothwell w hrabstwie Lancashire. Sprowadzono ich

(4) Sprawozdania Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski czekają jeszcze na historyka, który odtworzyłby z nich ciekawy rozdział historii Wielkiej Emigracji. Szczegółem godnym podkreślenia jest działalność polityczna Towarzystwa w obronie praw Polski : odczyty publiczne, petycje podpisywane w całej Wielkiej Brytanii, artykuły w prasie, debaty w Izbie Gmin w roku 1835 i 1836. Ciekawy jest również obraz ówczesnej opinii publicznej w stosunku do Polaków. Oto cytat ze Sprawozdania z roku 1838: *,,Znalazłszy się w bardzo ciężkich warunkach w których wszystko (z wyjątkiem dostatku) mogłoby sprowadzić ich na złą drogę, wszyscy Polacy, tak prości żołnierze jak i oficerowie i ludzie z wyższym wykształceniem, dają o sobie najlepsze świadectwo. Przy każdej sposobności wykazują chęć zarabiania na życie aby nie uciekać się do dobroczynności...''*

(5) Spis ludności z roku 1900 wykazał, że znacznie większa była w tym samym czasie liczba Żydów z ziem polskich. Według danych spisowych, w całej Wielkiej Brytanii przebywało wówczas 21.055 Żydów urodzonych w zaborze rosyjskim.

z Liverpoolu, w roku 1894, aby złamać strajk metalowców i górników szkockich, domagających się podwyższenia płac tygodniowych.

Trzecie wreszcie zgrupowanie polskie, w okręgu Manchester, składało się z pracowników przemysłu tkackiego i górników, zatrudnionych w kopalniach soli w Winsford i Northwich (Cheshire). Pierwsza wojna światowa nie przyczyniła się w swych skutkach do powrotu emigrantów polskich z Wielkiej Brytanii. Polacy, którzy przybyli do Anglii parę dziesiątków lat przedtem potrafili się już urządzić i nie chcieli powracać do trudnych warunków w zniszczonym Kraju. Nie wielu było również chętnych do emigracji z Polski do Anglii : oficjalne dane statystyczne podają, że zaledwie 720 osób wyemigrowało do Wielkiej Brytanii w okresie od 1920 do 1932 roku.

EMIGRACJA PO-JAŁTAŃSKA

Według oficjalnych danych znajduje się dziś na obszarze Wielkiej Brytanii 142.000 obywateli narodowości polskiej (cyfra ta nie obejmuje około 12.000 obywateli narodowości polskiej, którzy przyjęli obywatelstwo brytyjskie, ani dzieci z małżeństw polskich i mieszanych, urodzonych w Anglii, których liczbę szacuje się na około 25 tysięcy). Polacy w Wielkiej Brytanii stanowią największą grupę obcokrajowców.

Oficjalne statystyki brytyjskie nie zawierają żadnych danych dotyczących zatrudnienia Polaków w poszczególnych działach przemysłu brytyjskiego. Na podstawie fragmentarycznych danych, znajdujących się w rocznych sprawozdaniach brytyjskiego Ministerstwa Pracy, można wywnioskować, że olbrzymia większość pracuje w przemyśle ciężkim, w kopalniach węgla, stalowniach, cegielniach i w przemyśle budowlanym. Specjalny problem stanowi zatrudnienie stosunkowo dużej ilości ludzi należących do klasy, którą w Polsce przedwojennej nazywano inteligencją. Byli oficerowie, olbrzymia większość prawników, nauczycieli i profesorów szkół wyższych, literaci, dziennikarze, urzędnicy państwowi i prywatni — to wszystko kategorie ludzi, którzy na ogół nie mogą znaleźć pracy podobnej do tej jaką wykonywali w Kraju i są dzisiaj skazani na deklasację zawodową i społeczną. Sprawę tę, mającą wielkie znaczenie dla przebiegu procesów asymilacyjnych poruszę oddzielnie w drugiej części tego artykułu (6).

Obok licznej grupy zdeklasowanej inteligencji są bardziej

(6) W braku jakichkolwiek danych statystycznych trudno jest ocenić jak wielki jest odsetek tak zwanej inteligencji. Piszący te słowa ocenia go na 10% ogółu społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii, a więc około 14 tysięcy osób. (Dane ogłoszone przez P.K.P.R. w lutym 1948 podawały ilość posiadających średnie wykształcenie na 10.000 osób — ogólny stan Korpusu wynosił wówczas 102.000 ludzi).

uprzywilejowane grupy zawodowe, których przedstawiciele w olbrzymiej większości znaleźli pracę w swych zawodach. Są to lekarze, dentyści, inżynierowie i z górą dwutysięczna grupa Polaków, którzy uzyskali wyższe wykształcenie na uniwersytetach brytyjskich i dziś, z małymi wyjątkami, pracują w swych zawodach.

Zanim przejdę do analizy czynników, wpływających na przebieg procesów asymilacyjnych, pragnę zwrócić uwagę czytelnika na jeszcze jeden ważny szczegół którego nie można ominąć w tym pobieżnym opisie społeczności polskiej. Mam tu na myśli rozmieszczenie terytorialne Polaków. Jedna piąta ogółu zamieszkuje obszar wielkiego Londynu (33.000 w roku 1952). Na drugim miejscu idzie okręg Manchesteru gdzie w grudniu 1952 zamieszkiwało 14.500 Polaków; dalej tak zwany West Riding — zachodni okręg przemysłowy hrabstwa York (13.000, z czego w mieście Bradford — 2.800), hrabstwo Stafford na terenie którego pracuje w zakładach ceramicznych i przemyśle maszynowym ponad 5.500 Polaków; hrabstwo Gloucester (4.500) z dużym skupieniem w Birmingham (2.500). Stosunkowo duże ośrodki polskie znajdują się również w Szkocji z Glasgowem (2.000) i Edynburgiem (1.400) na czele.

Powyższe zestawienie potwierdza spostrzeżenia postronnych obserwatorów, którzy podkreślają, że Polacy lubią żyć w zwartych grupach, tworząc specyficzne ghetta i związane z tym instytucje, takie jak świetlice, domy polskie, kaplice a również i nieodłączne sklepy spożywcze i restauracje. Wszystko to świadczy o tym, że Polacy nie potrafią żyć w absolutnej diasporze. Ta olbrzymia większość polskiej społeczności, która mieszka w ,,polskich'' dzielnicach miast brytyjskich lub w polskich osiedlach i obozach świadczy o dążeniu do podtrzymania kontaktów ze swoimi i jest zewnętrznym wyrazem odrębności Polaków. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że tak długo jak istnieje ,,polski'' Earl's Court (7) i polskie tak zwane hostele i osiedla — tak długo w oczach Anglików istnieć będzie ,,the Polish problem''.

PROCESY ASYMILACYJNE : RÓŻNICE KULTURALNE I UPRZEDZENIA

Teoria nauki socjologii rozważa zagadnienie mniejszości narodowych w tej części, która dotyczy styczności społecznych. Stosunek mniejszości narodowej do społeczeństwa tubylczego jest bowiem procesem, w którym obie te grupy stykają się w życiu codziennym, na płaszczyźnie zawodowej, towarzyskiej, w drodze wymiany wartości kulturalnych. Grupa mniejszościowa nie żyje w próżni ale stykając się z grupami tubylców lub indywidual-

(7) Dzielnica Londynu, tradycyjnie związana z miejscem zamieszkania licznej rzeszy Polaków i położeniem kilkunastu polskich klubów, instytucji społecznych, nie mówiąc już o polskich sklepach.

nymi przedstawicielami społeczeństwa tubylczego zmuszona jest do zajęcia jakiegoś stanowiska wobec społeczeństwa tubylczego; co więcej, członkowie mniejszości, indywidualnie i grupowo, podlegają wpływom społeczeństwa tubylczego, które w różnym stopniu przyczyniają się do przystosowania się jednostek i grup do sposobu życia i patrzenia na świat tubylców. Stopień przystosowania zależy przede wszystkim od tego jak głębokie są różnice w kulturze obu grup; ważną tu rolę odgrywają czynniki natury emocjonalnej i uprzedzenia.

W gruncie rzeczy różnice kulturalne dzielące Polaków od Brytyjczyków nie są aż tak duże, aby stwarzały nieprzezwyciężone przeszkody w procesie upodobniania się. Odmienny język i religia — to najważniejsze różnice. Kiedy jednak górnik polski przebywający na przykład w Walii pokona trudności językowe i jeżeli gospodarz jego posiada dozę tolerancji religijnej — to współżycie tych ludzi powinno oprzeć się na zasadzie przyjaźni. O wiele większe znaczenie odgrywają czynniki natury emocjonalnej i uprzedzenia. Oddziaływanie tych czynników można by streścić w dwóch pojęciach: „kompleks jałtański" u Polaków i ksenofobia u Brytyjczyków.

Geneza kompleksu jałtańskiego sięga do ostatnich lat wojny, w czasie których w umysłach Polaków zaczęła się rodzić niepewność o los sprawy polskiej. Umowa jałtańska stała się symbolem, z którym w stopniu mniej lub bardziej irracjonalnym zaczęto kojarzyć każde niepowodzenie jednostki czy grupy. Sprawa wypłaty odpraw demobilizacyjnych, posyłanie oddziałów P.K.P.R. do pomocy w żniwach, trudności znalezienia pracy czy mieszkania, nieuprzejme zachowanie się urzędnika Food Office (8) lub też konduktora w autobusie w stosunku do Polaka wszystkie te mniejsze i większe sprawy, kłopoty i trudności okresu powojennego zwalano na karb zdrady politycznej. Konsekwencje kompleksu jałtańskiego zaważyły na postawie Polaków wobec gospodarzy. 150-ciotysięczna grupa Polaków w Wielkiej Brytanii nie przestała uważać się za odłam emigracji politycznej, świadomej swych celów i dlatego właśnie podkreślającej swą odrębność. Stąd też całkowita asymilacja, oderwanie się od sposobu życia i celów grupy polskiej było i jest potępiane przez opinię publiczną grupy polskiej jako zdrada narodowa.

Ksenofobia społeczeństwa brytyjskiego nie jest bynajmniej — jak to się często mówi — wyrazem dążności antypolskich. Jest to tradycyjny w całej Wielkiej Brytanii, a specjalnie w Anglii, niechętny stosunek wyspiarzy do przybyszów zza morza. Podobnie niechętnie przyjmowano francuskich Hugenotów i holenderskich dysydentów w XVI i XVII wieku; niechęć i zaniepokojenie budził napływ Żydów rosyjskich w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dziewiętnastego stulecia. Pisząc te słowa zdaję sobie dobrze sprawę z wpływu propagandy komunistycznej w os-

(8) Agencja Ministerstwa Aprowizacji.

tatnich latach ostatniej wojny, mówiącej o „feudalnej i zacofanej" Polsce a później agitującej w związkach zawodowych przeciwko zatrudnianiu Polaków; wydaje mi się jednak i utwierdziły mnie w tym przekonaniu rozmowy z dziesiątkami Brytyjczyków, że przeciętny Anglik, Szkot i (w nieco mniejszym stopniu) Walijczyk nie powodował się uprzedzeniami natury politycznej, ale raczej myślał o inwazji rynku pracy przez element prężny, pracowity i to w czasie kiedy wspomnienia długich okresów bezrobocia i kryzysu lat trzydziestych świeże były w pamięci ogółu mas pracujących.

CZYNNIKI INSTYTUCJONALNE WPŁYWAJĄCE NA PRZEBIEG PROCESÓW ASYMILACYJNYCH

Obok różnic kulturalnych oraz tak nieuchwytnych czynników jak wpływy polityczne i emocjonalne musimy wyodrębnić w oddzielną grupę instytucje, które odgrywają znaczny, powiedziałbym dominujący, wpływ na przebieg procesów asymilacyjnych. W wypadku grupy polskiej na terenie Wielkiej Brytanii wyróżnić trzeba następujące czynniki instytucyjne : organizacje stworzone przez władze i społeczeństwo brytyjskie, organizacje i instytucje polskie, polskie parafie rzymsko-katolickie, polska prasa. Rozpatrzmy kolejno ich *modus operandi*.

1. *Organizacje brytyjskie.* — Do grupy organizacji stworzonych przez Brytyjczyków po roku 1945 dla Polaków należą organizacje i instytucje oficjalne, a więc takie które powołał do życia Rząd brytyjski oraz instytucje dobrowolnie powołane do życia przez społeczeństwo brytyjskie. Do pierwszej kategorii należą (względnie należały) Polski Korpus Przystosowania i Rozmieszczenia (P.K.P.R.), Komitet dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii, Sekcja Polska National Assistance Board, która administruje obozami polskimi, rozmieszczonymi po całym kraju, Sekcja Polska Ministerstwa Zdrowia administrująca polskimi szpitalami oraz Sekcja Polska Ministerstwa Emerytur (Ministry of Pensions). Wszystkie te instytucje powołane zostały do życia w okresie demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych i przyjazdu do Wielkiej Brytanii rodzin wojskowych oraz robotników polskich z Niemiec. Wszystkie te instytucje, z wyjątkiem P.K.P.R. nadal istnieją i działanie ich jest nie tylko ważne z punktu widzenia opieki nad Polakami czy też szybkiego wchłonięcia ich przez rynek pracy. Socjolog badający to zagadnienie widzi w istnieniu specjalnych instytucji brytyjskich formalne podkreślenie *odrębności* problemu polskiego. To, że Polak potrzebujący leczenia szpitalnego korzystać może z polskich szpitali, pozostających pod kontrolą brytyjską, lub że młody Polak czy Polka, przyjęty do brytyjskiego zakładu naukowego, udaje się *jako Polak* do specjalnego urzędu po zasiłek na studia — ma swe głębokie znaczenie dla zrozumienia dlaczego tak wolno za-

nika odrębność polskiej grupy etnicznej. To prawda, że celem działalności specjalnych urzędów brytyjskich jest „przystosowanie i rozmieszczenie" (Anglicy streszczają to słowem : resettlement) ale jest to przystosowanie za pośrednictwem instytucji a nie drogą styczności osobistych masy emigrantów, którzy rzuceni do obcego kraju musieliby *sami* sobie radzić, zdobywać wykształcenie, środki do życia i prawa obywatelskie.

Dla tych samych powodów ważna jest działalność organizacji dobrowolnie powołanych przez społeczeństwo brytyjskie. Zaliczyć można do nich Towarzystwo Anglo-Polskie, Katolickie Towarzystwo Anglo-Polskie, Katolicką Radę Opieki nad Polakami, wreszcie *curiosum* organizacyjne jakim jest kilka tysięcy członków licząca Sekcja Polska Związku Transportowców. Wszystkie te organizacje działają na rzecz Polaków, podkreślając w ten sposób naszą odrębność. To prawda, że na gruncie kontaktów towarzyskich wiele zrobiono dla zatarcia różnic; przykładem tego są choćby małżeństwa mieszane polsko-brytyjskie, z których wiele zostało zawartych pod egidą Towarzystw Anglo-Polskich. Wszystkie te dobrowolne organizacje stwarzają instytucyjną platformę styczności między Polakami a Brytyjczykami : pośredniczą jednocześnie w znalezieniu pracy, działają jako organy opiekuńcze w stosunku do Polaków potrzebujących pomocy i wreszcie prowadzą akcję polityczną (odczyty, artykuły w prasie) na rzecz Polski. Trudno powstrzymać się od stwierdzenia, że instytucje brytyjskie nie są czynnikiem wpływającym na przyśpieszenie procesów asymilacyjnych. Nie ulega jednak wątpliwości, że działanie ich wpływa łagodząco na zadrażnienia, wynikające z irracjonalnych uprzedzeń o których poprzednio już wspomnieliśmy.

2. *Instytucje stworzone przez społeczeństwo polskie.* — Utrzymanie za wszelką cenę odrębności kulturalnej Polaków w myśl programu politycznego emigracji jest naczelnym celem wszystkich instytucji i organizacji polskich, stworzonych przez społeczeństwo polskie w Wielkiej Brytanii. Dotyczy to w równym stopniu organizacji ściśle politycznych (partie polityczne) jak i organizacji społecznych takich jak Zrzeszenie Polskich Kombatantów, Zrzeszenie Robotników i Rzemieślników Polskich, Związek Harcerstwa Polskiego, liczne organizacje zawodowe, a nawet kluby sportowe i organizacje o charakterze rozrywkowym. Jeden z działaczy społecznych, z którym odbyłem szereg wywiadów do mej pracy ujął to trafnie mówiąc, że zadaniem organizacji polskich jest stworzenie warunków, w których wszystkie potrzeby jednostek (materialne, towarzyskie, kulturalne) mogłyby być zaspokojone w ramach *polskich organizacji.* Twierdzenie to nie jest bynajmniej przesadą : jakkolwiek wiele jest narzekania na działalność organizacji polskich — bezstronny obserwator zdumiewa się ich osiągnięciami. Rosnąca ilość kaplic, domów polskich, świetlic, tak zwanych szkółek sobotnich gdzie dzieci polskie pobierają naukę przedmiotów ojczystych — to wszystko

przejawy działalności organizacyjnej instytucji polskich, które z biegiem lat nie upadają ale krzepną zyskując nowych członków i stanowiąc znakomitą szkołę demokracji, pojętej na wzór angielski. Dodać do tego należy sieć polskich przedsiębiorstw, warsztatów mechanicznych, introligatorni, sklepów, placówek rzemieślniczych a nawet domów czynszowych, z których większość powstała na skutek planowej akcji kredytowej takich instytucji jak S.P.K., Fundusz Społeczny Żołnierza, Komitet Obywatelski Pomocy Polakom. To prawda że sporo było i będzie narzekania na sposób prowadzenia tej akcji. Pamiętać należy jednak o tym, że gdyby nie było rozmyślnej akcji, mającej na celu zatrudnienie możliwie największej liczby Polaków w instytucjach i przedsiębiorstwach polskich — to wówczas ludzie ci skazani byliby na poszukiwanie pracy w przedsiębiorstwach angielskich a tym samym zmuszeni do częściowego choćby oderwania się od środowiska polskiego.

Brak miejsca nie pozwala mi na obszerniejszą dokumentację tej tezy, której w mej pracy w języku angielskim poświęciłem osobny rozdział, zawierający sporo materiału dowodowego uzyskanego w odpowiedzi na ankietę wśród polskich działaczy społecznych i popartego danymi uzyskanymi w wywiadach socjologicznych z Polakami w różnych częściach Wielkiej Brytanii. Postaram się więc streścić w kilku punktach na czym polega rola instytucji i organizacji polskich jako czynników opóźniających procesy asymilacyjne.

a) Po pierwsze, jak to już wspomniałem, organizacje polskie zaspakajające wszystkie możliwe rodzaje potrzeb jednostki są zewnętrznym wyrazem odrębności społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii. Obok parafii katolickich i prasy polskiej — organizacje polskie wzmacniają tendencje zachowawcze w stosunku do języka, obyczaju i całości tradycji kultury ojczystej.

b) Organizacje polskie pośredniczą w znalezieniu pracy, interweniują w sprawach zatargów z pracodawcą lub władzami, są kasą pożyczkową, starają się dać Polakom godziwą rozrywkę w chwilach wolnych od pracy. Wszystko to zmniejsza częstotliwość styczności społecznych z środowiskiem angielskim do minimum.

c) Instytucje polskie stanowią zespół grup, które socjologia określa mianem wtórnych (w odróżnieniu od grup pierwotnych takich jak rodzina). Jako grupy wtórne organizacje polskie są czynnikiem opinii i kontroli społecznej, który nie tylko potępia zjawisko „dezercji" narodowej ale przeciwstawia się takim prądom destruktywnym w społeczności polskiej jak demoralizacja jednostek, przestępczość i wreszcie schorzenia psychiczne u osób, które ucierpiały z ręki okupantów a teraz skazane są na degradację społeczną i zawodową.

d) Instytucje polskie i organizacje przyczyniają się swoją działalnością do wzmocnienia poczucia świadomości narodowej u Polaków.

3. *Polskie parafie katolickie.* — Tradycja odrębnej organizacji parafialnej dla Polaków na obczyźnie sięga wstecz do początków emigracji politycznej i zarobkowej. Kronikarze emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych opisują działalność księdza Moczygęby, których w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia założył pierwsze osiedle dla kilkudziesięciu rodzin polskich przybyłych ze Śląska. Osiedle to — Panna Maria — w stanie Texas przetrwało po dzień dzisiejszy. Ksiądz Moczygęba działał następnie w Chicago i położył podwaliny pod organizację polskich parafii na terenie Stanów Zjednoczonych.

W Anglii opiekę duszpasterską nad uchodźctwem po powstaniu listopadowym roztoczył ksiądz Brzeziński, który od roku 1842 odprawiał co niedzielę Mszę św. dla Polaków w kaplicy belgijskiej w dzielnicy Southwark w Londynie. W roku 1867 arcybiskup Manning oddał Polakom w Londynie pomieszczenie przy Gower St., w pobliżu British Museum, gdzie przez dziesięć lat była kaplica, biblioteka i sala zebrań. W roku 1894 kardynał Vaugham założył Misję Katolicką dla Polaków, której chwalebna i owocna działalność pod kierownictwem szeregu światłych rektorów przetrwała po dziś dzień.

Działalność 110 księży polskich sprawujących opiekę duszpasterską została uregulowana konstytucją papieską pod nazwą „Exul Familia". Na mocy tej konstytucji księża sprawujący opiekę duszpasterską nad uchodźcami mają prawo, nadane im *ad personam,* wykonywania obowiązków proboszczów parafii terytorialnych.

Blisko setka polskich parafii i placówek duszpasterskich, istniejących dzisiaj na terenie Wielkiej Brytanii, świadczy nie tylko o podziwu godnym zmyśle organizacyjnym księży polskich. Polskie parafie, kaplice zakładane w osiedlach oraz specjalne nabożeństwa dla Polaków urządzane w kościołach angielskich — wszystko to świadczy o tym jak żywe jest przywiązanie do Wiary i jej symboli u szerokich rzesz społeczności polskiej. Można to specjalnie zaobserwować w niektórych osiedlach polskich, których mieszkańcy — przeważnie byli osadnicy z Kresów Wschodnich — stanowią zwarte grupy, przypominające swym wyglądem zewnętrznym i zachowaniem mieszkańców wsi polskich. Ale nie tylko tam parafia jest centralnym punktem życia osiedli; podobnie ma się rzecz w warunkach znacznie trudniejszych, w miastach, gdzie Polacy mieszkają w rozproszeniu. Można by tu mnożyć przykłady takich „otwartych" parafii rozpoczynając choćby od dzieła, które stworzył zaginiony w tajemniczych warunkach ksiądz Boryński w Bradford. Zaczął on dosłownie z niczego i po niespełna dwóch latach pracy wciągnął trzy czwarte zamieszkałych w Bradford Polaków w wir pracy społecznej i oświatowej.

Polskie parafie katolickie są nie tylko ośrodkiem kultu religijnego, ale — jak to zawsze działo się w Polsce — są w równej chyba mierze ośrodkiem polskości. Socjolog, który patrzy na to zjawisko, widzi w nim umacnianie więzów łączących jednostkę z przeszłością. ,,Polska'' Msza św., nabożeństwo majowe przed wizerunkiem Częstochowskiej, święcenie potraw na Wielkanoc, rozdawanie opłatków na Boże Narodzenie — to wszystko przejawy życia organicznie związanego z katolicyzmem u Polaków, a stanowiące nieodłączną część wspomnień dzieciństwa czy wieku dojrzałego w odległym Kraju.

Te wspomnienia, obyczaje — wznawiane w obcym kraju — są, rzecz jasna, czynnikiem który hamuje tendencje asymilacyjne. Pamiętać tu należy również o tym, że częściowa eksterytorialność polskich parafii katolickich, podległych Episkopatowi miejscowemu, ale za pośrednictwem polskich wikariuszy generalnych, jest jeszcze jednym symbolem zewnętrznym odrębności Polaków, nawet w stosunku do katolików brytyjskich. Odgrywa tu jeszcze rolę czynnik irracjonalny jakim jest, tak częste u Polaków, uprzedzenie w stosunku do katolicyzmu brytyjskiego. Nie mam tu na myśli *katolików* brytyjskich, którzy przecież w najcięższych chwilach, w okresie Jałty i następnym, zawsze niezmordowanie bronili spraw Polski. Pragnę raczej podkreślić pewną obcość kultu przyjętego przez katolików brytyjskich pod wpływem Protestantyzmu. Polacy, dla których wiara jest tak silnie związana z przeżyciem emocjonalnym, źle się czują w przeciętnym katolickim kościele angielskim. Oschłość i prostota w dekoracji wnętrza, nacisk na śpiewy łacińskie, dyscyplina uczestniczenia w nabożeństwach, brak wizerunków ,,naszych'' świętych — wszystko to czyni polskie nabożeństwa bardziej atrakcyjnymi.

Te krótkie uwagi o socjologii polskich parafii katolickich pragnę zakończyć cytatą z książki Znanieckiego i Thomasa. Wydaje mi się bowiem że tę cytatę w równym stopniu można by zastosować charakteryzując polską organizację kościelną w Wielkiej Brytanii :

,,...Parafia jest po prostu starą grupą pierwotną, przeniesioną na ten teren i tu zreorganizowaną. W swej istocie rzeczy parafia nie tylko zastępuje swym członkom to co dawała im wieś rodzinna; jest ona również synonimem tego co utożsamia się z luźnym pojęciem ,,okolica''. W swej organizacji instytucyjnej parafia wykonuje te funkcje, które w Polsce należały do urzędu parafialnego i władzy Gminnej'' (Znaniecki i Thomas ,,The Polish Peasant'' New York, 1927).

4. *Prasa polska.* — Utarło się powiedzenie, że gdziekolwiek zejdzie się choćby kilku Polaków — tam zaraz powstanie polskie pismo. Że tak jest potwierdza statystyka prasy polskiej za okres wojny i do roku 1949, wydana nakładem Instytutu Sikorskiego w Londynie w czasie wystawy prasy polskiej w roku 1950. W latach 1939-1949 poza granicami Polski ukazało się

728 pism, od dzienników i biuletynów oddziałowych począwszy a skończywszy na magazynach literackich i kwartalnikach naukowych; z tego na Wielką Brytanię przypada 202 tytułów. Dzisiaj (rok 1953) naliczyłem 52 tytuły wydawnictw, które można nazwać mianem prasy polskiej w Wielkiej Brytanii (9).

Oczywistą jest rzeczą, że większość z tych pięćdziesięciu z górą wydawnictw ma znaczenie tylko lokalne : w ramach jednej miejscowości, czy osiedla, wewnątrz jednej organizacji. Nie jest tu jednak istotne jak wielki jest nakład danego wydawnictwa. Istotną dla socjologa rzeczą jest to, że biuletyn z małym nawet nakładem, sprzedawany wśród Polaków na stopniach kościoła po niedzielnym nabożeństwie lub rozsyłany członkom koła pułkowego czy też organizacji zawodowej — spełnia istotną funkcję czynnika scalającego daną grupę społeczną. Obok organizacji polskich i parafii katolickich — prasa polska ,,wielka'' i ,,mała'' — każą nam myśleć kategoriami Sprawy polskiej (przez wielkie ,,S'') — przypominają nam naszą odrębność, są wreszcie organem opinii publicznej. Rola prasy jest również dlatego ważna, że stanowi niejednokrotnie pryzmat, przez który Polacy patrzą na otaczającą nas rzeczywistość. Przejawia się to nie tylko w komentarzach redakcyjnych ale również i w artykułach objaśniających Polaków o życiu w Wielkiej Brytanii, a zwyczajach, przepisach, itd. Prasa jest więc niejako wykładnią życia i instytucji brytyjskich dla szerokich rzesz Polaków, i w pewnym sensie (podobnie jak organizacje polskie) odgrywa rolę pośrednika.

Prasa polska spełnia również ważne funkcje wewnątrz społeczności polskiej stanowiąc czynnik informacji dla Polaków o życiu skupisk polskich, zamieszczając porady w sprawach prawnych, podatkowych, przedsiębiorstw polskich, zebrań, odczytów, poszukiwań.

Przykładem wykonywania tych zadań jest przemiana jaka dokonała się w treści i układzie londyńskiego ,,Dziennika Polskiego''. Aby zmierzyć istotę tych przemian porównałem treść 26 środowych egzemplarzy ,,Dziennika Polskiego'', które ukazały się w pierwszej połowie 1946 roku z analogicznym zestawem ,,Dziennika'' za rok 1952. Ustaliłem następnie klasyfikację jedenastu rodzajów tekstu i mierząc centymetrem długość kolumny poświęconej danemu rodzajowi tekstu we wszystkich badanych egzemplarzach ,,Dziennika'' obliczyłem średnią arytmetyczną dla roku 1946 i 1952 oddzielnie.

Oto tablica ilustrująca wyniki analizy treści ,,Dziennika Polskiego'':

(9) Nie potrafię ręczyć czy cyfra ta jest prawdziwa — gdyż ,,ruch naturalny'' prasy polskiej jest tak duży, że nie sposób doliczyć się wszystkich wydawnictw.

Podział tekstu „Dziennika Polskiego" według przedmiotów
(w odsetkach)

Przedmiot treści:	Rok: 1946	1952
Wiadomości polityczne z Polski i o Polsce	30.6	18.1
Wiadomości polityczne z reszty świata	20.6	11.2
Wiadomości i reportaże z życia Polaków w Wielkiej Brytanii	12.6	23.9
Artykuły redakcyjne	4.5	4.5
Odcinek powieściowy	—	5.5
Listy do redakcji	—	3.0
Porady prawne	3.3	5.0
Humor	2.4	2.2
Sport	2.5	4.5
Ogłoszenia	13,2	19.1
Różne	10.3	3.0
	100.0	100.0

Tablica powyższa ilustruje stopień w jakim „Dziennik Polski" stał się pismem pozostającym przede wszystkim na usługach społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii.

Jeszcze w roku 1946 „Dziennik" był organem propagandowym. Dzisiaj jest organem emigracji. Widoczne to jest jeśli zestawimy odsetek tekstu poświęconego wiadomościom politycznym z Polski i o Polsce. W roku 1946 z górą 30% tekstu poświęcone było temu przedmiotowi; dzisiaj tylko 18% (10). Odwrotnie natomiast przedstawia się sprawa jeśli chodzi o wiadomości o życiu Polaków na emigracji. Zwiększył się również odsetek tekstu poświęconego na porady prawne, podatkowe itp., wiadomości o sporcie emigracyjnym i ogłoszenia. Pojawiły się nowe rubryki: listy do Redakcji, oraz odcinek powieściowy, w którym popularne opowiadania Sądka z życia emigracji zadowalają potrzebę psychiczną emigrantów, odszukujących siebie samych w opisywanych przeżyciach i osobach.

Brak miejsca nie pozwala mi na analizę krytyczną treści i innych pism polskich. Wydaje się jednak, że pomijając różnicę poziomu i wielkości nakładu „Dziennik Polski" jest reprezentatywnym pismem polskim w Wielkiej Brytanii i podobnie jak reszta prasy polskiej pismem jednojęzycznym (11). Pragnę zakończyć me rozważania stwierdzeniem, że prasa polska podkreślając odrębność grupy polskiej — ułatwia nam jednak przysto-

(10) Nie oznacza to wcale, że „Dziennik" stracił swe oblicze niepodległościowe; stał się po prostu trochę mniej polityczny, a bardziej zaściankowy.

(11) Większość pism polskich w Stanach Zjednoczonych to pisma dwujęzyczne.

sowanie się do warunków życia w Wielkiej Brytanii. Jest ona ważnym czynnikiem w tej kategorii procesów asymilacyjnych, którą nazwałem akomodacją. Analizie tego zagadnienia poświęcę drugą część niniejszego artykułu.

(Dokończenie nastąpi.) *Jerzy ZUBRZYCKI*

Niestety Ameryka...

Panie Prezydencie,

No więc jak będzie z nami?

Bo ja tej sprawy nie mam zamiaru puszczać płazem. Zbyt wiele krwi napsuł mi pan McCarthy czy też duch jego, krążący po amerykańskich instytucjach w Europie, bym mógł urazę stłumić w sobie i po chrześcijańsku przebaczyć. Tłumiłem ją zresztą dotychczas, ale na zdrowie mi to nie wychodzi. Freud stanowczo odradza wszelkiego tłumienia, bo powiada że kazirodztwo może się z tego wywiązać. I ma rację.

Bo ja sam przez ten cały czas od chwili gdy zacząłem w sobie tłumić pragnienie zemsty nad McCarthy'm stronię od ludzi, zdziczałem, zarosłem, przez co jestem skazany, siłą faktu, na wyłączne obcowanie z własną żoną. Nie powiem żeby to było nieprzyjemne, ale jest to niewątpliwe kazirodztwo.

Śmiech śmiechem, ale to nie ładnie, Panie Prezydencie, że nie odpisał mi Pan na list — bardzo uroczysty, podniosły i prywatny — który, jak to mówią, ośmieliłem się prawie rok temu przesłać Panu informując, że zostałem wylany z podległej Panu instytucji amerykańskiej bez podania powodów i bez jakiegokolwiek odszkodowania moralnego — nie mówiąc już o materialnym. List ten zakończyłem patetycznie: „Nie chodzi mi o to, by wrócił mi Pan utraconą posadę, ale byłbym wdzięczny gdyby mi Pan wrócił wiarę w sprawiedliwość amerykańską".

A Pan nic.

Nie zależy Panu widocznie na tym, bym zaczął znowu wierzyć, że instytucje amerykańskie kierują się w swym działaniu poczuciem prawa oraz rozumem i cnotą. Rozum równa się sprawiedliwość równa się cnota — jak wywodził Sokrates.

Zresztą nie tylko Panu nie chodzi o moją wiarę. Również urzędnicy Pańscy w Europie nie wykazują troski o to, czy Mr. Jakiśtam, klepiący biedę — po ramieniu — Gdzieśtam, wierzy czy nie wierzy w sprawiedliwość amerykańską.

A to nie jest — niech Pan sobie pozwoli powiedzieć, Panie Prezydencie — rozsądne stanowisko. Bo dzisiaj Ameryka, chcąc nie chcąc, jest przodownikiem czyli stachanowcem świata wolnego (w tym prywatnym do Pana liście pisałem : ,,Wolnego Świata" — dużymi literami).

Każdy emigrant polski, zapytany kto jest przodującym poetą polskiej emigracji, odpowie : ,,Lechoń, niestety".

Przodownikiem świata wolnego jest Ameryka — niestety.

Nie każdy z nas mieszka w Ameryce, ale w każdym z nas Ameryka mieszka. A mieszkając — boli. Boli dlatego że nie jest ideałem, jakim być powinien przodownik. I dlatego to ,,niestety".

Bo przodownictwo obowiązuje, Panie Prezydencie. A tymczasem Ameryka wyrabia rzeczy, od których zbielał mi włos na łysinie. Mam na myśli sprawę najważniejszą — swoją własną sprawę. Streszczę ją Panu w tej nadziei, że może mój poprzedni list prywatny do Pana nie dotarł, zeskamotowany po drodze przez pana Shine'a lub Cohna, kochających się, jak wiadomo, w różnych tam fotomontażach.

Oto memorandum mojej sprawy w dramatycznym skrócie.

12 lipca 1953 otrzymałem propozycję pracy w sekcji polskiej ,,Głosu Ameryki" w Europie jako autor tekstów. Zgodziłem się skwapliwie, bo audycje ,,Głosu Ameryki" miały — i mają — opinię najsłabszych pod względem doboru tekstów spośród wszystkich rozgłośni, mówiących po polsku (jeśli nie liczyć Warszawy i Moskwy) : należało podnieść poziom.

10 października dostałem kilkadziesiąt metrów kwestionariusza. Wypełniałem je dziesięć dni i dziesięć nocy (bo sprawa była ,,pilna"), przypominając sobie usilnie czy sam kiedykolwiek nie ulegałem manii samobójczej, albo czy ktoś w rodzinie nie był dotknięty tego rodzaju anty-amerykańską słabością. Nie mówiąc już o tym że niemal dzień po dniu opisać musiałem swoją przeszłość komunistyczną, co przy moim braku zamiłowania do dat i nazwisk nie było łatwe.

28 stycznia 1954 w ambasadzie amerykańskiej w Londynie pozwoliłem sobie utoczyć trochę krwi — dla Pana, Panie Prezydencie — wysiusiałem się w menzurkę — było 12 kresek, pamiętam jak dziś — jak również obnażyłem pierś do prześwietlenia Roentgenem, oraz podskoczyłem kilka razy do pułapu, za każdym razem wolniutko opadając ku ziemi, jak mówił Franc Fiszer (Pan nie znał Fiszera, Panie Prezydencie? Szkoda). Po czym lekarz stwierdził że jestem ,,idealnie zdrów", wobec czego :

5 lutego złożyłem przysięgę że nigdy nie byłem i nie jestem faszystą, że *nie jestem* komunistą (specjalnie dla mnie skreślono z roty przysięgi ,,nie byłem") i że nie będę siłą obalał ustroju, na straży którego stoi Pan, Panie Prezydencie. Po czym —

10 lutego odjechałem do Monachium. Na granicy Francji i Barbarzyństwa doznałem wstrząsu, usłyszawszy dźwięki mowy, którą ongiś posługiwał się Goethe, a potem Bismarck i Hitler. Wstrząsnęło mną to mianowicie że granica Francji i Barbarzyń-

stwa wcale nie była granicą zwycięstwa i klęski. Raczej wprost przeciwnie.

No i zaczęło się to podnoszenie poziomu ,,Głosu Ameryki''. Było ciężko, nawet jak na moje — ,,idealnie zdrowego'' faceta — siły. Muszę przyznać, że Walter Lippman ma absolutną rację w tym wszystkim, co pisze o ,,Głosie Ameryki''. Ale dalibóg to nie moja wina, tylko Zbyszewskiego oraz ducha McCarthy'ego, który — między innymi pomnika godnymi przepisami — zabrania używania cytat z prasy sowieckiej i klasyków marksizmu, ba — nawet cytowania Williama Jamesa...

— Co? Williama Jamesa? Nie do wiary! — krzyknie Pan, Panie Prezydencie.

— Niestety, fakt — odpowiem, załamując ręce.

Nie wierzyłem własnym oczom gdy mi w moim tekście skreślono cytat z Jamesa. Wyjaśniłem że William James jest chlubą filozofii amerykańskiej i światowej, twórcą pragmatyzmu... Owszem o tym wszystkim wiedziano, ale podobno jeden z jego uczniów — John Dewey — występował kiedyś z krytyką ustroju amerykańskiego. Jeden z uczniów... I już po śmierci mistrza. A mimo to wystąpienie ucznia — zresztą skądinąd wiadomo że John Dewey jest śmiertelnym wrogiem komunizmu jak i faszyzmu — obarcza zmarłego mistrza.

Może interesuje Pana, Panie Prezydencie, o jaki cytat chodziło? O taki: ,,Nie ma doskonałości, jest tylko dążenie do doskonałości''...

Zresztą bo ja wiem — może to jest rzeczywiście teza szkodliwa... Bo oto czytam J. Dewey'a *Reconstruction in Philosophy* i na stronie 177 widzę taki komentarz do tezy Jamesa: ,,Koncepcja ta czyni nas surowszymi w sądzeniu siebie i ludzkimi w sądzeniu innych''.

I tu mamy najgłębszą istotę mccarthyzmu: tępiąc takie koncepcje, mccarthyzm staje na gruncie bolszewizmu.

Ale ja nie o tym, to za głębokie dla mnie — Redakcja ,,Kultury'' prosiła mnie o wesoły kawałek à la ,,Maciuś Szary''.

W maju przyjechali do Monachium wysłannicy McCarthy'ego, panowie Shine i Cohn. Rozśmieszyli całą Europę jedną ze swoich wcześniejszych przygód w Wiedniu. Wykryli mianowicie w bibliotece konsularnej placówki amerykańskiej w Wiedniu Szekspira i Lwa Tołstoja. Kazali absolutnie wyrzucić. Dlaczego? Bo widzieli tych samych autorów w katalogu jednej z bibliotek sowieckich. A wiadomo że bolszewicy nie tolerują u siebie literatury antybolszewickiej. Gdyby Szekspir i Lew Tołstoj nie byli bolszewikami, nie figurowaliby w bibliotece sowieckiej. Z punktu widzenia logiki formalnej nie można by delegatom pana McCarthy'ego nic zarzucić, a mimo to... ani Szekspir, ani Lew Tołstoj, ani James, ani Dewey bolszewikami nie są.

I tu dochodzimy do sedna mojej sprawy, Panie Prezydencie, bo ze mną jest to samo.

Mccarthyzm, jak każdy prymitywizm, wierzy w czary i rozumuje tak: komunizm jest magią — czerwoną; kto raz dostał

się pod wpływ magii, umarł do końca życia. Musi być tabu, musi być wyobcowany; bo jeśli człowiek czysty dotknie takiego, dostaje się pod wpływ jego manu i leży. Takich, którzy już raz zetknęli się z czerwoną magią należy albo palić na stosie albo odsyłać za żelazną kurtynę.

Trzeba tutaj dodać że podobnie rozumowały i postępowały niektóre szczepy indiańskie : byłeś w powodzi albo w ogniu a jednak wyratowałeś się, znaczy obdarzony jesteś niebezpieczną manu, wobec tego giń — i buch faceta do wody albo ognia. Pan McCarthy, tępiąc Indian, przejął ich wierzenia, tak jak tępiąc komunistów, przejął antychrześcijańską postawę komunizmu.

W rezultacie, po wizycie pp. Shine'a i Cohna w Monachium otrzymałem pewnego dnia sierpniowego zawiadomienie, że na zlecenie szefa wywiadu amerykańskiego w Bonn muszę ,,natychmiast opuścić stanowisko autora tekstów radiowych w sekcji polskiej ,,Głosu Ameryki'' i wracać, skąd przyjechałem. Nieodwołalnie. Dlaczego?

Arkusz zwolnienia głosił: ,,Z przyczyn, które gdyby były znane w chwili mianowania, wykluczyłyby takowe'' (mianowanie).

Pracujący w konsulacie amerykańskim urzędnicy niemieccy z prawdziwą przyjemnością rozbroili mnie ze wszystkich dokumentów amerykańskich i z radością pożegnali. Moi szefowie amerykańscy i polscy mieli natomiast miny zawstydzone i — ale niech to im nie zaszkodzi, Panie Prezydencie, i nie zostaną pociągnięci przed komisję senacką — mieli łzy w oczach. Bo pracę moją w ,,Głosie Ameryki'' cenili, dając temu niejednokrotnie wyraz na piśmie uwagami ,,Excellent'', ,,Very effective piece of writing'' itp.

Piszę o tym nie by się chwalić. Bo niech Pan, Panie Prezydencie, weźmie pod uwagę : wystrzelili z szeregu żołnierza, złamali go moralnie, uniemożliwili dalszą wspólną walkę, rzucając na niego cień niesławy i wszelkiego rodzaju podejrzeń, który może się czernić za nim przez całe życie.

,,Jego wylali Amerykanie, coś w tym być jednak musi'' — będzie mówił każdy, kto się ze mną zetknie, choćbym nawet nie wiem jak płomienne rzucał manifesty przeciw zbrodniom komunizmu. Tym bardziej, że w sposób, moim zdaniem, tchórzliwy, nie powiedziano mi wyraźnie, o co chodzi. Bo formułka : ,,Z powodu racji, które gdyby były znane'' itd. jest frazesem implikującym, że coś ze swojej przeszłości ukryłem, czyli zwalaniem winy na mnie, a przecież, jeśli mój dawny komunizm był im nie znany to przecież z ich, nie z mojej winy, bo widocznie nie czytali mojego kwestionariusza.

Wobec tego napisałem do szefa wywiadu w Bonn — w tym samym właśnie czasie, kiedy pisałem do Pana, Panie Prezydencie, ten pierwszy list prywatny — z żądaniem zbadania sprawy, bo może za tą decyzją kryje się jakaś czerwona ręka... No i niech Pan sobie wyobrazi lenistwo swoich urzędników — bo pisałem również i do innych, między innymi do szefa ,,Głosu Ameryki''

na Europę — żaden z nich mi nie odpisał. Ba, nie tylko mnie, ale i moim wysokim protektorom, którzy z racji tego że byli moimi dowódcami w czasie wojny dawali o mnie referencje do ,,Głosu Ameryki'' przed moim mianowaniem. A teraz chcieli wiedzieć, dlaczego mnie wylano. Odpowiedzi też nie dostali.

Do tej pory milczałem. Znajomym mówiłem : ,,Na własne pożądanie''... Czekałem na jedno przynajmniej słowo wyjaśnienia, czy jakikolwiek inny objaw ludzkiego stosunku do mnie — jako do człowieka, jako do byłego, ale pracującego w miarę swoich sił urzędnika, jako do pisarza. Nie doczekałem się. No, to już dłużej goryczy tłumić nie mogę.

Otrząsam się, wyrzucam to z siebie i żądam sprawiedliwości. Wiem że nie dostanę, ale w kompleks nie wpadnę — to ważne. Pan powie, Panie Prezydencie, że to absolutnie nie ważne, że moja sprawa to pyłek w porównaniu z takim Bien-Dien-Phu na przykład. A ja Panu odpowiem : już Archimedes spostrzegł że sprawy wielkie składają się ze spraw małych. Gdyby nie było takich spraw jak moja, nie byłoby takich spraw jak Indochiny. Ba, nie byłoby w ogóle marksizmu, hitleryzmu ani mccarthyzmu na świecie.

Radzono mi, by zwrócić się o opiekę i pomoc do jakiegoś amerykańskiego senatora. Do senatora ? Ja nie uciekłem z Polski na Migu — zostałem wywieziony stalinowską stołypinówką pod biegun północny — jak miliony innych Polaków, a potem wojowałem jak tysiące innych polskich żołnierzy — we mnie nie ma elementu sensacji dla jakiegokolwiek amerykańskiego senatora. Oddaję się więc pod najwyższą dla mnie na tej ziemi opiekę — pod sąd Opinii Publicznej.

Jeszcze jedno na zakończenie, Panie Prezydencie.

Może to Panu wydać się dziwnie bezczelne, że piszę do Prezydenta najpotężniejszego w świecie kraju bez najmniejszych oznak uniżenia i strachu. Chciałbym Panu wytłumaczyć : jestem synem narodu, który stworzył przysłowie : szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.

Pan, Panie Prezydencie, ma swój wielki Biały Dom w Waszyngtonie, a ja mam mały biały domek w Londynie. Prawda, ciasny, ale własny. Uważam się za równego Panu.

I tu jest punkt główny...

Gdy mnie wywiad Pański wylał z szeregu bez podania powodów i bez najmniejszej racji, powiedziałem sobie : ,,Psiakrew, jak w Rosji''. Ale ten fakt, że mogę z Panem rozmawiać, jak równy z równym, zwraca mi surowo uwagę, że nawet między Ameryką McCarthy'ego a Rosją Kremla jest przepaść niewyrażalna żadnym przymiotnikiem. I dlatego chociaż mówię ,,niestety'', to jednak mówię — ,,Ameryka''.

Pański

Janusz KOWALEWSKI

Horyzonty na niby

Szkolne jednodniówki, biuletyny korporantów, czasopisma studenckie są najczęściej fenomenem żenującym. Prym trzymają w nich zwykle prymusi, zdolni, przymilni, pieczołowicie piastujący w sobie zalążek ambasadora, akademika, arbitra. Ale ci dygnitarze wiedzą, że są młodzi, że w młodości trzeba się wyszumieć, hop dziś dziś, i, niestety, także się wypisać. Sentyment dla ,,starej budy'', solidarność, *gaudeamus igitur* i choćby cię smażono w smole — to wszystko składa się na atmosferę, która nie sprzyja ani myśli ani literaturze.

Pomimo to miałem odruch zaciekawienia biorąc do rąk pierwszy numer ,,Horizons'' — dwumiesięcznika studentów Uniwersytetu Wolnej Europy w Strassburgu. Wokół Strassburga powstał swoisty mit emigracyjny. Sam fakt, że grupa młodzieży uchodźczej studiuje, pobiera stypendia, ma się rzekomo przygotowywać do ,,powrotu'', a więc pilnie śledzić rozwój wypadków w swoich okupowanych krajach, przyswajać sobie arkany marksistowskiej dialektyki, czytać wszystkie możliwe ,,Scanteie'', ,,Rude Prawa'', ,,Trybuny Ludu'', ,,Nowe Drogi'', kształcić się na wolności — zachowując jednocześnie kontakt ze zniewolonym umysłem, jest tak niebywały, że nad tą wylęgarką trzepocą z daleka wszystkie oficjalne i nieoficjalne emigracyjne matki-kury. Stąd niezliczone alarmy, sensacje i rewelacje. Stąd propozycje reform, permanencja ,,Komisji Edukacyjnej'', Szymon Konarski via bracia Jędrzejewiczowie.

O samej młodzieży wiemy niewiele. Ale można by przypuszczać, że jest odmienna od przeciętnej sztancy studenckiej, którą w normalnych warunkach wydaje nasza cywilizacja. Studenci? Tak — bo szczęśliwy zbieg okoliczności skierował ich do Strassburga raczej niż do Dien-Bien-Fu, na australijską farmę czy do londyńskiego baru. Ale przecież także — czy ja wiem? — powstańcy warszawscy, turyści z bocianich gniazd, czetnicy Michajłowicza, dzieci sowieckich łagrów uratowane przez Andersa, a w każdym razie dziewczyny i chłopcy, których młodość nie była zwyczajna, którzy przeszli przez obce szkoły, na których nie ciąży rutyna szarego dorastania. Dlatego byłem ciekaw co z tego wiru, tragedii, przygody, czy choćby ,,dépaysement'' przeniknęło do tych ,,Horyzontów'', które, jasne czy ciemne, winny być w każdym razie szerokie. Otóż już od pierwszych stron ścięła mnie z nóg grzeczność, dobre wychowanie, dobra wola, dobra europejskość, dobranoc. Wiem dobrze, że piszę artykuł złośliwy, niegrzeczny i niepedagogiczny. Że nie należy zniechęcać, że jak mówi p. Pelenyi w taktownym słowie wstępnym, ,,n'arrive-t-il pas fréquemment que les jeunes entreprises portent dans leurs

premiers essais les germes de leur prospérité future?" Tylko że ta entrepryza jest właśnie młoda nudno, prymusowsko, solidarnie konformistycznie i że nie lubię zapowiadającego się brzuszka i podwójnego podbródka jej przyszłej ,,prospérité". Pismo jest, jak zwykło się mawiać, ,,na poziomie". Jest tam i Platon i Goethe, i federacja europejska, i metafizyka, i moralność, i poczucie własnej godności. Z dziesięć wypracowań gimnazjalnych na czwórkę. Co za świetne słowo ,,wypracowanie"! Jak doskonale oddaje zasadniczy fakt : że pisze się ,,na niby", że lepi się na ławce glinkę, która ma imitować niedościgły pierwowzór : profesorską ,,pracę". Rodzą się tak sartrzyki, jaspersiątka, husserletki. Blade odblaski myśli. Ślady przetrawionych lektur.

,,Horizons" są pismem wewnętrznym obecnych i byłych alumnów Strassburga. Ale przedstawiają przecież także ich kontakt ze światem zewnętrznym, są mostem pomiędzy nimi i wszystkimi, którzy się interesują strassburskim doświadczeniem. Można by oczekiwać w dziale informacyjnym jakiegoś śladu zaciekawienia życiem w naszych krajach. Tymczasem... jeden tylko ślad : artykuł p. W. Sulimirskiego B. A., który na dwóch stronach podaje przedwojenne cyfry spisów ludności krajów Europy środkowo-wschodniej (sic). Ale nawet wypracowania, choćby najsłabsze, są przecież dokumentami zainteresowań, tendencji, nadziei czy obaw. Jakąż atmosferę oddają nam ,,Horizons"? Przede wszystkim — obojętności. Na próżno szukać by w nich śladu entuzjazmu, buntu czy nawet rozpaczy. Na tle tej zasadniczej obojętności — pewien głód uniwersalizmu. Lekkie, podświadome zwątpienie co do obecnych wartości cywilizacji zachodniej, wyrażone raz to w formie nostalgii za jakimś (nieokreślonym zresztą) ,,ideałem", za podejściem spirytualistycznym, raz to jako nieśmiałe nawoływanie do ,,upolitycznienia" zachodniego świata. Ideał ,,europejski", jak się mówi w raportach szkolnych, został ,,przyswojony". Równie ,,przyswojony" został obowiązujący przepis na stosunek do Europy środkowo-wschodniej (trzy ćwierci *containment,* ćwierć cienia *liberation,* przysolić nadzieją i podać na letnio). Smutek. Ten sam smutek, który bije z krótkich (tak krótkich że aż poprawnych) wierszyków, które wszystkie skarżą się, kwilą, żalą.

Smutek kończy się razem z tekstami. ,,Chronique du Collège" jest wyraźnie zadowolona, szczęśliwa, uszczęśliwiona. I dziarska, i wysportowana, i roztańczona. A przy tym stukająca obcasami, mizdrząca się, prowincjonalnie ugrzeczniona. Wciąż się wita, żegna, dziękuje, całuje rączki, przedstawia, zapowiada, zachwala. ,,Wspaniała manifestacja artystyczna", o której czytamy, była i ,,patronowana" i ,,zaszczycona". Ileż osobistości ! Od ,,Madame la Préfète" (sic) do tajemniczego ,,Monseigneur". ,,Podkówecki dajcie ognia!" Czegóż tam nie było. Od ,,Kupla Kupla Liepa Auga" aż po : ,,une 'Noce dans un village polonais' comprenant :

1) Krakowiak
2) Goralski

3) Kujawiak'' (sic ! — nawet co do układu graficznego). Kółko Kinowe ma oczywiście ,,ciekawą i bogatą działalność''. Niestety (jak w polskich wsiach), ,,trudności techniczne... przeszkodziły... zasmakować w tych arcydziełach w sposób doskonały''. Ale — ,,nic to''. Inne filmy są zapowiedziane, ,,ze szczególnym poczuciem szczęścia''. W tak wersalskiej atmosferze, nic dziwnego, że bal był ,,wspaniały'', że ,,inteligentna inicjatywa komitetu'' pozwoliła ,,gent estudiantine'' (skręcam się na dźwięk takich pretensjonalnie żartobliwych archaizmów) ,,zasmakować w urokach bardzo przyjacielskiego wieczoru''. Z uczuciem ulgi dochodzimy do działu sportowego, w którym mniej wytworny, choć równie zadowolony redaktor informuje o niewątpliwych sukcesach ,,Collège'u'' na boiskach.

Zdaję sobie sprawę, że po tych złośliwościach jakiekolwiek słowa zachęty z mojej strony poczytane być mogą za fałsz. Tym niemniej myślę, że miesięcznik studentów strassburskich ma jedną niepośledną zaletę : wychodzi. Często się zdarza, że grupa młodzieży zakłada pismo chcąc się ,,wypowiedzieć'', a potem cofa się, jakby onieśmielona. Goethe, Platon, myśl współczesna stają się wówczas idealnymi pretekstami do zapełnienia groźnych białych stron. Czy można zasugerować redaktorom ,,Horizons'' żeby nie poświęcali pisma esejom, których twórcza wartość naukowa jest — powiedzmy szczerze — nikła ? Że ciekawsze byłoby to co mogą nam powiedzieć osobiście, jako ludzie mający za sobą wojnę, wygnanie, nieprzeciętne doświadczenie ? Że ciekawe byłyby ich reakcje na przemiany, które zaszły w naszych krajach, ich zdanie o polityce grup emigracyjnych, czy — dlaczego nie ? — o polityce amerykańskiej. Nie zapominajmy, że studenci w Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech nie mogą krytykować (markowanie samokrytyki nie wchodzi przecież w rachubę). Że mają do wyboru wazelinę i wąski rezerwat ,,obojętnej'' politycznie nauki. Chciałbym żeby ,,Horizons'', jeśli kiedyś dostaną się do rąk studentów z naszych krajów niosły ze sobą powiew nie ,,Wolności'' zastygłej w slogany, ale swobody, zmysłu krytycznego, inteligencji, którą można stosować samodzielnie do każdego przedmiotu. Żeby były mniej grzeczne, mniej uniżone. Pewniejsze siebie.

Wydaje mi się, że wszyscy niemal autorzy prac zamieszczonych w pierwszym numerze mają na to dane. P. J. St. P. ma zadatki na pisarza (mniej sentymentalizmu, więcej inwencji w absurdzie) ; p. Elsa Mit ma interesujące podejście do psychiki uchodźczej (szkoda że mówi o niej z pewnym melancholijnym samoupodobaniem). Ciekawi bylibyśmy mniej nikłych wierszy p. Mierkalnsa. Potencjalną inteligencję znać w artykułach pp. Babitsa, Poznańskiego, Pavlovica i innych — można by ją chyba zastosować do szukania mniej ubitych dróg. Miejmy nadzieję że ,,Horizons'', nawet kosztem zrezygnowania z konkurencji z ,,Diogène'', skazanej z góry na niepowodzenie, staną się z czasem bardziej autentyczne.

K. A. JELEŃSKI

Niemcy...

W odpowiedzi na artykuł J. Mieroszewskiego pt. ,,Niemcy...'' (*Kultura*, Nr 4/78) Alfred Burmeister nadesłał nam interesującą wypowiedź w której pisze między innymi: ,,Istnieją w Niemczech, podobnie jak w Polsce czy zgoła w Anglii — zdobywcy *i* imperialiści, krzewiciele kultury *i* barbarzyńcy, mądrzy *i* głupcy... Która z tych grup i w jakim czasie w danym kraju bierze górę — wydaje mi się sprawą szczęśliwego czy nieszczęśliwego wzajemnego zazębienia się warunków (zbiegu okoliczności) a nie problemem narodowego charakteru''.

Tak stawiając sprawę w ogóle nie można by mówić o narodowym charakterze, jak również ani o winie, ani o zasłudze w skali narodowej. Hitler w takiej interpretacji nie był niczym innym tylko wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, które sprawiły, że N.S.D.A.P. zdobyła większość w Reichstagu.

Burmeister ma rację twierdząc, że w każdym narodzie są krzewiciele kultury i barbarzyńcy, zdobywcy i imperialiści, totaliści i demokraci. Trzeba tylko jeszcze dodać, że procentowy wzajemny stosunek tych grup w każdym narodzie jest różny. Jeżeli mówimy, że Anglicy są narodem kupców, pragniemy przez to powiedzieć, że typ o mentalności komercjalnej procentowo przeważa nad innymi grupami i fakt ten jest jedną z cech, które uważamy za typowe dla narodowego charakteru angielskiego.

To co Burmeister nazywa ,,Verkettung von Umständen'' w sensie socjologicznym i politycznym bywa w ogromnej mierze wynikiem zdrowej lub zwichniętej proporcji między krzewicielami kultury a barbarzyńcami — między totalistami a demokratami, między ludźmi z kręgosłupem a kapitulantami. Niewątpliwie ogół warunków w danym okresie historycznym może stworzyć korzystny klimat dla jednej z tych grup; jeżeli jednak w danym momencie totaliści są górą nie oznacza to, że wszyscy inni winni skapitulować i nie oznacza to również, że jeżeli skapitulują wolni są od wszelkiej odpowiedzialności. Nie jesteśmy bezwolnym produktem procesu historycznego. Historia tworzy nas, ale i my tworzymy Historię. Hitleryzmu nie można wyjaśnić

twierdzeniem, że jest on wynikiem fatalnego zbiegu przyczyn, warunków i okoliczności, które w sumie nie mają nic wspólnego z narodowym charakterem niemieckim. Przeciwnie, hitleryzm jest do wyjaśnienia jedynie poprzez analizę niemieckiego charakteru narodowego oraz poprzez analizę zbiegu różnorakich specyficznych przyczyn i okoliczności.

Charakterystyczne są uwagi autora artykułu o procesie demokratyzacji zachodnich Niemiec. Nikt nie wątpił ani nie wątpi — pisze Burmeister — że Francja, Anglia i Ameryka są krajami demokratycznymi. Niemniej przedstawiciele tych państw — choć sami zapewne najlepsi demokraci — nie oddziaływują ,,demokratyzująco'' na społeczeństwo niemieckie. Dlaczego tak się dzieje? Jedną z przyczyn jest fakt, ...,,że zimna wojna, prowadzona w imię zachowania wolności, jest sama w sobie zagrożeniem wolności i ów fenomen nie znajduje nigdzie jaskrawszego wyrazu jak na 'gorącym' froncie tej wojny to jest w Niemczech''.

I tu leży źródło owego rozczarowania tak charakterystycznego dla wielu niemieckich intelektualistów. Autor cytuje wypowiedź jaka padła na zjeździe pisarzy w Monachium: ,,Nie neofaszyzm jest największym niebezpieczeństwem; zawsze go szybko rozpoznamy i skutecznie zwalczymy, lecz znacznie bardziej groźne i właściwie całkowicie beznadziejne jest ,,to'' — co nam z innej strony w imię obrony wolności oferują, a co również nie jest wolnością''.

Tego typu atmosfera działa szczególnie deprymująco na młodzież. Ilustracją tych procesów jest świeżo wydana książka Meichsnera pt. ,,Die Studenten von Berlin''.

Problem sprowadza się do pesymistycznego stwierdzenia, że po wszystkich ,,denazifikacjach'' i ,,dekomunizacjach'' wciąż nie ma wolności tym razem w imię... obrony wolności. Krytyka jest źle widziana bo jest wodą na młyn nieprzyjaciela itd. Po rozczarowaniu hitleryzmem i komunizmem młodzi ludzie pogrążają się w rozczarowaniu Nr 3.

Z jednej strony utrzymuje się pewne ograniczenia wolności w imię obrony wolności — z drugiej zaś strony owa wolność jest nie do obronienia bez udziału Niemców. Lecz Niemcom boją się dać do rąk broń ci, którzy w uzbrojeniu Niemców widzą zagrożenie wolności. Oto jest w uproszczonym nieco wydaniu schemat niemieckiego błędnego koła.

Za ograniczeniem wolności Niemiec (zawsze w imię obrony wolności) występują przede wszystkim ci, którzy równocześnie są zwolennikami jak najbardziej ugodowej i miękkiej polityki wobec Sowietów. I tu brzmi nuta fałszu, która może budzić usprawiedliwione rozgoryczenie.

Nie można od kogoś domagać się by bronił wolności i równocześnie uważać go za zagrożenie dla wolności.

Osobiście sądzę, że wolność Europy jest nie do obronienia bez udziału Niemiec i uzbrojenie Niemiec jest koniecznością jeżeli zamierzamy się bronić.

W gruncie rzeczy jednak ,,zimna wojna'' prowadzona jest

pod innym kątem widzenia. Naczelnym hasłem ,,zimnej wojny'' jest nie prowokować. Jeżeli w buszu afrykańskim napotka się lwa rzekomo najbezpieczniej jest trwać w biernym bezruchu. Każdy nieopatrzny gest może sprowokować atak i wtedy trzeba podnieść sztucer do oka i strzelać. Jeżeli trwa się bez ruchu dostatecznie długo istnieje szansa, że znudzony lew odejdzie. Taktyka ,,zimnej wojny'' oparta jest na pokrewnej psychologii. Po pierwsze — nie prowokować, po drugie — nie wykonywać żadnych gestów. Każda decyzja uważana jest za potencjalną prowokację. Jeżeli wytrwamy w obecnej niewygodnej sytuacji jeszcze przez dwa czy trzy lata — być może i przez następnych dziesięć lat nic się nie stanie. A ostatecznie chodzi nam tylko o to aby nic się nie stało.

W politycznej sytuacji Niemiec, jak w skupiającej soczewce, zbiegają się linie kryzysu europejskiego. Obecnie Niemcy są budowlą, która ma zadowolić zarówno tych, którzy pragną pełnej restauracji jak i tych, którzy chcą widzieć Niemców w mundurach europejskich jak i wreszcie tych, którzy uważają, że 500 dywizji sowieckich nie zagraża wolności a natomiast 12 niemieckich dywizji stworzyłoby śmiertelne zagrożenie dla Europy i uniemożliwiło kompromis z Sowietami. W rezultacie obecne Niemcy nie zadowalają nikogo i nikomu nie są w stanie dogodzić.

Wystarczyło pięć lat by militarnie pokonać Trzecią Rzeszę. Dziesięć lat okazało się za mało, by rozwiązać problem niemiecki.

Guy Mollet, sekretarz generalny francuskiej partii socjalistycznej powiedział przed kilku tygodniami : ,,Jesteśmy zwolennikami włączenia Niemiec w obronny system Zachodu, lecz pod jednym warunkiem a mianowicie, że włączenie dokonane zostanie w ramach systemu europejskiego a nie atlantyckiego. Albowiem rozwiązanie atlantyckie pociągałoby za sobą usamodzielnienie Niemiec i zgodę na utworzenie autonomicznej armii niemieckiej''.

A więc Niemcy mają być włączone do Europy. Niemcy są — tylko Europy nie ma.

PROFIL MŁODZIEŻY

W *Frankfurter Hefte* (Nr 4) ukazało się omówienie, pióra Eugen Kogona, wielkiej ankiety przeprowadzonej przez niemieckie biuro badania opinii publicznej ,,EMNID-Institut für Meinungsforschung''. Wyniki ankiety opracowane w formie książkowej ukazały się pt. ,,Jugend zwischen 15 und 24/Eine Untersuchung zur Situation der deutschen Jugend im Bundesgebiet'', Deutscher Heimat-Verlag''.

Badania dotyczyły młodzieży urodzonej pomiędzy 1929 a 1938 rokiem włącznie. Przeprowadzono 1.750 ,,interviews'' w 95 okręgach zachodnich Niemiec. Na każdą setkę badanych przypadało 51 mężczyzn i 49 kobiet. 55 procent przynależy do roczników 1929-1934 a 45% do młodszych grup (18 do 15 lat). 56% biorą-

cych udział w ankiecie jest wyznania ewangelickiego, 38% stanowią katolicy a 6% przypada na inne wyznania. 93% jest stanu wolnego — 7% żonaci (względnie zamężne).

Ankieta obejmowała 86 pytań ogólnych, które podzielone były na szereg grup tematycznych jak np. ,,Młodzież a praca zawodowa'', ,,Młodzież a polityka'' itp.

Na pytanie : ,,Która z niemieckich postaci historycznych budzi w tobie największy podziw?'' — padła odpowiedź : na pierwszym miejscu Bismarck, na drugim miejscu Fryderyk Wielki, na trzecim Hitler.

Interesujące były odpowiedzi na pytanie : ,,Z jakich przyczyn przegraliśmy ostatnią wojnę?'' 37% sądzi, że na skutek ,,przemocy'', 11% na skutek ,,zdrady'', 9% ,,z winy Hitlera'', 7% z winy ,,dowództwa'', 3% przypisuje przegraną ,,naszym własnym błędom'', 2% różnym przyczynom jak : brak jedności, bombardowania, Rosja itp. Tylko 1% dał trafną odpowiedź : ,,przegraliśmy wojnę bośmy ją rozpoczęli''. Co czwarty z zapytywanych odmówił odpowiedzi na powyższe pytanie.

Na pytanie : ,,Czy służba wojskowa jest najlepszym wychowaniem dla młodego człowieka?'' — 55% odpowiedziało twierdząco.

Okazuje się, że legendę munduru podtrzymują w Niemczech przede wszystkim dziewczęta. Na pytanie czy młody człowiek w mundurze wygląda lepiej niż po cywilnemu — 53% zapytywanych dziewcząt opowiedziało się za mundurem. Natomiast 52% młodych mężczyzn sądzi, że młodzieniec lepiej prezentuje się po cywilnemu a tylko 46% wypowiedziało się za czarem munduru.

,,Sztandar znaczy więcej niż życie'' — jaka jest pańska opinia w tej sprawie? 67% respondentów wypowiedziało się negatywnie — oświadczając, że życie znaczy dla nich więcej niż sztandar. Charakterystyczny jest fakt, że najradykalniejsze poglądy w tej tradycyjnej ,,kwestii' wykazali synowie urzędników. W tej grupie 72% zapytywanych wyżej ceni życie niż sztandar.

,,Czy chętnie zostałbyś żołnierzem?'' — 28% odpowiedziało — tak. 71% — nie!

11% ogółu respondentów wykazuje pewne sympatie hitlerowskie i wypowiada się pozytywnie o samym Hitlerze.

46% zapytywanych uważa, że małżeństwo mieszane niemiecko-żydowskie może być szczęśliwe.

Za Niemcami jako równo-uprawnionym członkiem wspólnoty europejskiej wypowiedziało się (przy 7% powstrzymujących się od wypowiedzi) — 65% respondentów. 28% wypowiada się za niezależnym niemieckim państwem narodowym.

Pół roku temu to samo biuro przeprowadziło ankietę na powyższy temat wśród dorosłych. Na 2.000 zapytanych — 43% wypowiedziało się za Niemcami jako równo-uprawnionym członkiem wspólnoty europejskiej.

LONDYŃCZYK

„Wybrałem wolność"

I. GRANICA

W dniach od 3 do 9 lipca 1953 roku odbywał się w Warszawie kongres nauki prawa. Przybyli profesorowie, docenci, delegaci asystentów i adiunktów oraz liczni przedstawiciele praktyki prawniczej w Polsce. Program przewidywał pięć referatów plenarnych i szereg referatów sekcyjnych. Wszystkie miały być opracowane zespołowo. Jedno z pięciu posiedzeń plenarnych poświęcone było prawu międzynarodowemu, a temat referatu nosił tytuł : ,,Suwerenność''. W programach i gazetach podano, że autorami tego referatu są : Dr Cezary Berezowski, profesor U. W.; dr Marek St. Korowicz, prof. U. J.; dr M. Lachs, prof. U. W.; dr M. Muszkat, prof. Szk. im. Duracza; dr Juliusz Katz-Suchy, prof. Szk. Gł. Służby Zagranicznej. A zatem dwaj ludzie z ,,przedwojennej kadry naukowej'' i trzej z nowej, socjalistycznej. Poprzednio, p. Katz-Suchy wyznaczył nam szczegółowe tematy do opracowania. Mnie wypadło napisać 20 stron; całość referatu obejmowała około 90 stron. Na sesji rozdano powielone referaty. Z ciekawością zajrzałem do skryptu, by stwierdzić ile tam jest mojego wkładu. Okazało się, że z dwudziestu napisanych przeze mnie stron, w owym referacie zbiorowym znalazły się dwa zdania...

Upał był wówczas nie do zniesienia. Atmosfera zjazdu pełna obłudy i kłamstwa. Bezpartyjni profesorowie, których jest przecież w Polsce ponad 95%, wygłaszali ,,marksistowskie'' przemówienia, pełne gorących wyrazów dla prawa socjalistycznego i złośliwych epitetów pod adresem burżuazji zachodniej w służbie imperializmu i monopolistycznych koncernów amerykańskich. Ale Francuzi słusznie mówią : *C'est le ton qui fait la chanson.*

Rozbawiłem nieco kolegów anegdotą, co dopiero usłyszaną w Krakowie o profesorze Teodorze Marchlewskim, rektorze U.J., znanym przed wojną uczonym, hodowcy bydła domowego, obecnie komuniście o wielkich wpływach. Otóż, przyszedł on kie-

---

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

dyś na posiedzenie Senatu zgnębiony, w złym humorze, siadł w fotelu i milczał. Wówczas wywiązał się następujący dialog między nim i jednym z dziekanów :

— Magnificencja, widzę, dzisiaj nie w humorze?

— Jakże mam być w humorze gdy mi dokuczają.

— A któż to tak dokuczył Panu Rektorowi?

— Cenzor mi dokuczył. Nie chce puścić mojej książki, nad którą pracowałem przez siedemnaście lat, i to z powodu tytułu.

— Jakiż to tytuł?

— Tytuł, no jakiż mógłby być? Przecież Kolega zna przedmiot moich prac i badań : ,,Czerwone bydło polskie''...

Referaty na zjazd były przydzielone z urzędu przez specjalną komisję ministerstwa szkół wyższych. Wymówić się od nich, oczywiście nie było można. Milczące porozumienie, wymowa oczu, szczera wymiana opinij wśród przyjaciół przynosiły częściową ulgę w tej powodzi zakłamania i upokorzeń.

Moja ,,hygiena psychiczna'' wzmacniała się myślą, że wprost z Warszawy pojadę do Zakopanego i w Tatry. W przechowalni dworcowej czekały już na mnie wypchany plecak, lina, czekan. I tak, w dniu 10 lipca popołudniu odpoczywałem już na szczycie Koziego Wierchu.

Przed wojną całe Tatry były dostępne turystom polskim, czeskim i słowackim, tylko na podstawie legitymacji towarzystw turystycznych. Ale teraz, dwa ,,bratnie, socjalistyczne państwa'', oddzielone są granicą, prawnie nie do przebycia. Z roku na rok, coraz bardziej zaostrzane przepisy doprowadziły do tego, że w lecie 1953, nie wolno było wychodzić nawet na graniczny tak ulubiony przez letników szczyt Świnicy. Tylko specjalni przewodnicy uprawnieni byli wyprowadzać tam turystów w gromadnych wycieczkach. Graniczne szczyty nad Morskim Okiem są całkowicie zakazane. Popularne Rysy, piękne ściany Cubryny, Mięguszowieckich Szczytów, Żabiego Konia itd. są dla taterników polskich niedostępne. Na werandzie Schroniska nad Morskim Okiem, urzęduje patrol W.O.P. (Wojsk Ochrony Pogranicza). W dolince za Mnichem, albo nad Czarnym Stawem siedzi lub spaceruje dwóch lub więcej strażników. Są oni w dolinie Pięciu Stawów, ba wychodzą i na Zawrat, nawet na Karbie pod Kościelcem, kontrolują przepustki. Bowiem w przygranicznym pasie 6-kilometrowym, można się poruszać tylko na zasadzie specjalnych dokumentów, wystawionych przez Rady Narodowe lub zakłady pracy.

Ponieważ mamy zaledwie jednę szóstą Tatr, a zabroniono wychodzić na szczyty graniczne, więc ograniczono ekspansję taterników do jednej osiemnastej części Tatr, to jest do kilku dolin i kilkunastu pomniejszych szczytów.

Dlaczego ta *granica?*

Ludzie pytają i nie rozumieją. Dygnitarze partyjni i oficerowie W.O.P. odpowiadają, że jest to w interesie Polski ,,Ludowej'', że są poprzez granicę ,,przerzuty'' itd. Ale ludzie wiedzą, że ktokolwiek obcy pojawi się w podgórskiej gajowni, leśniczów-

ce lub wiosce słowackiej, natychmiast schwytany bywa przez miejscowych, tajnych lub umundurowanych agentów, a po kilku dniach oddawany w ręce polskiego W.O.P. Później słuch o nim ginie w ogóle, chociaż kodeks karny przewiduje „tylko" karę więzienia od roku do trzech lat za nielegalne przekroczenie granicy.

Istotną przyczyną hermetycznego zamykania granic pomiędzy wszystkimi krajami ujarzmionymi przez Sowiety jest strach komunistów przed nawiązywaniem bliższej łączności pomiędzy tymi państwami i narodami. Bezpośrednie stosunki, z różnych względów i na różnych polach, mogłyby być dla komunistów niedogodne, albo niebezpieczne. Dlatego nie jedna jest w środkowo-wschodniej Europie Żelazna Kurtyna, ale dziesięć. Zwykłemu śmiertelnikowi tak samo trudno wydostać się z Polski do Pragi, Bratysławy, albo nawet do Dolnego Kubina lub Szczyrbskiego Jeziora pod Tatrami, jak do Paryża lub Ameryki.



W dniu 1 sierpnia musiałem już być w Krakowie, jako przedstawiciel grona profesorskiego Wydziału prawa U.J. w komisji egzaminów wstępnych dla kandydatów do studiów na tym wydziale. Egzaminy trwały od rana do nocy, obejmowały ponad czterystu kandydatów, których dopuszczono po wstępnych badaniach, przeprowadzonych przez organy partii komunistycznej Uniwersytetu wspólnie ze Związkiem Młodzieży Polskiej. Miejsc wolnych, określonych kontyngentem ministerstwa, było 210. Przedmioty egzaminacyjne były następujące : 1) nauka o Polsce i świecie współczesnym ; 2) historia Polski i powszechna ; 3) geografia Polski i powszechna.

Dla pierwszego przedmiotu, Rektor wspólnie z „Podstawową Organizacją P.Z.P.R." Uniwersytetu, wyznaczył partyjnych, specjalnie szkolonych egzaminatorów. Moim zadaniem było nadzorować egzaminowanie kandydatów z dwóch pozostałych przedmiotów, przeprowadzane przez asystentów. Oceny były ustalane wspólnie. Komisji przewodniczył dziekan lub prodziekan.

Egzamin był farsą i torturą zarazem. Oto niektóre odpowiedzi, jakie zapamiętałem :

Ostatni Jagiellon : Władysław Łokietek.

Unia Lubelska : Polska z Litwą za Mieszka I, który przybył z Rusi.

Cromwell : Podróżnik angielski w XIV wieku, który pierwszy opłynął ląd afrykański.

Hołd Pruski : Złożony Janowi III po zwycięstwie pod Wiedniem.

Rewolucja Francuska : Wybuchła wskutek imperializmu Napoleona i jego ostatecznej klęski.

Powstania polskie : Były trzy : 1863, 1905, 1918.

Biskup Stanisław Szczepanowski : Zdrajca sprowadził Cze-

chów na Polskę i spowodował interwencję cesarza Fryderyka Barbarossy.

Kanał La Manche : Przekopany jeszcze w epoce feudalnej.

Stany Zjednoczone : 40 milionów ludności, ale bardzo bogate wskutek braku wojen i straszliwego wyzysku robotników i Murzynów.

Chiny : Czterysta tysięcy milionów km.2, zaś Czechosłowacja tylko sto tysięcy milionów km.2.

Tadeusz Kościuszko : Dowódca dywizji w latach 1943-1945 w Z.S.R.R.

Słucham przez chwilę pytań i odpowiedzi z przedmiotu politycznego :

Komuna Paryska : 1936, w lutym.

Jarosław Dąbrowski : Dowódca Legionów.

Roman Dmowski : Przywódca sanacji.

Piłsudski : Przywódca burżuazji, zniszczył demokrację w Legionach.

Co to była zbrodnia brzeska sanacji : Podpisanie traktatu z Niemcami w Brześciu nad Bugiem.

Co wie o Berezie Kartuskiej : Męczono tam demokratycznych patriotów, zwłaszcza Kostka-Biernackiego.

Nędza nauczycieli, ich wstręt do pracy pod terrorem komunistycznych instruktorów, agitacja od rana do nocy, prowadzona często przez analfabetów wydają piękne owoce.

•

Wybierałem się we wrześniu znowu w góry. Ale gdy męka tych egzaminów skończyła się na tydzień przed końcem sierpnia, postanowiłem wyskoczyć na trzy dni w Pieniny. Wyjechałem więc z rana autobusem do Nowego Targu, zaopatrzony w przepustkę do strefy granicznej, wystawioną mi przez oddział personalny Uniwersytetu. W Nowym Targu, zirytowany konduktor autobusu szczawnickiego nie chciał mnie zabrać, twierdząc, że nawet szpilki nie wciśnie i pozostawił mnie na miłym, zawsze brudnym, nowotarskim rynku.

Jednak dla pięćdziesięcioletniego młodzieńca, spacer dwudziestokilometrowy z plecakiem do Czorsztyna jest rzeczą bagatelną.

W Czorsztynie, żołnierz W.O.P. skontrolował moje papiery. W dawnej gospodzie Sperlinga, słynącej od pokoleń z łososi i pstrągów, teraz jest Hotel ,,Orbis'' prymitywny i źle utrzymany. Sperlingów wszystkich wymordowali Niemcy; ludzie miejscowi wspominają ich ze wzruszeniem. Ale restauracja dawnej ich gospody, bynajmniej nie utrzymuje świetnej tradycji.

Było tu tak, jak w 98% państwowych i spółdzielczych restauracjach w Polsce.

Wyszedłem na spacer, na górę zamkową i na ruiny zamku czorsztyńskiego. Turystę wita tam teraz tablica, wmurowana na cześć nowego bohatera narodowego, Aleksandra Kostki-Napierskiego, którego mówcy wiecowi często nazywają bądź Kostkiem Napiórkowskim, bądź Kostkiem-Napieralskim. Zdarzyło się to nawet jednemu zastępcy profesora, który, wykładając prawo skarbowe, miał oczywisty obowiązek mówić i o Kostce-Napierskim.

*

Pokój miałem wspólny z jakimś młodym technikiem, zatrudnionym przy wierceniu sztolni w związku z przyszłą budową zapory, która ma przeciąć dolinę Dunajca między Czorsztynem a Niedzicą. Opowiadał mi ciekawie o tych pracach, ja zaś przypomniałem sobie troski i rozpacz górali, zagrożonych ewakuacją z całej doliny, począwszy od przedmieść Nowego Targu, aż po Czorsztyn.

Następnego dnia, na przystani flisackiej wykupiłem w kasie spółdzielni (indywidualny proceder flisacki jest niedozwolony) bilet do łodzi czteroosobowej. Cena stosunkowo bardzo wysoka, bo 60 zł. od osoby, dostępna tylko nielicznym zamożniejszym, do których i samotny profesor uniwersytetu w Polsce zaliczyć się może. Znalazły się po pewnym czasie trzy inne osoby.

Przed zajęciem miejsca w łodzi, żołnierz W.O.P. skontrolował pilnie nasze dokumenty i porównał z listą dostarczoną mu przez spółdzielnię flisacką. Popłynęliśmy. Sokolica, Trzy Korony, przesmyk zwany „Skokiem Janosika", szybko pozostały za nami.

Ze słowackiej strony, z Czerwonego Klasztora, Szwabów, Starej Wsi Spiskiej, Śmierdzonki, ludzie pozdrawiali nas z daleka rękami. Ale nie było cyganów w Dunajcu, ani bramek triumfalnych na środku rzeki, bo kąpać się, ani wchodzić do rzeki nie wolno. Po drodze, dwukrotnie musieliśmy przybijać do brzegu, by okazać papiery strażnikowi. Gdy dobiliśmy do Szczawnicy, po raz czwarty w ciągu czterech godzin skontrolował nas strażnik W.O.P. — g r a n i c a !

W tym reprezentacyjnym, państwowym uzdrowisku, są tylko domy wczasowe i zamiast dawnych kilkunastu doskonałych restauracyj, jakie jeszcze tu zastałem w roku 1947, tylko jedna gospoda ludowa. Wracając któregoś dnia z włóczęgi znalazłem się na wierzchołku góry, zwanej Bereśnicą i natknąłem się na patrol W.O.P. Żołnierze ci obskoczyli mnie od razu i zapytali czy nie widziałem napisu, że to teren wojskowy. Istotnie, takie napisy widziałem wielokrotnie w ciągu tego dnia na wielu wierzchołkach, ale nie przywiązywałem do nich żadnej wagi. Widziałem też szereg budowli, jak gdyby koszar. Tutaj jednak wlazłem wprost na strażnicę, koło której kręciło się ze dwudziestu żołnierzy. Szczyt Bereśnicy nie leży jednak w pasie granicznym, ale na szlaku do Nowego Sącza. Gdy to powiedziałem, kapral W.O.P. ofuknął mnie : „To do obywatela nie należy, gdzie się

gór pilnuje. Proszę natychmiast zejść z tego szlaku i iść swoją drogą''. Ucieszony, że upiekło mi się na sucho, zszedłem z tego szlaku i poszedłem inną, swoją drogą. Ale mnie to zaciekawiło. Zaraz też dowiedziałem się od górali, że cała granica jest tak strzeżona ,,kasarniami''. Ale ,,kasarnie'' są i z dala od granicy w pobliżu szczytów górskich, bo ,,komuniści ciągle bojają się i spodziewają partyzantów'' w tych górach.



Granica, GRANICA. Do Gdyni i Gdańska trzeba mieć przepustkę; do Krynicy, Wisły i Ustronia. Na całe wybrzeże morskie i na wszystkie, najpiękniejsze szlaki górskie Karpat i Sudetów, o ile w ogóle wolno po nich się poruszać. Wolna Polska ,,socjalistyczna'' jest więzieniem.

II. MINISTER SKRZESZEWSKI ZAPRASZA DO WYJAZDU ZA GRANICĘ

Powróciłem do Krakowa z tej krótkiej wycieczki, do swych normalnych zajęć uniwersyteckich.

W dniu 1 września zadzwoniono do drzwi mego mieszkania. Była godzina trzecia po południu. Sympatyczny woźny Rektoratu U.J., wręczył mi za pokwitowaniem odbioru, list Rektora, proszący o bezzwłoczny przyjazd do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie i zgłoszenie się u ,,ministra Michałowicza'', (który okazał się później byłym ambasadorem warszawskim w Londynie — Michałowskim). W liście dodano, że to wezwanie do Warszawy pozostaje w związku z wyjazdem za granicę.

Byle co już mnie w życiu nie zaskakuje, ale to pismo poruszyło mnie mocno. Gdzież ten wyjazd? Na pewno nie na zachód, bo nigdy dotąd nie chcieli mnie wypuścić. Zatem do Korei. Codziennie prasa donosiła o wyjeździe kolejnych grup polskich członków Komisji międzynarodowej państw neutralnych, czy innych placówek. Może trzeba było polskiemu delegatowi eksperta-internacjonalisty, znającego język francuski i niemiecki dla porozumienia się ze Szwajcarami i Szwedami w Komisji?

Następnego dnia, już o godzinie 9 rano byłem w ministerstwie. P. Michałowski, elegancki, bardzo przystojny i dobrze ułożony mężczyzna, zgoła ,,ancien régime'', przywitał mnie nie tylko nader uprzejmie, ale i z radością, bo jako dyrektor departamentu organizacyj międzynarodowych, był odpowiedzialny za wysłanie na czas delegacji, a wyjazd miał nastąpić już w dniu 5 września, to jest za trzy dni. Okazało się, że już, nie czekając na mnie, otrzymali zapewnienie wizy Stanów Zjednoczonych, którą miałem otrzymać skoro wystawią mi paszport w M.S.Z. Natychmiast więc miałem wypełnić odpowiedni formularz, dać cztery fotografie itd.

Wszystko to p. Michałowski powiedział mi w kilku zdaniach, bardzo szybko, aż zatrzymał się, spojrzawszy na moją twarz osłupiałą ze zdumienia.

— Panie ambasadorze — powiedziałem — czy pan mówi o wyjeździe do O.N.Z., do Nowego Jorku? Oszołomiony, dodałem: „Wcale się tego nie spodziewałem, myślałem, że zaproponujecie mi wyjazd do Korei".

— Ależ, gdzież tam, do Korei, panie profesorze! Pragniemy nareszcie skorzystać z pana wiedzy w zakresie prawa międzynarodowego. Będzie pan przewodniczącym szóstej komisji Ogólnego Zgromadzenia N.Z., a więc Komisji prawniczej.

Gdy zacząłem wysuwać obiekcje, co do swego stanu zdrowia, nieznajomości środowiska O.N.Z., nieznajomości języka rosyjskiego itd., krótko zapewnił mnie, że wszystko będzie jak najlepiej, po czym zaprowadził do sąsiedniego biura, dla wypełniania formularzy, na które specjalny urzędnik już czekał, by z paszportem pobiec do ambasad francuskiej, U.S.A. itd. W międzyczasie, p. Michałowski informował o potrzebnych ubraniach i innych rzeczach, o walizce, „jednej lecz porządnej", o dietach itd. Czynił to bardzo kurtuazyjnie, chociaż pośpiesznie, bo za chwilę mieliśmy być wezwani do ministra Skrzeszewskiego, a chciał mnie wprowadzić w największą ilość szczegółów technicznych przed rozmową ze swoim szefem.

Ledwo też położyłem dwudziesty, lub dwudziesty piąty podpis na formularzach, zaproszono nas do pana ministra.

P. Skrzeszewski przywitał mnie nadzwyczaj uprzejmie, przypomniał że już widzieliśmy się kiedyś, po czym wywiązała się rozmowa, trwająca równo godzinę, bo od 10-ej do 11-ej.

Zanim zacytuję niektóre jej fragmenty, muszę wspomnieć o moim stanie ducha i umysłu w tym momencie. Otóż, gdy myślałem o ekspedycji do Korei, wyobrażałem sobie moją ewentualną podróż mgławicowo. Stanem zdrowia mogłem się zawsze od niej wymówić. Nie uzmysłowiałem sobie możliwości kontaktu ze światem zachodnim. Teraz, gdy zaproponowano mi wyjazd do Stanów Zjednoczonych, do wolnego świata, miotały mną sprzeczne uczucia. A musiałem mieć gotową decyzję co do swego stanowiska, mówiąc ze Skrzeszewskim.

Myślałem: „Czy jest możliwe dla uczciwego Polaka brać udział w reprezentacji Polski pod jarzmem sowieckim, w reprezentacji, składającej się z agentów moskiewskich?"

Czy jest dla mnie możliwe jechać z nimi, pracować w Komisji Prawniczej z ich ramienia przez trzy miesiące, a potem wrócić z wolnego świata do Polski? Czy nie będzie to pozostawaniem dobrowolnym na ich służbie, skoro w wolnym świecie mógłbym ich w każdej chwili opuścić? Czy nie mając bliskich krewnych w Polsce, mógłbym w ten sposób, nieprzymuszony, występować obok okupantów mego narodu?

Odpowiedź, jaką sobie dałem na te pytania była oczywiście negatywna.

Ale dalsza konsekwencja takiego negatywnego stanowiska?

Gdy pojadę z nimi i przy pierwszej sposobności ich porzucę, opuszczę Polskę na długie lata. Pozostawię nie tylko starych przyjaciół, ale uczniów, którymi się zajmowałem. Zejdę z placówki walki ideologicznej, walki o dusze młodzieży. *Miejsce profesora jest przy studentach.* Takie jest stanowisko samych studentów i profesorów, wbrew różnym, emigracyjnym poglądom. Gdyby profesorowie bezpartyjni, dający studentom 80 czy 70% niesfałszowanej marksizmem wiedzy odeszli, miejsce ich zajęliby agitatorzy partyjni. Skoro reżym toleruje i utrzymuje starych naukowców, nie mając nikogo z naukowym poziomem na ich miejsce, należy placówki pracy humanistycznej zatrzymać w rękach polskich jak długo się da, nawet za cenę referowania elementów dialektyki marksistowskiej, cytowania ,,klasyków'' marksizmu i ich sowieckich uczniów. Dlatego żaden profesor Uniwersytetu w Polsce nie zrezygnował z katedry ze względów ideologicznych. Wszyscy pracują i trwają, a poza pięciu procentami marnych charakterów, które wstąpiły do partii komunistycznej, zachowują zarówno bezpartyjność, jak zaufanie młodzieży.

Jakież więc wyjście? Będę próbował wymówić się wszystkimi sposobami od tej podróży. Jeżeli Skrzeszewski będzie nalegał, nie będę mógł ostatecznie odmówić, bo inaczej, następnego dnia wyrzucą mnie z katedry, a kontakt z młodzieżą, który pragnąłbym zachować i tak utracę.

A zatem, przyjęcie misji — to opuszczenie Polski, ale, zarazem zdobycie możliwości walki o wolność Kraju, możliwości poinformowania zachodu o sytuacji w Polsce.

Oto teraz niektóre fragmenty rozmowy z p. Skrzeszewskim:

K.: — Bardzo jestem wdzięczny Panu Ministrowi za to zaproszenie...

S: — Pragniemy wykorzystać Pana wielkie doświadczenie naukowca i praktyka, bezpartyjnego, postępowego profesora. Przypada nam przewodnictwo Komisji Prawniczej O.N.Z., będzie Pan kierował obradami 60 najznakomitszych internacjonalistów świata. Będą tam zagadnienia prawne, którymi od dawna Pan się interesuje.

K: — Niestety, Panie Ministrze, zdrowie mam nieświetne, muszę być na najściślejszej diecie.

S: — Nigdzie nie znajdzie Pan Profesor lepszych medykamentów jak w Stanach Zjednoczonych, a kuchnię będzie Pan miał równie dietetyczną jak w Polsce, tak samo i ewentualną opiekę lekarską.

K: — Z angielskim jestem kiepsko, po rosyjsku ledwie czytam, a nie mówię wcale.

S: — Przecież będzie Pan używał francuskiego, a w razie potrzeby rosyjskiego, zawsze znajdzie się odpowiedni tłumacz.

K: — Nie mogę zupełnie pić wódki ani innego alkoholu, a mówili mi koledzy, że kto wódki nie pije w rosyjskim towarzystwie, uważany jest za człowieka podejrzanego.

S : No, tak źle z tym nie jest, ale zawsze będzie Pan mógł jakimś sokiem owocowym zamarkować picie.

K : — Nie znam zupełnie Stanów Zjednoczonych, ani środowiska O.N.Z., więc przydatność moja będzie ograniczona.

S : — Ależ, Panie Profesorze, niech Pan nie będzie taki skromny, przecież w okresie międzywojennym obracał się Pan przez dziesięć lat w środowisku międzynarodowym, był Pan dwa razy ekspertem w Genewie, raz w Hadze, mam przecież przed sobą Pański życiorys...

Jakieś nieokreślone cienie poczęły ukazywać się na twarzy starego komunisty. Wiedziałem, że dalej opierać się byłoby zbyt niebezpiecznie i nierozsądnie, więc powiedziałem dosłownie :

— Dobrze, Panie Ministrze, dziękuję, niczego nie przyrzekam, ale będę się starał.

Jak przez sen słyszałem później długie wywody ministra o korzyściach materialnych tej podróży : hotel pierwszej klasy i 21 dolarów dziennie. Można miesięcznie zaoszczędzić najmniej 400 dolarów,a przez z górą trzy miesiące zaopatrzyć się doskonale w ubrania, bieliznę, obuwie, itd. A przecież i pensja uniwersytecka będzie szła dalej i czekała na mnie w Krakowie... istne złote góry. Studenci moi też skorzystają, bo wykładając technikę pracy O.N.Z., będę mógł ilustrować wykłady własnymi doświadczeniami itd., itd.

— Widzi, Pan Profesor, ja mam zaledwie kilku współpracowników : Oto ambasador Michałowski, Wierbłowski, chory na serce, Katz-Suchy, dyrektor Lachs, pani Wierna (tu wymienił jeszcze jakieś dwa, niespamiętane przeze mnie, nazwiska), ot wszyscy. Ja sam muszę więc siedzieć i pilnować tutaj spraw. Dyrektor Lachs pojechać tym razem nie może bo tu zbyt potrzebny. Poza tym, pragniemy pokazać w O.N.Z. profesora, którego prace znane są w Europie, pragniemy rozszerzyć krąg ludzi, wysyłanych przez nas na Zgromadzenia Organizacji. Mogliśmy się więc zwrócić tylko do Pana.

Po śmierci Stalina, wiele się mówiło w Polsce o zmianie kursu, o złagodzeniu nastawienia antyburżuazyjnego, o konieczności wciągania do prac państwowych, bezpartyjnych fachowców. Zaproszenie mnie szło po tej linii, ale dlaczego Skrzeszewski powiedział, że ,,tylko'' do mnie mógł się zwrócić ?

Przebiegłem szybko w myśli starsze kadry naukowe prawa międzynarodowego w Polsce : Makowski Julian, około 80-letni i chory, chociaż stale pełni funkcje osobistego doradcy prawnego ministra S.Z., dziekana wydziału dyplomatycznego Szkoły Głównej Służby Zagranicznej i posiada tytuł ministra pełnomocnego. O wysłaniu go nie było mowy. Najstarszy z kolei, profesor Ludwik Ehrlich, ma żonę Amerykankę, krewnych w U.S.A. i stosunki z dawnych lat w Anglii i Ameryce, co nieraz złośliwi ,,koledzy'' komunistyczni, przypominali. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Cezary Berezowski, mający żonę i dwoje dzieci, używany był do wyjazdów zagranicę już od roku 1945. W latach

1947, 1948, 1949, był właśnie na tych zjazdach, na które mnie wypuszczono. Ale w marcu 1953, dostał zawału mięśnia sercowego, leżał przez cztery miesiące w szpitalu, a w lecie ostrożnie począł wstawać i chodzić o lasce. Kolej przyszła na mnie. Młodszy nieco, bardzo zdolny i wykształcony, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego Stanisław Hubert, nie ma prac w językach obcych, znanych zagranicą. Inni wykładowcy prawa międzynarodowego w Polsce (nie ma poza wymienionymi i prof. R. Bierzankiem w Łodzi żadnego mianowanego profesora, tylko kontraktowi zastępcy), są bądź zdolnymi pracownikami nauki na dorobku, jak w Poznaniu, bądź partyjnymi nieukami, którymi można łatać dziury w uniwersyteckich kadrach, ale nie można chwalić się nimi zagranicą, wobec ,,świata burżuazyjnego''.

Opuściwszy p. Skrzeszewskiego, studiowałem przez kilka godzin materiały do sesji 6-ej Komisji 8-go Zgromadzenia O.N.Z., w czym starali mi się pomagać, przydzieleni mi na cały okres mej misji dwa asystenci, referendarze M.S.Z. — Twaróg i Wyzner.

Szczęśliwie zdołałem otrzymać bilet na samolot i o godzinie 6-ej w dniu 2 września, byłem już z powrotem w Krakowie, na dwie ostatnie doby przed opuszczeniem Polski.

III. REFLEKSJE. PRZYGOTOWANIA DO PODRÓŻY

Miałem niecałe dwa dni czasu na przygotowanie się do podróży i na likwidację najważniejszych spraw w Krakowie. Bowiem w dniu 4 września 1953 roku, o godz. 8-ej wieczorem, miałem się stawić na odprawie delegacji w M.S.Z. u ministra Skrzeszewskiego. Kupiłem bilet na samolot popołudniowy do Warszawy.

Lecąc teraz do Krakowa, rozmyślałem nad całą sytuacją i pozbyłem się ostatecznie wątpliwości co do obranej drogi : ,,Jadę z nimi, przy pierwszej sposobności ich porzucę''. Postanowiłem zachować największą ostrożność. Czułem i wiedziałem, że będę śledzony bez przerwy aż do wyjazdu. Miałem nawet wrażenie, że obserwujący mnie współpasażer, nazbyt elegancki młodzieniec, jest agentem Urzędu Bezpieczeństwa. Ministerstwo wiedziało, że lecę tym samolotem, bo tylko dzięki niemu otrzymałem bilet w ostatniej chwili.

W nocy, nie próbowałem nawet zasnąć. Rozmyślałem :

,,Dlaczego mnie wybrali, skoro wiedzieli na pewno, że nie mam bliskiej rodziny w Polsce. Noga moja nigdy nie przestąpiła progu partyjnego budynku. Zawsze wywijałem się, jak mogłem, od udziału w manifestacjach i demonstracjach''.

Na sesji Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych w roku 1950, w Warszawie (w czerwcu), ówczesny dyrektor Instytutu, pułkownik dr profesor Marian Muszkat ze Szkoły im. Duracza, przewodniczący sesji, zagroził mi wprost obozem koncentracyjnym za wypowiadane poglądy. Gdy, w przerwie,

zapytałem go w obecności pięćdziesięciu osób : „Cóż to, Pułkowniku, obozem mi grozicie?", zakrzyknął : „Dlaczego obozem? Więzieniem, więzieniem!". W czasopismach prawniczych „Państwo i Prawo" i „Nowe Prawo", napisano wówczas (jesień 1950), że mówcy słusznie stwierdzili, iż moje wypowiedzi były proangielskie i proamerykańskie. W groźnej sytuacji obronili mnie inni, mądrzejsi od Muszkata, komunistyczni profesorowie.

Pisałem do „Państwa i Prawa" na wyraźne żądanie Komitetu Redakcyjnego, któremu nie wolno odmówić. Teorie marksistowskie referowałem, jako jedną z doktryn, cytowałem klasyków ze Stalinem włącznie. Cytowałem i Wyszyńskiego i Żdanowa. Czyniłem to na każdym piątym wykładzie i za tę cenę, przez cztery inne wykładałem rzetelną wiedzę, zaś szpiedzy z Wojewódzkiej Szkoły Partyjnej i właśni asystenci, mogli zanotować, że „profesor uwzględnia zdobycze przodującej nauki radzieckiej", jest więc profesorem postępowym. Podobnie, w naukach humanistycznych, czynili wszyscy.

Milicja Obywatelska ze mną nie sympatyzowała i aż do końca mojego pobytu w Polsce nie wystawiła mi dowodu osobistego, chociaż wszyscy znajomi otrzymali takie dowody przed rokiem i więcej. Byłem na jakiejś liście podejrzanych. W roku 1948, dowiedziałem się od dawnego kolegi sprzed wojny, że widział moje nazwisko na liście osób przeznaczonych do deportacji do Z.S.R.R. na wypadek zagrożenia wojennego. Była to lista Nr II, to jest zaraz po liście mężczyzn do lat 40-tu. Nigdy nie próbowano nawet zaproponować mi wstąpienia do partii. Już w grudniu roku 1946, rektor Wyższego Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych w Katowicach dr Józef Lisak, przesłał na mnie doniesienie do ówczesnego wojewody śląskiego, generała Al. Zawadzkiego (obecnego przewodniczącego Rady Państwa), iż „kokietuję młodzież ideami zachodnimi i utrudniam mu działalność wychowawczą". Ponieważ był to okres przedwyborczy, a w samych tylko katowickich więzieniach i piwnicach domów gniło wówczas około 30.000 osób (wybory, według Jałty, miały być „free and unfettered", czyli wolne i nieskrępowane) było nader prawdopodobne, że wskutek doniesienia Lisaka, Zawadzki i mnie do jakiejś piwnicy uprzejmie skieruje. Na szczęście, studenci, którzy przynieśli mi odpis denuncjacji Lisaka, zorganizowali i akcję obronną. Poszli następnego dnia do Zawadzkiego i przedstawili denuncjację, jako wynik zawiści złego człowieka. Ale ja musiałem stanowisko w tej szkole, to jest katedrę profesorską na wydziale administracji publicznej, opuścić. Wróciłem do niej po półtora roku, w okresie, gdy Lisaka za kradzieże itd. wyrzucono z Partii i ze Szkoły.

Wszystko to przebiegało mi przez głowę, gdy starałem się dociec, kto i dlaczego spowodował moją delegację do Nowego Jorku.

Ostatecznie, dałem sobie odpowiedź następującą :

Potrzebują fachowca, by ich reprezentował w Komisji Prawniczej. Liczą na to, że ja, mieszkając i pracując w mieście ro-

dzinnym, na uniwersytecie, na którym sam kiedyś byłem studentem, wśród przyjaciół, uczniów i kolegów dzieciństwa i młodości, mając wystarczające zupełnie samotnemu człowiekowi, uposażenie, na pewno powrócę z zagranicy, tym bardziej, że będę użyty tylko do prac w Komisji Prawniczej. Zaryzykowali!

Czy jednak ostatecznie zdecydują się mnie wypuścić? Gdy żegnałem się z p. Skrzeszewskim, zapytał mnie:

— A gdzie Pan Profesor pozostawi swoją rodzinę, w Stalinogrodzie, czy w Krakowie?

— Niestety, Panie Ministrze — odpowiedziałem — nie mam żadnej rodziny bliskiej.

Na twarzy mego rozmówcy odbiło się głębokie zdumienie. Z niedowierzaniem spojrzał na Michałowskiego. Porozumieli się oczyma, ale co sobie w ten sposób powiedzieli, trudno mi było w tej chwili odgadnąć. W dwa dni później pojąłem o co im chodziło. Tak mi się przynajmniej wydaje.



Postanowiłem nie widzieć się z przyjaciółmi, poza tymi, których unikanie właśnie byłoby podejrzane. Nie chciałem by publicznie widziano kogokolwiek ze mną rozmawiającego, aby go nie narazić. Pewien byłem, że aż do wyjazdu, każdy mój krok będzie śledzony starannie.

Rano, po bezsennej nocy, w której ułożyłem ostatecznie plan postępowania, zadzwoniłem (w dniu 3 września) o godz. 8-ej, do nowego dziekana, mianowanego z dniem 1 września, zastępcy profesora dr Antoniego Wallasa, członka partii komunistycznej (jednego z dwóch komunistów na 22 profesorów i zastępców Wydziału Prawa U.J.). Umówiłem się z nim na dwunastą w dziekanacie, uprzedziwszy, że mam wyjechać do Nowego Jorku na około cztery miesiące. Dobry ten, skądinąd, młodszy kolega, gratulował mi serdecznie takiego wyróżnienia przez rząd. Po konferencji z dziekanem, na której ustaliłem szczegóły prac w czasie mojej nieobecności, spotkałem kilku kolegów, którzy mi manifestacyjnie gratulowali, po czym wyszedłem na długi spacer po plantach ze starszym asystentem, udzielając mu wskazówek jak ma wykłady prowadzić. Ponieważ już od dziewiętnastu lat był asystentem prawa międzynarodowego, radował się taką możliwością „wykazania się", a że jest członkiem partii komunistycznej, podkreślałem wobec niego, że będę prosił o wcześniejsze odesłanie mnie do Kraju, o ile prace Szóstej Komisji zakończą się wcześniej znacznie niż cała sesja.

W dniu tym chodząc po Krakowie, minąłem na ulicy kilku ulubionych uczniów, z którymi zawsze, gdy byłem sam, przystawałem na rozmowę, albo też oni mnie odprowadzali. Tym razem zimno odkłoniłem się im z daleka, z taką twarzą, że nie odważyli się do mnie przystąpić. Nie życzyłem sobie, by widziano ich ze mną przed wyjazdem.

W dniu 4 września około 6-ej wieczorem przyleciałem do

Warszawy. Pokój w najelegantszym obecnie w Warszawie hotelu „Orbis" (Bristol), zastałem zarezerwowany przez M.S.Z. Mieścił się na piątym piętrze, z ślicznym widokiem na Wisłę i Pragę.

Walizy, kunsztownie spakowanej, nie rozpakowywałem. Przybory toaletowe i bieliznę nocną miałem na wierzchu. W kieszeni walizy miałem kilkanaście nic nie znaczących papierów, druków, notatek itd. Już brałem za klamkę, by wyjść na miasto, gdy myśl przekorna zatrzymała mnie. Kazała zanotować wszystkie owe luźne papiery w kolejnym porządku jak je pozostawiłem.

O godzinie 8-ej w ministerstwie, p. Skrzeszewski otworzył zebranie członków, ekspertów i personelu technicznego delegacji. Przedstawił doniosłość prac i zadań delegacji „Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej" u boku delegacji Z.S.R.R. w walce o pokój i demokrację w świecie. Potem przeszedł do przedstawienia, jednych drugim, członków ekspedycji. Mówił więc o wiceministrze Naszkowskim, szefie delegacji, który już jest w Nowym Jorku, o ambasadorze w Waszyngtonie, Winiewiczu, człowieku „niesłychanie zdolnym i oddanym pracy dla demokracji i socjalizmu, znakomitym dyplomacie i znawcy języka angielskiego".

— A oto — mówił — minister pełnomocny, Juliusz Katz-Suchy. Jest to chodząca encyklopedia O.N.Z. Kochają go i poważają w O.N.Z. wszyscy, od ambasadorów do murzyńskiej służby, jest najpopularniejszą postacią w O.N.Z. itd.

— A oto dr Wasilkowska Zofia, sędzia Sądu Najwyższego, dopiero co powróciła z Korei, gdzie wykonywała wspaniale swoje funkcje w komisji prawników-demokratów.

Teraz nastąpiła krótka przerwa. P. Skrzeszewski nabrał oddechu, po czym rzekł: „O doktorze Marku Stanisławie Korowiczu, wiem tylko, że jest profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i autorem kilkunastu książek z dziedziny prawa międzynarodowego. Natomiast, ludzie, którzy go rządowi do tej delegacji polecili, zapewniają, że udział jego w delegacji będzie pożyteczny i celowy".

Tu skończył, nie patrząc w moją stronę, a po sali powiało chłodem. Dopiero gdy przeszedł do wychwalania pp. Łobodycza Lewandowskiego, Blusteina i innych, a generalną sekretarkę delegacji, Kowalczykową, nazwał „słoneczkiem", atmosfera z powrotem stała się rodzinna i ciepła. Ale minister doprowadził ją wkrótce do dramatycznego napięcia, gdy odmalował straszliwe niebezpieczeństwa, jakie grozić nam będą w „jaskini lwa" ze wszech stron. Dlatego nie wolno bezwzględnie z nikim obcym rozmawiać, czy to w podróży w obie strony, czy w Stanach Zjednoczonych. Wszędzie czyhać będą na nas szpiedzy i prowokatorzy. Gdy ktokolwiek do nas zagada „trzeba natychmiast najeżyć się i wysunąć pazury", ale nigdy nie dać się sprowokować itd., itd.

Słuchałem tych zabawnych instrukcji inteligentnego zresztą człowieka, jednym uchem, bowiem zwrot dotyczący mojej osoby, zastanowił mnie poważnie. Kto więc mnie polecił, względnie za-

decydował o wysłaniu do O.N.Z.? Kto uznał za konieczne, by z ramienia Polski przewodniczył Komisji Prawniczej fachowiec, a w szczególności ja? Czyżby miał to być zewnętrzny dowód „kursu na bezpartyjnych", zainaugurowanego po śmierci Stalina z inicjatywy Komitetu Centralnego Partii, który zresztą wyznacza ostatecznie członków wszystkich delegacyj, wysyłanych za granicę?

Jedno było jasne: P. Skrzeszewski odciął się ode mnie wyraźnie. Nie bez wpływu na to był oczywiście fakt, że nie miałem bliskiej rodziny w Polsce, o czym dowiedział się ode mnie przed dwu dniami, ale o czym „inni" na pewno od początku wiedzieli.

Z głową, nabitą przeróżnymi myślami, powróciłem, po jakiejś przekąsce, spożytej samotnie w barze na Nowym Świecie (gdzie czułem na sobie dyskretny wzrok jakichś dwóch elegantów), do hotelu. Przede wszystkim podszedłem ku stojącej pod ścianą walizie. Gdy ją z niemałą ciekawością otworzyłem, od razu poznałem, że ją przeszukano. Jak dobrze, że nie zabrałem papierów osobistych lub innych rzeczy, mogących ujawnić mój zamiar. Wówczas już nie tylko wyrzucono by mnie z uniwersytetu, ale trafiłbym co najmniej do więzienia Urzędu Bezpieczeństwa. Sformułowanie punktów oskarżenia, gdyby chciano z tego zrobić sprawę oficjalną, byłoby, jak w tysiącach takich przypadków, nader łatwe. Sabotaż, dywersja, zdrada, służba dla wywiadu amerykańskiego itd. Począłem się śmiać do siebie, ale kwaśno. Chociaż spodziewałem się rewizji, przygotowałem się do niej, jednak to bezpośrednie zetknięcie się z nadzorem tajnej policji zemocjonowało mnie i nakazało tym większą ostrożność w dniach następnych.

•

W dniu 5 września o godzinie 8,30 przysłano już po mnie z M.S.Z. samochód, którym naprzód odwiozłem walizę do przechowalni dworcowej, a później pojechałem do ministerstwa. Tam rozmawiałem z różnymi urzędnikami departamentu organizacji międzynarodowych i departamentu prawnego, przejrzałem najpilniejsze materiały, które trzeba było zabrać dla komisji prawniczej. W biurze dyrektora Manfreda Lachsa, zasięgałem informacyj o technice prac komisji prawniczej, gdy z trzaskiem wszedł tam „profesor dr" Juliusz Katz-Suchy, „minister pełnomocny", który miał kierować członkami delegacji do ich przybycia do Nowego Jorku. Uderzony byłem wyrazem nienawiści na twarzy tego człowieka, z jakim przywitał się ze mną. Ktoś mu spłatał figla, decydując o moim zaproszeniu do delegacji, kiedy on sam aspirował do stanowiska przewodniczącego owej komisji prawniczej O.N.Z.

Powiedziałem do niego: „Liczę, ministrze, na Waszą pomoc w Komisji, wobec mojej nieznajomości środowiska, zanim sam nie zapoznam się z techniką tych prac".

Znakomity ten człowiek, „najlepszy kolega, encyklopedy-

sta pomocny we wszystkim", jak go poprzedniego wieczora przedstawił p. Skrzeszewski, krzyknął: „Dlaczego ja mam Was uczyć? Inni niech Was uczą!". Patrzył przy tym na mnie, jak gdyby wzrokiem chciał mnie żywcem poćwiartować. Mnie również krew uderzyła do głowy, więc szybko pożegnałem się i wyszedłem, mając przedsmak dziesięciodniowej męki jaka mnie czekała w tym towarzystwie, do czasu gdy je porzucę.

Pociąg odjeżdżał o godzinie 2,30 popołudniu do Paryża. Minister Skrzeszewski, oparty na ramieniu dyrektora Lachsa, mając u drugiego boku Katza-Suchego, przybył na 20 minut przed odjazdem, by nas pożegnać. Z wszystkimi przywitał się serdecznie, ze mną bardzo grzecznie. Czekaliśmy teraz na kufry z aktami i walizy wyjeżdżających, ale ciężarówka ministerialna nie przybywała. Interwencja dyrektora Michałowskiego u dyżurnego ruchu, aby pociąg zatrzymać, nie dała żadnego wyniku. Urzędnik żądał rozkazu ministerstwa komunikacji. P. minister Skrzeszewski pożegnał się ze mną słowami: „Moje uszanowanie Panu Profesorowi, życzę dobrej podróży". Z innymi żegnał się czule, a wielu całował. Znowu, jak poprzedniego wieczoru, odcinał się ode mnie, jak gdyby podkreślając, że uważa mnie za „obce ciało" w tej delegacji.

Tymczasem pociąg ruszył, a ja byłem jedynym pasażerem ministerialnego wozu salonowego, posiadającym walizę ze swoimi rzeczami. Moich towarzyszy podróży ogarnęło podniecenie. Gdy w Koluszkach, na stacji, rzeczy ich jeszcze nie było wielce hałasowali aż do Piotrkowa. Ale tam czekały już osobowe samochody M.S.Z. z kuframi i walizami, zaś naczelnik stacji miał polecenie wstrzymania pociągu nawet na godzinę. Rozkaz wydał mu kompetentny minister komunikacji. Samochody jednak wyprzedziły pociąg, więc żadnego opóźnienia nie spowodowaliśmy. Wszyscy triumfowali, zaś sekretarka generalna delegacji, pani Maria Kowalczykowa, kilkakrotnie wołała do mnie: „Widzicie, Profesorze, jaka u nas organizacja?"

IV. PODRÓŻ DO NOWEGO JORKU

Jechaliśmy wozem salonowym P.K.P. Składał się on z kilku przedziałów pierwszej klasy i obszernej jadalni. Obsługę stanowił jeden kolejarz, zarazem kucharz. Złożyliśmy się po sto złotych w Warszawie. Z tego zaopatrzono kuchnię w dostateczną ilość żywności na dwa dni. W przedziałach spało po trzech pasażerów, tylko p. Wasilkowska miała odrębny przedział, ja zaś z dyr. Łobodyczem we dwóch. Poza zacnym kolejarzem, było nas osób dwanaście. Pp. Katz-Suchy i Lewandowski, jako extraklasa, mieli następnego dnia wylecieć do Paryża samolotem i tam się z nami połączyć. Kierownikiem salonki wyznaczony został przez ministra p. Łobodycz.

Była więc p. Wasilewska, P. Łobodycz, wicedyrektor departamentu politycznego, p. Kowalczykowa, ze swoim mężem p.

Zwirenem z P.A.P. (Polskiej Agencji Publicystycznej), potwornie hałaśliwi „doradcy i eksperci" Blustein, Zdanowski, Kamińska, moi asystenci Twaróg i Wyzner, przydzieleni mi przez M.S.Z. do stałej współpracy, referent prasowy, Dobrosielski, mistrz ping-ponga, jak się okazało, jedna kancelistka, której nazwiska nie pomnę i stenotypistka, p. Gradziok. Wszyscy zaopatrzeni zostali w paszporty dyplomatyczne, które p. Kowalczykowa miała wydać nam przed przybyciem do Paryża. Przed wyjazdem z Warszawy uprzedzono mnie, że żadnych dokumentów osobistych ze sobą zabierać nie wolno, natomiast trzeba w ministerstwie zostawić swój dowód osobisty lub kartę meldunkową i dokument wojskowy. Udało mi się jedynie zabrać metrykę urodzenia i legitymację profesora U.J.

◆

W nocy przebyliśmy granicę czechosłowacką. Na drugi dzień, przed południem, w Pradze, przyszedł do wagonu radca ambasady, a za nim służący wniósł praskie parówki i bułeczki. O godzinie drugiej popołudniu zbliżyliśmy się do *granicy*. To była już granica świata pod jarzmem sowieckim. Tu rozpoczynała się amerykańska strefa okupacyjna Niemiec.

Przed wypuszczeniem pociągu z granic „Czechosłowackiej Republiki Ludowej" silny oddział młodych żołnierzy czeskiej straży granicznej dokonywał inspekcji. Żołnierze, uzbrojeni w karabinki maszynowe, zaglądali do wozu bagażowego, lokomotywy i węglarki, wchodzili pod wagony, między koła pociągu. Przy czym wyglądało to tak : jeden wczołgiwał się pod wagon, a dwaj inni, przykucnąwszy, nastawiali swoje karabinki w kierunku podwozia, gotowi do natychmiastowego strzału. Żołnierze byli oczywiście wybranymi komunistami, zadziwiająco przypominali gestapowców.

Widok był upokarzający. Pasażerom pociągu nic lepiej nie mogło uzmysłowić istnienia tej granicy dwóch światów. Ze świata „socjalistycznego" wydostać się nie można na wolność nawet między kołami pociągu. Muszę powiedzieć, że na twarzach niektórych moich towarzyszy podróży widziałem lekkie zażenowanie.

◆

W czasie drogi zbieraliśmy się w jadalni cztery razy dziennie na posiłki. Moi towarzysze przebywali tam przeważnie przez cały dzień, a kilku z nich szczególną odznaczało się wrzaskliwością. Ja omawiałem z przydzielonymi mi urzędnikami przez kilka godzin dziennie sprawy prawno-międzynarodowe, jakie miały być przedmiotem obrad Komisji, resztę czasu spędzałem w swoim przedziale. Towarzystwo traktowało mnie z uprzejmą nieufnością. Zaraz na początku podróży, gdy pani Kowalczykowa zwróciła się do mnie, nazywając „towarzyszem-profesorem", powie-

działem : „Nie przysługuje mi, jako bezpartyjnemu, tytuł towarzysza". Wtedy zapytała: „Ale chyba profesor nie czuje się obrażony?". Na co rzekłem, że uważałem za swój obowiązek zaznaczyć, że nie mam prawa do zaszczytnej tytulatury. Spojrzała na mnie surowo, zarazem zdziwiona.

Spośród moich towarzyszy podróży, widziałem przed tą eskapadą, tylko raz w życiu p. Łobodycza i nawet przywitałem się z nim na jakimś wykładzie w Warszawie.

Z moim towarzyszem przedziału, jednym z najpoważniejszych urzędników warszawskiego M.S.Z., miałem, niestety, nazbyt dużo sposobności rozmawiania. Jest on magistrem praw, studia ukończył przed wojną we Lwowie. Gorliwy komunista wie tyle i tak o stosunkach międzynarodowych, ile wyczytał w komunistycznych dziennikach i miesięcznikach. Żadnej myśli własnej, wszystko cytowane, niemal na pamięć z „Trybuny Ludu", „Nowych Dróg", „Spraw Międzynarodowych" itd. Elementarnego pojęcia o najważniejszych działach prawa międzynarodowego nie posiada. Natomiast posiada znakomite przekonanie o sobie, jako głębokim znawcy stosunków polityczno- i prawno-międzynarodowych. Mówi słabo językiem niemieckim, trochę zna rosyjski, o żadnym innym nie ma pojęcia. Kieruje departamentem politycznym. Ale równie dobrze mógłby być i szefem delegacji warszawskiej do Narodów Zjednoczonych.

Gdy p. Skrzeszewski mówił mi o braku pomocników, pomyślałem, że w M.S.Z. pracuje ponad czterystu ludzi. Teraz, poznając bliżej p. Łobodycza, zrozumiałem, że zadaniem nie tylko M.S.Z., ale i delegacji do O.N.Z. jest jedynie szczegółowe wykonywanie instrukcyj rządu sowieckiego. Oczywiście nie było dla mnie w tym spostrzeżeniu żadnego rewelacyjnego odkrycia, ale teraz dopiero pojąłem w jak wysokim stopniu delegacje państw „demokracji ludowej" są tylko instrumentami technicznymi Sowietów.

W ciągu całej podróży, gdy tylko nie molestowali mnie współtowarzysze, rozmyślałem o różnych sposobach ucieczki i o różnych sposobach pracy, jaką zaraz po wyzwoleniu się wypadnie mi rozwinąć. Patrzałem przez okna na znane mi przed wojną miasta i krajobrazy, na wydźwignięte z ruin Norymbergę, Karlsruhe, Stuttgart.

W nocy z dnia 6 na 7 września, przekroczyliśmy granicę francuską. Tu znałem już nie tylko dziesiątki miast, ale i wsi. O ósmej byliśmy w Paryżu, oczekiwani przez sztab urzędników ambasady warszawskiej z chargé d'affaires, p. Ogrodzińskim, na czele.

Luksusowymi samochodami przewieziono nas do ambasady przy ulicy Talleyrand. Naprzód, pp. Ogrodzińscy przyjęli nas śniadaniem podanym z smakiem, elegancko. Pani Ogrodzińska, młoda i śliczna kobieta z lubością tytułowała wszystkich towarzyszami, a mnie „panem profesorem", zaś p. Ogrodziński narzekał, że już tak długo trzymają go w Paryżu, gdy on tak bardzo pragnie powrócić do Kraju i tam pracować. Swoją dro-

gą, sytuacja jego była zgoła wyjątkowa w stosunkach dyplomatycznych, skoro przez blisko cztery lata zastępował, jako chargé d'affaires *ad interim*, nie istniejącego, nawet nie mianowanego, ambasadora. Reżymowi albo brak ludzi, albo też boi się dalszych kompromitacji z ,,wybieraniem wolności'' przez swoich wysłanników.

◆

Paryż przywitał nas cudowną pogodą wrześniowego poranka.

Teraz, po śniadaniu, trzeba było rozstrzygnąć kwestię wykorzystania dwudziesto-czterogodzinnego pobytu w stolicy Francji. P. Kamińska, która tu przedtem długo mieszkała, ofiarowała się poprowadzić wycieczkę nowoprzybyłych na cmentarz rozstrzelanych komunistów oraz do fabryk Renault i innych, aby widzieli jak ludzie idą do pracy i jak z niej powracają. Była już o tym mowa w pociągu. Ja zaś zaproponowałem, by wszyscy inni poszli z panią Kamińską, natomiast aby dwaj przydzieleni mi asystenci, przeszli się ze mną piechotą po centralnych ulicach Paryża, które, jako przyszli dyplomaci, powinni zobaczyć wraz z historycznymi budowlami. Po obiedzie w ambasadzie, o czwartej po południu, mieliśmy pojechać wspólnie, pod moim kierownictwem, do Wersalu. Na tym też stanęło, przy czym p. Kowalczykowa troskliwie upewniła się, że *ja* ani na chwilę ,,nie opuszczę'' Twaroga i Wyznera. Inaczej mówiąc, wyglądało tak, że ja mam pilnować, aby moi komunistyczni towarzysze, nie nawiązali kontaktu z kimkolwiek w tym czasie. Rozbawiło mnie to serdecznie, toteż szczerze zapewniłem, że *ja* ani na chwilę nie opuszczę ani Twaroga ani Wyznera.

Wyszliśmy na Esplanade des Invalides. Po bokach miałem ,,asystentów''. Starszy, 24-letni Twaróg, jest magistrem Szkoły Głównej Służby Zagranicznej, nie mającej ani jednego habilitowanego, mianowanego profesora. Znaczny odsetek ,,profesorów'' tej uczelni nie ma ukończonych studiów wyższych. Wśród nich rej wodzi p. Katz-Suchy. Twaróg jest krępy, silnie zbudowany, pewny siebie, komunistyczny aktywista. Wyzner, suchy i szczupły, o rok młodszy, długi jak tyka, jest magistrem Uniwersytetu Warszawskiego i umie znacznie więcej. Jeden trochę rozumie po francusku, drugi, Twaróg, trochę po angielsku. Mówić żaden nie potrafi. Lubię młodzież, pewien sentyment miałem więc i dla tych zbałamuconych, grzecznych wobec mnie i uprzejmych chłopców. Twaróg często wspominał młodość spędzoną w chałupie matki i patrzył co by dla żony, ale i dla starej matki kupić. Ujął mnie tym bardzo. Zaś Wyzner, nieżonaty, także pragnął czym prędzej iść do sklepu i torebkę skórzaną czy inne piękne rzeczy dla matki swojej w Warszawie, kupować. Rdzeń duszy w tych chłopcach niewątpliwie jest dobry.

Szliśmy przez most Aleksandra III i Pola Elizejskie do Concordy i przez Tuileries do Luwru i Saint Germain d'Auxerrois.

Chłopcy patrzeli i... chciwie rozglądali się po sklepach. Przytaknęli tylko, że perspektywy są wspaniałe, a tysiące samochodów przejmowały ich szczerym wzruszeniem. Przed wejściem do Notre-Dame powiedziałem Twarogowi, że musi papierosa albo zgasić i schować, albo wyrzucić. Twaróg, który już do przedsionka z papierosem zmierzał, zatrzymał się, papierosa wyrzucił i powiedział, tłumacząc się grzecznie : „Przepraszam, nie chciałem obrazić uczuć religijnych Pana Profesora". Gdy mu odpowiedziałem, że nie tylko o moje uczucia chodzi, ale o szacunek dla świątyni, chłopski syn katolickiej matki, skrzywił się i nic nie odrzekłszy z rezygnacją wszedł za mną. Żaden z nich, chociaż w katolicyzmie wychowani, ani nie przeżegnał się, ani nie ukląkł. Zachowywali się jak w muzeum, tak jak komuniście w kościele zachowywać się wypada...

Reżym komunistyczny pozyskuje młodzież i wciąga do partii różnymi ulgami i przywilejami. Wozi samochodami, lokuje w najdroższych hotelach, np. w Warszawie, w „Bristolu" i „Polonii", obsypuje pieniądzmi i wygodami. Robotniczy i chłopscy synowie, którzy dadzą się w ten sposób pozyskać, wydelikacają się i rozgrymaszają nader szybko. Nie zdziwiłem się więc, że po godzinie spaceru w cudownym mieście, Twagór i Wyzner zażądali wypoczynku.

Widząc, że moi turyści mają już dość zwiedzania, poprowadziłem ich na zakupy, na rue de Rivoli. Mieliśmy wszyscy po 100 dolarów i po 8.000 franków. Chłopcy szukali rzeczy najdroższych. Gustowne i nieco tańsze, odrzucali z uwagi na niższą cenę.

Taksówką powróciliśmy na obiad. Młodzi uczestnicy wycieczki po Paryżu byli skrajnie wyczerpani.



Szybko zjedliśmy obiad. Była godzina wpół do trzeciej. Na czwartą wyznaczyłem wyjazd do Wersalu.

Było nas siedmiu turystów : P. Wasilkowska, Łobodycz, Twaróg i Wyzner, p. Gradziok, jej koleżanka i ja. P. Gradziok, 23-letnia reemigrantka z Francji, mówiąca doskonale gwarą francuską, a, jak się okazało, bez wielkiego pojęcia o pisowni, urodzona w Paryżu, wielce się na mnie oburzyła pod Wersalem, gdy szofer miał wątpliwości czy w prawo czy w lewo, a ja poprosiłem ją, jako siedzącą wygodnie przy szoferze i mówiącą po francusku, by wyszła i zapytała o drogę sympatycznego przechodnia. Uczyniła to wprawdzie, ale powróciwszy, mocno była nadąsana, sycząc półgłosem do swej koleżanki, że nie pozwoli się więcej traktować jak służąca. P. Gradziok jest komunistką, a reżym komunistyczny wychowuje członkinie partii, całkiem widocznie na „panie".

Zwiedziliśmy w tym towarzystwie Wersal. Jak ja się czułem, wolę zamilczeć. Gdy zaproponowałem spacer do Trianon

pani Wasilkowska i Łobodycz wypowiedzieli się za moim projektem, ale pp. Twaróg i Wyzner oświadczyli, że nogi ich bolą i mają już dość zwiedzania, zaś p. Gradziok wprost stwierdziła, że „za nic w świecie''. Pozostali więc w aucie lub jego „rejonie'', na półtorej godziny, a my poszliśmy na spacer. Miałem znowu ze sobą dwie osoby, obie o „wyostrzonym uświadomieniu partyjnym''. Moja towarzyszka, pani elegancka, osobiście kulturalna i doskonale wychowana, mogłaby być, skądinąd, towarzystwem przyjemnym. Była to w każdym razie chwila wytchnienia bez tamtej, zmęczonej zwiedzaniem młodzieży.

Po kolacji w ambasadzie wyszliśmy jeszcze z pp. Wasilkowską i Łobodyczem na Pola Elizejskie.

W tym dniu nie zetknąłem się z nikim spoza delegacji, ale w Wersalu, gdy w kawiarni pisaliśmy kartki do Polski, zdołałem napisać kartę do moich krewniaków w Nowym Jorku, których zawiadamiałem okrężną drogą — nie znałem ich adresu — iż przybędę za tydzień do ich miasta i skomunikuję się z nimi bezzwłocznie. Kartę wysłałem pocztą lotniczą. Udało się napisać, pomimo, że kilka par oczu bacznie śledziły moją pisaninę zdawkowych pozdrowień na pół tuzinie widokówek do Polski.

*

W dniu 8 września, już o ósmej spotkaliśmy się w stołówce ambasady. Było jeszcze półtorej godziny do wyjazdu na dworzec zatem oświadczyłem, że wybieram się na spacer, jako, że światło i powietrze letniego, słonecznego poranka w Paryżu, zawsze szczególną sprawiały mi przyjemność. Współbiesiadnicy spojrzeli po sobie, po czym pani Wasilkowska rzekła : „Ale chyba Profesor nie pójdzie sam ?'' Na co odpowiedziałem, że z przyjemnością zapraszam ją i p. Łobodycza ze sobą. Ona zgodziła się, zaś p. Łobodycz z prawdziwie dyplomatyczną subtelnością, w sowieckim stylu, powiedział z miłym uśmiechem : „Skoro Towarzyszka Sędzia idzie z Profesorem, to ja już nie muszę iść''. Biedak, Paryża nie był ciekawy, a jeden opiekun był wystarczający. Wybiegliśmy na Boulevard Saint Germain, weszliśmy do kościoła Saint Germain des Près. Moja towarzyszka, mimo, że często odwiedzała Paryż, była tam po raz pierwszy, chociaż z dawna słyszała o pięknym baroku nagrobka Jana Kazimierza.

Wróciliśmy na czas. Od dwóch dni byłem już posiadaczem paszportu, teraz pani Kowalczykowa wręczyła mi bilet okrętowy na statek francuski „Liberté''. Pomyślałem : „Ten statek wywiezie mnie na wolność. Jeszcze jeden tydzień''. Rzuciłem też okiem na cenę biletu i zdumiałem się wielce, gdy wyczytałem, że kosztuje sześćset trzydzieści trzy dolary i 155 franków. Jak się później dowiedziałem, kabina Katza-Suchego, na głównym pokładzie, była jeszcze droższa. Były to koszta przejazdu w jedną stronę.

Luksus i kosztowność sowieckich delegacji warszawskich nieraz były, w gronie znajomych, przedmiotem gorzkich żartów.

Teraz, po wagonie salonowym, luksusie ambasadzkich pokoi, luksusowa kabina, przywiodły mi na myśl nędzę, wyniszczenie niedożywionych i eksploatowanych robotników polskich.

Na dziedzińcu ambasady, zebraliśmy się do odjazdu. Był tam już minister Katz-Suchy. Udawał naprzód, że mnie nie spostrzega. Później, nie witając się, zawołał : ,,Profesorzeee ! Widzę że już kupiliście teczkę w Paryżu. Czekajcie, będziecie Wy za nią słone cło z powrotem płacili''. Po czym, kapitalistycznym aparatem fotograficznym, zdjął mnie kilka razy.

Teraz znać było, że kierownik przyjechał. P. Katz-Suchy czynił wobec wszystkich na dziedzińcu, gorzkie wyrzuty p. Ogrodzińskiemu, że woda w jego łazience nie dość była ciepła, a on lubi gorącą, bardzo gorącą kąpiel. P. Ogrodziński uniżenie przepraszał. Pasja Katza-Suchego powoli tylko się uspokajała.



Z Gare d'Austerlitz, pierwszą klasą, pojechaliśmy do Le Havre. Towarzyszył nam elegancki, uprzejmy urzędnik prefektury policji paryskiej. Jakąś do mnie poczuł sympatię, bo kilkakrotnie mnie właśnie informował o naszych walizach i kufrach. Wtedy, towarzyszący nam urzędnik ambasady warszawskiej poprosił mnie, żebym ja z tamtym nie rozmawiał, bo on właśnie — Wójtowicz — jest od tego. Gdy za chwilę, Francuz znowu z uśmiechem począł udzielać mi informacji o transporcie rzeczy na statek, pani Wasilkowska energicznie upomniała mnie : ,,Profesorze ! Przecież Pan słyszał, że nie wolno Panu z nim rozmawiać''. Francuz, słysząc łamaną francuszczyznę tamtych, uważał, po prostu, że ze mną łatwiej się porozumieć.



Było nas czternaścioro, podzielonych na dwie grupy. Pierwsza składała się z delegatów i zastępców, to jest Katza-Suchego, Wasilkowskiej, mnie, Łobodycza i Lewandowskiego, podróżujących pierwszą klasą ; druga, z ekspertów, doradców i kancelistów, w drugiej klasie. Ale przy kolacji, Katz-Suchy powiedział, że ustawicznie będziemy odwiedzać kolegów z drugiej klasy. Zamówił on w jadalni stół sześcioosobowy i zaprosił do niego, na stałe, członka delegacji sowieckiej, Czeczotkina, który jechał sam.

Już przy tej pierwszej kolacji Katz-Suchy pokazał co potrafi. Zażądał kawioru, przyrzeczono mu na następny dzień. Zamówił wędzonego łososia, ale uszczknął go tylko, bo za mało wędzony. Zupę odesłał, bo bez smaku. Befsztyk był niedopieczony. Może wino poprawi ten smak. ,,Lewandowski, Ty wypisz zamówienie na Chablis i Château Margaux !'' — zawołał. Lewandowski, ,,naczelnik wydziału amerykańskiego'', podnóżek Katza-Suchego, istna parodia urzędnika i dyplomaty, wziął kartkę i począł pisać, a że siedział przy mnie, zauważyłem, że przy

nazwisku zamawiającego, Katza-Suchego, postawił litery ,,H. E.'', to jest ni mniej ni więcej, tylko ,,His Excellency''. Ze wstydu wytrzymać nie mogłem, powiedziałem : ,,Panie ! Niechże Pan na świstkach zamówień trunków, tak wysokich tytułów nie umieszcza, tym bardziej, że mogłoby wyglądać, iż p. Katz-Suchy sam siebie, wino zamawiając, ekscelencją tytułuje''. Obrzydliwy człowieczek odparł : ,,Niechaj wiedzą kogo obsługują'', i ,,excellencję'' zostawił. P. Katz-Suchy słuchał tego dialogu, łypał na mnie oczyma spoza okularów i pozwolił swemu adlatusowi działać. Nie mogłem też wytrzymać, by cicho Lewandowskiemu nie powiedzieć, że ministrom pełnomocnym tytuł ekscelencji i tak nie przysługuje, choćby nie chodziło o wódkę i wino.

W tym samym, pierwszym dniu na statku, zapytałem jednego ze stewardów o kierunek głównego salonu. Towarzyszący mi p. Łobodycz wyraził z miejsca gorzkie zdziwienie, że rozmawiam ze służbą, pomimo zakazu ministra. Gdy odrzekłem, że przecież tylko o zwykłą informację chodziło, uprzejmie lecz zdecydowanie powiedział : ,,Teraz Pan Profesor pyta o drogę do salonu, a później i o innych rzeczach będzie z nim rozmawiał, a tu są wszędzie agenci, którzy będą starali się niejedno z nas wydostać''.

Na kolację zjeżdżałem z p. Wasilkowską windą. Lubiąc bardzo Francuzów i język francuski, którym od siedmiu i pół lat nie miałem sposobności mówić, zamieniłem z liftbojem kilka zdań o pogodzie i pięknie, równo idącym statku. Gdyśmy windę opuścili, czekała mnie od mojej towarzyszki bura za niestosowną rozmowę z młodym Francuzem, mimo, że wiedziałem o zakazie rozmawiania z kimkolwiek z zewnątrz. Gdy zaś wypowiedziałem uwagę, iż mam wrażenie, jakobyśmy my, albo oni byli trędowaci, spochmurniała i z zaciśniętymi ustami stwierdziła tylko : ,,Ma pan bardzo drastyczny sposób wyrażania się''.

◆

Z inicjatywy ministra Skrzeszewskiego, a na konkretne polecenie p. Katza-Suchego, mieliśmy się zbierać przez cztery dni w kabinie p. Kowalczykowej i męża jej, p. Zwirena, spokojnego, sympatycznego człowieka (chyba mu te słowa nie zaszkodzą). Celem tych zebrań, dwa razy dziennie po półtorej godziny, było wysłuchanie referatu p. Blusteina o regulaminie wewnętrznym Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, oraz o najważniejszych sprawach na porządku dziennym bieżącej sesji Zgromadzenia. P. Katz-Suchy miał być patronem tych zebrań.

P. Blustein, obleśny, arogancki obżartuch o tłustej twarzy i zaślinionych wargach, czytał fatalnie akcentując i wymawiając, polski tekst regulaminu. Dodawał następnie uwagi, które miały ilustrować praktyczne zastosowanie różnych postanowień proceduralnych. Katz-Suchy słuchał, dodając często i apodyktycznie, cenne swoje myśli.

Raz zabrał np. głos, by podkreślić wagę regulaminu :

„Imperialiści ułożyli ten regulamin, by im przeciw nam pomagał, to my tak wystudiowaliśmy ten regulamin, że ten regulamin teraz nam zawsze przeciw imperialistom służy, a my jesteśmy uznani za najlepszych znawców regulaminu". P. Blustein zaraz podał kilka przykładów, jak p. minister Katz-Suchy, dzięki znajomości regulaminu, wykiwał okropnie imperialistów.

Kiedyś, o taktyce w O.N.Z., uczył nas p. Katz-Suchy dosłownie, tak :

„Wy nie zawsze zrozumiecie, ale Wy musicie mieć zaufanie. Wy nie zawsze zrozumiecie, dlaczego raz, na wielką prowokację imperialistów, my nie odpowiadamy nic, a za małą, to my tak bijemy w mordę, że krew się leje".

Schwyciłem się wtedy, z rozpaczy, za głowę, widocznie ruchem zbyt jawnym, bo siedząca obok pani Wasilkowska, zapytała : „Profesorze, czy Pana głowa boli ?". Zapewniłem, że to wskutek silniejszego w tym dniu, niż zwykle, chuśtania statku. Męka, którą cierpliwie znosić musiałem, trwała nadal.

•

Męczarnią były wspólne posiłki, zwłaszcza obiady i kolacje. P. Katz-Suchy wyraźnie mnie prowokował. Kiedyś, w dyskusji na tematy „ideologiczne", związane ze stosunkami międzynarodowymi, nie znajdując kontrargumentu, wściekły powiedział : „Profesorzeee ! Dyskusję tę skończymy po powrocie do Polski".

Widocznie namiętny charakter poniósł go daleko. Przy stole zapanowała cisza. P. Katz-Suchy nie chciał jednak tak sprawy zostawić, więc powołał się na opinię pp. Łobodycza i Lewandowskiego. Ten ostatni od razu przytaknął gorliwie, a pierwszy słabiej. Miałem i ja dość, więc powiedziałem Katzowi-Suchemu, że powoływanie się na swoich sterroryzowanych subalternów nie jest właściwą drogą przekonywania mnie. Znowu Katz-Suchy zawołał, że nie tylko jemu uchybiam, ale i jego towarzyszom. Rzeczywiście, p. Lewandowski wydawał się bardzo oburzony. Mówiąc zawsze spokojnie i cichym głosem, prosiłem Katza-Suchego, by zaniechał ustawicznych prowokacyj i pogróżek i nie zmuszał mnie do reakcji, bo każda cierpliwość ma swój kres. Ponieważ krzyczał, a nawet kwiczał i wymachiwał rękoma, jeszcze bardziej, jak zwykle, zwrócił na nasz stół uwagę sali. Czerwona ze wzburzenia p. Wasilkowska, zażądała od „Julka", aby rozmów takich i takim tonem, nie prowadził przy stole. Zastraszony Rosjanin, p. Czeczotkin, siedział cicho, patrząc wokoło, wstydził się.

Kiedy indziej, p. Katz-Suchy, zdybawszy mnie przy rannym śniadaniu, gdzie nie zawsze spotykaliśmy się, zawołał od razu : „Profesorzeee ! Widziałem Was wczoraj w nocy na pokładzie rozmawiającego z młodą Amerykanką w krótkich spodniach". Wlepił we mnie oczy, patrząc na efekt swego oskarżenia. Może się uda złapać ? Może rzeczywiście rozmawiał z kimkolwiek ?

Ale, spokojnie odpowiedziałem: „Dzień dobry ministrze! Czy Pan dobrze spał?". „Owszem — odrzekł — spałem bardzo dobrze, ale dlaczego się pytacie?" „Bo zapewne o Amerykance i jej krótkich spodniach śniło się Panu", powiedziałem. Pozbawiony poczucia humoru, gdy o niego chodziło, p. Katz-Suchy zamilkł.

Tu muszę dodać, że p. Katz-Suchy umie nieraz opowiadać dobre kawały i dowcipnie odcinać się w publicznych wystąpieniach. Ale nienawidzi gdy się jemu dowcipnie odpowiada, lub gdy ktoś, kogo uważa za służbowo, hierarchicznie czy politycznie niższego od siebie, przeciwstawia mu się. Dlatego, w Warszawie, na zebraniach Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, które zwoływał, gdy wpadał na krótki pobyt z zagranicy do Kraju, ludzie dwa razy pomyśleli zanim przeciw niemu jakieś argumenty w dyskusji wysunęli. Nikt nigdy nie wiedział co on powie w partii i w U.B., jak się zemści, co o kim doniesie.

◆

W trzecim dniu, na statku, zauważyłem kilkakrotnie, że gdy zbliżałem się na pokładzie do moich przymusowych współtowarzyszy, przestawali rozmawiać lub widocznie zmieniali temat rozmowy.

Ostry incydent między mną a Katzem-Suchym wydarzył się w piątym dniu podróży. Katz-Suchy żądał mianowicie, bym „nie separował się od kolegów z drugiej klasy, lecz ustawicznie odwiedzał tamtych dziewięciu. Ponieważ zaś widywałem ich dwa razy dziennie na referatach Blusteina, uważałem, że to im i mnie wystarcza. Jemu zaś chodziło zarówno o dokuczanie mi jak i o trzymanie mnie zawsze w ich towarzystwie. Poprzednio więc, przy obiedzie, zawołał: „Profesorzeee! Znowu nie byliście z wizytą u panny Gradziok, separujecie się od drugiej klasy". Poprosiłem go, by dał spokój pannie Gradziok, a skoro jest tak demokratycznie czuły, to powinniśmy wszyscy jechać drugą klasą.

◆

Spacerując czasem sam po pokładzie — z reguły był ktoś ze mną — i w ciszy swojej doskonałej kabiny, rozmyślałem w dzień i w nocy nad swoimi przyszłymi krokami w Nowym Jorku. Postanowiłem uciec od komunistów od razu, po przybyciu do hotelu, gdy tylko stwierdzę, że lista oficjalna członków delegacyj na to Zgromadzenie O.N.Z., została opublikowana wraz z moim nazwiskiem. Tymczasem zmuszałem się do maksimum uprzejmości wobec „współtowarzyszy", chodziłem pilnie na zebrania instrukcyjne, słuchałem tam bzdur, których powstydziłby się uczestnik ćwiczeń, prowadzonych przez moich asystentów. Ale myślą byłem już w obozie walki z nimi.

V. W NOWYM JORKU

Podróż dobiegała końca. W dniu 14 września wstaliśmy wcześnie. Wypuszczono nas na ląd w pierwszej kolejności. W hali dworca portowego byliśmy już o ósmej. Czekali tam na nas szef delegacji, generał, wiceminister, Marian Naszkowski wraz z ministrem pełnomocnym Bireckim. Przyjrzałem się z ciekawością Naszkowskiemu, jako człowiekowi, o którego przeszłości nikt nigdy nie mógł mnie poinformować. Widziałem go po raz pierwszy. Zauważyłem, że ruchy ma opanowane, mówi spokojnie, bez przesady i fałszywego entuzjazmu.

Czekaliśmy na bagaże przeszło godzinę. Tymczasem, p. Naszkowski opowiadał nam różne nowości polityczne ze świata. Opowiedział też o ucieczce w Korei Jana Hajdukiewicza, tłumacza polskiej delegacji. W tym momencie, p. Katz-Suchy wbił we mnie oczy i patrzył przez pół minuty. Wytrzymałem jego wzrok obojętnie, ale incydent ten utwierdził mnie w przekonaniu, że nie byłem dość ostrożny i że Katz-Suchy już mnie konkretnie podejrzewa. Nie na darmo poprzedniego dnia pytał mnie czy byłem kiedyś w Anglii lub Stanach Zjednoczonych, czy mam tam krewnych i czy naprawdę nie mówię po angielsku. Jak to dobrze, że nie zląkłem się pogróżek, zawartych w tak zwanych ankietach osobistych, które w Polsce, wszyscy pracownicy muszą wypełniać, z różnych okazji, przynajmniej raz na rok. Nigdy nie podałem nigdzie, że mam w Stanach trzech młodych krewniaków.

Do hotelu Chatham dobiliśmy około godziny 10-ej. W sekretariacie delegacji zapytałem, może zbyt pośpiesznie, o oficjalną listę delegacyj, wydaną przez sekretariat O.N.Z. Ale powiedziano mi, że ukaże się ona dopiero w dniu następnym i będzie rozdawana na pierwszym, inauguracyjnym posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego, o godzinie czwartej popołudniu. Wiadomość ta stropiła mnie.

Gdybym opuścił ich od razu, Katz-Suchy zawiadomiłby Sekretariat O.N.Z., by mnie tam skreślono z listy członków „polskiej" delegacji. Wówczas, delegacja ogłosiłaby, że to nie ja ją opuściłem, by w U.S.A. szukać azylu, że to szef delegacji wyrzucił mnie z niej, jako osobę niegodną. Wtedy zaś efekt propagandowy mojej ucieczki, byłby znacznie osłabiony. O wszystkim tym już myślałem na statku i okoliczność tę przewidziałem. Dlatego postanowiłem : a) zaczekać do dnia następnego, pójść na pierwsze posiedzenie Zgromadzenia; b) po tym posiedzeniu opuścić delegację bez względu na to czy lista delegacyj będzie opublikowana czy nie. Na posiedzeniu będę się starał zwrócić na siebie uwagę sąsiednich delegacyj, abym był widziany, jako członek delegacji warszawskiej. W ten sposób nie mogliby już mówić, że zostałem z delegacji, po przybyciu do Nowego Jorku, usunięty.

Pani Kowalczykowa, zaraz po przybyciu do hotelu, odebrała

mi paszport, twierdząc, że mógłbym go zgubić i że wszyscy muszą oddać paszporty aż do wyjazdu z powrotem. Musiałem oddać. Następnie poszedłem do swojego pokoju. Pomimo aparatu chłodzącego, gorąco i duszność były trudne do zniesienia. Mimo zrozumiałego oszołomienia Nowym Jorkiem, upałem i nową dla mnie sytuacją, natychmiast począłem szukać nazwisk krewniaków w księgach telefonicznych. Znalazłem jednego. Zjechałem windą z dwunastego piętra, wyszedłem na ulicę, zaszedłem do sąsiedniego baru, stamtąd, nie bacząc na ryzyko, dzwoniłem raz za razem pod znaleziony numer. Nikt nie odbierał telefonu. Postanowiłem pojechać na drugi dzień rano pod adres, odpisany z książki telefonicznej. Na moją kilkunastominutową wycieczkę nikt nie zwrócił uwagi, wszyscy byli zajęci rozpakowywaniem bagaży.

◆

P. minister Naszkowski wyznaczył konferencję delegatów i zastępców na godzinę trzecią popołudniu. Pozostawało kilka godzin do dyspozycji. Twaróg i Wyzner „asystenci" zaproponowali, by razem wyjść na ulicę, na spacer i zakupy, potem na obiad. Spacerowaliśmy zatem w okropnym upale przez dwie godziny, kupowali potrzebne drobnostki, zjedli obiad w kafeterii. Gdy zaś stawiłem się w sekretariacie szefa delegacji o trzeciej, sekretarka zawiadomiła mnie, że konferencja będzie dopiero o szóstej, bo pan minister został wezwany do delegacji radzieckiej na posiedzenie.

O godzinie szóstej zebraliśmy się : delegaci — Naszkowski, Winiewicz, Katz-Suchy, Wasilkowska, Birecki, wszyscy wybitni członkowie partii komunistycznej, oraz pierwszy zastępca Korowicz, drugi Łobodycz, trzeci Lewandowski. Przed posiedzeniem przystąpił do mnie p. Winiewicz. Widziałem go po raz pierwszy, chociaż w latach 1944-1945, gdy był dyrektorem w ministerstwie polskim prac kongresowych w Londynie, korespondowałem z nim z Francji w sprawach niemieckich. Robi dobre wrażenie, mówi miękko i inteligentnie, powierzchowność ma sympatyczną. Powiedział mi, że właśnie powraca z sekcji prawnej Sekretariatu O.N.Z., że tam już na mnie czekają, jako na przewodniczącego Komitetu Prawnego. Prosił wreszcie, aby z nim koniecznie pójść na kolację, na którą mnie zaprowadzi do francuskiej restauracji. Gdy powiedziałem, że umówiłem się już z pp. Wasilkowską i Łobodyczem, zaprosił i ich również.

◆

Tymczasem rozpoczęła się konferencja. P. Naszkowski „naświetlił", w sposób niezmiernie płytki i naiwny, sytuację międzynarodową oraz elementy walki dwóch bloków w O.N.Z. Silnie podkreślił poważne sukcesy bloku socjalistycznego, któremu w znacznym stopniu udało się pozyskać dla swych wniosków i głosowań, Indie i państwa arabskie. Potraktował rządy tych

państw już jak gdyby półsojuszników. Wreszcie przeszedł do spraw wewnętrzno-organizacyjnych. Kategorycznie zapowiedział, że wszelkie kontakty prywatne z kimkolwiek są *zakazane*. Nie należy nigdy wychodzić w pojedynkę, zawsze trzeba być w towarzystwie, przynajmniej jednego kolegi z delegacji. Wszędzie są szpiedzy, bezwzględna ostrożność jest nakazana.



W restauracji francuskiej przy czterdziestej ósmej ulicy, w rozmowie z p. Winiewiczem, starałem się uzyskać potrzebne dla siebie informacje. P. Winiewicz, opowiada barwnie, kulturalnie, w miarę wesoło. Wraz z p. Wasilkowską odcina się ostro kulturą osobistą od wszystkich innych członków delegacji. Gdy zapytałem go o wspólnych znajomych w Anglii, powiedział, że ostatnio widział ich „w stanie zupełnego rozkładu moralnego i fizycznego". Kpił bezlitośnie z „rządu prezydenta Zaleskiego", podkreślał swoją tęsknotę do Polski. Na zapytanie o p. Józefa Lipskiego, wyjaśnił, że tenże bawi się w ambasadora londyńskiego w Waszyngtonie. To już była dla mnie dobra infomacja do praktycznego wykorzystania. Wyszliśmy, by zażyć przechadzki nocnej wśród ochłodzonych nieco drapaczy. Winiewicz opowiadał dowcipne anegdoty z życia w Stanach Zjednoczonych i w O.N.Z. Wydawał się bardzo zadowolony w służbie rządu warszawskiego.

❧

Z otrzymanych stu dolarów zaliczki, posiadałem już tylko pięćdziesiąt, bo musiałem poczynić szereg zakupów, a zwłaszcza kupić pół tuzina białych koszul. Jeszcze w M.S.Z. w Warszawie, jeden z urzędników powiedział mi, że mam wprawdzie bardzo ładną koszulę kolorową na sobie, ale w Nowym Jorku będę mógł nosić tylko białe koszule, bo „kolorowe noszą tylko robotnicy, murzyni i w ogóle niższe warstwy". Potwierdził to Katz-Suchy. Zatem i w Paryżu i na statku kupowałem białe koszule, których w Polsce zupełnie się nie nosi. Pięćdziesiąt dolarów, to było za mało, w razie gdybym musiał kilka dni przebywać na własny koszt w hotelu, może pojechać do p. Lipskiego do Waszyngtonu itd. Dlatego, tegoż dnia, po południu, poprosiłem p. Kowalczykową o dalsze pięćdziesiąt dolarów zaliczki, która to kwota zresztą należała mi się, licząc czas podróży.

Pani Kowalczykowa bardzo chętnie wypłaciła mi, bez kwitu, owe 50 dolarów, uprzejmie dodając : „Jestem pewna, że nic nie stanie na przeszkodzie, by Profesor z tej zaliczki się rozliczył". Udawałem, że nie rozumiem, nie odpowiedziałem. Pani Kowalczykowa całkiem dobitnie wyraziła podejrzenie co do moich zamiarów. Katz-Suchy widocznie „zrobił już nastrój". Odbiór pięćdziesięciu dolarów niniejszym p. Kowalczykowej kwituję, o ile to jej jest potrzebne, bo przy naszej rozmowie były obecne dwie jej koleżanki.

Przyszedłszy po kolacji do hotelu, już po jedenastej w nocy, rozmyślałem o dniu następnym. Gdybym nie spotkał się z krewnymi, zgłosiłbym się do pierwszego, najbliższego urzędu policyjnego, albo do majora miasta New Yorku. Ta druga ewentualność wydawała mi się najlepsza. Major porozumie się, w ciągu kilku minut z Departamentem Stanu, i sprawa nabierze właściwego rozgłosu, a ja uzyskam azyl.

Wstałem o piątej, ubrałem się powoli, a o szóstej rano jechałem już taksówką do domu krewniaka. Był to dzień 15 września. W piętnaście minut byłem już na miejscu. Niestety, w spisie lokatorów, znajdującym się przy dzwonku wejściowym, nie znalazłem jego nazwiska. Brama jednak była otwarta, wszedłem, a słysząc, że ktoś sprzątá korytarz na drugim piętrze, wyszedłem tam i zastałem dozorcę, który poinformował mnie, że mój krewny wyprowadził się, ale że jego znajomy na piątym piętrze poda mi adres. Bezlitośnie więc, o 6,15, zadzwoniłem do jego drzwi. Otworzył mi natychmiast miły człowiek. Po krótkich wyjaśnieniach, połączył mnie z krewniakiem. Odbyła się wtedy następująca rozmowa : ,,Ach, Marku ! Nareszcie się odezwałeś. Wczoraj otrzymaliśmy wiadomość, że przyjedziesz do nas. Dzwonię zaraz do Ludwika, o siódmej będziemy u Ciebie, zostań tam gdzie jesteś".

O siódmej zabrzmiał dzwonek. Dwaj młodzi ludzie wpadli do mieszkania. Jednego nie widziałem lat szesnaście, z drugim byłem w wojsku polskim we Francji przed czternastu laty. Rzucili się ku mnie z radością i zaraz chcieli zabierać do siebie. Przerazili się, gdy im powiedziałem, że muszę jeszcze wrócić do delegacji na cały dzień. Błagali, żeby wszystko, co pozostawiłem w hotelu porzucić i już tam nie wracać. Ale dali się przekonać. Umówiliśmy się, że następnego dnia, to jest 16 września, o 5,45 rano, będą na mnie czekać z samochodem na rogu hotelu Chatham.

W hotelu byłem z powrotem już o 8,15. Wszyscy jeszcze spali. Odprawa całego personelu delegacji u ministra Naszkowskiego była wyznaczona na dziesiątą. Gdy o dziewiątej przyszli do mego pokoju asystenci, czekałem na nich, czytając jakieś druki. Poszliśmy razem na śniadanie.



W wielkim pokoju, wyznaczonym na salę konferencyjną, dwadzieścia kilka osób pomieściło się wygodnie. P. Naszkowski z wielkim patosem otworzył zebranie, mówiąc : ,,Mamy walczyć o pokój w O.N.Z. u boku Związku Radzieckiego, a pracę naszą ułatwi nam przeświadczenie, że cały Naród Polski jest za nami, że reprezentujemy jego wolę, czego przedwojenne delegacje polskie nigdy by o sobie uczciwie nie mogły powiedzieć".

Za oknami słyszałem szum wolnego świata. Tu, w Nowym Jorku, cyniczne kłamstwa i przechwałki, do których w Polsce

wszyscy się już przyzwyczaili, uderzyły we mnie całą siłą. Ale trzeba było siedzieć spokojnie i słuchać dalej.

Szef delegacji znowu powtórzył znane już, surowe nakazy postępowania, oraz zakazy komunikowania się z ludnością miejscową. Po czym podał szczegółowe przydziały delegatów, zastępców i ekspertów do poszczególnych komisyj O.N.Z. Bez zdumienia, usłyszałem, że p. Naszkowski zmienił decyzję p. Skrzeszewskiego, jeszcze poprzedniego wieczoru potwierdzoną przez p. Winiewicza, a dotyczącą mojego przydziału. Oświadczył on : „Profesor Korowicz będzie reprezentował nas w szóstym, prawniczym Komitecie, zaś na przewodniczącego tego Komitetu, zaproponujemy ministra Katza-Suchego, który tym samym, niezależnie od swych prac w Komitecie Politycznym i Zgromadzeniu, będzie członkiem Komitetu Ogólnego".

Muszę lojalnie przyznać, że obecni byli znacznie bardziej zaskoczeni niż ja. Skrzeszewski powiedział im przecież w Warszawie, że ja mam być przewodniczącym Komitetu Szóstego, a tu usłyszeli o wyznaczeniu Katza-Suchego, o którym wszyscy wiedzieli, że nie ma za sobą absolutnie żadnych studiów prawniczych. Przecież jeszcze ostatnio współtowarzysze przy stole na „Liberté", słyszeli następującą, uroczą wypowiedź p. Katza-Suchego : „Profesorzeee ! To nie sztuka, żeście dyplomy zdobyli i książki pisali. Ja robiłem co innego. Ja byłem przed wojną zapisany w Krakowie na pierwszy rok prawa, to mnie po sześciu miesiącach prokurator zaprosił siedzieć do aresztu i na tym się skończyło". Taki człowiek, jako przewodniczący zebrania sześćdziesięciu najwybitniejszych w swoich państwach internacjonalistów, to istna farsa międzynarodowa.

◆

Gdy rozglądałem się po tym licznym zebraniu, zrozumiałem konieczne znaczenie Katza-Suchego. Tylko on i Winiewicz reprezentowali jakąś klasę. Katz-Suchy, w gorszym stylu co prawda, ale jest inteligentny i sprytny. Swoją drogą uwielbia luksus, komfort i Amerykę. Ma świetne mieszkanie na Nowym Świecie, jest ministrem pełnomocnym w M.S.Z., dyrektorem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, „profesorem" Szkoły Głównej Służby Zagranicznej w Warszawie. Poza tymi trzema stanowiskami, wyjeżdża w delegacjach służbowych zagranicę na co najmniej dziewięć miesięcy w roku. Ludzie, znający go dobrze, mówili mi w Warszawie, że gdyby tylko kazano mu żyć jak każdemu innemu, chociażby wyższemu urzędnikowi w Polsce, bez obecnych przywilejów i fantastycznych, na polskie stosunki, dochodów, zapał komunistyczny osłabłby w nim wielce... Już i tak kuchnia amerykańska jest dla niego najlepsza, a płaszcze swoje i żony przywozi do Nowego Jorku do prania, jak *dosłownie,* nam powiedział przy stole na statku. Charakterystyka tego człowieka nie bez przyczyny zajęła tu więcej miejsca, niż on na to zasługuje, bowiem należy on właśnie do jednego *z typów*

obecnych rządców komunistycznych w Polsce. Podobnych mu, na odcinku prac wewnętrznych, jest mnóstwo.

Zbiórka w hallu hotelowym do odjazdu na posiedzenie Zgromadzenia, została wyznaczona na godzinę 3,30. Na zebraniu rannym zauważyłem dwóch nie widzianych przedtem, pięknie zbudowanych, młodych, wysokich blondynów. Przypatrywali mi się z widocznym zaciekawieniem. Postanowiłem, aż do nocy nie opuszczać przymusowych kolegów. Z pp. Wasilkowską i Łobodyczem poszliśmy na obiad, z nimi też i z pozostałymi, udaliśmy się samochodami do gmachu O.N.Z., odległego o pięć minut jazdy.

Miejsca delegacji Polski wypadają tuż przed delegacją Z.S.S.R., a obok delegacji brytyjskiej. Naszkowski i Katz-Suchy przywitali się z Wyszyńskim patrząc mu w oczy z psią uległością. My, inni, nie mieliśmy obowiązku witać się z nim. Katz-Suchy podbiegł do delegacji brytyjskiej witając się z p. Gladwyn Jebb. Moje miejsce wypadło za Naszkowskim. Krzesło paliło mnie żywym ogniem.

Na pauzie otrzymałem nareszcie oficjalną książeczkę z listą delegacji. Jeszcze zostałem,by posłuchać, jak Wyszyński żąda wyłączenia Chin nacjonalistycznych z O.N.Z. i jak, zaraz po nim, Naszkowski wysuwa to samo żądanie, uzasadniając, że rząd Czang-Kai-Szeka nie ma prawa reprezentować narodu chińskiego.

◆

Gdy powróciliśmy do hotelu, wymówiłem się bólem głowy od kolacji, natomiast, od godziny 9-ej do 12-ej w nocy dyktowałem swoje uwagi w sprawie arbitrażu przymusowego, odpisane z mojej własnej książki z roku 1929. Stenotypistka, która ogromnym kosztem została wraz z nami do Nowego Jorku przywieziona, jako rzekomo znająca język francuski, rzeczywiście — jak powiedział tego rana Katz-Suchy — na jedno ucho nie słyszała, a drugim nie rozumiała. Mnie to jednak nic nie wadziło, powtarzałem po kilka razy, dyktowałem automatycznie, myślą byłem daleko.

O godzinie 12-ej w nocy p. Kowalczykowa zapytała mnie, telefonicznie, czy śpię. Odpowiedziałem, że już zasypiam. Pewny, że teraz będę miał spokój, zacząłem pakować walizę. Jednak kwadrans po pierwszej, zapukano energicznie do moich drzwi. Szybko wsunąłem walizę do alkowy i, udając zaspanego, otworzyłem. Był to nieznany mi, dyżurny urzędnik, który, wręczając mi jakieś bez znaczenia druki, szybkimi rzutami oczu zlustrował pokój. Widocznie, dyskusje na statku z Katzem-Suchy, oraz zachowanie się w ostatnich dniach, musiały ujawnić moje intencje kierownictwu delegacji.

O wpół do drugiej dokończyłem pakowania walizy, wziąłem jeszcze jedną kąpiel orzeźwiającą, później lekko się zdrzemnąłem. O godzinie 5,40 rano, w dniu 16 września, to jest w niespeł-

na dwa dni po przybyciu do hotelu Chatham, wysunąłem się cicho z pokoju. Delegacja zajmowała piętra 12-te, 11-te i 10-te. Do windy było z mojego pokoju daleko, musiałbym też przechodzić obok apartamentów Naszkowskiego i Katza-Suchego, może natknąć się tam na dwóch nieznanych młodzieńców. Dlatego wolałem skorzystać z klatki schodowej, znajdującej się tuż naprzeciw moich drzwi. Zszedłem do dziewiątego piętra, a stamtąd zjechałem windą. Oddałem portierowi klucz. Wyszedłem. Na rogu hotelu spacerowali już, obok samochodu, moi krewniacy.

W tymże dniu rozmawiałem z władzami. Do przewodniczącego Zgromadzenia i do sekretarza generalnego O.N.Z. wysłałem pismo z prośbą o wykreślenie mnie z listy delegacji, która z Naszkowskim i Katzem-Suchym na czele, nie reprezentuje Narodu Polskiego, lecz reżym sowiecki w Polsce. W dniu 17 września, nawiązałem kontakt z p. Stefanem Korbońskim, który świetną po sobie pamięć w Polsce pozostawił, patrioty, demokraty i szlachetnego człowieka. Pan Stefan wprowadził mnie w dniu następnym do Komitetu Wolnej Europy, który doskonale zorganizował akcję propagandową w związku z moją ucieczką na wolność.

Praca moja w wolnym świecie rozpoczęła się.

Marek St. KOROWICZ

Cambridge, Massachusetts, 26 maja 1954.

Kronika kulturalna

Picasso

Zakorzenił się zwyczaj mówienia o Picassie w sposób niezrozumiały. Ambicją większości autorów, którzy zdobywają się na podjęcie tego tematu, wydaje się być stworzenie literackiego ekwiwalentu sztuki Picassa. Jeżeli tekst o Picassie ***robi takie*** *samo wrażenie* jak obraz Picassa — uchodzi za dobry. Daje to czasem piękne osiągnięcia poetyckie, jak np. essej Cassou. Zawodowi krytycy mają zadanie o wiele mniej wdzięczne. Raynal tak pisze: ,,Wyobraźnia artysty buduje coś w rodzaju nowej rzeczywistości, czysto malarskiej i odkrywa sposób stwarzania przedmiotu na nowo, według wizji, nie podsuwanej wyłącznie przez oko, ale poddawanej także przez ducha artysty''. Jest to prawda, jest to nawet cała prawda, a przecież wszystkiego tu brak. Zdanie to można zastosować bez ryzyka nie tylko do Cézanne'a lecz także do Ingres'a. Kto nie doświadczył przed obrazami Picassa tej obecności wewnętrznego oka czyli ducha, temu takie zdanie nie powie nic. Nawet jeżeli krytyk doda: ,,Wychodząc poza perspektywę klasyczną (Picasso) wymyśla płaską przestrzeń, wynajduje efekty nowego światła, zgodnie z założeniami geometrii, matki wszelkiej formy''. Proszę zauważyć, że nawet zawodowy krytyk nie może powstrzymać się od popadania w paradoksy, gdy pisze o Picassie. Bo jak sobie wyobrazić ,,płaską przestrzeń''? A przecież, co Raynal mówi o ,,płaskiej przestrzeni'' i o ,,nowym świetle'', jest tak samo prawdą jak to co mówi o wizji z ducha, a nie tylko z oka. By jednak zrozumieć Raynala, a raczej by się z nim zgodzić, trzeba to wszystko odczuć naprzód przed obrazami Picassa. Tak więc ,,rzeczowa'' terminologia krytyka nie służy w gruncie rzeczy do niczego więcej, jak metaforyczne słownictwo poety. W tę samą pułapkę wpadają filozofowie, co łatwo sprawdzić na wstępie Sartre'a do katalogu Giacomettiego (Maeght).

Otóż takie ekwiwalenty są zawsze pouczające, ale mówią coś raczej o ich autorach niż o temacie. Mówią oczywiście przede wszystkim, że autor nic nie rozumie. Ekwiwalent nie jest oceną,

ani tym mniej opisem, choć może uczynić przedmiot interesującym. Sartre odkrywa w dość przeciętnych rysunkach Giacomettiego zastanawiające głębie, ale nie nabierze żadnego znawcy : odkrycie filozoficznych paradoksów w tych rysunkach nie zrobi z nich dobrych rysunków. A jeżeli chodzi o niepokój, to od tego jest filozof, żeby odbierać rzeczom banalność. Zwykła brodawka na nosie może w odpowiednio dysponowanej osobie wywołać wstrząs metafizyczny, jak mawiał Witkacy, mimo to pozostanie brodawką. Pisząc to, kopię dołek pod samym sobą, bo bardzo silne przeżycie, jakie miałem na dwóch odbywających się obecnie w Paryżu wystawach Picassa (*), nie łatwo mi teraz będzie przedstawić jako obiektywny opis i jako rzeczową ocenę. Pociesza mnie tylko to, że opinia o wyjątkowości tych wystaw jest bardzo rozpowszechniona. Zastanawiam się nad Picassem od trzydziestu lat i dopiero teraz coś zrozumiałem. Tak mi się przynajmniej wydaje. W każdym razie łudzę się, że nie popadnę w błąd poetów, krytyków i filozofów, to jest że nie napiszę jeszcze jednego ekwiwalentu.

*

Opiszę swoje wrażenia po kolei tak, jak po sobie następowały. Wszystkie były dziwne, ale może uda mi się — nie niszcząc ich dziwności — oddać także prawdę, jaką zawierały. Pierwsze wrażenie, to było rozczarowanie : jakie to skromne, jakie szare! Odniosłem je z obrazów epoki czysto kubistycznej (w Moskwie chowają to w szafach muzeum państwowego !). Ileż blasku, ileż siły dodali do tych wynalazków Picassa jego następcy ! Była sekunda, gdy się za Picassa wstydziłem, gdy przeszło mi przez myśl, że kult Picassa jest czystym snobizmem, marszandowską machlojką i nawet miałem ochotę wyjść. Następne wrażenia zatarły to pierwsze i teraz sam się go wstydzę. Gdy jednak o nim rozmyślam, dopuszczam wprawdzie możliwość, że obrazy te, wykonane technicznie byle jak, sczerniały w moskiewskich piwnicach, ale nie mogę na tym poprzestać. To nie tylko o blask świeżej farby chodzi (choć jest dziwne oglądać obrazy wciąż jeszcze ,,rewolucyjne'', namalowane w czasach, gdy po Paryżu jeździło się konnym tramwajem !). Chodzi o skromność. Jest w tym dyskrecja człowieka, który nie tylko nie chce swoich odkryć wykrzykiwać, ale wręcz broni się przed natrętami. Ta szarość i prostota jest spojrzeniem człowieka, któremu przeszkodzono w modlitwie. Picasso otula się w *understatement* (bzdura ! angielski *understatement* uwypukla, a nie zasłania!). Powiedzmy inaczej : Picasso wie, że robi coś niesłychanego i ogarnia go nieśmiałość. Ten ,,tyran'', ten ,,szarlatan'' nie narzuca, on proponuje. Po chwili byłem tą skromnością zdobyty. Otworzyłem artyście kredyt, ba, byłem gotów współpracować. Nie jestem

(*) Wczesne rysunki u Berggruena (70, rue de l'Université) i wczesne, a trudno dostępne obrazy w Maison de la Pensée Française.

pewny, czy entuzjazm kolaboracji w końcu mnie nie poniósł. Ale będziemy się tym martwić później.

Wystawa jest dobrze zorganizowana. Kubistyczny przedsionek, to jakby napis na Akademii : ,,Nie wchodź, jeżeli nie znasz geometrii !'' Nie ma tu kompromisów. O wiele sprytniej byłoby zacząć od lautrekowskich czy daumierowskich pierwocin, przejść do epoki różowej (którą łatwo pomylić ze ,,sztuką paryską''), rozwiesić następnie obrazy z epoki niebieskiej (których nawet w Moskwie chyba nie muszą chować do szafy), potem dać murzyński zgrzyt i dopiero koić kubistycznym rokokiem. Znaczyłoby to wyjść naprzeciw widza. Ale tak jest lepiej, bardziej pedagogicznie. Zamiast wślizgiwać się w sztukę Picassa, widz zatrzymany jest na progu, milknie i już chodzi na palcach.



Gdy Picasso wynalazł kubizm, nie miał trzydziestu lat. To ,,rewolucyjne'' malarstwo jest klasyczne, ,,muzealne'' w sensie cézannowskim. ,,Horta de Ebro''. Kilka klocków zabudowań, obelisk komina i trzy sztuczne palmy. Geometria? Być może, ale nie perspektywa. Dach nie zwęża się w głąb. Przestrzeń wraca na powierzchnię. A więc arabeska, złożona z elementów brył? Nie, to nie jest dekoracja ani kaligrafia. Porządek nie jest tu ani fizyczny, ani estetyczny. Tej wizji nie poddało ,,tylko oko'', ale nie wyznaczyła jej też logika płaszczyzny. Jest i ,,nowe światło'', ale nie jest ono oświetleniem. Nie jest też ,,mistyczne'', choć artysta niewątpliwie chciał wyrazić zachwyt. Zachwyt dla natury? Nie, to tylko na pozór jest fabryka w Horta de Ebro. W tej fabryce nie ma ani maszyn, ani robotników, a jeżeli są, Picasso o nich nie myślał. To nie jest ,,sensacja'' (w sensie impresjonistycznym), ani symbol. Tu w ogóle nic nie ma ,,do zrozumienia''. Tu coś *jest*, na niewielkiej przestrzeni, zamkniętej, ściśle ograniczonej, zupełnie samowystarczalnej, a wypełnionej tak dokładnie, że nie wiadomo skąd się bierze wrażenie swobodnego luzu. Coś, co niczego nie zastępuje, a więc niczego nie oznacza. Fabryka w Horta de Ebro? Czemu nie? Każda rzecz jest godna uwagi, jeżeli uwaga jest godna uwagi.

Więc sposób patrzenia? Jak patrzy Picasso? Wzrok ma bardzo skupiony, ale spojrzenie niezmiernie przelotne. Tam musiało być tysiąc szczegółów, których nie chciał nawet zauważyć. ,,Ale można je sobie dośpiewać''. Wtedy wyszłaby aluzja, jedna z wielu : ,,coś w tym rodzaju''. Ten obraz nie jest aluzją. Nie, nie chodziło o fabrykę w Horta de Ebro. ,,Szczegóły nie były mu potrzebne do obrazu''. Oczywiście, że chciał zrobić obraz, ba, chciał robić malarstwo, to malarstwo o tak długiej i chlubnej historii (hiszpańskie, ma się rozumieć), chciał ożywić malarstwo, które w galeriach Europy konało. Ale co to jest malarstwo? Czy wystarczy chcieć namalować obraz, ot na przykład pejzaż w Horta de Ebro? Nie, przed tą fabryką coś Picassa ,,złapało'' i nie puściło. Musiał namalować obraz. Posłuszny tej pasji, dał się

w coś wciągnąć. W co? W procedurę utrwalania rzeczywistości? *Verweile doch, du bist so schoen?* Na co patrzał Picasso, gdy powtarzał na płótnie formy fabryki w Horta de Ebro? Na relacje plam barwnych w świetle i brył w przestrzeni? Na pewno. Ale dla czego je zmieniał, notując? Jakiego nakazu słuchał robiąc z tego wycinka rzeczywistości cały obraz? ,,Tak bym to stworzył, gdybym to tworzył''? Pokonkurować trochę z Panem Bogiem? Dynie na konary, żołędzie na łodygi!

Ta fabryka musiała mu się podobać. Nie maluje się, żeby robić sobie przykrość. Musiało go uderzyć, że to jest malownicze. Musiał wyczuć, że potrafi to zrobić inaczej niż inni, inaczej niż to kiedykolwiek robiono. Miał rewelację nowego stylu. Furda, fabryka w Horta de Ebro! ,,Horta de Ebro'', to będzie odtąd ten obraz! A więc pycha? Gdyby tak było, możebyśmy go podziwiali (Eiffla też podziwialiśmy), ale nie wzruszałby nas. Nie, Picasso powiedział tu coś nie tylko o sobie. Powiedział coś obiektywnego. Zdał z czegoś sprawę. Z czego? Z wolności ducha ludzkiego? Że człowiek może z tej wolności korzystać i jak z niej może korzystać? Np. uwolnić się od uprzedzeń? Słowem — wzór wewnętrznej postawy? Ale wolność może też prowadzić na manowce. Nie, to nie są manowce. Chociaż żaden z tych obrazów nie jest podobny do drugiego, wszystkie wyrastają z jednego pnia. ,,Z osobowości pana Pablo Ruiz alias Picasso''. Zapewne, ale cóż nas obchodzi pan Pablo Ruiz? Może nas interesować tylko, gdy z siebie coś zrobi. ,,Czyż nie zrobił z siebie sławnego człowieka?'' Zachwyca nas Horta de Ebro, bo jest to obraz Picassa? Błędne koło! Nie, jest na wystawie kilka obrazów, które nas wcale nie zachwycają, choć są obrazami Picassa. Ten obraz coś mówi, wpatrujemy się weń i umieszczamy go w sobie. Nie opuści nas już, staje się kategorią naszego wnętrza. Ale przez co? Co mu zawdzięczamy, co w nim jest takiego, co nas wiąże z panem Pablo Ruiz i robi z niego Picassa — jedną z tych rzeczy, bez których nie byłoby naszego świata?



Ile pytań, tyle zagadek. ,,Horta de Ebro'' *jest* — na tej ścianie i we mnie, gdzie temu obrazowi i jego autorowi coś odpowiedziało. ,,Tak — powiada — tak, tak!'' Jakto, tak? Że tak być mogło gdzieś w Hiszpanii? Nie! Tak — że tak jest w nim i we mnie! Tak? Jak? Tak kanciasto i nielogicznie? Nie! Tak harmonijnie!

Odtąd przeszedłem przez wystawę, jak się idzie na łowy. Miałem uczucie, że wiem czego szukam i miałem triumf po triumfie, bo znajdowałem czego szukałem. I tu przyszedł ten wstrząs, dla którego wszystko to piszę. Na wystawie był tłok. Wkońcu już nikt nie chodził. Każdy czekał, aż się to reszcie znudzi. Tylko najofiarniejsi przeciskali się, jak umieli. Nie mogłem nie przyjrzeć się ludziom. Ale gdzie jestem? Czy to jest ten sam świat, który znałem, gdy tu wchodziłem? Tłum roi

się od obrazów i rzeźb. Ta pani, ten pan, tamta pani, tamten pan — prawie każdy należy do innej rzeczywistości, ale jacy wszyscy są piękni! Nie, ideałów tu nie ma. Te postacie nie zeszły z obrazów Pinturicchia. Każdy nos kieruje się ku czemu innemu na twarzy, każda para oczu jest czym innym na jednej twarzy, a czym innym na innej. Tyle *znaczeń* ramion, ile ramion, tyle *sensów* w postawie, ile postaw. Malować to albo rzeźbić, znaczyłoby stworzyć dla każdego portretu cały nowy styl! Trzeba by wynajdywać już nie tylko „chwyty", ale nowe materiały, żeby to oddać takie, jakie jest, bo z byle czego potrafiłby to zrobić tylko Picasso. Takie jakie jest. Jakie jest, to znaczy, jakie się wydaje w zachwycie. Nic nie trzeba zmieniać, niczego zasłaniać, niczego upiększać! Każdy jest jedyny, niepowtarzalny, doskonały w swej jedyności, oczywisty i tajemniczy zarazem. Wystarczy spojrzeć, żeby się za każdą osobą otworzyło nieskończone tło jej historii, filo- i ontogenetycznej, nad nią przestworza niebieskie, pod nią piekielne otchłanie, a równocześnie ta cała historia, to całe niebo i piekło jest na niej, w jej *wyglądzie!*

◆

Mag czy pedagog? Co właściwie zrobił ze mną Picasso? Cóż to normalnie są *inni ludzie?* Czasem jakaś ładna albo szlachetna twarz, czasem jakaś perspektywa ludzkiej doli za jakimś pochyleniem głowy czy ramion, w jakimś spojrzeniu czy złożeniu rąk. Ale normalnie? To wszystko *odchyla się niezdarnie od ideału,* to nawet dawno zrezygnowało ze zbliżenia się do ideału!! To błaga, żeby nie porównywać! Co za koszmar! Jakie kpiny! Zawsze wychodzi nie to, co powinno było. A gdy ktoś *wie* i nadrabia miną, pozą! — można skonać z litości i obrzydzenia! Lepiej nie patrzeć. Człowiek zasłania się dyskrecją, żeby nie cierpieć. Cóż za ciężar, ta ludzkość, cóż za tortura, ta wspólnota. Jaka ohyda, to złośliwe, piskliwe poczucie odpowiedzialności za to wszystko! A tu — jakby ręką odjął. Nie tortura, ale rozkosz, nie ohyda, ale radość.

Oczywiście, to nie trwało wiecznie. Po dwóch godzinach byłem zmęczony miłością do ludzkości i do świata *jakimi są.* Wróciła przeciętność. Do domu szedłem już przez znany sobie banalny świat Pana Boga i Paryż pana Haussmanna. Moje wnętrze, rozdęte przez Picassa do wymiarów wszechświata albo ducha Bożego, skurczyło się do wymiarów duszyczki ubogiego emigranta polskiego. Ale nie mogłem zapomnieć, że przed chwilą byłem większy i lepszy niż jestem i że zawdzięczam to „deformacjom" Picassa. Nie mogłem zapomnieć i nie zapomnę. Owszem, będę pamiętał i wspomnienie to będzie mnie pocieszało, pomoże mi żyć i wyposaży mnie w to, co Picasso rzekomo zabija swoją „rozkładową" sztuką — w nadzieję. Nadzieję na co?

Że kiedyś dane mi będzie widzieć świat zawsze jakim jest i mówić już tylko : ,,Tak, tak, tak!''



Wychodząc, zapytałem pewnego malarza, kto to właściwie jest Picasso?

— Picasso, to malarz — odpowiedział z naciskiem, jak się mówi na przykład, że Gałczyński to geniusz.

A ja myślę, że to chyba ewangelista.

Trzeba będzie to wszystko kiedyś zanalizować i ująć w filozoficzne i estetyczne kategorie. Ale kto to wtedy zrozumie, prócz autora?

Jan ULATOWSKI

Wystawa ukraińska

Dwóch artystów ukraińskich wystawia w Galerie Simone Badinier w Paryżu. G. Kruk i S. Boraczok. Kruk jest rzeźbiarzem. Urodził się nad Dniestrem, pracował w Akademii Lwowskiej, był w Krakowie uczniem profesora Laszczki, potem w Berlinie. Boraczok, malarz, rodem z Trembowli, jest również uczniem Akademii krakowskiej. W 1924 roku, jako członek grupy Kapistów, wyruszył do Paryża. Do 1939 roku żył to w Trembowli to w Paryżu. Jest autorem szeregu polichromii w kościołach greckokatolickich Małopolski. W notatce tej nie da się pomieścić tego co przeżyli obaj w okresie wojennym. Trudno jest w czasach wstrząsów i kataklizmów kochać się... w sztuce, nie mieć żadnych pasji politycznych i nie umieć nienawidzieć.

Rzeźby Kruka mają organiczny i plastyczny zarazem związek ze światem ukraińskim, ze wsią ukraińską, w której się urodził. Z dzieł jego te są najbardziej przekonywujące, w których ten świat wyczuwamy, jego bujny rozmach czy tragedie. W studiach dziewczyn w ruchu, kobiety ciężarnej, starego chłopa w kożuchu, czy grupy ukraińskich wysiedleńców mamy kształty rzeźbiarskie pełne, nawiązujące do sztuki Mayola czy Despiau, a także do naszego Pugeta, ojca. W rzeźbie Kozaka z teorbanem i w paru innych jeszcze widać, że Kruk przeżył wpływy Zadkina, Hanny Orłowej i w ogóle kubizujących formistów. W pewnych jego rzeźbach widzimy znów, że i świat kształtów rzeźby egipskiej go nęci. Rzeźby te są mniej przekonywujące, może dlatego, że ta zadkinowska forma zdaje się nam już przeżytkiem, czy może dlatego, że artysta na tej drodze nie dotarł jeszcze do jedności stylu, do której dąży, że jest jakby rozerwany między detalami realistycznymi i formą bardziej oderwaną. Ale i wśród tych rzeźb monsignor rzymski w kształcie podłużnej dyni ma urok krągłej formy i wyrazu zarazem.

Przemówiły do mnie najwięcej niewielkie posążki kobiet, bez płaszczyzn pustych i bez ,,dziur'', gdzie na drodze najprostszej bez śladu stylizacji

artysta zdobywa wyraz najpełniejszy. Duża postać chłopa w kożuchu ze schyloną głową, mnącego czapkę w ręku — przeznaczona jako nagrobek na mogiłę pomordowanych Ukraińców — jest w prostocie swojej wstrząsająca.

S. Boraczok, pomimo że podkreśla stale, iż temat jest dla niego wyłącznie pretekstem dla kompozycji barw i form, jest urzeczony również tematyką ukraińską. Ci młodzieńcy buszujący na rozhasanych koniach, te młodycie boso wędrujące przez strumienie, kobiety w gamie blado-różowej, pomarańczowej wśród ostrej, nieraz zgrzytliwej zieleni drzew — to wciąż wspomnienia o Ukrainie.

Boraczka można związać z twórczością Villona, choć nawet o jego istnieniu Boraczok nie słyszał. Niektóre z jego obrazów (kobiety wśród zieleni drzew) mają villonowską radosną dźwięczność a przy tym blask i migotanie kryształów. Zdobycie tego rodzaju efektów wymaga i wielkiej wiedzy o kolorze i daru poetyckiego i dużej świadomości kompozycji barwnej. Widać, że Boraczok przeżył Cézanne'a a postimpresjonistom wiele zawdzięcza w swej jasnej gamie barwnej. Ale nie darmo Boraczok, jeden z najbardziej dynamicznych członków Kapistów, już w 1923 zrobił na balu Akademii, w sali Starego Teatru w Krakowie, ogromną dekorację légerowską. Stosunek przede wszystkim abstrakcyjny i konstrukcyjny do obrazu charakteryzuje jego sztukę. Ta cecha uderza nas właśnie w porównaniu z Villonem. U tego ostatniego ,,Żniwo'' w ostrych czerwieniach i szafirach, czy szachownica w ciemnych brązach, choć tak kubistycznie przetransponowane, wyrażają jeszcze ten pierwszy szok zobaczonej natury.

U Boraczka mamy jakby świadomą chęć zatarcia tego bezpośredniego związku między doznaniem natury a dziełem sztuki, jakby jeszcze ciężyły na nim tabu abstrakcyjne, które już od tylu lat tylu artystom szkodzą. Tu jest mój zarzut. Plamy barwne obrazów Boraczka są zarysowane tak wyraźnie, tak jedna od drugiej rozgraniczone, że zdają się być wzorem do barwnej tkaniny. W Paryżu, Lurça, Dufy stworzyli modę na nowoczesne tkaniny i dywany. Może Boraczok spróbowałby powiązać kilim ukraiński ze sztuką nowoczesną ?

Co najwięcej cieszy w tej wystawie to naprawdę jej czyste powietrze. Obaj artyści przeżyli, każdy na swój sposób, prądy zachodnie; Boraczok zaś z fanatyczną pasją wchłaniał wpływy paryskie w latach 1925-1935. Obaj artyści po latach, w których tylu ich kolegów zginęło, powrócili do swych warsztatów i poparci przez społeczeństwo ukraińskie — czego dowodem jest ta wystawa — pracują dalej z takim samym bezkompromisowym entuzjazmem i talentem.

Józef CZAPSKI

Wystawy paryskie

Dla przedwojennych miłośników Huculszczyzny przyjemną niespodzianką będzie wystawa urządzona w *Musée de l'Homme* a poświęcona głównie sztuce ludowej Zakarpacia (Karpackiej Ukrainy). Wystawa obejmuje zbiory niejakiego barona de la Faille, który — zresztą w celach jakoby handlo-

wych — odwiedził niedługo przed wojną Czechosłowację, do której wówczas należał ten kraj. Wystawa zawiera też ładny zbiór strojów ludowych ze Słowacji, a z Zakarpacia spory komplet wyszywek, noszonych przez kobiety na rękawach. Jak wszędzie w sztuce ludowej, obok motywów, które byłyby równie dobrze na miejscu gdzieś daleko w Azji czy nawet w południowej Ameryce, są też motywy całkiem lokalne, tak że ujrzawszy ję, możemy powiedzieć z całą pewnością : to motyw huculski, lub też : — to motyw z Żabiego. (Wiadomo, że chłopi sami rozróżniają te motywy czy to w wyszywkach czy w kożuchach czy w pisankach). W każdym razie istnieje styl huculski czy karpacki, podczas gdy podobieństwa z Azją czy Ameryką są zupełnie przypadkowe. Organizatorzy wystawy widzą też analogie ze sztuką rosyjsko-fińską, wydaje się jednak — przynajmniej na podstawie tego, co można zobaczyć w tymże muzeum, że te analogie są nieliczne. Natomiast uderza w tym samym muzeum fakt, że sztuka ludowa ukraińska zwłaszcza pod względem koloru należy do strefy bałkańskiej. Widać to oczywiście tym bardziej na wyszywkach zakarpackich, znajdujących się na pograniczu Rumunii, a także na fotografiach. Zwiedzałem wystawę ze znajomym Rumunem, który nie posiadał się ze zdziwienia; tak dalece ci wszyscy górale zakarpaccy (nie tylko Huculi) byli identyczni pod względem stroju i wyglądu ze znanymi mu góralami rumuńskimi. Pozostaje to niewątpliwie w związku ze znanymi wpływami rumuńskiej kultury pasterskiej (tak zwanych Wołochów) na życie pasterskie Karpat i to aż po Śląsk. W muzeum można się o tym przekonać porównując spodnie górala z Tatr z takimiż spodniami górala albańskiego. Wpływy albańskie dostały się w Tatry właśnie przez Wołochów.

Wystawa zorganizowana została starannie, zaopatrzona w na ogół poprawne wyjaśnienia i w mapę, na której zaznaczone są granice dzisiejsze, ale Ukraina Zakarpacka figuruje jako państwo samodzielne. Dobrym pomysłem było umieszczenie szeregu fotografii przedstawiających typy ludowe a nawet krajobraz. Niestety fotografie są dość słabe z wyjątkiem jednej, tej właśnie która przedstawia krajobraz, ale z... drugiej strony Karpat (wieś Bystrzec koło Żabiego). Brak też zwłaszcza fotografii, która by pokazała w którym miejscu na koszuli nosi się owe wyszywki. Ale to wynika zapewne z trudności znalezienia materiału w Paryżu (choć gdyby poszukano, znaleziono by nie tylko fotografie ale i obiekty). Staranność posunięto nawet do tego stopnia, że — rzecz rzadka we Francji — umieszczono poprawną ukraińską transkrypcję nazw miejscowości (w jednym wypadku nawet za poprawną : miejscowość *Bogdan* ma nazwę pochodzenia rumuńskiego, nikt przecież nie będzie ukrainizował słowa *gazda* na *hazda*).



Wystawa poświęcona tysiącleciu sztuki Wikingów w *Musée des Arts Décoratifs* pokazuje ciągłość tradycji kulturalnej w Norwegii : od statków i kościołów drewnianych budowanych w IX-XII wieku aż po takież kościółki wznoszone wczoraj jeszcze w bardziej oddalonych dolinach górskich Norwegii. Uderza w tych starych stołach, krzesłach i kościołach (bo obok stołów i krzeseł przywieziono i część kościółka) niesłychana solidność materiału, przypominająca — podobnie jak niektóre naczynia z drzewa — obiekty huculskie. Ale obok tego podobieństwa spowodowanego zapewne podobną techniką, zastosowaną do tego samego materiału — drzewa, uderza delikatna

i niezmiernie zawiła ornamentyka : rzeźba w drzewie, oparta na motywach roślinnych i zwierzęcych.

Na wystawie pokazano też szereg wnętrz chat wiejskich, gdzie znowu przeważa drzewo, podobnie jak i w naczyniach, głównie naczyniach na piwo, coś w rodzaju drewnianych filiżanek, nieraz wprost olbrzymich. Ciekawe, że czym później, tym bardziej i chaty i naczynia są malowane. Naczynia z epoki Wikingów mają formę bardzo surową i nie są malowane. Wystawa jest bardzo bogata zawiera ponadto liczne wyroby ze złota, rzeźby w kamieniu, wiele kilimów ludowych a także kilka starych, a nawet malarstwo ludowe. Nie wiem jak dalece sztuka ludowa jest ograniczona do zapadłych kątów Norwegii, ale ciekawe jest, że istnieje ciągle tak bogata w kraju o tak wysokiej stopie życiowej i niskim procencie analfabetów (gdyż jakoby te dwie rzeczy nie idą w parze). Ciekawe też byłoby się dowiedzieć czy w innych krajach Europy możliwe jest przedstawienie rozwoju sztuki ludowej począwszy od IX wieku po Chrystusie. Oczywiście sztuka ludowa sięga korzeniami swymi znacznie dawniej i niektóre analogie między sztuką ludową różnych części Europy mogą być dowodem wspólnego pochodzenia. Ale problem wyodrębnienia tego co dawne i przedhistoryczne od tego co późniejsze jest już oczywiście zadaniem specjalistów, zadaniem wystawy norweskiej jest pokazanie ciągłości kulturalnej mimo wszystkich późniejszych wpływów.

Jan TOROSIEWICZ

Nakładem czytelników

Dowiadujemy się, że rozpisana przez Janusza Jasieńczyka subskrypcja na jego nagrodzoną powieść „Słowo o bitwie" (pisał o niej Londyńczyk w poprzednim numerze) dała na ogół dobre rezultaty. Do 10 czerwca wpłynęło 530 opłaconych zgłoszeń, co umożliwi autorowi pokrycie kosztów druku i ekspedycji książki, która będzie wydana bardzo starannie.

Powieść ta jest opisem walk oddziałów polskich w Afryce w czasie ostatniej wojny, a zarazem psychologiczną analizą zjawisk bitwy i próbą ich moralnej oceny co nadaje książce charakter wysoce humanistyczny i ogólnoludzki.

Autor donosi nam, że do pełnego sukcesu potrzeba mu jeszcze co najmniej 100 przedpłat (ideałem byłoby osiągnięcie cyfry 700), gdyż nadwyżkę ponad koszta produkcji książki pragnie zużyć na utrzymanie w czasie jej ostatecznego wykańczania i przygotowywania do druku (do czego już przystąpił).

Ponieważ subskrypcja Jasieńczyka ma charakter zupełnie nowy i wyjątkowy, gdyż subskrybenci są zarazem nakładcami książki i mecenasami autora — nie ma powodu ograniczać czasu wpłat innym terminem poza terminem oddania dzieła do druku, co nastąpi około 1 września br.

Książki

Spowiedź St-Aulaire'a

Kariera dyplomatyczna, w chwili gdy ją obierał młody adept, w ostatniej dekadzie XIX stulecia, mogła się wydawać jednym z najwdzięczniejszych zawodów : ukazywała widoki dalekich, wygodnie odbywanych podróży; otwierała podwoje wykwintnego świata, dawała ujście politycznym ambicjom, nie angażując przy tym osobistej odpowiedzialności. Losy i przeżycia ambasadora Francji, hr. de Saint-Aulaire'a, stały się zaprzeczeniem takich oczekiwań. Jeszcze jako młody dyplomata dostał się w kocioł marokański i uczestniczył, choć na drugorzędnych stanowiskach, w trudnościach i ryzykach pierwszego zachodnio-europejskiego kryzysu. W Austrii przedwojennej popasał krótko, dotknąwszy tylko brzegu pucharu. W toku przeciągającej się wojny, aby objąć swój pierwszy samodzielny posterunek, jechał z Paryża do Bukaresztu przez Londyn, Stockholm, Haparandę i Petersburg, zażywając w pełni przez z górą miesiąc przygód komunikacyjnych w Rosji, w przede dniu jej rewolucyjnych konwulsyj. Niebawem poselstwo francuskie w Rumunii zmuszone było schronić się w Jassach, gdzie dostało się w potrzask niemiecki; po czym w godzinie wyzwolenia, stanęło u progu groźnego zamętu obejmującego cały wschód Europy. Przygotowana już nominacja Saint-Aulaire'a do Warszawy okazała się złudnym mirażem. Mianowany ambasadorem w Hiszpanii, pojechał tam na krótko, jak gdyby tylko po to, aby poznać jak nierealne były plany związku romańskich narodów. Wreszcie u szczytu swej kariery, na czteroletniej misji w Londynie (1920-1924), znalazł się ambasador pomiędzy Scyllą brytyjskiej polityki powojennej, a Charybdą zagmatwanych wewnętrznych stosunków Francji: burzliwe fale zniosły go wtedy z dyplomatycznej widowni.

Temu ostatniemu wypadkowi, gdy pełen energii niezużytkowanej, inicjatywy niewyżytej, zmuszony był usunąć się i zmil-

---

Comte de Saint-Aulaire, Ambassadeur de France, *Confession d'un vieux diplomate,* Flammarion, Editeur, Paris (1953). Str. 794.

cześć, zawdzięczamy obecnie ,,spowiedź'' Saint-Aulaire'a — wielki tom, którego objętość nie powinna żadnego czytelnika odstraszyć. W istocie, każdy znajdzie tu dla siebie wybór: zwolennik sensacji — kronikę intymną znanych figur; amator plotek — niejedną drażliwą niedyskrecję; skrzętny historyk — doniosłe rewelacje z różnych epok. Autor nie należy do tych byłych dyplomatów, co ogłosili książki, aby w nich jak najmniej powiedzieć, krępując się formalistyką biurokratyczną, albo obawą, że się ktoś na nich obrazi. Autor jest rzadkim dziś okazem wielkiego pana : — nie boi się prawdy i szanuje tylko wyższą rację swojego kraju.

Wśród świetnych cytat współczesnych błyszczą w tej książce słowa Hilaire Belloca o ,,tragicznym rytmie Historii — kolejnym następstwie żarliwości i pożarów, miłości i szaleństwa, bratania się i wyrzynania wzajem''. W tej odwiecznej grze kobiety miały zawsze swą niepoślednią rolę : trudno o nich nie wspomnieć w kronikach światowej polityki. Saint-Aulaire mówi o nich dyskretnie — *nomina sunt odiosa* — lecz dość przejrzyście dla wtajemniczonych w stosunki. Hrabina Jean de M. była ważnym ogniwem pośrednim między Delcassé'm a Edwardem księciem Walii, i pono inspiratorką... *Entente cordiale*. Inna dama, pani X., z żydowskiego patrycjatu Paryża, będąca otwarcie metressą ambasadora hr. von Khovonhüller, działała również zakulisowo w stosunkach Francji z Austro-Węgrami — w sposób bardziej godny niż ambasador Crozier, pilnujący w podobnej okazji własnych finansowych interesów. Baronowa de J., *une Russe délicieuse*, była ,,czułą przyjaciółką'' Sekretarza Stanu Kiderlen Wächtera, i ich spotkania, pod dyskretną opieką władz francuskich, stały się niezawodnym barometrem w kryzysie Agadiru, w 1911. O Vivianim i utajonych powodach jego zguby znajdujemy już tylko wzmiankę, gdzie mowa o ,,przewrotnym demonie z Południa''. Jak niebezpiecznym ciężarem dla aktywnego polityka może się stać związanie z kobietą, świadczy podana z całą oględnością, niemniej przejrzysta historia pani Poincaré, której przeszłość dostarczyła niewybrednemu Caillaux materiału dla wywarcia szantażu na ówczesnym premierze Francji. Poincaré — *cet homme d'une sécheresse émouvante*, jak go nazwał niemiłosierny de Flers — miał jedną uczuciową słabość, w stosunku do swojej żony, i obawa przed rewelacjami utrudniła w krytycznym momencie, na jesieni 1923, porozumienie z Baldwinem i przygotowywany układ z Wielką Brytanią.

Obok tych personaliów, zawsze interesujących, gdyż pozwalających zajrzeć za kulisy, znajdujemy we wspomnieniach Saint-Aulaire'a ważne rewelacje w dziedzinie polityki światowej.

O planach pokoju separatywnego między Rosją a Niemcami, osnutych przez Stürmera w przede dniu rewolucji, było już na ogół wiadomo, lecz konkretne szczegóły nawiązanych wówczas pertraktacyj nie zostały nigdy ujawnione. Saint-Aulaire wychowany był w ,,mitologii aliansu''; jednakże, gdy wyjeżdżał latem 1916 na swą placówkę do Bukaresztu, był już ostrzeżony.

Lyautey mówił mu, że wojna potrwa lata całe, a ,,Rosja ją przedłuży, zdradzając nas''. Joffre dodał: ,,Rosja nie powita pana wzrokiem przyjaznym. *Méfiez-vous-en''*. Poseł czuł się nieco stropiony doświadczeniami swej podróży przez Rosję; dopiero jednak w Bukareszcie, na późnej jesieni, wpadł na trop zawiłej intrygi — planów rozbioru Rumunii między Rosję a mocarstwa centralne. ,,Mołdawia miała przypaść Rosji, Wołoszczyzna — Austrii, jako kompensata za Galicję, ustąpioną Niemcom celem rekonstytuowania Polski''. Tymi dalekosiężnymi planami tłumaczyła się okupacja rosyjska, równoległa do jednoczesnej niemieckiej, jawne niezadowolenie Rosji z udziału Rumunii w wojnie i wręcz wrogi do niej stosunek władz wojskowych z generałem Aleksiejewym włącznie. Saint-Aulaire wspomina odtąd z pogardą Rosję carską zarówno jak rewolucyjną : ta ostatnia, jeszcze ,,oficjalnie sprzymierzona, mordowała więcej aliantów u siebie, aniżeli nieprzyjaciół na froncie''.

Druga rewelacja dotyczy lorda D'Abernona, znanego z okresu, gdy jako ambasador w Berlinie, wykazał w swoim działaniu, a potem w swoich wspomnieniach, szczególną słabość do Niemiec, zaś uraz przeciwko Francji. Saint-Aulaire opowiada w sposób drastyczny o źródłach fortuny, którą jako Edgar Vincent, zebrał w Konstantynopolu i o wątpliwej opinii jaką zachowali o nim wtajemniczeni; dodaje iż materiału obciążającego w tej sprawie nie wyzyskał Poincaré, zapewne pomny maksymy — *quieta non movere*. Oceniając tę informację, należy pamiętać nie tylko o tym, że ambasador Francji był w danym wypadku stroną politycznie zainteresowaną, lecz również uwzględnić obyczajowość angielską, dosadnie określoną przez samego autora ,,spowiedzi'': wobec surowych kar za paszkwil w druku, pleni się tam w towarzystwie tym obficiej obmowa. Na odciążenie konta lorda D'Abernona zapisać należy wysoce obiektywną książkę jego o Polsce 1920 roku. Saint-Aulaire opowiada o nim w związku ze sprawą Górnego Śląska i tamtejszego plebiscytu; ale trafnie przypisuje zachowanie się Anglika otrzymanym z Londynu instrukcjom i ogólnym tendencjom polityki brytyjskiej. ,,Ten epizod śląski stanowi dowód, między wielu innymi, nieprzejednanej wrogości Anglii w stosunku do Polski — jednej z niezmiennych reguł (*une des ,,constantes''*) jej polityki''. Słowa te, jako pochodzące od wysoko stojącego obserwatora na londyńskim posterunku, w krytycznych latach po pierwszej wojnie, warte są szczególnej uwagi.

Lwia część wspomnień Saint-Aulaire'a poświęcona jest oczywiście zbłąkanym drogom współczesnej Francji. Uważny czytelnik literatury pamiętnikarskiej ostatniego piętnastolecia nie znajdzie zbyt wiele nowego w tej książce, potwierdzającej żałosne skutki ciągłych zmian kursu i steru, matactwa polityczno-finansowe i mizerne rozgrywki personalne. Nie zdziwi go zdanie o sprzedajności prasy — *,,cette presse qui se laisse violer sans trop de résistance pourvu qu'on y mette les formes et le prix''*. Zauważy z zainteresowaniem rolę *Intelligence Service* we Fran-

cji i wzmiankę o sumach, przeznaczonych dla parlamentarzystów, celem wyrównania linii między Londynem a Paryżem. Nowością natomiast jest w ,,spowiedzi'' Saint-Aulaire'a uchylenie rąbka zasłony, zazwyczaj kryjącej szczelnie wszystko co dotyczy konkretnej roli, odgrywanej w polityce przez związki i wpływy masońskie. Przykładem, jak trudno jest nawet człowiekowi znającemu różne arkana sądzić o tych sprawach, jest wątpliwość do końca u autora, czy marszałek Joffre był masonem i czy zajmował wybitniejsze stopnie. Natomiast nie ulega dlań wątpliwości, że świetny generał Castelnau był tępiony jako do lóż nie należący, na odwrót zaś ,,mistrz'', lichy dowódca, generał Sarrail nie mógł być usunięty ani przez Clemenceau, ani przez Poincaré'go i trzeba było dopiero nacisku bardziej rzeczowo oceniającej te sprawy Anglii, aby go z ważnego dowództwa na Wschodzie odwołać. Stosunki anglo-francuskie podlegały tym, częściowo podziemnym, fluktom obustronnych mafij, i Saint-Aulaire wspomina między innymi, na podstawie wynurzeń sir Williama Tyrella, jak w okresie Konferencji genueńskiej ,,wszystkie loże Wielkiej Brytanii'' pracowały nad tym, aby doprowadzić do trójstronnego zbliżenia, Anglii i Francji z Niemcami : na tym tle lepiej można zrozumieć i umiejscowić późniejsze inicjatywy Paktu Czterech czy Paktu Wschodniego. Z opowiadania ambasadora na każdym kroku przeziera szkodliwość tych tajnych mafijnych nici, które krzyżują politykę rządów i narodów, wprowadzając czynnik nieodpowiedzialności i intrygi, nade wszystko zaś niebezpieczny element poplecznictwa i tajnej zbiorowej poręki. Jako jedną ze stałych cech akcji masońskiej Saint-Aulaire podnosi mściwość mafii w stosunku do zawadzających jej osób : mściwość ta zwykła jest używać wszelkiej skrytej broni, w szczególności stara się finansowo skompromitować, względnie podkopać, wybraną ofiarę. W ostatnim rozdziale swoich rozległych wspomnień autor opisuje własne przeżycia jako wymowny przykład.

Sprawy polskie pojawiają się jedynie na marginesie tej pasjonującej książki : w rzadkich tylko okazjach autor dotknął się ich bezpośrednio. Wyznaczony w 1919 do Warszawy, nigdy tam nie pojechał : z tego co o tym pisze wolno wywnioskować, że Polska już tak wcześnie była traktowana przez loże francuskie jako *une chasse gardée :* okoliczność, która tłumaczy wiele późniejszych epizodów i personaliów w zakresie stosunków polsko-francuskich. Latem 1920 Saint-Aulaire, będąc wówczas ambasadorem w Hiszpanii, asystował w czasie posiedzeń Rady Ligi Narodów w Saint-Sébastien. Było to już po zmowie, dokonanej kosztem Polski w Spa i podczas marszu Tuchaczewskiego na Warszawę. Ambasador zwraca się tedy do przedstawicieli głównych mocarstw — lorda Balfoura i Leona Bourgeois — i apeluje przynajmniej o pomoc moralną, o protest przeciw najazdowi na Polskę, o wezwanie do dockerów londyńskich, by przepuścili przeznaczoną dla Polski broń. Napróżne wysiłki! Lord Balfour odpowiedział, iż niebezpiecznie jest dziecku jakim była Liga da-

wać broń do ręki; Bourgeois ograniczył się do metafory — ,,jeśli się ceni własny statek, należy unikać przeładowania... szczególniej zaś w czasie burzy". W tymże samym czasie, gdy jeden z członków Ligi znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, huczne bankiety odbywały się na pięknym brzegu jeden za drugim; aż ktoś z uczestników, ogarniając wzrokiem panoramę, zawołał : ,,Oto jest basen godny olbrzymiego Pontskiego Piłata, jakim tutaj jesteśmy!"

Potem Polska ukazuje się już tylko u Saint-Aulaire'a epizodycznie, na tle i za kulisami rozpraw francusko-angielskich w Londynie. Ambasador używał czasami pośrednictwa Benesza, wiedząc o jego wysokim stopniu masońskim, ale nie żywił doń zaufania. Jeszcze wcześniej, notując spotkanie z Masarykiem w Bukareszcie, opowiada o tragicznej śmierci generała słowackiego Stefanika i dodaje: ,,nie mogę powstrzymać mej refleksji — jeśliby na miejscu Stefanika Benesz był zginął w lotniczym wypadku — iluż uniknęłoby się katastrof, uznanych później za nieuniknione!".

Saint-Aulaire przewiduje z góry kryzys w stosunkach polsko-francuskich, od momentu kiedy na scenę rządów Francji wkracza Herriot, przywódca radykałów, a właściwie wykonawca decyzyj ,,kartelu" i lóż. Herriot, który jeszcze znacznie później nie wiedział, że Polacy pisali od wczesnych wieków alfabetem łacińskim — sądził zapewne że cyrylicą (*) — ,,wszystkie swe siły poświęca zbliżeniu Francji z Moskwą". Sojusz z Polską stał temu na zawadzie — ,,nie podobna włożyć dwóch szabel do jednej pochwy", jak mówił Mahomet. Sojusz z Polską zrealizowany został od samego początku wbrew silnym sprzeciwom, a dzięki decyzji Milleranda; od 1924 rządy francuskie — kartel, radykałowie, fronty ludowe — czyniły wszystko aby ten sojusz osłabić, zneutralizować, przykroić do głównego zamysłu — zbliżenia do Rosji. Kartel, według Saint-Aulaire'a, płacony był zarówno przez Anglię Macdonalda, jak przez Sowiety. Już na rok przed Locarnem notuje on : ,,cała nasza prasa lewicowa rozpasana przeciw aliansowi polskiemu, tej przeszkodzie do ułożenia serdecznych stosunków z Rosją i z Niemcami". Na próżno ambasador odwoływał się do wpływów Benesza, który jeszcze w tym czasie obawiał się powierzenia tajemnic wojskowych Rosji sowieckiej, związanej pono tajną konwencją z Niemcami. ,,Trzeba było nie mieć pojęcia o Europie, zrodzonej w wojnie 1914-1918, dodaje pamiętnikarz, aby przypuścić, że Polska lub Rumunia zgodzą się kiedykolwiek na pochód wojsk rosyjskich poprzez ich terytoria... chyba że podobnie jak Francja uległyby manii samobójstwa".

Saint-Aulaire przygotowywał wydanie swych pamiętników w wieku sędziwym — kończy obecnie 88-y rok. Widział wiele i to co zaobserwował i przeżył napełniło go goryczą i pesymizmem,

(*) Ob. artykuł Herriota w *La Turquie Kémaliste*, Nr 1, Juin 1934, str. 27. O stosunku Herriota do Rosji por. także u Reynaud, *Au cœur de la melée*, str. 72.

zarówno w stosunku do własnego kraju, jak co do przyszłości Europy. „Być może, powtarza za Kiplingiem, iż zabiliśmy już naszych synów, podobnie jak zdradziliśmy ojców naszych". O Francuzach mówi, iż „mają w sobie więcej bohaterstwa niż patriotyzmu i umierają za Francję łatwiej, niż dla niej żyją". Potwarza też, za wielkim Rumunem, Janem Bratiano: „naród stanowi dziedzictwo niepodzielne i każde jego pokolenie posiada tylko prawe dożywocie, z którego składa rachunek pokoleniom następnym; stan ten wyklucza prawo do samobójstwa..."

Gorycz i zawody wyryły swe piętno na niejednej ze stronnic „spowiedzi" i autor jej niezawsze pamiętał — na przykład w stosunku do Clemenceau — o swej trafnej maksymie, iż „uraza jest najmniej politycznym z uczuć". Nie podobna też pójść za autorem w ocenie Wilsona. Stało się obecnie modą przypisywać „Czternaście Punktów" inspiracji sowieckiej, i sam Saint-Aulaire skłonny jest zbyt wiele wagi przypisać w tej sprawie wątpliwym doniesieniom tajnym, zamiast oddać sprawiedliwość samemu faktowi o historycznej wadze — wielkiej próbie Amerykanina dokonania przebudowy Europy.

W Rumunii, na przełomie jesieni 1918, jako ówczesny poseł Francji, zetknął się autor „spowiedzi" z różnymi poczynaniami polskimi. Mówi o nich zawsze z niewygasającą sympatią, z poczuciem czegoś bliskiego i pokrewnego — tak rzadko spotykanym u współczesnych Francuzów. Wspomina o różnych misjach i komitetach polskich, zresztą niezawsze ściśle. Pamięta wpływ w tych sprawach wywarty przez Koziełł-Poklewskiego i daje mu sprawiedliwe świadectwo: „ w obliczu rozpadnięcia się jego ojczyzny oficjalnej (Rosji), oddawał w sercu swym pierwsze miejsce ojczyźnie własnej" — Polsce.

Autorowi niniejszej notatki sprawozdawczej wolno, być może, dodać nieco szczegółów, z tego okresu, zaczerpniętych z ówczesnie prowadzonego dziennika.

Byłem w Jassach w jesieni 1918 roku dwukrotnie dla pertraktacyj z poselstwem francuskim : raz we wrześniu z Rydzem-Śmigłym, naówczas komendantem P.O.W. i z Beckiem, jako delegatem Komendy P.O.W. w Rosji; drugi raz sam, od 8 do 15 listopada. Ukraina, o której w swej „spowiedzi" Saint-Aulaire wyraża się sceptycznie, przesłaniała wówczas znaczną część horyzontu politycznego członków francuskiego poselstwa, w szczególności pp. de Flers i Henno. Misja moja polegała na próbie uzyskania pomocy dla mobilizacji P.O.W. na Ukrainie, oraz wstrzymania rozlewu krwi między Ukraińcami a Polakami we Lwowie. Pierwszą sprawę Saint-Aulaire uzależniał od Franchet d'Esperay'a, co ze względów komunikacyjnych skazywało ją z góry na niepowodzenie. Tymczasem ziemia paliła się pod stopami, trzeba było się spieszyć. W ten sposób doszło do misji rozjemczej, wysłanej przez poselstwo Francji do Lwowa. Przewidziany był najpierw de Flers; skończyło się na delegacie niższej rangi, oficerze *Deuxième Bureau*, poruczniku Villaime. Decyzja zapadła pod wpływem Poklewskiego, mającego głos roz-

strzygający u posła. Ale wspominam wdzięcznym sercem Saint-Aulaire'a i jego zainteresowanie tak nikłą wówczas polską sprawą. Z jego aktywną pomocą powróciłem do kraju i przechowuję jako cenną pamiątkę paszport dyplomatyczny francuski, przez niego wystawiony: wywoływał niemałą sensację po drodze i obronił mnie — łącznie z Villainem — przed nieufną kontrolą komendantów ukraińskich w Kołomyi i Stanisławowie (*).

Michał SOKOLNICKI,
Ambasador R.P.

Agenda polskiej diaspory

Około 8 milionów Polaków i ludzi polskiego pochodzenia żyje poza Polską w pięćdziesięciu krajach rozrzuconych po całym świecie. Co najmniej 109 polskich uczonych i naukowców — profesorów, docentów, lektorów i asystentów — pracuje w licznych uniwersytetach i wyższych zakładach naukowych wolnego świata. Grube setki polskich inżynierów i lekarzy praktykują swoje zawody wśród obcych, lub w społeczeństwach, których członkami stali się z konieczności, albo z wyboru. Są w wolnym świecie polscy przemysłowcy, polscy milionerzy, a także polscy sklepikarze, farmerzy, plantatorzy i robotnicy we wszystkich niemal krajach i pod wszystkimi szerokościami i długościami geograficznymi. Setki polskich duszpasterstw, parafii, organizacji koordynujących, kombatanckich, zawodowych, naukowych i kulturalnych oplata cały glob ziemski. Poza Polską i krajami komunistycznymi wychodzi po polsku 12 dzienników, 52 tygodniki, 8 dwutygodników, 53 miesięczniki, 13 kwartalników, 1 półrocznik i 2 roczniki. Obsługuje te wydawnictwa pięć polskich agencji prasowych, działających poza krajem.

Te kilka cyfr daje pewne pojęcie o tym, czym może być Polonia Zagraniczna. Kładę nacisk na tryb potencjalny, nieznany gramatyce, ale jak najbardziej właściwy, gdy chodzi o charakterystykę polskiej diaspory — silnej liczebnie, ale słabej materialnie i organizacyjnie. Cyfry te czerpię z piątego wydania Rocznika Polonii (**). Rzecz jasna są to w znacznej mierze cyfry

(*) Opis tej misji, „Ze wspomnień emisariusza P.O.W.", ogłosiłem w *Gazecie Polskiej*, 11-12 listopada 1929.

(**) *Rocznik Polonii*, wydanie światowe (Poles Abroad, Year Book and Directory — world edition, Polonais à l'étranger, Polacos en el exterior, Polen in Ausland) 1954-1955, Taurus Ltd., London, February 1954, str. 284, półsztywna okł. płócienna. Cena 23/— (albo $ 4 DM. 13,50, frs 1.130, L. 2.000, Szw. frs. 14).

szacunkowe (gdy chodzi o liczbę Polaków) lub niepełne, co przyznaje w poszczególnych przypadkach redaktor *Rocznika* Bohdan Olgierd Jeżewski. Wystarczy przypomnieć, że pojęcie ,,Amerykanina polskiego pochodzenia'' obejmuje zarówno ludzi mówiących stale po polsku jak i tych, dla których polskość jest już tylko uczuciowym i wspomnieniowym dodatkiem do amerykańskiej treści. Z drugiej strony urzędowe statystyki amerykańskie Polaków urodzonych przed pierwszą wojną światową w zaborach austriackim, pruskim i rosyjskim zaliczają do grup narodowościowych tych krajów.

Tym niemniej nawet ta kulawa statystyka pozwala stwierdzić, że Polonia Zagraniczna jest diasporą liczebnie bardzo silną, mniej więcej równą największej na świecie diasporze żydowskiej. Jak podaje wychodzący od roku 1896 *The Jewish Year Book,* statystycy żydowscy (którzy nb. mają prawie identyczne z naszymi trudności w określaniu pojęcia ,,Żyda'' i osoby pochodzenia żydowskiego, a także w uzyskaniu pewnych danych liczbowych) liczbę Żydów na całym świecie określają obecnie na blisko 11.500.000. Jeśli jednak od tej cyfry odejmiemy półtora miliona Żydów w Izraelu (jako odpowiednik Polaków w Polsce) i około 2 miliony Żydów w Związku Sowieckim i pół miliona w krajach tzw. demokracji ludowych — to otrzymamy około 7.500.000 Żydów zamieszkujących te same kraje, które dla Polaków uwzględnia *Rocznik Polonii* (wszystkie te cyfry czerpię z *The Jewish Year Book*). Gospodarczo trudno nawet porównywać bardzo młode i dopiero zaczynające powoli się dorabiać (a miejscami tylko wegetujące) rozproszenie polskie z dwa tysiące lat istniejącym i bogatym żydowskim. Potencjalnie jednak — znowu wracam do tego trybu — mamy pewne możliwości nawet większe od Żydów, by wymienić choćby sprawę języka. Hebrajski jest właściwie językiem martwym dla olbrzymiej większości Żydów (którzy nawet w Izraelu uczą się go z niemałą trudnością), podczas gdy polski wciąż żyje i jest w użyciu (przynajmniej biernym) chyba większości Polonii. W ostatecznym rachunku o prężności i sile polskiej diaspory zdecydujemy sami: nasza witalność, poczucie odrębności, a przede wszystkim nasza twórczość kulturalna i przywiązanie do kultury polskiej.

Fakt, że funkcje naszej codziennej pamięci zbiorowej spełnia w tej chwili właściwie jeden człowiek — redaktor *Rocznika Polonii* — zdaje się niezbyt pochlebnie świadczyć o wewnętrznej samowiedzy polskiej diaspory. Bo od razu trzeba zaznaczyć, że ta swoista kronika Polonii Zagranicznej, rejestrująca w odstępach dwuletnich zmiany zachodzące w naszym życiu organizacyjnym, naukowym, kościelnym i częściowo kulturalnym oraz w naszym stanie posiadania dóbr i możliwości materialnych — jest dziełem jednego upartego i dzielnego człowieka. Gdy się wie jak liczne zespoły opracowują rozmaite księgi adresowe, czy choćby taki *The Jewish Year Book* (będący rocznikiem wielkiego czasopisma *The Jewish Chronicle*), niełatwo uwierzyć, aby sam Jeżewski był w stanie ułożyć i co dwa lata starannie wydać

prawie 300 stron *Rocznika Polonii*, zawierających około 5.000 informacji. A jednak jest to fakt. B. O. Jeżewski czyni to w dodatku na marginesie normalnych zajęć zarobkowych (przez dwa lata pracował jako robotnik na nocnych zmianach), gdyż wydawnictwo nie jest w stanie zapewnić mu utrzymania. W tych warunkach jest rzeczą niemal żenującą poddawać *Rocznik* 1954-1955 takiej samej krytyce, jakiej podlegałoby normalne, wyłącznie na dochód obliczone i dochód przynoszące wydawnictwo. Uczynimy to jednak przez szacunek dla redaktora i wydawcy: osiągnąwszy mniej więcej normalny poziom swej publikacji, nie zasługuje on na ton protekcyjny, lecz na sprawiedliwą ocenę.

Zacznijmy od krótkiego opisu. Poprzedzony objaśnieniami co do układu i wyjaśnieniem skrótów oraz skorowidzami branżowymi firm i licznych ogłoszeń, *Rocznik* podzielony jest na cztery części. Pierwsza, licząca prawie 200 stron, obejmuje spis organizacji polskich i dotyczących Polaków oraz firm handlowych, druga (15 stron) — katalog prasy, trzecia (44 strony) nazwiska i adresy oraz grupy zawodowe, a czwarta (17 stron) informacje różne, a mianowicie przerachowania walutowe, miar itp. oraz *calendarium*. Wartość handlowa i praktyczno-turystyczna tych wszystkich danych jest niewątpliwa i nie o niej będziemy mówić.

Zastanawia nas ilość stron poświęconych poszczególnym działom. Wielki garb organizacji zdaje się przygniatać korpus książki, jakim być winien spis osób. Obawiam się, że jest to przede wszystkim wina naszej manii organizowania i prezesowania. Nie jestem wcale pewien, czy choćby połowa wyliczonych w *Roczniku* organizacji pracuje naprawdę celowo i owocnie. Jestem natomiast pewien, że spis nazwisk (2.576 pozycji), daleki jest od kompletności: nie zawiera z pewnością wszystkich tych, którzy coś znaczą, a uwzględnia sporo dętych wielkości. W wielkiej mierze ponoszą za to odpowiedzialność sami zainteresowani. Przepisy w niektórych krajach (np. w Wielkiej Brytanii) nie pozwalają publikować adresów osób, które nie wyrażą na to swej zgody, a Polacy mają przykry zwyczaj nie odpowiadania na listy. A potem się dziwią, że nie zamieszczono ich w spisie.

Jeśli chodzi o szczegóły techniczne, to rozumiem, że redaktor ze względów oszczędnościowych nie zamieścił w części III. adresów tych osób, które figurują w części I. lub II. jako członkowie władz poszczególnych organizacji lub redaktorzy, czy wydawcy pism. Ale trzeba jasno powiedzieć, że obniża to wartość spisu, gdyż utrudnia jego szybkie używanie. Ponadto odniosłem wrażenie, że niektóre kraje, a nawet miasta są opracowane dokładniej od innych. Uderza np. duża ilość osób zamieszkałych w Nowym Jorku przy skromnym uwzględnieniu innych miast i krajów.

Poważnym wzbogaceniem poprzednio publikowanych list adresowych jest zamieszczenie w bieżącym *Roczniku* licznych nazwisk ze świata naukowego. Słusznie też skasował redaktor dział snobistycznych notatek biograficznych, w których zbyt często

ważny był ten, kto płacił (i podawał dane o sobie). Zupełnie chybione wydają mi się natomiast spisy grup zawodowych (str. 260-264). Nie tylko nie wyczerpują one przedstawicieli poszczególnych zawodów (np. wśród plastyków nie umieszczono prof. M. Bohusza-Szyszko, J. Czapskiego, Z. Turkiewicza i wielu innych, a z pisarzy wymieniono mniej, niż połowę), ale, co gorsze, pominięto nawet tych, którzy są wydrukowani w spisie ogólnym (str. 221-260). Piszę ,,co gorsze'', gdyż jest to błąd w metodzie. Jeśli dodamy, że objaśnienia (str. 7) nie są dość wyczerpujące a numeracja pozycji, jeśli nie zbyteczna, to zbyt skomplikowana wówczas lista błędów, których redaktor mógł uniknąć, będzie chyba kompletna.

Ale tu zarazem zaczyna się lista postulatów. Niektóre z nich mogą być spełnione dość łatwo, choćby na raty, bo zaczęły już wychodzić *Kwartalne Dodatki do Rocznika* i zapowiedziane jest wydawanie specjalnego kwartalnika *Vide,* który będzie rejestrować stan i zmiany w różnych dziedzinach życia polskiego na obczyźnie. Z innymi sprawa będzie trudniejsza.

A więc przede wszystkim wydaje mi się, że *Rocznik* zbyt radykalnie oderwał się od Kraju. Obraz Polonii nabierze lepszej perspektywy, gdy będzie rzutowany na podstawie cyfr i informacji dotyczących dzisiejszej Polski. Niezależnie od rozsianych w części I. (przy poszczególnych krajach) danych statystycznych przyszłe *Roczniki* — na wzór podobnych wydawnictw żydowskich — powinny zawierać osobny dział statystyczny : Polonia w cyfrach na tle Kraju.

W znacznie większym stopniu powinna redakcja uwzględniać polskie życie kulturalne na obczyźnie. Własna kultura duchowa jest jedyną bezsporną więzią polskiej diaspory. Musi to znaleźć wyraz w odnotowywaniu ważniejszych wydarzeń kulturalnych : wydanych książek, wystaw plastyki, wynalazków, nagród literackich i innych, słowem wszystkiego istotnego, co się wydarzyło w dziale kultury. Wzorem dla redakcji może być w pewnym stopniu drukowany przez pierwsze lata po wojnie w *Twórczości* (a redagowany przez Piotra Grzegorczyka) Diariusz Kultury''. O ile wiem, red. Jeżewski zamierza wprowadzić bibliografię ważniejszych książek w kwartalniku *Vide* — byłby to pierwszy krok do budowy tego działu w Roczniku.

Jeśli *Roczniki* mają bez zarzutu spełniać funkcję pamięci narodowej, to powinny także zawierać dział wzmianek o osobach zmarłych w danym okresie. Gorzka to prawda, ale o niektórych — może nieraz najwartościowszych ludziach — pisze się dopiero po śmierci : niech chociaż w ten sposób mają szansę wejścia na łamy *Rocznika* o co nie dbali za życia.

Chronologia najważniejszych wydarzeń i znacznie obszerniejsze, niż obecnie, indeksy — to inowacje, które z wydawnictwa p. Jeżewskiego uczynić mogą wzorową imprezę narodową.

Janusz JASIEŃCZYK

Echo minionej epoki

Leży przede mną ostatni tom Kazimierza Wierzyńskiego: ,,Siedem podków''. Pięćdziesiąt dziewięć wierszy, prawie sto stron druku. Tych rozmiarów książka jednego z czołowych poetów ,,Skamandra'' powinna być wydarzeniem literackim, zwłaszcza w naszych warunkach emigracyjnych. Czy jest nim istotnie?



Gdy ukazały się pierwsze tomy ,,skamandrytów' — zostały one przyjęte z entuzjazmem przez publiczność i przez krytykę. Po młodopolskim nadużywaniu wielkich słów — potrzeba było odtrutki. Z jakąż przyjemnością oderwaliśmy się od ,,chuci'' i ,,prabytu'', by upijać się z Sokratesem tańczącym i fikać koziołki z wróblami na dachu. Pewna beztroska była zresztą zrozumiała: koniec wojny i odzyskanie niezależności państwowej po stuletniej niewoli pozwoliły poecie na zrezygnowanie z roli wieszcza i porzucenie koturnów. Przedmiotem poezji są także rzeczy proste, słońce i ptaki, wiosna i wino, codzienność. Gdy się wychodzi z długiego tunelu — ma się ochotę powitać światło słoneczne krzykiem i śpiewem. Wyrazem tego stanu duchowego stali się ,,skamandryci'', a zwłaszcza Tuwim i Wierzyński. Dali oni tę poezję, której wszyscy pragnęli, bo wszyscy nagle odkryli słońce, wiosnę i radość życia. Początkowy witalizm poezji skamandrytów odpowiadał więc nastrojom społeczeństwa. Miała ona również wysoki ciężar gatunkowy i nienaganną formę. Nic dziwnego, że ,,skamandryci'' zaciążyli nad poezją polską a wpływ ich był dominujący w latach 1920-1925.

Z biegiem czasu zaczęły się jednak mnożyć przejawy mniej dodatnie, świadczące o pewnym skostnieniu i stagnacji. Dysponując jedynym w Polsce regularnie wychodzącym pismem literackim, doskonale redagowanym przez p. Grydzewskiego, i mając dostęp do głównych organów prasy stołecznej, ,,skamandryci'' zaczęli — jak Ludwik XIV z państwem — utożsamiać się z poezją starając się zapomnieć o tym, że istnieje także inna poezja i inni poeci. Zapomnieli również, że poezja jest ustawicznym stawaniem, że forma zmienia się z biegiem lat. Zasoby

(*) Kazimierz Wierzyński, *Siedem podków*, Str. 92, Wyd. Roy Publishers, New York, 1954.

wniesionych przez nich wartości zaczęły się deprecjonować przez zbyt częste powtarzanie. A przez ten czas pojawiały się stale nowe tomy.



Georges Hugnet, w swej ostatniej książce krytykując byłych towarzyszy broni, surrealistów , twierdzi złośliwie, że jeden z nich napisał w swym życiu właściwie tylko jeden poemat, dając w ten sposób do zrozumienia, że reszta była tylko powtarzaniem tego jednego wiersza w nieco odmiennej formie. Hugnet miał tu na myśli Eluarda i jego twierdzenie jest niesprawiedliwe, jeśli chodzi o ocenę całokształtu twórczości tego pisarza, ale tkwi w nim pewna doza słuszności i da się ono zastosować do wielu poetów, a między innymi do ,,skamandrytów''. Ten sąd jest prawdziwy, zwłaszcza w odniesieniu do tych poetów, których pierwsze wystąpienie było zbyt dojrzałe. Nie można udoskonalać doskonałości, można ją tylko nieco zmieniać lub obniżać. Dlatego pisarze dochodzący stopniowo do własnego wyrazu dłużej zachowują świeżość. Gdyby Rimbaud nie przestał pisać — późniejsze jego wiersze byłyby prawdopodobnie tylko wariantami młodzieńczej twórczości. Jeśli pisarz miał możność wypowiedzenia się w pełni już w pierwszym dziele — lepiej będzie gdy złamie pióro, bo powtarzanie rzeczy już powiedzianych do niczego nie prowadzi. Uważam np. że zarzuty i pewne uszczypliwostki pod adresem Lechonia przed wojną, iż nie pisze — były głęboko nieistotne, bo tego rodzaju milczenie wymaga więcej odwagi, niż rozmienianie się na drobną monetę. Jeśli Lechoń pozostanie w literaturze, to jako autor ,,Karmazynowego poematu'' i kilku wierszy w ,,Srebrnym i czarnym'', a nie dlatego, że napisze jeszcze dwadzieścia nowych ,,Grobowców na Harendzie''.

Czy powiedzenie Hugneta o poecie, który napisał w swym życiu tylko jeden wiersz da się zastosować do ,,skamandrytów'', a zwłaszcza do Wierzyńskiego ? Dorobek literacki pisarza zawsze zasługuje na szacunek i jedynie młodzi, w imię nowych wartości, mają prawo do nieusprawiedliwionych wystąpień. Należy więc wystrzegać się zbyt pochopnego wydawania wyroków. Wydaje mi się jednak, że to co ,,Skamandryci'' mieli do powiedzenia — wyrazili najlepiej w czasie ,,okresu burzy i naporu'', między 1920-1925. Zarówno Tuwim, jak Lechoń czy Wierzyński wystąpili od razu z dojrzałymi tomami. Na końcu książki Wierzyńskiego znajduje się spis jego poprzednich zbiorów obejmujący 17 pozycji. Nie sądzę, by wśród nich byli tomy lepsze od ,,Wiosny i wina'' lub ,,Wróbli na dachu''. Wydaje mi się, że to samo dotyczy innych ,,skamandrytów.



Poezja ,,skamandrytów'' w pierwszych latach po wojnie była wyrazem ówczesnej epoki. Ale dzieło sztuki, podobnie jak

sam twórca, żyje w czasie, zmieniają się nie tylko warunki społeczne i polityczne, ale także artystyczny klimat pewnych okresów. Zmieniają się także formy wyrazu i upodobania, a wraz z tym pewne środki techniczne i chwyty stają się przestarzałe. Kto dzisiaj ośmieliłby się twierdzić, jak przed dwudziestu laty pewien krytyk starszej generacji, że tylko wieś może być przedmiotem poezji, jakżeż daleko odbiegliśmy od niezrozumienia jakie otaczało pierwsze wystąpienia awangardy, od zarzutów „niezrozumialstwa".

Obserwujemy to również w innych dziedzinach. Przed kilku dniami wpadł mi do ręki egzemplarz „Przedwiośnia" i ze zdumieniem przekonałem się, że wydało mi się ono nie tylko odległe ale także forma, styl i problematyka tej powieści dziwnie się przestarzały. Z naszych wielkich pisarzy Żeromski ostoi się prawdopodobnie w o wiele mniejszym stopniu niż np. Sienkiewicz lub Prus.

Inny przykład zaczerpnięty z literatury francuskiej. Przechodząc obok księgarni na bulwarze St. Germain zobaczyłem na wystawie egzemplarz „Corydona" Gide'a i przypomniało mi to artykuł Janty w „Wiadomościach" cytujący słowa tego pisarza, iż uważa on go za najlepszą ze swych książek. Nie znałem „Corydona" i skłoniło mnie to do kupienia książki. Co za rozczarowanienie! Jakżeż przestarzała jest ta pachnąca myszką obrona homoseksualizmu! Jest ona dzisiaj prawie nieczytelna, po prostu — nudna.

Zacytowałem tych kilka przykładów by wykazać, jak szybko zmienia się klimat epoki i jak bardzo starzeją się niektóre dzieła. Ich życie w czasie jest mniej lub więcej krótkie. Poezja „skamandrytów' powinna być rozpatrywana obecnie z innego punktu widzenia, chociaż jej forma pozostała prawie bez zmiany, gdyż zmienił się klimat literacki epoki. Wyczuwa się w niej pewną pustkę, jej problematyka — jest zatrzymana w czasie i przyczepiona do innych dziesięcioleci. I jaki ciężar gatunkowy mają przeżycia, które były punktem wyjścia tych wierszy? Czy jest w nich coś więcej, niż poprawne opanowanie rzemiosła poetyckiego?

Poeci na emigracji stoją wobec ważnych zadań. Chodzi o znalezienie nowego wyrazu poetyckiego, zgodnego z epoką i z warunkami, w jakich żyjemy. Nowa problematyka, nowa wyczuwalność człowieka „de demi-siècle" wymaga też ponownego przepracowania formy. Zdaje się, że te problemy są dalekie od zainteresowań Wierzyńskiego.

◆

„Obok kilku wierszy świetnych, obok paru fragmentów, czy po prostu „linijek", będących wspaniałą poezją — większość utworów to imitacje dawnych, dobrych wierszy Wierzyńskiego. Czasem trudno wprost uwierzyć, aby tak doświadczony poeta mógł przepuścić do druku zaledwie bruliony swych wzruszeń.

Winna jest temu po trosze poetyka skamandrycka, której autor dochował wierności".

Te zdania z artykułu Pankowskiego poświęconego przedostatniej książce Wierzyńskiego pt. „Korzec Maku" (*Kultura*, Nr 67) odnoszą się również do *Siedmiu Podków*. Zmiany wymagałyby jedynie późniejsze cytaty.

Na zakończenie przytoczę początek jednego z wierszy Wierzyńskiego :

Wieją morskie wiatry, niebo będzie szersze
Może będą burze, ale pewniej wiersze.

Burz już nie ma, ale wierszy...

Jan BRZĘKOWSKI

U źródeł ewolucji prawa międzynarodowego

Opublikowana niedawno praca doktorska Jana S. Dutkowskiego, który obecnie pracuje naukowo w Stanach Zjednoczonych pt. *L'Occupation de la Crète* (1897-1909), rzuca ciekawe światło na początki współczesnych przemian prawa międzynarodowego.

Do niedawna, jak wiadomo, prawo to opierało się o dogmat suwerenności poszczególnych państw, nie ograniczonej żadną normą nadrzędną. Tylko zobowiązania przyjęte przez samo państwo mogły je *prawnie* krępować, a wojny były źródłem prawa, gdyż przyjęto w prawie międzynarodowym zasadę „quamquam vi coactus, tamen voluit" (jakkolwiek zmuszony siłą, to jednak chciał), która była uzasadnieniem mocy obowiązującej traktatów, wymuszonych użyciem — lub groźbą użycia — siły.

W nowej sytuacji świata zasada suwerenności państwowej wyraźnie się przeżywa. Podobnie jak w dziedzinie prawa prywatnego nimb prawa własności, tak w zakresie prawa międzynarodowego nimb suwerenności państwowej blednie. Wyraźnie sprzeczne z dotychczasowymi pojęciami suwerenności są zasady konstrukcji wspólnoty węgla i stali (zniesienie wymaganej jednomyślności), nieco mniej wyraźnie przepisy statutu Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Jean Stanislaw Dutkowski, *L'Occupation de la Crète* (1897-1909), Une expérience d'administration internationale d'un territoire. Préface de Mme Suzanne Bastid, professeur à la Faculté de Droit de Paris. Paris, 1953, Editions A. Pedone. Str. 137.

Jak długo moc obowiązująca uchwał organizacji międzynarodowych dla poszczególnych państw zależna była od jednomyślności, tak długo można było mówić o państwach suwerennych. Z chwilą jednak pojawienia się ciał międzynarodowych, decydujących na zasadzie większości prawa suwerenne przechodzą w części na te ciała. Dzieje się tak również wtedy, gdy w sprawach związanych najściślej z interesami jakiegoś państwa podejmowane są decyzje wiążące bez udziału zainteresowanego.

Dziś te rzeczy należą do zjawisk powszednich i rozwój instytucji międzynarodowych idzie w parze z coraz większym ograniczeniem rzeczywistej suwerenności. Byłoby jednak błędem przypuszczać, że te przemiany przyszły nagle i bez przygotowania, bez procesów, które im drogę torowały. Precedensów jest więcej niżby się zdawało. Pomijając już odleglejszą przeszłość Europy w XIX wieku tzw. koncert mocarstw odpowiadał w rzeczywistości dość ściśle naszemu nowoczesnemu pojęciu organizacji międzynarodowej, stojącej ponad państwami suwerennymi, narzucającej im swą wolę.

Jak to zwykle bywa życie wyprzedzało prawo i istotna zmiana stosunków dokonywała się przy zachowaniu pozorów istnienia dawnego porządku rzeczy. W wypadku okupacji i międzynarodowego zarządu Krety nie chodziło o jakąś konkretną normę prawa, ale o samą podstawę prawa międzynarodowego, o zasadę suwerenności, którą naruszano pod pretekstem „obrony". Sprawa walki o wyzwolenie Krety, zamieszkałej przez ludność grecką, a należącej do Turcji należała do tych zagadnień, które przez długi czas stanowiły groźbę dla pokoju europejskiego, ale nigdy do szerszego konfliktu nie doprowadziły, gdyż koncert mocarstw szukał sposobów jej rozwiązania i to nie drogą papierowych zaleceń, lecz drogą wspólnych działań przez własne organy, popartych siłą zbrojną.

Traktaty międzynarodowe, począwszy od paryskiego z roku 1856 a skończywszy na berlińskim z roku 1878, gwarantowały integralność terytorialną imperium otomańskiego, a z drugiej strony gwarantowały szereg praw dla ludności chrześcijańskiej Krety. W roku 1889 firman Sułtana anulował prawa przyznane chrześcijanom w tzw. konwencji z Halepy, będącej realizacją zobowiązań traktatu berlińskiego. Wywołało to niezadowolenie ludności, a w końcu powstanie z lat 1895-1896.

W tej sytuacji następuje zbiorowa interwencja mocarstw u rządu otomańskiego. W dalszym rozwoju wypadków dochodzi do faktycznego objęcia władzy na Krecie przez radę konsulów mocarstw, a później, po wysadzeniu wojsk na Krecie, przez radę admirałów. Równocześnie pod naciskiem mocarstw dochodzi do wycofania wojsk tureckich z Krety. Administracja wysp zostaje w zmieniających się formach oddana ciałom samorządowym, działającym jednak pod ścisłą kontrolą mocarstw i organizowanym na zasadach ustalonych przez te mocarstwa i później przez nie kilkakrotnie zmienianych.

Teza S. Dutkowskiego przedstawia szczegółowo ciekawą ewolucję tych form zarządzania Kretą, tudziez ich ocenę z punktu widzenia prawa międzynarodowego.

Autor wnikliwie i precyzyjnie wykazuje szereg sprzeczności i niekonsekwencji, wynikających z usiłowań zamknięcia nowej rzeczywistości politycznej w ramy starych pojęć prawa międzynarodowego.

Podstawą prawną wspólnego działania mocarstw była gwarancja nienaruszalności terytorialnej imperium otomańskiego. Zagrożenie integralności Turcji nie było jednak wynikiem działań zewnętrznych lecz wewnętrznego rozwoju wypadków. W tych warunkach można by raczej przyjąć, że interwencja może być z punktu widzenia prawa międzynarodowego uzasadniona tylko prośbą zagrożonej Turcji. Teza, wedle której interwencja ta wywołana

była zagrożeniem integralności Turcji przez działania organów państwa tureckiego (prowokowanie powstań) wydaje się zbyt naciągana. Wszak interwencja polegała na ograniczeniu, a w końcu usunięciu tych organów, czyli na faktycznej likwidacji suwerenności Turcji.

Druga interpretacja działań, podjętych przez mocarstwa na terenie Krety, powiada, że mocarstwa na mocy zwyczaju, ustalonego jako reguła postępowania, interweniowały z powodów humanitarnych ilekroć władze tureckie dopuszczały się działań niehumanitarnych i zagrażających ogólnemu spokojowi. Stwierdzenie faktyczne jest niewątpliwie zgodne z prawdą, lecz o ile mielibyśmy tego rodzaju ,,regułę postępowania'' nazwać prawem, to będzie ono tylko prawem rodzącym się, lecz jeszcze nie narodzonym.

Autor analizuje krytycznie próby zastosowania różnych sposobów interpretacji działań, podjętych przez mocarstwa, jak na przykład teorię, że Turcja nie zrzekając się praw suwerennych nad Kretą ,,zdeponowała'' to terytorium w ręku mocarstw. Jakkolwiek pojęcie depozytu nie było znane prawu międzynarodowemu i zastosowanie go do wypadku Krety było naciągane, możemy dziś z perspektywy lat skonstatować, że powstał precedens, torujący drogę dla przyszłych terytoriów mandatowych Ligi Narodów względnie zarządu Libii przez O.N.Z., co słusznie podkreśla autor.

W obu tych wypadkach mamy do czynienia z istnieniem terytoriów niepoddanych suwerennej władzy żadnego państwa, a zarządzanych przez organy międzynarodowe. Istnienie takich terytoriów może być pojmowane jako etap ewolucji, zmierzającej do zniesienia suwerenności państwowej w dotychczasowych formach.

Procesy polityczne łączą się tu z ewolucją prawa, gdyż w gruncie rzeczy polityka jest procesem tworzenia prawa.

Dotychczasowe prawo międzynarodowe opiera się o paradoksy. Jego podstawą jest zasada suwerenności, którą trudno określić inaczej niż negatywnie, jako zasadę niepoddania państwa żadnej władzy egzekwującej wykonanie normy prawnej. Istnieć mogą te normy prawne, które państwo samo na siebie przyjmuje (pacta sunt servanda), ale jeżeli państwo ich nie chce dochować, to przymus może być zastosowany tylko przez inne zainteresowane państwa. Państwo, które przed siłą ustąpi tym samym... ,,przyjmuje dobrowolne zobowiązanie''.

W tym systemie prawnym to, co odpowiada wymiarowi sprawiedliwości nie może istnieć. Powstanie koncertu mocarstw, wymierzających sprawiedliwość małym państwom doprowadziło do stanu, w którym podjęte działania nie mieściły się w ramach istniejących pojęć prawa międzynarodowego.

Praca S. Dutkowskiego, utrzymana w ramach analizy prawniczej, daje nam doskonały obraz rodzenia się nowych zasad prawa międzynarodowego. W miarę jak rośnie przekonanie o ich konieczności rodziły się i rodzić się będą nowe instytucje w postaci ,,wspólnoty międzynarodowej zorganizowanej na zasadach prawa pod władzą instytucji międzynarodowej uniwersalnej''.

I, dodajmy... jedynej suwerennej.

W. Z.

Ciągle « Mniszkówna »

Wspomnienia z dawnych dobrych czasów są tak u nas modne, że kwestia, czy p. Osbergerowa była z domu Breiterówna czy też Wędrychowska, staje się emocjonująca i powodującą wymianę listów na łamach emigracyjnych pism literackich. Nie jeden czytelnik uważa rozczytywanie się w tych wspominkach za słabostkę i marnowanie czasu, gdyż pożyteczniejsze jest czytanie czegoś w języku kraju osiedlenia, dla wzbogacenia swego słownictwa i poznania mentalności wciąż obcego otoczenia. Dla czytelników z takim nastawieniem, a chcących połączyć przyjemne z pożytecznym można polecić ,,The Proud Lady'' (Dumna Pani) p. Helen Heney. Jest to powieść z życia polskiego ziemiaństwa w latach 1863-1939, napisana przez rodowitą Australijkę. Opowieść w pierwszym okresie, znanym autorce z opowiadań, przypomina Orzeszkową, Rodziewiczównę a nawet Mniszkównę. U Rodziewiczówny niezmiennie występuje jakiś niezłomny męski charakter, tutaj dziedzicznie występują ,,dumne panie''. Z Mniszkówną łączy wspólny sentyment do typu ordynata, czy dziedzica zgrabnie siedzącego na pięknym koniu. Może też ten sentyment podsuwa australijskiej obserwatorce następującą ocenę : aby Polka pokochała głęboko, nie wystarcza, aby mężczyzna był ,,solidna firma'', musi on mieć przede wszystkim ,,fantazja''. Oba wyrażenia podane są w książce w polskim brzmieniu. (Na marginesie nasuwa się refleksja, czy takie własne nastawienie Polek, jak również fakt, że droga do Belwederu prowadziła przez Bezdany, nie były, poza pobudkami czysto patriotycznymi, głównymi motorami rozwoju i metod postępowania ruchu podziemnego w ubiegłej wojnie).

Po przeżyciach pierwszej wojny i wojny polsko-bolszewickiej akcja powieści rozwija się we dworze pod Włocławkiem i na przemian w stolicach i uzdrowiskach europejskich, a nawet w Abisynii, zmieniając ton cioci Orzeszkowej na styl bliższy Marczyńskiemu. Powieść poza nudnawym wstępem czyta się z przyjemnością, bowiem przyjemnie jest na tle stosunków emigracyjnych i traktowania Polaków jako trochę niższą rasę, przeczytać, że jednak to polskie życie mogło się obserwatorowi z kraju anglo-saskiego podobać a nawet imponować.

Książka wydana jest przez Collins, London-Sydney. Cena £A /13/6. Stron 320.

Autorka przebywała w Polsce w latach 1930-1936, po wojnie pracowała w UNRRA w Niemczech, zawadziła też o Chiny (stąd powieść ,,The Chinese Camelia''), obecnie pracuje nad większym dziełem o Pawle Strzeleckim a mieszkając w Sydney wygłosiła pogadankę w tutejszym Związku Polskim. P. Heney zachęcała Polaków by zachowali cenne walory swojej kultury i wzbogacili nimi kulturę australijską i mimochodem rzuciła ciekawe spostrzeżenie. Autorka obracając się w Polsce w świecie ziemiańsko-szlacheckim a poznawszy w obozach D.P. po raz pierwszy szerokie masy spo-

łeczeństwa, jako córka najbardziej chyba bezstanowego narodu, doszła do wniosku, że w Polsce właściwie są dwa odrębne narody, a mało nawet do siebie podobne.

Dzielenie ludzi na szlachtę i nie szlachtę, tak myszką trąci, że trzeba dopiero wejrzenia w stosunki polskie z perspektywy aż australijskiej by postawić ten problem. A stał się on aktualny z punktu widzenia raczej historycznego. Bo to nie za króla Olbrachta, ale w ciągu ostatnich lat kilkunastu wyginęła polska szlachta, tak ziemiaństwo, jak też większość inteligencji miejskiej o kulturze a często i pochodzeniu szlacheckim. Gdy się doda, że synowie tych niedobitków burżujskich prawie zostali pozbawieni prawa kształcenia się, można uznać, że wpływ szlachty na kierunek rozwoju kultury polskiej został zredukowany do minimum. Toteż walka p. Gombrowicza ze stylem dawnym polskim (szlacheckim), jest już walką z wiatrakami, lub ostatnimi żubrami w rezerwatach argentyńsko-londyńsko-australijskich. Chcąc przewidzieć w przybliżeniu kierunek rozwoju kultury polskiej, należałoby dokonać gruntownej analizy, wydzielić składniki : ludowy, mieszczański oraz szlachecki i ten ostatni skreślić.

E. ŻAGIELL

Notatki wydawnicze

W ,,Nowym Wspaniałym Świecie'' Aldous Huxley zaopatrzył potworne, zmechanizowane społeczeństwo przyszłości w narkotyk, który dawał tym doskonałym, bezosobowym potomkom ludzkości chwilę zapomnienia, zapewniając jednocześnie ich tajemniczym władcom bezbłędne funkcjonowanie niewolniczych automatów. Narkotyk był wówczas dla Huxleya-racjonalisty jednym z wrogów ludzkiej świadomości, będącej ostoją świata wolności i humanizmu.

Stąd szczególna wymowa ostatniej książki Huxleya, *The Doors of Perception* (Doubleday, New York, 1954). Jest to szczegółowy opis doświadczenia, któremu poddał się autor zażywając, pod kontrolą lekarską, meskalinę. Narkotyk ten wzbudził ostatnio zainteresowanie lekarzy i psychiatrów, jest poniekąd ,,nowością'' w świecie nauki, choć genealogia jego gubi się w mrokach historii ludzkości : meskalina pochodzi od zażywanego przez Majów i Azteków peyotlu, który dotychczas dostarcza chwil zapomnienia i odurzenia szczepom indiańskim Ameryki Środkowej. Meskalina, dziś już produkowana sztucznie, wywołuje w człowieku który ją zażył, halucynacje wizualne i fizyczne : przy zamkniętych oczach powstają bajecznie kolorowe wizje, podczas gdy zmienia się sam stosunek do własnej osobowości i zewnętrznego świata. Zachodzi przetasowanie całej hierarchii wartości którą się zazwyczaj stosuje do bieżących wrażeń i wydarzeń. Słowami Huxleya, ,,Człowiek który zażył meskalinę nie widzi żadnego powodu do wykonania jakiejkolwiek czynności i uważa sprawy, dla których gotów jest zazwyczaj działać i cierpieć za całkowicie pozbawione znaczenia. Symptomy wywoływane przez meskalinę przypominają symptomy schizofrenii i stąd zainteresowanie psychiatrów tym środkiem, za pomocą którego chcieliby dotrzeć do źródeł chemicznych i materialnych schorzenia ludzkiego umysłu. Huxley zgodził się aby jego przyjaciel, psychiatra, przeprowadził na nim

doświadczenie : zażył w szklance wody 4 dcg. meskaliny. Wbrew oczekiwaniu, kolorowe wizje, których się spodziewał były banalne, nawet brzydkie. Ani śladu magicznych kalejdoskopów, architektury na skalę Taż-Mahalu czy pałacu Kubli-Chana, symbolicznych postaci, heroicznych dramatów. Ale temperament Huxleya jest intelektualny, nie wizualny. Stąd działanie narkotyku nawiązało do istniejących już zewnętrznych przedmiotów : kwiaty, książki, fotel, nawet fałdy flanelowych spodni stały się dla niego ośrodkiem przemienionego świata. Jedynym jego pragnieniem było aby pozostawiono go na zawsze z tym kwiatem, z tym krzesłem, z tą fałdą w których odkrył wieczność, absolut i nieskończoność. Przez cały czas doświadczenia, rozmowa Huxleya z lekarzem i żoną, nagrywana była na taśmę : autor odnalazł w niej materiał do pasjonujących rozważań na temat sztuki, religii, świadomości. Meskalina wyrwała go z rutyny codziennego życia, przyzwyczajeń myślowych i uczuciowych : przebiła jak gdyby sufit jego osobistego, ograniczonego świata. I Huxley, który kiedyś groził nam widmem ,,somy'', dziś poważnie się zastanawia czy meskalina nie powinna być, w jakiejś udoskonalonej formie udostępniona ludzkości, której mogłaby dać ,,sztuczny raj'' szlachetniejszy od alkoholu czy tytoniu. Przychodzi tu na myśl St. I. Witkiewicz, niedoceniony prekursor tylu współczesnych myśli, odczuć i intuicji. I u niego strach przed ,,Murti-Bingiem''. I u niego czułość do peyotlu, jedynego z ,,Narkotyków'', który już na tytułowej stronie książki świecił niewinną białością. Chciałbym porównać ocenę Huxleya z oceną Witkiewicza i tą drogą proszę czytelników ,Kultury'', aby skomunikowali się ze mną jeśli posiadają, lub wiedzą o istnieniu jakiegoś egzemplarza ,,Narkotyków''.

Ewolucja Huxleya wydaje mi się jednym z symptomów załamywania się liberalnych i humanistycznych oporów przeciw nadchodzącej erze technologii — czy to w formie komunistycznej czy innej. Coraz więcej dawnych liberałów szuka ,ostatniego szańca'' w głębinach ludzkiej psychiki indywidualnej czy w kategoriach najszerzej ,,metafizycznych''. Człowiek zażywający meskalinę — to przecież herezja dla racjonalistów, dla spadkobierców wieku oświecenia, to załamanie całej tradycji postępowo-liberalnej. Ale człowiek zażywający meskalinę — jeśli jest ona naprawdę jedną z ,,bram percepcji'' — to także może forma obrony przeciw narkotykom społecznej sugestii, hipnozy i propagandy — ,,Murti-Bingom'' wszelkiego gatunku. Nakoniec chcę zaznaczyć że integralny francuski przekład *The Doors of Perception* ukazał się w czerwcowym numerze ,,La Table Ronde''.

•

Historia, w jednej ze swoich form abstrakcyjnych, sprowadzona do wspólnego ,,obiektywnego'' mianownika, służy marksistom za reflektor oświetlający przyszłość. Ale historia w swej formie konkretnej jako zespół faktów jedynych, jako źródło różnic, jako rozgałęzienie ludzkich korzeni, jest również najpoważniejszą bronią konserwatystów. Nic dziwnego że nie ma inteligentnej argumentacji konserwatywnej poza historią. Konserwatysta ,,funkcjonalny'', operujący zespołem faktów dnia dzisiejszego, zawsze zostanie łatwo pokonany przez marksistę.

Philippe Ariès, autor *Le Temps de l'Histoire* (Editions du Rocher, Monaco, 1954), wychowany był w atmosferze ,,Action Française'' i w kulcie Maurrasa. Jakże daleko odszedł od tej tradycji przyjmując nieodwołalne przemiany cywilizacyjne, dochodząc, poprzez zrozumienie historii, do koncepcji, którą trzeba właściwie nazwać ,,postępową''. Gdyż Ariès odrzuca ,,klasyczną'' abstrakcję historii na której opierają się reakcjoniści, podobnie jak odrzuca jej abstrakcję marksistowską. Sens jego książki oddaje ostatnie jej zdanie : ,,W cywilizacji eliminującej różnice, historia powinna przywrócić zaginiony zmysł cech szczególnych''.

Le Temps de l'Histoire jest zbiorem esejów rzucających nowe i ciekawe światło na różne koncepcje historii. Ariès podchodzi do historii odmiennie od Crocego czy Collingwooda (cytuje on zresztą wyłącznie historyków francuskich : mistrzami jego są Marc Bloch i L. Febvre), ale wnioski jego są podobne. Celem historyka jest odkrycie jedności : lecz jeśli istnieje ta jedność, nie należy jej szukać przez eliminację sprzeczności, przez upraszczanie, a w samym sednie zróżniczkowania.

◆

Armand Robin, poeta, a zwłaszcza genialny tłumacz poezji obcej na język francuski wynalazł oryginalny zawód. Znając kilkanaście języków, słucha on we własnym domu radiowych programów informacyjnych z całego świata i notuje co ciekawsze informacje w biuletynie który prenumerują politycy, dziennikarze, bankierzy. Biuletyn Robina jest suchy, oryginalny, inteligentny, o wyostrzonej intuicji aktualności. Ale obok Robina, zarabiającego na życie, drewnianej skrzynki słucha także Robin-poeta. *La Fausse Parole* (Editions de Minuit, Paris 1954) jest właśnie zemstą poety, której nie przeczytają ani politycy, ani bankierzy, ani dziennikarze. Robin zna wagę słowa : posiada sam rzadką, magiczną moc słowotwórczą. Jego książka jest poetycką kondensacją potwornej wieży Babel, intuicją chwili, w której ,,pomieszały się języki''. Robin najgwałtowniej nienawidzi sowieckiego kłamstwa, prymitywnej magii operującej fałszywym słowem. Ale rozpaczą przejmuje go szerzenie się zarazy : ,,Niestety ! Politbiura, owe zrzeszenia fakirów, rozprzestrzeniły się poza Kreml; są dziś wszędzie piaskiem i wiatrem, zastępującym Ducha w ludzkości, która jest nie-ludzka''.

◆

Julian Gorkin, jeden z twórców hiszpańskiej partii komunistycznej, dziś w równym stopniu antystalinista co antyfrankista, poświęcił ostatnią swoją książkę stosunkowi wolnego świata do bloku komunistycznego. Wnioskiem *Destin du XXe Siècle — de Lénine à Malenkov — Coexistence ou Guerre Permanente ?* (Les Iles d'Or, Paris, 1954) jest niemożność koegzystencji i logiczna konieczność ,,stałej wojny''. Gorkin analizuje w swej książce wszystkie teorie, które wysunięto co do przemian w Z.S.S.R. po śmierci Stalina. Nie skłania się on wyraźnie ku żadnej z nich, ale widzi we wzroście nowych klas rządzących technokratów największą groźbę dla reżymu. Twierdzi on jednak że żadna wewnętrzna słabość Sowietów nie zda się na nic, jeśli świat wolny nie pozostanie silny i zjednoczony.

◆

Maurice Sachs powołuje się w *Tableau des Mœurs de ce Temps* (Gallimard, Paris, 1954) na ,,Charaktery'' La Bruyère'a. Daje on 368 portretów, częściowo tylko imaginacyjnych, ,,światowców'', członków francuskiej burżuazji, pisarzy profesorów nawet zwierząt domowych. Panorama społeczeństwa między wojnami. Mimo wysiłków formalnych nie wychodzi to poza plotkę i anegdotę : żadna z postaci nie żyje. Sachs pisał tę książkę na krótko przed wojną, w hamburskim więzieniu. Ma się wrażenie że ten niespokojny duch, który nigdy nie znosił chwili samotności i krążył nieprzerwanie między Place Pigalle, Faubourg St. Germain i domem wydawniczym Gallimarda, chciał jakoś zaludnić swą celę postaciami wśród których zwykł się obracać. Wśród wielkiej liczby portretów ,,z kluczem'' — jedno drobne ,,polonicum'' : rozpoznajemy w ,,le Comte Swiajejczyk'' (,,Gens du Gratin'') Jana Horodyskiego.

Paul Morand z „Ouvert la Nuit", z „Fermé le Jour" uchodził kiedyś za herolda nowej epoki. Literacka wizja „gay twenties" — to dla mnie Paul Morand i Scott Fitzgerald z saksofonem w jednym, z shakerem w drugim ręku, tańczący charlestona z mulatkami na stacji przed Train Bleu, który zawiezie ich za chwilę do Cannes, Kalifornii, Kamczatki czy Canberry. Ale ostatnia książka Moranda *Hécate et ses Chiens* (Flammarion, Paris, 1954), choć akcja jej nadal toczy się w ulubionych przez niego latach, tonem, stylem, zwięzłością należy bardziej do XVIII wieku. Może każdy „klasyczny" pisarz francuski jest naturalnym rówieśnikiem Cazotte'a, Crébilliona, Sade'a — a tylko w młodości, na krótko, udaje że żyje we własnej epoce ?

Bohater Moranda, młody francuski bankier wysłany do Maroka, szkolony jest przez europejską kochankę w arkanach seksualnej perwersji. Książka cyniczna, smutna, delikatna. Może nawet książka z tezą ? Oddaje ona doskonale potworną, ostateczną samotność, sa jaką skazany jest człowiek którego celem w życiu jest „le plaisir" (co za dziwna luka w polskim języku — ten brak słowa, które byłoby ważniejsze niż „przyjemność" prostsze niż „rozkosz").

O ileż wolę Moranda od p. de Montherlant ! Fałszywa samotność, fałszywa wielkość, fałszywy mistycyzm i fałszywa zmysłowość — trudno o zestaw cech bardziej antypatycznych. Zwłaszcza jeśli składają się na świetnego pisarza. Racine z blachy, św. Jan od Krzyża z kartonu, Chaderlos de Laclos z plasteliny — ale talent Montherlanta nadaje jego utworom cechy „trompe-l'œil". *La Rose de Sable* (Plon, Paris, 1954) — to historia miłości, także w Maroku młodego francuskiego porucznika do czternastoletniej Arabki. Miłości ? Nie. Montherlant pogardza tym uczuciem. Ale fascynacji, związania zmysłowego. Tu także samotność : „Róża Piasków" — dlatego, że mała Rama, „tak jak te piaski skamieniałe w formy, przypominające płatki kwiatów... na zewnątrz była cała urokiem, a w rzeczywistości zimna i nieruchoma jak kamień". Montherlant cierpi na swoistą schizofrenię. Jego utwory są raz wzniosłe : jako „Mistrz z Santiago", czy jako „Zmarła Królowa" szybuje on na lodowcowych wyżynach śmierci, honoru, wyrzeczenia i Boga, raz perfidne i cyniczne (ale zza węgła), jak „Les Jeunes Filles". „*La Rose des Sables* należy do tej drugiej bardziej znośnej kategorii.

Trzecia książka, najbardziej afrykańska i najdrastyczniej seksualna, to *Le Vieillard et l'Enfant* (Editions de Minuit, Paris, 1954), tajemniczego Abdallah Chaamba, który od lat wysyłał anonimowo kilkudziesięciu pisarzom i krytykom różnokolorowe zeszyty, pełne błędów drukarskich, dziś wydane w jednym tomie. Jeszcze jedna powieść pederastyczna, ale także wspaniałe studium miłości i nienawiści, zderzenia dwóch ras i dwóch cywilizacji.

Młody Arab, autor książki, zostaje faworytem starego francuskiego pułkownika, który w sercu pustyni założył fermę-muzeum. Starzec jest potworem w swej śmieszności, grozie, perwersji — autor umie jednak oddać również ciekawą formę jego inteligencji, absurdalny humor, może resztki zranionej kiedyś ludzkości. Arab jest Narcyzem i poetą. Atmosfera pustyni i jej wewnętrzne odbicie w ludziach jest tak mistrzowsko oddane, że ma się czasem żal do autora za napisanie książki, która musi odstręczyć olbrzymią większość czytelników. Ale pozostałyby wówczas tylko błyskawice stylu. A istotną wagą *Le Vieillard et l'Enfant* jest brutalna szczerość książki i transpozycja sytuacji wyjątkowej i niezrozumiałej w uniwersalną poezję.

(j.)

◆

Przyznawanie się do ludzi, którzy w jakiś sposób zabłyśli w wielkich centrach kulturalnych zachodniej Europy jest znaną chorobą kilku narodów, w tej liczbie i Polaków. Nie chcąc w nią popadać, z obowiązku raczej notujemy przyczynki do biografii dwóch poetów francuskich.

Jean Cassou w swojej książce ,,Trzej poeci" (*) daje portret Oskara Miłosza, oparty na własnych wspomnieniach. Jest to próba narysowania postaci w sposób syntetyczny i dla autora, jako Francuza, miejsce skąd przywędrował do Paryża jego przyjaciel pozostaje krainą legendarną. Dla polskiego czytelnika nie jest ono tak całkowicie tajemnicze. Kronika Warszawy lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia zachowała ślady istnienia Władysława Miłosza, lwa salonowego i ,,oryginała" (latał balonem, polował na lwy w Afryce itd.); był właścicielem wielkich dóbr leśnych na Kresach i tam, w Czerei, urodził się w roku 1877 przyszły poeta. Jeżeli, wychowany od dziecka we Francji, ale doskonale mówiący po polsku, do polskości się nie przyznawał, przyczyn trzeba szukać w kronice rodzinnych ,,skandalów" i we wrogości jaka dzięki temu wytworzyła się pomiędzy nim i Polakami z jego, jak się to mówiło, sfery. Uznał się natomiast po pierwszej wojnie światowej za Litwina, jak to czyniły wtedy niektóre rodziny polsko-litewskiej szlachty i tak wrogość do niego Polaków ,,dobrze myślących" została niejako skodyfikowana; co nie przeszkodziło zresztą Bronisławie Ostrowskiej przekładać jego wierszy ani Osterwie inscenizować sztuki ,,Miguel Manara".

K.

Przegląd czasopism

Encounter zawiera w czerwcowym numerze ważny artykuł młodego amerykańskiego socjologa Daniela Bell o problemach pracy. ,,Notes on Work" są analizą psychologicznych i socjologicznych problemów, które wzrost technologii stawia dziś przed Ameryką — jutro przed resztą świata. Krytyka tayloryzmu, pracy taśmowej i wszelkiej racjonalizacji pracy, mającej jedynie produkcję na względzie, jest druzgocząca. Artykuł Bella pełen jest ciekawych informacji o wszelkiego rodzaju psychologicznych i socjologicznych eksperymentach w wielkich amerykańskich zakładach przemysłowych. Zainteresowanie pracą upada zarówno w społeczeństwach kapitalistycznych jak ,,socjalistycznych". W Wielkiej Brytanii apatia robotników w przedsiębiorstwach upaństwowionych jest taka sama jak w przedsiębiorstwach prywatnych. Dlaczego — mówi autor na marginesie — robotnik miałby się czuć bardziej ,,właścicielem" przedsiębiorstwa w którym pracuje, niż żołnierz czuje się ,,właścicielem" wojska w którym służy ? Jaka odpowiedź na te problemy ? Bell jest pesymistą, ale twierdzi, że rozdrobnienie specjalizacji w przemyśle kończy się klęską społeczną i ludzką. Warto w każdym razie spróbować wprowadzić rotację ,,jobów", rozszerzyć specjalizację, przedłużyć cykl pracy —jednym słowem dążyć do złagodzenia monotonii pracy, choćby kosztem małego zmniejszenia produkcji. Ale przyszłość postawi nas przed nowym problemem. Ameryka stoi u zarania nowej rewolucji przemysłowej, w której maszyna wykonać będzie mogła cały cykl pracy, a człowiek będzie jedynie kontrolerem jej automatycznego działania. Jak przypomina Bell, Freud powiedział, że praca jest głównym środkiem związania człowieka z rzeczywistością. Co się stanie kiedy praca zostanie całkowicie przejęta przez maszynę ?

(*) Jean Cassou, *Trois Poètes* — Rilke, Milosz, Machado, Plon, 1954.

Czerwcowy numer *N.R.F.* daje sensację literacką : pierwszą od wojny wypowiedź Louis-Ferdinand Céline'a, skazanego za kolaboracjonizm (a głównie za antysemicką postawę w czasie okupacji). Przez osiem lat głucho było o autorze „Podróży do Kresu Nocy" : sam zmuszony do milczenia, otoczony konspiracją milczenia. Teraz wybucha na nowo ten monolog — irytujący, naiwny, egocentryczny, agresywny — czasem genialny.

„Stałem się ze zwykłego gwałciciela, zdrajcą, ludobójcą, jaskiniowcem, człowiekiem, o którym nie trzeba nawet mówić..."

Ale jeśli się nie mówiło o Céline'ie — spadek „Podróży" z jej „language parlé" zaciążył nad całą powojenną literaturą. I Céline mści się teraz w *N.R.F.* na „nikczemnych plagiatorach". Zaczyna — zgodnie z własną tradycją — od złośliwego ataku na Gallimarda i Paulhana, na tych, którzy pierwsi otwierają mu na powrót drogę do publikacji. Artykuł napisany jest w formie „interviouwu" (zachowuję transkrypcję Céline'a) z profesorem Y. — oczywiście nędznym, podłym, skretyniałym liberałem. A więc najpierw — nienawiść do myśli :

„Nie mam żadnych myśli, ja! żadnych! i nic nie jest dla mnie bardziej wulgarne, bardziej ordynarne, bardziej obrzydliwe od myśli! Pełno tego w bibliotekach i na tarasach kawiarni !... wszyscy impotenci rzygają myślami ! i wszyscy filozofowie !... to ich przemysł, młodzież ! narkotyzują ją !... młodzież gotowa, wiecie, byle co połknąć... wszystko jest dla niej wspaniaaaałe".

Sam autor ma tylko skromną ambicję : jest tylko „drobnym wynalazcą". Wynalazł „un petit truc". Ten „sposobik" — to „wzruszenie w języku pisanym". I Céline chwali się swoim „language parlé", jakby chciał mieć monopol na wykrzykniki, trójkropki, na transkrypcję „języka" w „pismo". Mimo nienawiści i żółci, artykuł staje się nudny kiedy Céline atakuje, pluje, zjeżdża. Ale wspaniały pazur pisarski widać od czasu do czasu jakby na marginesie, w uwagach o kinie, o teatrze, o cywilizacji.



Marek Aldanow, po śmierci Bunina najwybitniejszy bodaj przedstawiciel „oficjalnej" rosyjskiej literatury emigracyjnej (Remizow, jeden z największych współczesnych pisarzy, nie jest doceniany przez własnych rodaków) — pisze głównie powieści historyczne. Czerwcowy numer *Preuves* zawiera pierwszą część jego opowiadania, „L'Exterminateur", poświęconego „najnowszej" historii : tłem jego jest konferencja jałtańska. Eksperyment ciekawy : Aldanow ożywia i interpretuje Churchilla, Stalina i Roosevelta tak jak robił to dawniej z postaciami rewolucji francuskiej czy rosyjskiego XVIII wieku.



East and West (Alliance Publishing Company, Alliance House, 12, Caxton Street, London S.W.1) jest nowym kwartalnikiem poświęconym „sprawom sowieckim i bałtyckim". W komitecie redakcyjnym, obok Estończyka prof. Perlitza, zasiada Łotysz prof. Aizsilnieks i Litwin prof. Żymantas. Grupa redakcyjna *East and West* rekrutuje się spośród zwartej i czynnej emigracji bałtyckiej w Sztokholmie. Pierwszy numer solidnego i źródłowego kwartalnika zawiera artykuł Norberta Żaby o Finlandii. W artykule o „Kościele i Komunizmie Sowieckim", profesor Żymantas powołuje się na „Zniewolony Umysł" Miłosza.



Redaktorem *Revue Internationale d'Ethique Professionnelle*, organu międzynarodowego związku zawodowej etyki jest Polka, prof. Franciszka Baumgarten, ,,Privat-docent'' uniwersytetu w Bernie. Kwartalnik ten, zawierający artykuły po francusku, po angielsku i po niemiecku, wydawany jest w Zurichu (Art. Institut Orell Fussli, AG, Zeitschriften Abteilung, Dietzingerstrasse 3). W pierwszym numerze kwartalnika znajdujemy wspomnienia o śp. Józefie Joteyko (1866-1928), Polce zasłużonej na polu psychologii i pedagogii. Problemy psychologii i etyki zawodowej poruszane są w czasopiśmie przez pierwszorzędnych europejskich specjalistów.



Czerwcowy biuletyn *Les Amis de la Liberté* (13-bis, rue de Poissy, Paris, 5) poświęcony jest ,,Nauce i Partii w Z.S.S.R.''. Jest to popularna, bardzo jasna analiza sprzeczności i absurdów do których doprowadza w naukach ścisłych dogmatyzm ,,diamatu''. Poza bardzo dobrym ogólnym rozdziałem ,,Nauka i Diamat'', broszura zawiera diagnozę wszystkich nauk ścisłych w Z.S.S.R.

(j)



W ,,Mercure de France'' z maja 1954 znajdujemy ciekawe dane o rodzinie poety Guillaume Apollinaire'a, którego prawdziwe nazwisko brzmiało, jak wiadomo, Kostrowicki. Autorka, Maria Kostrowicka-Dąbrowa, podaje dzieje rodu Kostrowickich z Kostrowicz pod Słonimem, uszlachconych za Jagiellonów i sprawujących w Wielkim Księstwie Litewskim rozliczne urzędy. Początkowo prawosławni, są już w siedemnastym wieku katolikami, jak świadczą drukowane przez nich utwory religijne czy okolicznościowe (1647, 1675, 1682). Dziadek Apollinaire'a, Michał Kostrowicki (z gałęzi siedzącej w Doroszkowiczach nad Dzisną) ucieka do Włoch ponieważ po powstaniu 1863 roku grozi mu zesłanie na Sybir. Słabą stroną artykułu jest jego charakter, rzeklibyśmy, hagiograficzny. Ciotka autorki, Salomea Kostrowicka, żywa kronika rodzinna, nie chciała mówić o poecie gdyż krył się w historii jego urodzenia skandal. Na zapytania stwierdziła że ,,jeżeli jest on synem Kostrowickiej mieszkającej zagranicą, to już wystarczający powód żeby młoda panna tym się nie interesowała'' i że ,,wiersze tego poety są niemoralne''. Ów skandal (czy tylko nieślubne łoże?) może by się przydał dla uzyskania pełnego obrazu i chyba nie należy przesadzać z tą troską o dobrą sławę rodu. Jakkolwiek szacunek budzi odwaga w bitwie jako cecha rodowa (i Apollinaire był bardzo dobrym żołnierzem), Kostrowiccy wsławili się więcej jeszcze niż przez swoje rycerskie czyny wydając jedno z najświetniejszych imion w historii poezji nie tylko Francji, ale całej Europy. Jeżeli się z tego zdaje sobie sprawę, odsłonięcie ,,skandalu'' nikomu już nie przyniosłoby ujmy.

K.

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

DEVAL (Jacques). *Théâtre.* (Ce soir à Samarcande — Etienne — Figaro-ci, Beaumarchais-là). Pp. 327. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954).

FROSSARD (André). *Le sel de la terre.* Les grands ordres religieux. Pp. 171. (Ed. Arthème Fayard, Paris, 1954, frs. 350).

JANSEN (Alain). *Il n'y aura qu'un visage.* Pp. 256. (Ed. René Julliard, Paris, 1954, frs. 500).

SAGAN (Françoise). *Bonjour tristesse.* Pp. 188. (Ed. René Julliard, Paris, 1954, frs. 390).

ASCH (Sholem). *Moïse.* Préface de Marcel Brion. Pp. 366. (Ed. Calmann-Lévy Paris, 1954).

FITZ GIBBON (Constantine). *L'oiseau d'Arabie.* Pp. 284, (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954, frs. 630).

KESTEN (Hermann). *Les enfants de Guernica.* Pp. 194. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954, frs. 440).

GHEORGHIU (V.-Virgil). *L'homme qui voyagea seul.* Pp. 309 (Ed. Plon, Paris, 1954, frs. 450).

PHAM VAN KY. *Celui qui régnera.* Pp. 243. (Ed. Grasset, Paris, 1954, frs. 450).

CABRIÈS (Jean). *Saint Jacob.* Pp. 446 (Ed. Plon, Paris, 1954, frs. 690).

DOKUMENTY CHWILI

PIÉTRI (François). *Mes années d'Espagne.* 1940-1948. Pp. 295. (Ed. Plon Paris, 1954, frs. 840).

BROGAN (D. W.). *Le prix de la révolution.* Pp. 314. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954).

DAVIGNON (Henri). *Souvenir d'un écrivain belge* (1879-1945). Pp. 488. (Ed. Plon, Paris, 1954).

SABATTIER (Général). *Le destin de l'Indochine.* Pp. 466. (Ed. Plon, Paris, 1952, frs. 990).

JOURDAIN (Francis). *Jours d'alarme.* Souvenir. Pp. 250. (Ed. Corrêa, Paris, 1954, frs. 570).

SLAWISTYKA

Harvard Slavic Studies, Vol. II. Str. 390. Harvard University Press, Cambridge, Mass., 1954, Cena dol. 6.).

SOUCKOVA (Milada). *A Literature in Crisis.* Czech Literature 1938-1950. Str. 158. (Wyd. Mid. European Studies Center, Nat. Comm. for a Free Europe, Inc., New York, 1954).

Kronika, 9.IV. 1946-31.XII. 1953, Vol. 77; Str. 60. (Nakł. T-wa Naukowego Szewczenki, Paryż, New York, Toronto, Sydney, 1954).

RUDNYĆKYJ (Jarosłav B.). *Ukraińśki biblioteky v Kanadi,* Str. 48. Wyd. Ukr. Wolnej Akademii Nauk, Seria: Litopys UVAN, Cz. 12, Winnipeg, Canada 1954).

KOWALIW (P.). *Ukraińśka mova. Ukrainian and the Slavic languages.* Str. 48. (Wyd. Ukr. Wolnej Akademii Nauk Seria: Slavistica Nr 20, Winnipeg, 1954).

KUPRANEĆ, OSBM. (O. Rev.). *Toponomastyka Gwaninusa z* 1611 r. Str. 32. (Nakł. Ukr. Wolnej Akademii Nauk, Seria: Onomastika, Nr 8., Winnipeg, Canada, 1954).

Résumé de la conférence scientifique à Sarcelles (Paris) 15-16. IX. 1952. Str. 64. Reimpression des „Analecta O.S.B.M.", T. I., fasc. 4". (Rzym-Paryż, T-wo Naukowe Szewczenki).

RÓŻNE

SENET (André) *L'homme à la recherche de ses ancêtres.* Pp. 342. (Ed. Plon, Paris, 1954, frs. 990).

Na średniowiecznym progu

3

6. „PASŁ JEŚM OWCE OĆCA MEGO".

Obok chropawych aorystów i szelestliwych imperfektów, jeszcze przed rozpadem Słowian na poszczególne plemiona, ukształtował się nowy, złożony czas przeszły, który z kolei we wschodnich i zachodnich słowiańskich mowach (oprócz Łużyc) całkowity uzyskał monopol. W Polsce nowy przybysz panował już niepodzielnie w dobie ostatnich Jagiellonów (XVI w.). To jest, oczywiście, łaskawie dzielił się swą władzą z królem i szlachtą...

Ów nowy czas przeszły składał się z dwu części : z imiesłowu przeszłego na *-ł* i czasu teraźniejszego czasownika *być,* sprzymierzonych do wspólnego boju z murszejącymi aorystami i imperfektami.

Czas teraźniejszy od *być* miał naówczas inną postać : *jeśm, jeś, jest* (liczba pojedyncza), *jesmy, jeście, są* (liczba mnoga), *jeswa, jesta, jesta* (liczba podwójna). W średniowiecznej Polsce archanioł Gabriel mawiał Marii Pannie : „Błogosławiona *jeś* miedzy niewiastami". A średniowieczny Wyspiański musiałby wiersz inaczej ułożyć : „Wiesioł *jeśm* ja, wiesioł, i śmieję się do słez". Później dopiero *jest* przemocą wdarło się do innych form osobowych i „wesoły *jestem,* wesoły" w znanym wierszu czytamy.

Owóż czas przeszły, pierwotnie złożony, który wyrugował z naszej mowy aorysty i imperfekty, brzmiał w średnich wiekach tako :

liczba pojedyncza : *pasł jeśm owce oćca mego* (Psałterz flor.);
zęby grzeszników *starł jeś* (P. f.).
liczba mnoga: *zapomnieli jesmy* imię Boga naszego (P. f.);
przeciwo mnie *mołwili są* (P. f.).
liczba podwójna : w domu bożym *chodziła jeswa* (P. f.);
pomdlele jesta oczy moje (P. f.).

Ale szyk bojowy *jeśm, jeś* oraz imiesłowu, nie zawsze był taki. Różne były wymagania bytu nowej naówczas formy i mogło *jeśm, jeś* poprzedzać imiesłów. Było więc również:

ja *jeśm spał* (P. f.);
ty *jeś* za nas na krzyż wstąpił (pieśń z XV wieku);
błogosławiony mąż, jen *jest* nie *szedł* po radzie niemiłościwych (P. f.);
pogańskim bogom modłę *jeście wzdawali* (Kazania św.);
w cię *są pwali* oćcowie naszy (P. f.).

Tak więc niekiedy imiesłów nacierał przodem a *jeśm*, „słowo posiłkowe", skradało się z cicha za nim, innym razem znowu imiesłów swój rydwan w *jeśm* zaprzęgał zawsze jednak, jako ważniejszy człon aliansu, dowódcze funkcje pełniąc. Czasami nawet odrzucał słowo posiłkowe na bok i sam w szranki szedł. Tyczyć to mogło każdej osoby, pierwszej, drugiej czy trzeciej. Tak oto przechwalała się śmierć w XV wieku:

„Ja *zabiła* Golijasza,
Annasza i Kaifasza.
Ja Judasza *obiesiła* (*)
I dwu łotru (*) na krzyż *wbiła*."

Od prapoczątku alians był zawarty na zasadzie podrzędności *jeśm*. Dlatego już w znanym nam średniowieczu stało się *jeśm* zwykłą doczepką do imiesłowu i, obciosane nieco, z tyłu postawione, zaczęło się z nim zrastać w jedno słowo: *pasł-em, pasł-eś, paśli-śmy, paśli-ście*. W trzeciej osobie *jest* i *są* zanikły nawet zupełnie: *pasł, paśli*.

Ale trochę dawnej swobody zdołały nasze przyczepki zachować. Z tych czasów, kiedy strategia wymagała niekiedy, aby przodem w bój szły. Czasem-bo i dziś jeszcze porzucają doczepne miejsce i szlusują na własną rękę do sąsiednich wyrazów: „niczego-*śmy* nie zapomnieli", „nigdy ci nie wybaczę, że-*ś* mnie o tym nie zawiadomił". Ale ta swoboda jest niewolnictwem. Polega tylko na możności wyboru niewoli. Bo akcent nigdy na przyczepkę nie pada, tylko albo na formę imiesłowową albo na słowo, z którym przyczepka się wiąże.

Aby rzecz pożytecznym nawiązaniem zakończyć: gdy uczysz się francuskiego: „je *suis arrivé* en Pologne", lub gdy o Niemcu mówisz: „er *ist geflohen*", to pamiętaj, że na Psim Polu wołano pewnie, że „uciekł *jest*", a i francuski byłby łatwiejszy dla Polaka w XV wieku, bo wówczas mówiono: „*przyjał jeśm* (to jest: przyjechałem) do Polski". Tylko że oni, i Niemcy i Francuzi, przy większości czasowników nie posiłkują się ani *sein*, ani *être* („być"), ale *haben, avoir* („mieć") mają. Co kraj, to obyczaj. Na to już nie ma rady.

(*) *Obiesiła* — równe dzisiejszemu *obwiesiła*. *Dwu łotru* — żywotny biernik liczby podwójnej.

7. „ZNAJESZ" I „UMIEJESZ".

Różne rzeczy dobrych Polaków w różnych epokach obowiązywały. Np. kiedyś — a w znanym nam ostatnim dwustoleciu średniowiecza zostały po tym poważne ślady — dobrego Polaka obowiązywały formy: (ja) *znaję, umieję*, (ty) *znajesz, umiejesz*, (on) *znaje, umieje*, (my) *znajemy, umiejemy*, (wy) *znajecie, umiejecie*, (oni) *znają, umieją*. Tyczyło to wszystkich czasowników, które dziś — jak np. *działam, śmiem* — w pierwszej osobie liczby pojedynczej czasu teraźniejszego (lub przyszłego) kończą się na *-am* lub *-em*, oprócz pradawnych *dam, jem* i *wiem*.

Tak np. w roku 1488 — a panował nam wtedy miłościwy Kazimierz Jagiellończyk — błogosławiony Włodzisław z Gielniowa w usta Pana Jezusowe włożył słowa przedśmiertne: „duszo moja miła, ojcu cie *polecaję*". A w Psałterzu floriańskim król Dawid starał się zetrzeć nasz sceptycyzm zapewniając, iż „*znaje* Gospodzin drogę prawych". Ktoś inny użył w roku 1405 podługowatego *znajemy*.

Ale to były już raczej resztki, ostatki. Przewlekłe formy z *-aje-* i *-eje-* dość wcześnie „ściągnęły się" w jedną, pierwotnie długą samogłoskę: *-a-* lub *-e-*. Trzecia osoba liczby mnogiej pozostała bez zmiany. Pierwsza podciągnęła się pod pradawne *dam, jem* i *wiem*, trzy bardzo szanowne i niezbędne czasowniki, bez których i my dnia nie możemy przepędzić. Tą drogą powstały formy *znam* i *umiem*.

Reforma pociągnęła za sobą zerwanie z Rusią, gdzie i dziś jeszcze przewlekają: *znajesz, rozumiju*, czasu widocznie pod dostatkiem mając, no, ale można było to zerwanie odpłakać.

Dziś dobry Polak mówi *znam, znasz, umiem, umiesz*, i nie *śmie* inaczej się wyrazić, bo by go inni, jak czarne kruki białego, zbiorowo na śmierć zadziobali. Ale *śmieje* się przeciągle jeszcze, *poznaje* bardzo długo, długo, i *chwieje* po pijanemu na szerokiej polskiej drodze. *Dzieje* się coś strasznego, ale nie *dziejać* i nie *dziejało* powiemy, tylko: „*działo* się to lat temu sto" (*). Niekonsekwencja? Konsekwencji szukaj w dykcjonarzu, nie w życiu ani w języku.

8. GOSPODZIN I PWA.

Gdy przerzucamy średniowieczne zabytki, natrafiamy od czasu na czasu na słowa, wobec których stajemy bezradni. Do słownika radzi byśmy wtedy sięgać, zupełnie tak samo, jakbyśmy czytali tekst jaki w obcym, nie własnym pisany języku. Wówczas to, z większą niż zwykle wyrazistością, unaoczniamy sobie,

(*) W dialektach i w tym wypadku, i w innych może być inaczej: „strasnie jij buło margotno, ze taka krzywda *dziejała* się tymu chłopu". Łukówiec, pow. garwoliński, woj. warszawskie.

ile to lat, ile wieków-stuleci upłynęło od owych dawnych, minionych dni. Jako liście z drzew lecące umierają słowa — możemy westchnąć za Horacym.

Wietnica brzmi dość dostojnie a znaczy ,,dom rady, ratusz''. Rdzeń ten sam, co i w *wiecu* (dawniej *to wiece,* nie *ten wiec*), w *po-wieci-e* i w *obietnicy* (*ob-wiet-nica*), rosyjskie tu należą *Sowiety* i *otvéty* (*sovét* — ,,rada'', *otvét* — ,,odpowiedź'').

Marcha brzmi raczej tajemniczo, oznacza ,,ciało martwe, padlinę''. Rdzeń ten sam, co w słowie *u-mar-ł,* a sufiks jak w wyrazach *strze-cha* (ze *stroi-ć* wiązane, por. dzisiejsze rosyjskie znaczenie ,,budować'') i *wie-cha* (to od *wi-ć*).

Sok znamy dziś malinowy, pomarańczowy lub cytrynowy, rdzeń ten co i w *po-soc-e.* W średniowiecznej Polsce *sok,* słowo utworzone od innego rdzenia, był oskarżycielem-potwarcą.

,,Rzeczniczko nasza dobra,
Miłościwa, barzo (*) mądra,
Racz za nami orędować,
Naszym *sokom* odpowiadać.''

Obok *soka* był również i czasownik *soczyć,* ,,oskarżać'' — w XVI wieku mało kto już rozumiał, co te słowa znaczą.

Stradzy już nie ma. Dziś się to nazywa tylko *cierpienie.* Dawni Polacy mówili również: ,,Stała się rzecz wielmi dziwna, Panna syna porodziła *Przeze* (to jest *bez*) wszej *stradze* cielestnej'' (początek XV wieku).

Pwa, zwłaszcza jeżeli wymówimy *pfa,* jak to większość z nas zwykła czynić, brzmi dziś zgoła niepoważnie, choć jeszcze na przełomie XIV i XV wieku oznaczała 'ufność, zaufanie': ,,Błogosławieni wszytcy, jiż imają (to jest *mają*) w nim *pwę''* (Psałterz floriański). Czasownik stąd był *pwa-ć: ,,schowaj mie* (to jest: zachowaj mnie), Gospodnie, bo jeśm *pwał* w cię''. Z tego czasownika pozostało nam jedynie *u-fa-ć, z u-pwa-ć* uproszczone. Ale przymiotnik *pew-ny* nadal dawną tradycję utrzymuje.

Płynny, czysty miód nazywamy dziś, coraz rzadziej chyba, *patoką.* Prefiks *pa-,* jak w *pa-rob-ku, pa-rowie,* rdzeń ten sam co w *ciekę, ciec* (porównaj parę: *po-włok-a* i *po-wlek-ę*). Na przełomie XIV i XV wieku używano jeszcze innego słowa: (ta) *stredź,* (tej) *strdzi:* ,,z opoki *strdzi* nasycił je'', co znaczy: nasycił ich miodem płynącym ze skały. *Stredź* jak i *patoka,* obie nazwane są od ,,cieczenia-płynięcia''. *Stredź* ma rdzeń ten sam, co i *stru-ga, o-strów,* 'wyspa' (jakgdyby 'opływ', bo woda ją zewsząd opływa, oblewa).

Stdzy już nie używamy. Bardzo trudna była dla szczególnego zbiegu spółgłosek, więc pozostała nam tylko zdrobniała jej postać, *ścież-ka.* ,,Odchylił jeś *stdze* nasze od drogi twojej'' —żalił się Bogu król Dawid w Psałterzu floriańskim.

(*) *Bardzo* (*rz* czytać jak w *marznąć*) — znane jest jeszcze dziś w Istebnej na Śląsku Cieszyńskim.

Kto zapamiętał sobie *pa-tok-ę*, od razu zrozumie, co znaczyła *u-tok-a*, od *u-ciec*, a więc *u-ciecz-ka* : „Moc moja i *utoka* moja jeś ty" (Psałterz floriański). Ale był i *utok*, o tym samym znaczeniu, męskiego rodzaju, tak jak i *po-tok*, który też od cieczenia się wiedzie. Tylko, skoro już o *potoku* mowa, dodajmy, że *ciec* w dawnym języku znaczyło 'płynąć'. O „rzekach *bystrze ciekących*" opowiadał jeszcze Rej w roku 1568.

Nie wiem, czy znalazłby się w całej Polsce odważny młody człowiek, który by swojej wybranej ośmielił się powiedzieć, że jest *urępna*. Strasznie dziś to brzmi. Jak : *ponura, posępna, wstrętna klempa*. A za Jagiełły to i o Jadwidze, o Annie Cylejskiej, o Elżbiecie Granowskiej i Zofii Holszańskiej (Biblia Królowej Zofii!) nie tylko wypadało tak mówić, ale i stare Litwinisko się cieszyło nie zawsze zresztą wiedząc, co się święci, bo *urępna* tyle znaczyło co *piękna*. W Psałterzu floriańskim nawet Bóg-Gospodzin był *urępny !* Coś jednak niezbyt długie było tego dziwacznego słowa królowanie i cnotliwe panny, wesołe wdówki i smutne mężatki na zawsze sobie wyprosiły, żeby ich tak nie nazywać. Już Zygmunt August, Jagiełłowy prawnuk a wielki płci pięknej wielbiciel, ani Barbarze, ani tym innym, nigdy nie mówił, że są *urępne*.

Przy pomocy Kościoła i żebraków przetrwało wieki *miłosierdzie* i *litosierdzie*, a za sprawą medyków i *osierdzie*. *Sierdzimy* się również, ale *rozsierdzia*, 'gniewu', znanego Psałterzowi, już nie ma.

Dziś mówimy tylko *policzek*. W średniowieczu znany był także *poszyjek*, 'uderzenie po szyi, w szyję', nazwane podobnie jak i cios w *lice*. Utrzymało się tylko to słowo, które oznaczało uderzenie-zniewagę (*).

Dziesiątki słów średniowiecznych zrozumiemy, jeżeli znamy jeszcze jakiś inny słowiański język, gdzie dane słowo po dziś dzień się utrzymało, podczas gdy w polskim zanikło. Zdziwi nas zapewne, gdy się dowiemy, iż dawni Polacy jeszcze w pierwszej połowie XIV wieku — obok *czasu* — znali słowo *wrzemię* i przymiotnik *wrzemienny*, 'doczesny'. „W kakie *wrzemię* zgrzeszył" — pisze świętokrzyski kaznodzieja, i : „w dobrze *wrzemiennym* lubował". Oba te słowa mają odpowiedniki w dzisiejszych rosyjskich *vrémja* i *vrémennyj*.

„*Hóspody pomyłuj*" znamy wszyscy przynajmniej z Trylogii. Dawni Polacy nie potrzebowali na Ruś wędrować, bo słowo mieli u siebie : „*Gospodzin* (tj. Pan, Bóg) rzekł ku mnie : syn moj jeś ty, ja dzisia porodził jeśm cie" (Psałterz floriański). Odmieniało się to : *gospodzina* lub *gospodna*. *Pani* nie tylko *panią* była, ale i *gospodzą* (por. ros. *gospoża*) : „słuchaj tego, *gospodze*" — mówił w XV wieku archanioł Gabriel do Marii Panny rozpoczynając swoje doniosłe poselstwo.

Dzisiejsze rosyjskie *nelzja* lub czeskie *nelze* bardzo się nam

(*) Ks. Jakub Wujek, tłumacz pisma świętego z XVI w., zna i *pogębek*, dziś — ze względu na *gębę* — brzmiący wulgarnie.

obce wydaje, a przecież mieliśmy niegdyś i własne *nielza*: „*nielza* dosiąc twego świętego ciała" — żali się Matka Boża pod krzyżem w najpiękniejszym lirycznym wierszu naszego średniowiecza. Ci pisarze, którzy myśląc, że *z* tu zamiast *ż*, jak w mazurskiej *zonie* zamiast *żony*, *nielża* piszą, dopuszczają się językowego grzechu nieświadomości dobrego i złego, nawet jeśli ratuje ich nieco irracjonalna dźwiękowa przymieszka *żalu*.

„Jako *ssąd* zdunowy rozbijesz je" — mówi Bóg w Psałterzu floriańskim. *Zdun* wówczas oznaczał garncarza, a *ssąd* to polski odpowiednik rosyjskiego *sosùd'a*, 'naczynia'.

Um za razum zachódit mówią Rosjanie, gdy chcą powiedzieć, że ktoś rozumuje sztucznie i zawile. W heretyckim wierszu z XV wieku Jędrzej Gałka z Dobczyna sławi angielskiego reformatora religijno-społecznego Wycliffe'a twierdząc, iż tenże: „Od boskich rozumow aż *do* ludzkich *umow* rzeczy pospolite, wiele mędrcom zakryte, uczynił odkryte" (bardzo kiepski wiersz, ale *um* jest i to w tym samym przeciwstawieniu do *rozumu* do po rosyjsku!).

Vostók mówią dziś Rosjanie i *zapad*, tam gdzie my *wschodu* i *zachodu* używamy. *Wstoku* chyba nigdyśmy nie mieli, ale *zapad* (tak dziś jeszcze i u Czechów) był: „ode wschoda słuńca aż *do zapada*" — czytamy w Psałterzu floriańskim, gdzie jednak znajdziemy również i dzisiejszy *zachód*: „od słuńca wschoda aż *do zachoda*", bo oba *-chody* stanowią wzajemnie wspierającą się parę. Czesi *wschodu* nie znają, ale *vychod*, który także i u nas był: „trze królowie przyjeli (tj. przyjechali) *od wychoda* słuńca".

Ostrów, *'wyspę'*, znamy dziś tylko z nazw miejscowych (*Ostrowiec*, *Ostrów*), ze Starej baśni Kraszewskiego, z Księgi ubogich Kasprowicza i od Kaszubów, w XV wieku zaś słowo to było bardzo częste, i wysyłał cesarz Domicjan Jana Ewangelistę „*na* jeden *ostrow*" pragnąc, „iżbyć ji tamo lwowie śniedli" (tj. 'zjedli', por. *śniadanie*, tj. zjadanie).

Uczennik w staropolszczyźnie używany był wespół z *uczniem*: „wstąpił na gorę, a gdy siadł, przystąpili k niemu *uczennicy* jego" (Kazanie praskie). Rosjanie po dziś dzień o *uczenikach* mówią.

Wielmi jasne będzie od razu dla każdego, kto czeski zna, gdzie *velmi* to 'bardzo': „Miasto *wielmi* sławne było".

Że *pośledni* znaczyło 'ostatni' a nie 'marny', 'pośledniego gatunku', wie każdy, kto słyszał: *éto budet poslédnij boj*. „Nie uźrzycie mego oblicza, aliż ku sądowi *poślednieimu* przydę" — mówi Chrystus w Rozmyślaniu przemyskim mając na myśli sąd ostatni czyli ostateczny.

Nie tylko *wielki* znany był średniowiecznym Polakom, ale i — starsza to postać — *wieliki*, jak dziś u Rosjan i u Czechów (i w naszej *Wieliczce*): „Światłość *wielika* z niebios nań wstąpiła" — mówi gnieźnieński kaznodzieja.

Nie tylko *jaki*, ale i *kaki* (cudacznie brzmi dziś to słowo, kakofonicznie!) przewija się poprzez teksty średniowieczne: „*kaki* to moj rozum głupi!" — korzy się na łożu śmierci grzesznik

sprzed pół tysiąca lat. „*Kako* jego święte usta zbladły" — szepce nabożnie autor Rozmyślania przemyskiego rozpamiętując Mękę Pańską. Rosjanin bez trudu by to słowo zrozumiał.

Dziś mówimy: *czekać*, w średniowiecznym języku było *czakać: „czakał* jeśm Gospodna" (tj. czekałem na Pana, Boga). Ale było i *żdać*, jak dziś jeszcze i u Rosjan i w kijowskiej Ukrainie: „*żdał* jeśm zbawienia twego, Gospodnie" (oba przykłady z Psałterza floriańskiego).

„Sprawiedliwość przez miłości (tj. bez uczucia litości, tolerancji) jest okrutność (okrucieństwo), a miłość *opięć* przez sprawiedliwości jest rozpuszczenie" — czytamy w Kazaniu praskim. Rosjanie mówią *opjat'* a Czesi *opet* (znowu, z powrotem, na powrót, zaś).

Oczywiście z przytoczonych przykładów nie należy bynajmniej wyciągać wniosku, że słownictwo innych słowiańskich języków, rosyjskiego czy czeskiego, jest bardziej archaiczne niż zasoby słownikowe polskie. Dość łatwo można wskazać słowa, które w języku polskim się utrzymały, a u innych Słowian — Rosjan lub Czechów — zanikły. Np. Czech nie używa już wyrazu *tucze*, my zaś *tęczę* znamy, a Rosjanie dawną słowiańską nazwę mrówki przerobili-przekształcili nieledwie nie do poznania. Przykłady takie można by cytować setkami.

Stanisław WESTFAL

(*Dokończenie nastąpi*)

A. B. C. instytucji międzynarodowych

II. — *ORGANIZACJE ATLANTYCKIE*

ECONOMIC COOPERATION ADMINISTRATION E.C.A.
ADMINISTRATION DE COOPERATION ECONOMIQUE A.C.E.
ADMINISTRACJA WSPÓŁPRACY GOSPODARCZEJ

(organizacja rządowa)

Siedziba : Waszyngton.

Data założenia : Ustawa Amerykańska (Foreign Assistance Act) z 1948 roku, po słynnej mowie generała Marshall'a.

Data likwidacji : 1951.

Cele : Pomoc państwom europejskim, które są członkami O.E.E.C. celem uniezależnienia gospodarczego i odbudowy ich zrujnowanych wojną gospodarek.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Ścisły stosunek z O.E.E.C.

Uwagi : Pomoc Stanów Zjednoczonych, przekazana Europie za pośrednictwem E.C.A. wyniosła około 12.000.000 dolarów. W roku 1951 E.C.A. została zastąpiona przez Organizację Wspólnego Bezpieczeństwa (Mutual Security Agency — M.S.A.). E.C.A. nie była organizacją międzynarodową w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale urzędem amerykańskim.

MUTUAL SECURITY AGENCY M.S.A.
AGENCE DE SECURITÉ MUTUELLE.

(organizacja rządowa)

Siedziba : Waszyngton.

Data założenia : Ustawa amerykańska ,,Mutual Security Act'' (10. X. 1951).

Data likwidacji : lipiec 1953.

Uwagi : Konieczność podporządkowania jednemu organizmowi pomocy gospodarczej, wojskowej i technicznej, udzielanej przez Stany Zjedno-

czone było głównym powodem stworzenia Mutuel Security Agency. Kompetencje M.S.A. zostały przejęte w lipcu 1953 roku przez F.O.A. (Foreign Operations Administration).

NORTH ATLANTIC TREATY ORGANIZATION N.A.T.O.
ORGANISATION DU TRAITÉ DE L'ATLANTIQUE NORD O.T.A.N.
ORGANIZACJA PAKTU ATLANTYCKIEGO.

(*organizacja między-rządowa*)

Siedziba : Sekretariaty Komitetu Wojskowego i Grupy Wykonawczej (Standing Group) — Waszyngton. Sekretariat Rady Produkcji Obronnej — Londyn. Sekretariat Rady Finansowej i Gospodarczej — Paryż.

Data założenia : Kwiecień 1949.

Cele : Ochrona wolności i wspólnej cywilizacji narodów wchodzących w skład paktu i opierających się na zasadach demokracji, wolności osobistej i praworządności.

Członkowie : Belgia, Kanada, Dania, Francja, Islandia, Włochy, Luksemburg, Holandia, Norwegia, Portugalia, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : N.A.T.O. nie utrzymuje oficjalnych kontaktów z organizacjami społecznymi. Jeżeli chodzi o organizacje międzyrządowe to Rada Finansowa i Gospodarcza Paktu współpracuje z O.E.E.C.

Struktura : Najwyższym ciałem organizacji jest Rada Atlantycka. Składa się ona z ministrów spraw zagranicznych państw uczestniczących. Rada zbiera się zasadniczo raz na rok. Rada Zastępców, złożona z wyższych urzędników, obraduje stale i ma za zadanie koordynację organów Paktu w zastępstwie Rady Atlantyckiej.

Siedzibą Rady Zastępców jest Londyn.

Uwagi : Działalność organizacji Paktu Atlantyckiego polega w pierwszym rzędzie na przygotowaniu obrony wspólnoty.

Zagadnienia ściśle wojskowe należą do kompetencji tak zwanego Komitetu Wojskowego (Military Committee), który składa się z Szefów Sztabu państw uczestniczących. Stałym organem wykonawczym tego Komitetu jest Standing Group, złożony z przedstawicieli Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji. Temu ostatniemu powierzona jest kontrola Naczelnego Dowódcy na Europę.

Lecz organizacja Atlantycka jest czymś więcej niż zwykłym sojuszem obronnym. Ma ona również pewne uprawnienia w dziedzinie gospodarczej. W tym celu zostały stworzone : Rada Produkcji Obronnej (Defence Production Board) i Rada Finansowa i Gospodarcza (Financial and Economic Board).

Unia Zachodnia (sojusz obronny podpisany przez Francję, Belgię, Holandię, Wielką Brytanię, Luksemburg w 1948 roku) została wcielona do Organizacji Atlantyckiej.

III. — *ORGANIZACJE EUROPEJSKIE*

BENELUX

(układ międzynarodowy)

Układ ten zawarty między Belgią, Holandią i Luksemburgiem w roku 1947 przewidywał stopniowe stworzenie unii celnej między tymi trzema państwami.

Benelux nie jest organizacją międzynarodową we właściwym tego słowa znaczeniu. Brak wspólnych organów ponadpaństwowych spowodował, że zadanie Benelux'u zostały tylko częściowo zrealizowane. Różnice w kosztach produkcji firm belgijskich i holenderskich nie pozwalają na zupełne zniesienie ograniczeń handlowych pomiędzy tymi krajami, a w szczególności na zniesienie kontyngentów i ograniczeń dewizowych.

COUNCIL OF EUROPEAN MUNICIPALITIES E.C.M.
CONSEIL DES COMMUNES D'EUROPE C.C.E.
RADA GMIN EUROPEJSKICH

(organizacja społeczna)

Celem Rady jest stworzenie Federacji Europejskiej, obrona autonomii gmin i organów miejscowych, reprezentacja gmin w instytucjach europejskich.

Członkami jej są reprezentacje gmin następujących państw : Belgia, Dania, Francja, Niemcy Zachodnie, Włochy, Luksemburg, Holandia, Saara, Szwajcaria.

COLLEGE OF EUROPE
LE COLLÈGE D'EUROPE
KOLEGIUM EUROPEJSKIE

(organizacja społeczna)

Stworzone z inicjatywy Ruchu Europejskiego Kolegium jest wyższą uczelnią otwartą dla studentów mających dyplomy uniwersyteckie. Nauczanie w Kolegium ogranicza się do przedmiotów, które wymagane są do pracy w instytucjach międzynarodowych.

Siedzibą Kolegium jest Bruges (Belgia).

EUROPEAN COMMUNITY
COMMUNAUTÉ EUROPÉENNE C.P.E.
POLITYCZNA WSPÓLNOTA EUROPEJSKA

(projekt organizacji między-rządowej)

Projekt ten, który można by nazwać projektem konstytucji europejskiej został przygotowany przez parlament Europejskiego Zjednoczenia Węgla i Stali zwany przy tej okazji Zgromadzeniem Ad Hoc. Zgromadzenie to przedłożyło projekt rządom Francji, Niemiec Zachodnich, Włoch, Holandii, Belgii i Luksemburga.

Wspólnota Europejska ma być zaczątkiem europejskiego państwa federalnego.

Wspólnota przejąć ma na razie kompetencje Europejskiego Zjednoczenia Węgla i Stali oraz Europejskiej Wspólnoty Obrony.

Parlament Wspólnoty ma być złożony z dwóch izb : Senatu, złożonego z posłów wybieranych przez parlamenty narodowe oraz Izby Narodów, wybranej przez głosowanie powszechne.

Rząd Wspólnoty wybierany jest w sposób następujący. Premier, wyznaczany przez Senat, dobiera sobie ministrów, przy czym każdej narodowości przysługują maksymalnie dwie teki ministerialne. Rząd Wspólnoty może być obalony zarówno przez Senat jak i przez Izbę Narodów.

COUNCIL OF EUROPE C.E.
CONSEIL DE L'EUROPE C.E.
RADA EUROPY

(*organizacja między-rządowa*)

Siedziba : Strassburg.

Data założenia : Maj 1949.

Cele : Stworzenie jak najściślejszej unii między członkami, mającej na celu utrwalenie wspólnych ideałów i zasad oraz popieranie postępu społecznego i gospodarczego.

Członkowie : Belgia, Dania, Francja, Niemcy Zachodnie, Grecja, Islandia, Irlandia, Włochy, Luksemburg, Holandia, Norwegia, Szwecja, Turcja, W. Brytania. Saara jest członkiem nadzwyczajnym. Austria jest obserwatorem.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Rada współpracuje oficjalnie z O.E.E.C., I.L.O., U.N.E.S.C.O., I.R.O. i z Komisją Gospodarczą dla Spraw Europy O.N.Z.

Do lutego 1954 roku Rada Europejska nie utrzymywała oficjalnie żadnych kontaktów z organizacjami społecznymi. Od tej daty Rada posiada system konsultacyjny podobny do tego, który istnieje w U.N.E.S.C.O.

Struktura : Organami Rady są : Zgromadzenie Doradcze, złożone z 132 posłów wybranych przez parlamenty narodowe, Rasa Ministrów, której członkami są ministrowie spraw zagranicznych państw uczestniczących i Sekretariat.

Uwagi : Rada Europejska jest pierwszą instytucją Europy, w której biorą udział nie tylko przedstawiciele rządów ale również reprezentanci parlamentów czyli opinii publicznej. Jeżeli kompetencje Zgromadzenia Doradczego są ograniczone, to jego skład i metody pracy przypominają ciała o charakterze parlamentarnym więcej niż klasyczne konferencje dyplomatyczne. Działalność Rady Europy polega na opracowywaniu projektów układów międzynarodowych, które przedstawiane są rządom państw uczestniczących. Przykładem tej działalności może być Europejska Konwencja Praw Człowieka. Ale Rada Europy, a przede wszystkim Zgromadzenie Doradcze spełnia jeszcze inne niemniej ważne zadanie. Jako organizacja polityczna jest ona forum na którym poddawane są dyskusji publicznej wszystkie najważniejsze kwestie polityczne dotyczące Europy. Zagadnienia takie jak Plan Schumana, Armia Europejska, Wspólnota Polityczna były tematem debat strassburskich.

EUROPEAN CENTRE OF CULTURE
CENTRE EUROPÉEN DE LA CULTURE C.E.C.
EUROPEJSKIE CENTRUM KULTURY

(*organizacja społeczna*)

Stworzone przez Ruch Europejski Centrum jest instytucją mającą na celu szerzenia wśród Europejczyków idei wspólnoty kulturalnej.

Centrum koordynuje działalność szeregu instytutów i stowarzyszeń europejskich o charakterze kulturalnym lub naukowym.

EUROPEAN COAL AND STEEL COMMUNITY
COMMUNAUTÉ EUROPÉENNE DU CHARBON ET DE L'ACIER C.E.C.A.
EUROPEJSKIE ZJEDNOCZENIE WĘGLA I STALI

(*organizacja między-rządowa*)

Siedziba : Luksemburg.

Data założenia : Kwiecień 1951.

Cele : Rozwój gospodarczy, wzrost zatrudnienia i stopy życiowej w państwach uczestniczących poprzez stworzenie wspólnego rynku.

Członkowie : Niemcy Zachodnie, Belgia, Francja, Włochy, Luksemburg, Holandia.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Ścisła współpraca z Radą Europejską i z O.E.C.E. Kontakty z organizacjami społecznymi odbywają się za pośrednictwem specjalnego Komitetu Doradczego.

Struktura : Organami Wspólnoty są :

— Wysoki Urząd Węgla i Stali (Haute Autorité) jest organem wykonawczym Zjednoczenia. Ośmiu członków wyznaczonych jest przez rządy państw uczestniczących, dziewiąty zaś członek jest kooptowany.

— Rada Ministrów składa się z sześciu ministrów państw uczestniczących. Zadaniem Rady jest harmonizowanie akcji organu wykonawczego z działalnością poszczególnych rządów.

— Parlament składa się z 70 posłów wybranych przez poszczególne parlamenty narodowe. Organ wykonawczy przedstawia mu corocznie swój raport, który parlament zatwierdza. W wypadku nie zatwierdzenia kwalifikowaną ilością głosów Wysoki Urząd winien podać się do dymisji.

— Trybunał (Cour de Justice) ma za zadanie badać zgodność decyzji organu wykonawczego z przepisami traktatu.

Uwagi : Europejskie Zjednoczenie Węgla i Stali jest pierwszą w Europie Zachodniej instytucją o charakterze ponad-narodowym. W granicach swej kompetencji działalność jego jest niezależna od poszczególnych rządów. Decyzje Zjednoczenia mają moc wykonawczą na całym terytorium Zjednoczenia.

1 maja 1935 roku wprowadzony został wspólny rynek i zniesione wszystkie ograniczenia celne odnośnie węgla i stali.

Powierzchnia Zjednoczenia wynosi 1.130.000 km2, a ludność 160 milionów. Roczna produkcja stali wynosi 42 miliony ton, węgla 240 milionów ton.

Stoi ona pod względem wielkości produkcji na drugim miejscu na świecie (za U.S.A.).

EUROPEAN YOUTH CAMPAIGN E.Y.C.
CAMPAGNE EUROPÉENNE DE LA JEUNESSE C.E.J.
EUROPEJSKA KAMPANIA MŁODZIEŻOWA

(*organizacja społeczna*)

C.E.J. jest instytucją młodzieżową Ruchu Europejskiego. Pierwotnym jej zadaniem było propagowanie idei europejskiej wśród młodzieży. Posia-organizacji europejskich społecznych) staje się ona coraz bardziej organizmem propagandowym, stojącym na usługach całego Ruchu Europejskiego.

EUROPEAN DEFENCE COMMUNITY E.D.C.
COMMUNAUTÉ EUROPÉENNE DE DÉFENSE C.E.D.
EUROPEJSKA WSPÓLNOTA OBRONY

(*Projekt organizacji między-rządowej*)

Układ o Europejskiej Wspólnocie Obrony został podpisany w maju 1952 roku przez Francję, Niemcy Zachodnie, Włochy, Holandię, Belgię i Luksemburg. Układ ten nie został jeszcze ratyfikowany przez wszystkie parlamenty. Ma on na celu złączenie wojsk poszczególnych krajów w jednolitą armię europejską o charakterze ponad-narodowym. Armia ta byłaby podporządkowana jako całość dowództwu „Atlantyckiemu".

Plan Armii Europejskiej był inicjatywą rządu francuskiego, który wobec konieczności uzbrojenia Niemiec widział we wspólnej armii jedyną możliwą gwarancję przeciw odrodzeniu militaryzmu niemieckiego.

Struktura organizacyjna Europejskiej Wspólnoty Obrony podobna jest do systemu Europejskiego Zjednoczenia Węgla i Stali. Komisariat — organ wykonawczy — kontrolowany jest przez Parlament ponadpaństwowy.

ECUMENICAL COMMISSION ON EUROPEAN COOPERATION E.C.E.C
COMMISSION ŒCUMENIQUE POUR LA COOPÉRATION EUROPÉENNE C.O.C.E.
KOMISJA EKUMENICZNA WSPÓŁPRACY EUROPEJSKIEJ

(*organizacja społeczna*)

Organizacja ta o charakterze protestanckim ma na celu studiowanie zagadnień związanych z Unią Europejską.

EUROPEAN LEAGUE FOR ECONOMIC COOPERATION E.L.E.C.
LIGUE EUROPÉENNE DE COOPÉRATION ECONOMIQUE L.E.C.E.
EUROPEJSKA LIGA WSPÓŁPRACY GOSPODARCZEJ

(*organizacja społeczna*)

Siedziba : Bruksela.

Data założenia : 1946.

Cele : Popierać zjednoczenie gospodarcze Europy.

Członkowie : Sekcje narodowe w 9 krajach europejskich.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : L.E.C.E. jest członkiem Ruchu Europejskiego. Ma ona kontakty z O.E.E.C. i Radą Europejską.

Uwagi : L.E.C.E. ma, przez swoje publikacje i studia gospodarcze, duży wpływ na działalność Ruchu Europejskiego na polu ekonomicznym. (Ruch Europejski powierzył Lidze organizację dwóch Zjazdów Gospodarczych, które odbyły się w Westminsterze w 1949 i 1954 roku).

EUROPEAN MOVEMENT — E.M.
MOUVEMENT EUROPÉEN — M.E.
RUCH EUROPEJSKI

(*organizacja społeczna*)

Siedziba : Bruksela.

Data założenia : Grudzień 1947.

Cele : Mobilizacja opinii publicznej dla sprawy zjednoczenia Europy.

Członkowie : Następujące organizacje są członkami ruchu : Conseil français pour l'Europe Unie, Ligue Européenne de Coopération Economique, Union Européenne de Fédéralistes, Nouvelles Equipes Internationales, Mouvement Socialiste pour les Etats Unis d'Europe, United Europe Movement.

Ruch Europejski posiada Komitety Narodowe w następujących państwach : Austria, Belgia, Dania, Francja, Niemcy Zachodnie, Grecja, Włochy, Luksemburg, Holandia, Norwegia, Saara, Szwecja, Szwajcaria, Wielka Brytania.

W skład Ruchu wchodzą również następujące uchodźcze Komitety Narodowe : Bułgarski, Czechosłowacki, Estoński, Węgierski, Litewski, Łotewski, Polski, Rumuński, Hiszpański, Jugosłowiański.

Stosunek do innych organizacji : Ruch Europejski utrzymuje łączność z C.E., C.E.C.A., O.E.C.E. i z szeregiem organizacji lub instytucji społecznych.

Struktura : Struktura Ruchu Europejskiego jest trzystopniowa :
Rada Międzynarodowa (65 delegatów),
Komitet Wykonawczy (20 członków),
Biuro Wykonawcze — Standing Committee (7 członków).

Komitet dla spraw Ponad-narodowej Wspólnoty Europejskiej, złożony z przedstawicieli części kontynentalnej Ruchu Europejskiego, kieruje akcją zmierzającą do stworzenia Federacji sześciu państw (Francja, Niemcy Zachodnie, Włochy, Belgia, Holandia, Luksemburg).

Uwagi : Ruch Europejski koordynuje wysiłki organizacji społecznych, mające na celu Zjednoczenie Europy. W wyniku uchwał pierwszego Kongresu Ruchu, który odbył się w Hadze w 1948 roku, stworzona została w maju 1949 roku Rada Europejska. Kierownicy Ruchu, którzy są członkami Rady Europejskiej i Europejskiego Zjednoczenia Węgla i Stali, skupiają swą działalność obecnie na dwóch politycznie najważniejszych projektach : Armii Europejskiej i Wspólnoty Politycznej.

Ruch Europejski zorganizował szereg Zjazdów mających na celu omówienie europejskich problemów gospodarczych i społecznych.

W roku 1952 odbyła się w Londynie konferencja poświęcona sprawom Europy Środkowej i Wschodniej.

Ruch poświęca specjalną uwagę sprawom młodzieżowym. Stworzył on sekretariat międzynarodowy tzw. Campagne Européenne de la Jeunesse.

SOCIALIST MOVEMENT FOR THE UNITES STATES OT EUROPE M.S.U.S.E.

MOUVEMENT SOCIALISTE POUR LES ETATS-UNIS D'EUROPE M.S.E.U.E.

RUCH SOCJALISTYCZNY DLA STANÓW ZJEDNOCZONYCH EUROPY

(*organizacja społeczna*)

Siedziba : Paryż.

Data założenia : Luty 1947.

Cele : Cel bezpośredni : stworzenie Federacji Europejskiej.

Cel definitywny : Stworzenie Socjalistycznych Stanów Zjednoczonych Europy.

Członkowie : Sekcje Narodowe. Sekcje te utożsamiają się w pewnych krajach z partiami socjalistycznymi, w innych zaś są złożone z członków indywidualnych. Istnieją również sekcje narodowe uchodźcze.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : M.S.E.U.E jest członkiem Ruchu Europejskiego.

Uwagi : M.S.E.U.E. ma znaczny wpływ na środowiska socjalistyczne w następujących krajach : Francja, Holandia, Belgia, Luksemburg, Saara, Włochy.

Działalność organizacji rozwija się również w środowisku syndykalnym.

M.S.E.U.E. wydaje miesięcznik Gauche Européenne.

ORGANIZATION FOR EUROPEAN ECONOMIC COOPERATION O.E.E.C.

ORGANISATION EUROPÉENNE DE COOPÉRATION ECONOMIQUE O.E.C.E.

EUROPEJSKA ORGANIZACJA WSPÓŁPRACY GOSPODARCZEJ

(*organizacja między-rządowa*)

Siedziba : Paryż.

Data założenia : Kwiecień 1948.

Cele : Uzdrowienie gospodarki europejskiej przez współpracę ekonomiczną państw uczestniczących.

Członkowie : 18 państw Europy Zachodniej (w tym Niemcy Zachodnie). Państwa bloku sowieckiego, które były zaproszone odmówiły wstąpienia do organizacji.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Łączność z Radą Gospodarczą i Społeczną O.N.Z. (Economic and Social Council) i innymi agencjami specjalnymi O.N.Z.

Współpraca z Radą Europejską (Council of Europe — C.E.) i Europejskim Zjednoczeniem Węgla i Stali (Communauté Européenne du Charbon et de l'Acier — C.E.C.A.). O.E.E.C. współpracuje oficjalnie jedynie z pięcioma organizacjami społecznymi (o charakterze syndykalnym).

Uwagi : O.E.E.C. wypełniła swoje zadanie, przynajmniej w pierwszych latach swego istnienia : doprowadziła ona do ścisłej współpracy państw europejskich na polu gospodarczym. W ostatnim okresie jednak (od wybuchu wojny w Korei) sytuacja się pogorszyła gdyż państwa europejskie wraz z końcem pomocy amerykańskiej (Plan Marshall'a) zaczęły przyjmować coraz bardziej niezależne stanowisko, utrudniając tym samym współpracę gospodarczą.

CATHOLIC SECRETARY'S OFFICE FOR EUROPEAN PROBLEMS
SECRÉTARIAT CATHOLIQUE POUR LES PROBLÈMES EUROPÉENS — S.C.P.E.
SEKRETARIAT KATOLICKI DLA SPRAW EUROPEJSKICH

(*organizacja społeczna*)

Sekretariat ma siedzibę w Strassburgu gdzie wydaje dwutygodniowy przeznaczonych do użytku organizacji i instytucji katolickich.

Sekretariat ma siedzibę w Strassburgu gdzie wydaje dwutygodniowy biuletyn.

EUROPEAN UNION OF FEDERALISTS
UNION EUROPÉENNE DES FÉDÉRALISTES — U.E.F.
EUROPEJSKI ZWIĄZEK FEDERALISTÓW

(*organizacja społeczna*)

Siedziba : Paryż.

Data założenia : Grudzień 1946.

Cele : Koordynacja wysiłków organizacji społecznych zmierzających do stworzenia Europejskiego Państwa Federalnego.

Członkowie : Narodowe Organizacje Federalistyczne.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : U.E.F. jest członkiem Ruchu Europejskiego.

Uwagi : U.E.F. jest wewnątrz Ruchu Europejskiego grupą dążącą do jak najściślejszej Unii Państw Europejskich. Wysiłki tej organizacji zmierzają obecnie wyłącznie do stworzenia federacji sześciu państw (tak zwanej Małej Europy).

EUROPEAN PAYMENTS UNION — E.P.U.
UNION EUROPÉENNE DES PAYEMENTS — U.E.P.
EUROPEJSKA UNIA PŁATNICZA
(*organizacja między-rządowa*)

Siedziba : Paryż.

Data założenia : Sierpień 1950.

Cele : Ułatwienie wymian handlowych poprzez stworzenie systemu kompensaty walut poszczególnych krajów.

Członkowie : Te same państwa do w O.E.E.C. (18 państw Zachodniej Europy).

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Stworzenie E.P.U. zostało uchwalone na jednym z zebrań Organization for European Economic Cooperation (O.E.E.C.). E.P.U. jest ściśle związana z O.E.E.C.

Uwagi : System E.P.U. różni się od innych układów międzynarodowych w tej dziedzinie tym, że stwarza on system wielostronny, na mocy którego uczestniczące państwa mogą używać dewiz jakiegokolwiek innego uczestniczącego państwa do spłat długów zaciągniętych w innych państwach uczestniczących.

EUROPEAN PARLIAMENTARY UNION
UNION PARLAMENTAIRE EUROPÉENNE
EUROPEJSKA UNIA PARLAMENTARNA
(*organizacja społeczna*)

Unia została założona w roku 1947 przez hrabiego Coudenhove-Kalergi. Postawiła ona sobie za zadanie pozyskanie posłów parlamentów europejskich dla sprawy Federacji Europy. W roku 1952 działalność Unii została przejęta przez Komisję Parlamentarną Ruchu Europejskiego.

Jerzy RENCKI

(c. d. n.)

Listy do Redakcji

Drogi Panie Redaktorze,

Przed paru tygodniami na łamach naszego organu prasowego, będącego własnością Związku Polaków w Argentynie i ponoć — jako pismo społeczne — redagowanego przez ,,społeczny'' komitet redakcyjny, w dziale *Kultura i Wiedza,* ukazał się sążnisty artykuł (aż w dwóch kolejnych numerach!) pod tytułem *Gombrowicz.* Pod nim figurował podpis autora — Wacław Kozłowski, ale brakowało przyjętej w takich wypadkach notatki, że za wyrażone poglądy redakcja nie odpowiada i drukuje je na odpowiedzialność autora. To ostatnie podkreślam mocno gdyż wyżej wspomniany ,,artykuł'' nie był bynajmniej krytyką działalności literackiej Gombrowicza a po prostu ordynarną napaścią na pisarza polskiego,tworzącego w trudnych warunkach emigracyjnych, w tej samej Argentynie. I to nie tylko na pisarza a przede wszystkim na człowieka, na Polaka, który inaczej rozumuje i inaczej odczuwa miłość Ojczyzny niż ,,stoi w uświęconych kanonach''.

Nie jestem na tyle zarozumiały by ,,bronić'' Witolda Gombrowicza, natomiast jestem na tyle zarozumiały, by nie podejmować dyskusji z p. Kozłowskim na płaszczyźnie i w formie przez niego stosowanej. Musiałbym zejść na poziom poniżej... Morza Martwego. Chodzi mi zupełnie o co innego.

W naszych kołach emigracyjnych, które dość dumnie określamy nazwą społeczeństwa, szerzy się straszna choroba. Nazwijmy ją lapidarnie chorobą ,,bezkarnego opluwania''. Jakże łatwo, jak przeraźliwie łatwo — niczym wypicie szklanki wody — rzuca się oszczerstwa, szafuje się słóweczkami : szuja, złodziej, obcy agent, zdrajca !... Bez zastanowienia podaje się w wątpliwość najlepsze chęci — doszukując się (naturalnie!!!) osobistych korzyści, babrze się w sprawach prywatnych i intymnych ! Często — na forum publicznym — najczęściej w nieobecności osoby zainteresowanej. A reakcja społeczeństwa ? Ż a d n a ! Można bezkarnie, z pełnym poczuciem jakiejś nietykalności własnej, rzucać najcięższe oskarżenia i oszczerstwa, można opluć od stóp do głowy. Aby to jedynie było okraszone okrągłym frazesem z ogólnie uznanego archiwum zdań ,,patriotycznych, moralnych, społecznych''! Wtedy nikt nie zareaguje, nie zaprotestuje, nie przywoła do porządku! Po prostu będzie się... b a ł ! Najwyżej z pewnym złośliwym zainteresowaniem oczekuje się : jak ten opluty obroni się ? oczyści ?

Nazwałem to chorobą. Jest gorszą od raka. Zżera nie tylko naszą godność osobistą, ale podaje w wątpliwość wartość naszą jako społeczeństwa.

Artykuł p. Kozłowskiego w „Głosie Polskim" wzmocniony został prawdziwnym bigosem cytat wyrwanych z r o z m a i t y c h dzieł Gombrowicza. I z krzywego zwierciadła, bolesnej krytyki-satyry jakim jest Trans-atlantyk" i z drukowanego odcinkami w *Kulturze* „Dziennika" (mającego — według mojego skromnego zdania — prawdziwie filozoficzne zacięcie). Tak spreparowana mieszanka, okraszona w dodatku „imaginacyjnymi rozmowami z autorem" na czytelnika (gazety) musi działać wręcz piorunująco i wywołać „święte oburzenie". Treść dzieła, i n t e n c j a i m y ś l pisarza naturalnie zginęły, zostały pominięte. Celowy dobór cytat uwypuklił jedynie błyski „krzywego zwierciadła" satyry, bez zrozumienia ich... bólu.

Czy w tym była celowość, czy taniość brania „dosłownie", czy też zamglenie formą i kompletne niezrozumienie treści ? Nie potrafiłbym powiedzieć. Natomiast trzeba stwierdzić — nieuczciwość metody. I w odniesieniu do autora i do czytelnika.

W jakim celu zwracam się do *Kultury* z tymi naszymi, parafialnymi (na pozór!) sprawami dalekiej Argentyny? Chodzi jeszcze o jeden aspekt. Po ukazaniu się dwunumerowego artykułu (nie waham się powtórzenia określenia — napaści), do redakcji zaczęły napływać listy protestacyjne. Wydrukowano krótki i pełen godności list samego Gombrowicza oraz również krótki artykuł p. Stanisława Szwejsa. Resztę zbyto lakoniczną odpowiedzią: „temat wyczerpano, nie umieścimy". Nie zdziwiło mnie specjalnie odrzucenie i mojego protestu. Można i tak.

Ton protestów musiał jednak być tak żywy, że redakcja „Głosu" musiała po odpowiednim (chyba?) zreferowaniu sprawy Zarządowi Związku Polaków zabezpieczyć się uchwałą tego ostatniego: „Przerwać dyskusję (?) Gombrowicz-Kozłowski". Uchwałę również wydrukowano. Powtarzam — można i tak. Ale bezpośrednio po tej uchwale wydrukować nową napaść p. Kozłowskiego, nowe „rozprawianie się" i z listem Gombrowicza i z jedynym (dopuszczonym!) jego „obrońcą" panem Szwejsem? Podobno nieprzyzwoitość też ma jakieś granice. Zostały one przekroczone i to w sposób w dziennikarstwie polskim dotąd niestosowany.

Wspomnę jeszcze, że swój artykuł p. Kozłowski zakończył dość nieoczekiwanym zwrotem. Czymś pośrednim pomiędzy apelem a pouczeniem. Cytuję: „...patetyczny sens polskiej tułaczki jest realny, prosty i wspaniały"... sens jej wymaga... „nauczenia się zgodnego współżycia z innymi rasami i narodami w atmosferze zrozumienia, tolerancji, sympatii, współdziałania i wzajemnego szacunku". Właśnie — s z a c u n k u !

Nie uważam wprawdzie tej pięknej wskazówki (piszę „pięknej" bez śladu ironii) za „sens naszej tułaczki", tym niemniej gotów jestem podpisać się pod nią prawą i lewą ręką. Może jednak z małą poprawką a raczej istotnym uzupełnieniem. Otóż : czyż nie byłoby słuszne, nam samym, na naszym własnym podwórzu apelować i o zrozumienie i... a to przede wszystkiem! o ten wzajemny szacunek?

Łączę wyrazy nie zdawkowego a prawdziwego szacunku.

Wiktor *OSTROWSKI*



Drogi Panie Redaktorze,

W kampanii, jaką przeciw Gombrowiczowi prowadzi argentyński „Głos Polski" kilkakrotnie wymieniane było moje nazwisko w charakterze koronnego świadka. Stwierdzam, że prawdziwy sens mego esseju „Pióra maczane w ukropie" wiernie oddał K. A. Jeleński w czerwcowym numerze „Kultury".

Czesław *STRASZEWICZ*

Drogi Panie Redaktorze,

W niezmiernie pożytecznej, choć równie posępnej, dyskusji nad szkocką Berezą w Shinafoot zarówno generał Kukiel jak i syn Korkiewicza powoływali się na rzekome oczyszczenie tego, czy owego osobnika z takich, czy innych zarzutów przez sądy polowe. Ostatecznie mogę zrozumieć, że zapewne młody p. W. Korkiewicz nie wie, czym były polskie sądy polowe. Sądzę jednak, że przynajmniej generał Kukiel powinien znać prawdziwy charakter tych instytucji, które — w każdym razie w czasie ostatniej wojny — niewiele miały wspólnego z wymiarem sprawiedliwości.

Przez wiele miesięcy byłem przydzielony (wbrew mej woli, wolałem, by zrobiono mnie woźnym i błagałem o to p. Górę) do sądu polowego w Palestynie; rozmawiałem wówczas i później z kolegami prawnikami, którzy w sądach tych „orzekali", znam dziesiątki, jeśli nie setki akt spraw „postępowania wojennego" i na tej zasadzie z całym poczuciem odpowiedzialności oświadczam że polskie sądy polowe w czasie ostatniej wojny były tylko i wyłącznie organami dyscypliny wojskowej, zależnymi od tak zwanych zwierzchników sądowych, czyli od dowódców większych jednostek i od oddziału 2-go.

O niskim poziomie tego „sądownictwa", w którym funkcje orzekających audytorów pełnili często np. byli urzędnicy skarbowi (jak w Palestynie niejaki rotmistrz Bietkowski, który od dziesięciu lat z prawem karnym nic nie miał wspólnego i nie znał nawet procedury), a funkcje protokolantów adwokaci (jak ja sam, czy mec. M. Strzelczyk) lub z cywila poważni sędziowie (nieraz apelacyjni), ale szeregowi — mam wyrobione zdanie. Przykre sprawy „oficerskie" nie dochodziły z reguły do rozpoznania, jeśli sobie tego nie życzył zwierzchnik sądowy. W błahych i często wprost „dętych" sprawach przeciwko szeregowym wydawano takie „ojcowskie" wyroki jak na przykład 2 lub 3 lata więzienia za opilstwo i znieważenie żandarma. Asesorowie (których często wyznaczano, zgodnie zresztą z procedurą, spośród oficerów i podoficerów nieprawników) z reguły nie byli informowani o swym prawie przegłosowania audytora. Gdy jako obrońca z urzędu zacząłem poważnie i zacięcie bronić swych przypadkowych klientów, wprędce uznano, że „buntuję" asesorów i więcej obron mi nie przydzielano.

Dopóki przewodniczącym naszego sądu (w Palestynie) był zacny, humanitarny i kulturalny były sędzia sądu apelacyjnego p. Edward Góra — urzędowanie odbywało się w granicach przyzwoitości. Ale gdy na jego miejsce zjawił się audytor zawodowy, niejaki kpt. Przyszlakowski, nasza ekspozytura sądowa stała się zwykłym organem wykonawczym dowódcy garnizonu (czy jak to się nazywało).

Warto dodać, że ten sam kpt. Przyszlakowski chwalił się nam, że jako przewodniczący polskiego sądu polowego w Rosji wydał kilkanaście (bodaj że 11) wyroków śmierci na „dezerterów" i że wyroki te wykonano. Gdy się wie, że w Rosji wielu żołnierzy oddalało się czasowo ze swych oddziałów, aby sprowadzić rodziny lub z innych błahszych powodów i że tylko wariat mógł się tam dopuścić prawdziwej dezercji — to trudno pojąć dumę owego Przyszlakowskiego z jego „sądowej" działalności w Rosji.

Janusz JASIEŃCZYK

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Kulturze" numerze 3/77, rok 1954, przeczytałem bardzo interesujący artykuł p. F. Zweiga pod tytułem „Robotnik Polski w Anglii". Otóż sam jestem pracownikiem fizycznym. Prawie przez dwa lata pracowałem w fabryce gumy (na nocnej zmianie), trzy miesiące jako malarz kolejowy i przeszło trzy lata pracuję w firmie ekspedycyjno-towarowej sam w środowisku brytyjskim jako jeden „foreigner" i z tytułu doświadczenia osobistego pragnąłbym dorzucić parę uwag do artykułu pana Zweiga.

Chciałbym sprostować twierdzenia, iż Polacy, a zwłaszcza samotni, dlatego tak chętnie pracują na „overtime", że sami nie wiedzą, co zrobić z wolnym czasem w końcu tygodnia. Pracować dla przyjemności lub zabicia czasu można jedynie we własnym ogródku, podlewając kwiaty lub plewiąc grządki z pietruszką lub sałatą. Tylko warunki materialne zmuszają człowieka do pracy zarobkowej. Sam wyrabiam godziny nadliczbowe, gdyż potrzebuję pieniędzy na utrzymanie stopy życiowej, to jest na kupno gazet, książek, pójście do kina lub teatru i godziwe spędzenie urlopu wypoczynkowego. Sama tygodniówka na czysto otrzymana na rękę wystarcza na życie i opłacenie mieszkania oraz odłożenie kilkunastu szylingów na ubranie, a zarobione pieniądze z „overtime" pozwalają dopiero na wyjście na miasto i korzystanie z dóbr cywilizacji i kultury. Gdybym nie miał okazji pracować w godzinach nadliczbowych, to sobotę i niedzielę musiałbym spędzić w domu. Nie jestem wyjątkiem i wiem, że wielu tak Polaków jak i Anglików wyrabia tygodniowo nieraz po 14 godzin „overtime", a warunki materialne nie zaś zamiłowanie do pracy są tego powodem. Poziom życia robotnika angielskiego jest na pewno wyższy niż Polaka... tutaj pan Zweig popełnia pomyłkę, twierdząc, że robotnik polski posiada wyższą stopę życiową. Po pierwsze Anglicy mieszkają lepiej, co zresztą jest zupełnie naturalne, gdyż są zasiedziali. Natomiast jeśli idzie o wyżywienie, to może być sporne, co jest lepsze czy kapusta gotowana po polsku lub kapusta zaparzona po prostu i podana na talerz. Anglicy mało jadają tłuszczu i powiadają, że to jest niezdrowe, a na okrasę używają do ziemniaków przyprawy „Gravy", Polacy zaś słoniny. Ale Brytyjczycy na pewno więcej jadają słodyczy, owoców, sałat, ciast i konfitur. Poza tym kobieta angielska nie jest niewolnikiem kuchni i nie ślęczy w niej całymi dniami. Tutaj można dopiero porównać powiedzenie : „Czy człowiek je na to, aby żyć, czy też żyje po to, aby jeść ?".

Robotnik angielski jest bardzo dobrym robotnikiem i pracuje bardzo dobrze i sumiennie. To jest fałszywa legenda roztaczana przez przeciwników ruchu robotniczego brytyjskiego, że robotnik angielski jest leniem i nie chce pracować. Pracuje bardzo dobrze i jest dobrym patriotą, ale jako świadomy robotnik zawsze pamięta o powiedzeniu „jaka zapłata taka praca". Robotnik tutaj posiada swoje zwyczaje, tradycje i zdobycze, które pragnie zachować. Pamiętam, gdy pracowałem jako ślusarz w warsztatach kolejowych w Polsce, zawiadowca działu (werkmistrz) powiedział naczelnikowi warsztatów, który przyszedł do oddziału, na przywitanie : „Całuję rączki panu nadradcy"..., później nawet to przywitanie przylgnęło na zawsze do tego zawiadowcy. Tutaj nie ma lizuństwa, nie ma donoszenia, człowiek czuje się wolny i jeśli przychodzi zwierzchnik, to pierwszy ma się przywitać, jeśli chce, ale nigdy robotnik pierwszy się nie ukłoni. W tym kraju jest nie do pomyślenia takie poniżanie człowieka, jak to było dawniej w Wojsku Polskim, gdy na przykład żołnierz wyczyścił buty oficerowi i ten podziękował mu za to, to żołnierz w postawie na baczność miał powiedzieć : „Ku chwale Ojczyzny, panie poruczniku" (zależnie od szarży).

Natomiast zarobki robotnika angielskiego zasadniczo są takie same jak robotnika innej narodowości. Jeśli idzie o pracę akordową, stawki są te same,

różnica polega na tym, kto otrzyma lepszą pracę i tutaj na pewno robotnik angielski posiada pierwszeństwo, gdyż to jest jego kraj. Po prostu instynkt samoobrony dyktuje im obronę przed konkurencją obcokrajowców a zwłaszcza Polaków. Robotnik brytyjski miał złe wyobrażenie o Polakach, które mu wtłoczyła propaganda komunistyczna i głupota niektórych Polaków w czasie minionej wojny. Po prostu uważano nas za faszystów, ludzi spekulujących na wojnę (tutaj nie lubią w czasie pokoju wojska i wydatków na nie) a polska prasa emigracyjna walnie się do tego przyczyniła. W sumie za błędy pierwszych zbankrutowanych polityków polskich płacił wrogim nastawieniem do siebie polski robotnik. Tutaj pracy fizycznej nikt nie uważa za zdeklasowanie. Sam pracowałem fizycznie z byłym majorem brytyjskim i on nie uważał, iż z tego powodu Commonwealth się rozwali. Natomiast wielu byłych pracowników umysłowych-Polaków z pretensjami do inteligencji i eks-zawodowych oficerów (jest też wielu bardzo dzielnych) pełnych jest goryczy do całego świata, że muszą pracować na życie fizycznie a nie żyć z publicznych funduszów.

Żeby zarobek Polaka wraz z godzinami nadliczbowymi wynosił tygodniowo 18 £, to naprawdę jest wyjątkiem i prawdopodobnie ten Polak posiada łóżko w tej hucie i czas spania też mu opłacają... ale tutaj za darmo nie płacą, a koledzy jego Brytyjczycy na pewno na tak popłatnym miejscu tego szczęśliwego Polaka długo by nie tolerowali...

Na zakończenie mych uwag chciałbym jeszcze dorzucić, iż na ogół kupno domu w Anglii na raty jest łatwe, ale potrzeba mieć od 250 do 350 £, a resztę pożycza ,,Building Society". Tylko jak zdobyć 350 £ ? Otóż ktoś powie, że można oszczędzać, ale wiele ? Przy dobrym zaciskaniu pasa można oszczędzić rocznie do 100 £, i to nie każdy. Gdy byłem kawalerem, mieszkałem razem w jednym pokoju z byłym podchorążym, razem pracowaliśmy na nocną zmianę w fabryce gumy po 12 godzin na noc. Ten mój współlokator miewał napady oszczędzania i w sobotę rano, jak przychodziliśmy z pracy, po umyciu kładł się do łóżka i dopiero w poniedziałek pod wieczór z niego wychodził, gdy trzeba było iść do pracy. Za posiłek w okresie ,,oszczędzania" służyły mu ,,Cornflakes" i mleczko. Ten mógł oszczędzić, ale nie każdy mógł się zdobyć na takie oszczędzanie. Większość domów nabytych przez Polaków, to ulokowane oszczędności z okresu pobytu w Wojsku Polskim, a u niektórych z zamiłowania do handlu mieniem byłych aliantów. Jednak częste rozprawy przed ,,Rent Tribunal" o obniżenie komornego świadczą iż niektórzy ,,kamienicznicy", mając 300 £ zakupili większy dom i stare meble używane a ciężar spłaty ,,Building Society" i utrzymanie swoje przerzucili na barki lokatorów... Toż samo można by powiedzieć o domach nabytych z okazji złupienia różnych publicznych funduszów. Obecnie drożyzna nie ominęła i tej wyspy a naprawdę nie wiem, na jakich źródłach oparł pan Zweig twierdzenie, iż Polacy posiadają wyższą stopę życiową od tubylców ?... Mało jest Polaków, którzy z uczciwej pracy rąk dorobili się mieszkań wielopokojowych, a tych, którzy je posiadają pracując fizycznie, na pewno jest mały procent.

Henryk POLOWIEC

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Jako stały czytelnik ,,Kultury", chciałbym zaapelować zarówno do Redakcji, jak i do niektórych autorów o skończenie tej wewnętrznej walki, jaka toczy się na łamach ,,Kultury" między ortografią a polityką. W szczególności mam na myśli w tym wypadku artykuł Józefa Łobodowskiego, jak zawsze interesujący, tym razem o poezji ukraińskiej (majowy numer ,,Kul-

tury"). Po raz już nie wiem który stosuje znany autor dowolną fonetyczną pisownię niektórych nazwisk ukraińskich, sprzeczną z zasadami ustalonymi przez Polską Akademię Umiejętności w roku 1936.

Akademia ustaliła, że w tekście polskim nie wolno zmieniać tylko ,,pnia" tych nazwisk ukraińskich, jakie kończą się na : śkyj, ćkyj, ycz, natomiast same końcówki oddaje się w formie polskiej. A więc np. nazwiska ,,Ziłynśkyj" (nazwisko Ukraińca, filologa i profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego przed wojną) nie wolno oddawać po polsku w formie ,,Zieliński", ale wolno i należy pisać ,,Ziłyński". Tak samo znane nazwisko ukraińskie ,,Łewyćkyj" w pisowni polskiej nie może być zastąpione znanym polskim nazwiskiem ,,Lewicki", ale pisane być winno ,,Łewycki". A wreszcie — dodam od siebie — nazwisko świetnego poety i tłumacza ,,Pana Tadeusza" i niektórych innych utworów Adama Mickiewicza na ukraiński pisane być winno po polsku nie ,,Rylśkyj", lecz ,,Rylski". Również powinno być nie ,,Stefanowycz" lecz ,,Stefanowicz". Te same reguły obowiązują także autorów piszących po polsku nazwiska rosyjskie. Inne nazwiska ukraińskie nie podlegają tym ograniczeniom filologicznym lecz powinny być wyrażane po polsku fonetycznie.

Te same zasady, naturalnie jakby, obowiązują również — od strony drugiej — autorów piszących nazwiska polskie w tekście ukraińskim albo rosyjskim. Jak dotąd, większość autorów ukraińskich pisała — i słusznie — w swoim języku, i w cyrylicy, nie ,,Sobjeski", lecz ,,Sobiśkyj" (oddaję jak mogę znaki graficzne z cyrylicy w alfabecie łacińskim). Podobnie ,Mickewycz", a nie ,,Mickiewicz".

Nie wiem, jakie są motywy p. Józefa Łobodowskiego — i niektórych innych autorów polskich — stosowania pisowni fonetycznej przytoczonych wyżej typów nazwisk ukraińskich w języku polskim. Być może, chodzi im o to, żeby odciąć filologicznie nazwiska ukraińskie od polskich i przez to utrudnić ,,imperialistom" polskim sięganie po wartości kulturalne ukraińskie. Ze swej strony wolę się trzymać zasad Akademii. Uważam, że mają one lepsze podstawy filologiczne. Chodzi tu bowiem nie o język obcy w ogóle, lecz o język obcy słowiański, spokrewniony z językiem polskim, a wyrażany graficznie w cyrylicy. Ponadto sądzę, że w tym wypadku filologia sprzyja zbliżeniu obu narodów, a nie na odwrót. Ostatecznie języki polski i ukraiński mają ze sobą okres wspólnoty i to wspólnoty bardzo ścisłej, wyrażającej się w tworzeniu przez tysiące może lat wspólnych pojęć i wspólnych na oddawanie ich słów. Czyż zwolennicy zbliżenia polsko-ukraińskiego chcieliby lekkomyślnie ten element usunąć całkowicie ze swoich rozważań? A wreszcie — wprowadzanie anarchii do pisowni polskiej nie może wyjść na dobre i tak dotąd dość anarchicznym stosunkom ukraińsko-polskim.

Z wyrazami prawdziwego poważania,

M. E. ROJEK



Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Autorzy (a także i korektorzy) ,,Kultury" nie mają jakoś ostatnio szczęścia do nazwisk i innych nazw własnych.

Pan Z. Grabowski wskazał już w ostatnim numerze ,,Kultury" przykrą pomyłkę, jaka wydarzyła się p. K. Zbyszewskiemu, który wziął imię pisarza Sinclair Lewis za nazwisko. Tym razem w artykule p. Hostowca autorka A. Kowalska została raz nazwana Kowalewską.

W artykule p. Łobodowskiego ,,Moneta *Mefistofela*" spowodowana jest zapewne wpływem języka ukraińskiego, a ,,nieuniknione w tych wypadkach pominięcia i *laguny*" wpływem hiszpańskiego lub włoskiego. Nie

jest natomiast włoskim imię *Pietro* nadane w ,,Przeglądzie nowości wydawniczych'' poecie Karpenko-Krynycia, gdyż poeta jest Ukraińcem a nie Włochem i nazywa się *Petro*. A więc to rusycyzm ortograficzny (ukraińskie ,,e'' odczytano z rosyjska), co się ,,Kulturze'' zdarza niestety częściej.

W przekładzie artykułu p. Roditi mowa jest o ,Algerii'' i Tunizji'', choć po polsku mówimy o Algerze i Tunisie. Artykuł ten zawiera zresztą więcej błędów spowodowanych zbyt dosłownym przekładem z francuskiego. Najbardziej rażący błąd znajduje się w zdaniu o przedstawicielach, ,,których wozi się samolotami na różne *bursy* po zagranicznych uniwersytetach'' (chodzi zapewne o stypendium, po francusku *bourse*). Po co też pisać o społeczeństwie *tradycjonalistycznym* ? (O ile tradycyjne było za krótkie dla tłumacza, jest jeszcze *tradycjonalne*).

A wreszcie w przeglądzie miesięczników pan (j) pisze o utworze Lautréamonta jako o ,,Les chants de *Maltodor*'' (zamiast Maldoror). Błąd ten, który powstał naturalnie na skutek asocjacji z takimi nazwami jak Ovo-*Maltine* lub *Malto*-Vite (i być może ze słowem *odor*), dziwi jednak nieco u autora, który nawet tytuł znanej wszystkim dzieciom polskim książki Juliusza Verne ,,20 mil podmorskich żeglugi'' cytuje po francusku.

W nadziei, że nie weźmie Pan tych uwag za pedantyzm, tylko za dowód troski o czystość języka polskiego na łamach ,,Kultury'', proszę Pana, Panie Redaktorze, o przyjęcie wyrazów głębokiego szacunku.

Andrzej VINCENZ

◆

Paryż, 11 czerwca 1954.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ze zdziwieniem równym zainteresowaniu czytałem w numerze 6/80 ,,Kultury'' list prof. Jerzego Krzeczunowicza, dziekana wydziału prawnego uniwersytetu w Addis Ababa. Uderzyły mnie w nim elementa tak na pozór z sobą sprzeczne jak zrozumiała u naukowca zasiedziałego na płaskowzgórzu etiopskim skłonność do traktowania spraw polskich z wysoka i z daleka — oraz datujące chyba z czasów gdy autor prowadził mniej ostrą walkę z materializmem poszanowanie dla zasady ,,do ut des''.

Prof. Krzeczunowicz wydaje się żałować, że do ostatniej wojny nie weszliśmy jako ,,najsilniejszy satelita Niemiec'' i z niezaprzeczalną logiką pragnie by następny konflikt zastał nas w roli ,,pierwszego satelity Sowietów''. Emigracji zaleca zajęcie się — chyba w pełnym oderwaniu od kraju — opieką i edukacją, hamowaniem dywersji, krytyką materializmu, rozwijaniem wolnej literatury i tępieniem obskurancji i przesądów wśród narodowości środkowo-europejskich. Innymi słowy, w wybitnie praktycznym dążeniu do zdobycia posagu i zachowania cnoty powierza dbałość o posag — społeczeństwu krajowemu, a o cnotę — emigracji.

Rozumowaniu temu nie można odmówić ani śmiałości ani oryginalności. Znacznie silniej zakwestionować można jego słuszność. Prof. Krzeczunowicz, gdy w czasie wojny pełnił zaszczytną służbę w lotnictwie, odrywał się od niej niekiedy dla przyziemnych funkcji w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Obecnie na odwrót, starając się zachować jak najbardziej realny grunt pod nogami, niezaprzeczenie buja w obłokach.

By pozostać w zakresie wciąż tej samej z licznych poprzednich specjalizacji autora listu, przypomnieć wolno, że postęp aeronautyki oparty jest nie tylko na teoretycznych obrachunkach ale także na doświadczeniach mających praktycznie wykazać wytrzymałość i odporność używanego materiału. Nawet takie doświadczenia nie dają wyników ostatecznych bo wiry i opory powstające w atmosferze czy stratosferze przekraczają możność przewidy-

wania najbardziej fachowego organizatora eksperymentów laboratoryjnych. Podobnie jest w polityce. Zachwalane przez prof. Krzeczunowicza trzeźwe wyliczenia Władysława Studnickiego przeceniały moralną elastyczność narodu polskiego. Dobrowolne podporządkowanie się Hitlerowi było nieosiągalne jak nieosiągalne jest dobrowolne podporządkowanie się Sowietom. Wichry zrodzone między Odrą i Łabą tak jak wichry zrodzone między Prypecią a Wołgą są zbyt porywiste. Nie mogą nieść skrzydeł Polski, mogą je tylko stargać.

W Ambasadzie polskiej w Algerze i potem w Paryżu był prof. Krzeczunowicz jednym z moich bliskich współpracowników. Dziś zapoznaje młodych Abisyńczyków z zasadami prawa. Po starej przyjaźni życzę mu by osiągnął więcej sukcesów wychowawczych niż, jak się przekonywuję, ja ich osiągnąć zdołałem. Bo po przeczytaniu jego listu trudno byłoby mi powiedzieć iż ten który go pisał wyszedł z mojej szkoły politycznej.

Łączę wyrazy poważania

K. D. MORAWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie mam powodu do niezadowolenia z recenzji p. Mieroszewskiego, raczej pozytywnie traktującej zarówno formę jak treść mojej książki „Polacy i Ameryka". Natomiast obawiam się, aby sam temat książki nie został odstawiony na boczny tor. Już przedtem p. Hrabyk („Dziennik Polski" — Detroit) wyraził obawy, że do spraw polskich podchodzę z domieszką megalomanii, a do spraw amerykańskich — mistycyzmu.

Pasowanie na Chołoniewskiego autora „Psioczącego Kundlizmu" („Orzeł Biały") i „wylewającego pomyje na emigrację „Klubu 3 Miejsca" („Wiadomości"), daje mi wytchnienie, ale zaciemnia temat.

Zarzuty megalomanii powinny dostatecznie rozproszyć strony 134-138 mojej książki. Z moim twierdzeniem o skazanej na wielkość Ameryce załatwia się p. Mieroszewski w sposób uproszczony : skoro Amerykanie nie mają takiego sformułowania, więc jest ono produktem „chciejstwa" (*wishful thinking*) wańkowiczowskiego. Równie dobrze można by powiedzieć, że rafa koralowa nie jest skazana na tworzenie lądu, bo nie ma tego w świadomości formujących ją skorupiaków. Trudno jest rozdział „Ameryka na ławie oskarżonych" uważać za „czekoladowe lody" jakichś komplementów bez pokrycia w stronę Ameryki.

Pan Mieroszewski nawołuje, by mówić do Ameryki językiem Sharpa. Sądzę, że należy mówić językiem swoim. Inna rzecz, że w artykułach pisanych po angielsku, które cytuje p. Sharp, staram się aby *mój własny i polski język* był dla Amerykanów zrozumiały. Książka jednak „Polacy i Ameryka" tym bardziej nie może być pisana językiem nie polskim, że, jak okazuje się, bardzo potrzebna jest Polakom, skoro ich myśl czepia się bądź przeceniań, bądź negacji.

Dwie uwagi co do metody :

Pan Mieroszewski niesłusznie zarzuca mi „toynbee'zowanie". Dosyć jest przeczytać ostatni rozdział „Civilisation on Trial", aby odżegnać się od wywodów Toynnbee na temat bieżącej chwili.

Pan Mieroszewski natomiast słusznie sygnalizuje pierwiastki „wschodnie". Tak jest, szukam dla polskiego myślenia wartości katalizatora między cywilizacjami. Ale dlatego właśnie nie można pisać w czambuł o „Wańkowiczach czy Haleckich". Postawienie w jednej linii dyletanta z uczonym przynosi mi zaszczyt. Ale ten uczony właśnie jest stuprocentowym szermie-

rzem Cywilizacji Zachodniej, którą zamierza ratować jako Cywilizację Atlantycką, doprosiwszy Amerykę do puli. Tymczasem ta Ameryka odchodzi od Cywilizacji Zachodniej uginającej się pod ciężarem Międzyepoki i zmiana nazwy tej cywilizacji tyle jej pomoże, co nazwanie szwaczki pracownicą igły.

Melchior WAŃKOWICZ

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 4/78 „Kultury" Józef Wittlin mówiąc o swej *Odyssei* „ze świata zmarłych wywołuje duchy jej przyjaciół" i między innymi pisze : „Drugiego poety nie znałem. Był tak młody, że przed wojną musiał chyba jeszcze chodzić do szkoły. Nie wiem czy prawdziwe jego nazwisko brzmiało: Tadeusz Gaycy czy K. Topornicki..." „Tego drugiego, poetę" — znałam bardzo blisko. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało — Tadeusz Gajcy (był z pochodzenia Węgrem), a Karol Topornicki — to jego pseudonim konspiracyjny i literacki, pod którym pisywał do „Sztuki i Narodu" i pod którym wydał w Podziemiu swój poemat „Widma", i zbiór wierszy pt. „Grom powszedni". Oboje należeliśmy do grupy Poetów Podziemia, piszących do „Dźwigarów" i „Sztuki i Narodu" którego to pisma Karolek (tak go nazywaliśmy) był ostatnim redaktorem.

Mogę też powiedzieć, że dramat „Homer i Orchidea" rodził się w moich oczach. Odczytywaliśmy go na konspiracyjnych Wieczorach Literackich ,odgradzając się od wojny czarem odległych światów, które wywoływał przed naszymi oczyma wielki, urzekający talent Karolka.

W jego „Utworach Zebranych", wydanych w Warszawie w roku 1952 i przysłanych mi z Kraju, zamieszczony jest ten dramat wraz z „Misterium Niedzielnym", „Widmami" i „Gromem powszednim". Krótka przedmowa mówi o życiu Karolka i o jego śmierci w domu przy ulicy Przejazd nr 3, wysadzonym przez Niemców w powietrze.

Na tydzień przed Powstaniem widziałam Karolka ostatni raz. Przeczucie śmierci, silne w nim wciąż i wciąż powracające w jego poezjach, nie opuszczało go na chwilę. Trudno było z nim mówić. Dla mnie — która wierzyłam wtedy w walkę i zwycięstwo — słowa Karolka były niezrozumiałe. Po latach wróciły do mnie już jasno, jak po latach zrozumiałam jego poezję i słowa, które mówił jego Homer, że „rzeczy nieczłowieczych nie ogląda się bezkarnie".

Karol Topornicki był najwybitniejszym, obok Krzysztofa Baczyńskiego, poetą Polski Podziemnej i życie jego, poezja i śmierć na gruzach Starego Miasta urastają do symbolu mojego pokolenia.

Józefowi Wittlinowi powiedzieć mogę, że jego przekład *Odyssei* czytaliśmy razem z Karolkiem przy świetle karbidowej lampy, w zimnym mieszkaniu, zapominając o grozie, która osaczała ulice miasta i że z tych wieczorów dramat „Homer i Orchidea" wziął swój początek.

I chcę Mu podziękować za to, że nową wersję swego przekładu *Odyssei* ofiarował „świętej pamięci Tadeusza Gaycego".

Tak sprzęgły się ze sobą miłość, poezja i śmierć — choć to ostatnie słowo odległe jest od poety, który nie umiera.

Józefa RADZYMIŃSKA

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Karola Zbyszewskiego pt. „Polscy pisarze są bez szans". Diagnoza jest niestety prawdziwa. Mam jednakże wrażenie, że jego ,,żelazne reguły" historyczne w stylu Arnolda Toynbee zostały sformułowane z niewłaściwego punktu widzenia. Najpierw polityczna i społeczna przewaga danego kraju a potem (często równocześnie) o rozkwit jego literatury. Zgoda — p. Zbyszewski zapomniał jeszcze Anglię z okresu Elżbiety — ale czy czytamy dziś Sofoklesa dlatego, że za jego życia Atenami rządził Perykles? Jeśli tak, to dlaczego czytujemy Homera, choć nawet nie wiemy dokładnie kiedy on żył? Czy nie sądzimy dziś, że najnudniejsze części *Eneidy* to te, które nawiązują do boskiego Augusta? Czy jedynym wytłumaczeniem poczytności *Boskiej Komedii* i *Hamleta* to fakt, że kraje, które te arcydzieła stworzyły, kiedyś przed wiekami wodziły rej w polityce europejskiej? Okres rozwoju danego kraju często kojarzy się z rozwojem jego literatury (polska i niemiecka literatura romantyczna, a może i części wspomnianej przez p. Zbyszewskiego Biblii przeciwne są formowaniu ,,żelaznych reguł" w tym zakresie), ale nie jest on powodem poczytności tej literatury w późniejszych wiekach.

Nie ma także wątpliwości, że literatura potężnego kraju narzuca modę słabszym, ale p. Zbyszewski powinien był rozróżnić pomiędzy krótko trwającym okresem mody a stałym powodzeniem prawdziwych arcydzieł (,,...na 7-tomowe ględzenie Galsworthy'ego, słusznie zaznacza p. Zbyszewski, *rzucano* się jak na objawienie"). O'Neill i Henry James mimo, że byli Amerykanami nie zdobyli sobie takiego powodzenia na scenie co Ibsen czy Strinberg. Twierdzenie zaś, że ci dwaj dramaturgowie skandynawscy są dziś zapomniani, zupełnie nie zgadza się z prawdą. Są to prawdopodobnie jedyni pisarze zeszłego wieku, których sztuki są wciąż wystawiane. Sława tych dwu spowodowała odkrycie Bjoernsona w Norwegii i Kierkegaarda w Danii. Ciekawy też jest fakt, że ten kto pierwszy wprowadzi nową metodę pisania, ma większe szanse powodzenia niż jego nieraz zdolniejsi naśladowcy. Stąd większa popularność Scotta i Dickensa niż Sienkiewicza i Prusa. Z drugiej zaś strony Wyspiański wyprzedził Eliota w technice dramatycznej o trzydzieści lat, ale on podobno pisywał na tematy ,,czysto polskie". Norwid mógłby być uznany za jednego z prekursorów współczesnej poezji, ale sami Polacy się na nim nie poznali i wydali jego *Vade mecum* dziewięćdziesiąt lat za późno.

Z poważaniem

Adam CZERNIAWSKI

◆

,,TO I OWO" O LITERATURZE POLSKIEJ

K. Zbyszewski, występując gościnnie w kwietniowej ,,Kulturze", zapragnął oświetlić błyskawicami swych paradoksów zagadnienie dlaczego ,,polscy pisarze są bez szans".

Jak zazwyczaj po błyskawicy zrobiło się jeszcze ciemniej.

Wedle K. Zbyszewskiego polscy pisarze nigdy nie wygrają Derby, bo jadą na złych koniach. ,,Polska jest złym koniem" — jest zaściankiem, zaułkiem, podwórkiem i czegokolwiek by się o niej nie napisało nie będzie

dla szerszego świata interesujące. Poza tym, K. Zbyszewski twierdzi, że ,,To wierutna bzdura, że sława autora zależy od jego talentu. Decyduje przede wszystkim temat".

Otóż wydaje mi się, że w literaturze decyduje nie *co*, ani *kto*, ale *jak !*

Przecież codzienne powiedzenia i powiedzonka z rubryki *To i owo Dziennika*, byłyby nie do zniesienia gdyby ich nie podawał K. Zbyszewski ? Tak samo jest z całą literaturą.

Prawda, że czasem rozwój i powodzenie literatury idzie jednocześnie z potęgą kraju, którego ona jest wyrazem. Bywają okresy prężności narodu, który wydaje ze siebie Ludwików XIII-go i XIV-go, Richelieu i Mazarina oraz wspaniałą neoklasyczną literaturę francuskiego XVII-go wieku. Ale należy zauważyć, że choć okres potęgi i wpływu danego kraju się skończy, jego literatura żyje dalej. Dzisiaj nie ma mowy o wielkości Hiszpanii, a Cervantes jest czytany po dawnemu. Niemcy są pokonane ale czy to zmniejsza wziętość Goethe'go czy Heine'go ? Ameryka jest dziś przepotężna, ale nie może się poszczycić popularnością swych autorów, a jedna z jej gałęzi produkcji artystycznej, to jest film, stanowczo ustępuje miejsca powodzeniu — nawet w Londynie — filmów słabej Francji.

Stąd wniosek : ilość bagnetów danego państwa jest niezaprzeczenie pożądanym elementem propagandy jego literatury, ale nie zastąpi talentu jego autorów.

Wypowiadając swe paradoksy o literaturze, K. Zbyszewski popełnia jeszcze jeden błąd. Pisze on : ,,Doniosłość przekładu to gruba przesada. Nikt nie czytał Pisma Św. w aramejskim oryginale".

Tak jest. Dowodem tego może być choćby... Molnar, Węgier, którego utwory sceniczne obiegły świat (Węgry nie były potęgą), albowiem tłumaczenie ich na jakikolwiek język nie przedstawiało trudności.

Ale dopóki Hamleta tłumaczył niejaki J. Fr. Ducis, to Francja, aż do epoki romantyzmu, nie bardzo wiedziała kto zacz ten Szekspir. I kto wie czy wielcy powieściopisarze rosyjscy znaleźliby się tak łatwo w Europie, gdyby nie wprowadził ich do niej znakomity tłumacz Melchior de Vogüé, wyjaśniwszy uprzednio kim oni są w swym sławnym studium : *Le roman russe*.

Wreszcie, K. Zbyszewski ubolewa, że nawet ,,superarcydzieło *Pan Tadeusz* nie wślizgnął się do literatury światowej", albowiem ,,zatłukł go" litewski zaścianek. Ale czy K. Zbyszewski może sobie wyobrazić przetłumaczenie na jakikolwiek bądź inny język urody... ,,pól malowanych zbożem rozmaitym, Pozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem"? Albo czy może zabrzmieć w innym języku niż w polskim polonez Karmazyna i Hołysza z *Wyzwolenia ?*

Literatura polska jest nieprzetłumaczalna. Tak to jest. Dlaczego ? To już inna sprawa.

W tym tkwi przyczyna, że polscy pisarze, piszący prawdziwie po polsku, ,,nie mają szans".

Władysław GUENTHER



Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze podwójnym ,,Kultury" 1/75-2/76 br. ukazała się część pierwsza interesującego felietonu pióra Łukasza Winiarskiego pt. ,,List z Jugosławii". Specjalnie zasługują na uwagę spostrzeżenia i komentarze autora

na płaszczyźnie porównań jakie przeprowadza on między dzisiejszą Jugosławią a przyszłą, niepodległą Polską. Szkoda jednak że pan Winiarski wykorzystał tę tak udałą pracę na wyrażenie pewnej opinii, z którą się nie zgadzam i którą mam nadzieję, poza samym autorem, nie podziela zbyt wielu Polaków. Oto ona : ,,Mimo całego bohaterstwa i dumy narodowej — nieraz zapewne podobnie jak Polaków, przygnębia ich wstydliwa myśl, że jednak w gruncie rzeczy są głupcami, którzy nie potrafili wymyślić rozsądniejszego i skuteczniejszego środka dla odzyskania wolności, niż karabin i śmierć najlepszych".

Nie pochwalam bynajmniej tej naszej wrodzonej i powszechnie znanej tendencji do pobrzękiwania szabelką, pytam się jednak Pana Winiarskiego co by wymyślił mądrzejszego i politycznie roztropniejszego gdyby był na przykład Kościuszką ?

Wątpię również czy takim głupstwem historycznym było Powstanie Listopadowe, które podjęto w momencie jak najlepiej wybranym i które miało duże widoki powodzenia a jeśli się nie udało to z zupełnie innych powodów, dobrze znanych ludziom mającym trzeźwy i obiektywny osąd wypadków tej epoki.

Nawet najbardziej pozornie na szaleństwo wyglądające powstanie 1863 roku, miało również swoją rację bytu, gdyż bez niego jak i bez poprzedniego nie byłoby prawdopodobnie 1918 roku.

Czym było dla naszego społeczeństwa niebezpieczeństwo rusyfikacji, dobrze zrozumiał Marszałek Piłsudski, który poczynając od akcji bojówek, poprzez legiony aż do sierpnia 1920 kontynuował to co inni przed nim zaczęli. Wykonał on to tylko lepiej i bardziej konsekwentnie. Jeszcze jeden przykład to powstanie Górnośląskie 1919, gdyż jeśli przypomnimy sobie wręcz wrogie nastawienie do sprawy polskiej takiej np. osobistości jaką był Lloyd George, to jasne się staje że powstanie to było aktem jedynej, rozsądnej i realnej konieczności historycznej. Również tak bardzo krytykowane, ostatnie powstanie warszawskie nie było żadnym zbrodniczym głupstwem. Być może, że ze względu na koniunkturę polityczną tego okresu, wybuchło ono w źle wybranym momencie, sądzę jednak że trudno wymagać od jego przywódców aż tak daleko idącej przenikliwości, skoro znany jest dziś cały ogrom szatańskiej perfidii Moskwy i niezłomny, również szatański upór Hitlera, zniszczenia Warszawy za wszelką cenę. Dziś nawet Czesi którzy w rezultacie nie lepiej od nas wylądowali, przestali uważać za głupstwo znaczenie dobrego karabinu w dobrych rękach.

Nie neguję, że porwanie się w chwili obecnej na taką potęgę jaką jest dzisiejsza Rosja z jej siłą militarną, nota bene popartą materializmem dialektycznym, byłoby szaleństwem nie wytrzymującym żadnej krytyki. Niemniej czynnik walki zbrojnej pozostanie nadal decydującym w ostatecznej rozgrywce o los nie tylko Polski, lecz i całego wolnego świata.

Wobec powyższego, uważam że reminiscencje intelektualisty tej miary co Łukasz Roman Winiarski, stawiającego na jednym poziomie prymitywnych, zawodowych macedońskich partyzantów z polskimi obrońcami niepodległego bytu, są zdumiewające a wstydzić się należałoby raczej takich porównań, niż krwi przelanej w obronie tego wszystkiego co decyduje o naszym istnieniu jako narodu.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Wojciech PUŁASKI

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Août 1954 : dixième anniversaire de l'Insurrection de Varsovie. C'est d' « Une Planète Etrangère » — de l'Australie — que Z. JASINSKI nous adresse ses souvenirs, dans lesquels il tâche de dégager un fond de vérité à travers des couches de clichés, de conventions, de distorsions.

KULTURA publie un fragment inédit du nouveau roman de Teodor PARNICKI, *Vers une Grande Aventure.* L'action se déroule dans le monde hellénique d'Extrême-Orient, en l'an 179 avant J.-C.

Dans son *Journal*, Witold GOMBROWICZ continue son monologue intérieur : Sartre, Milosz, Kafka, autant de prétextes pour nous faire suivre un itinéraire personnel.

Czeslaw MILOSZ nous donne, à travers un *Portrait* d'un des meilleurs poètes polonais de l'entre-deux guerres, Czechowicz, une *Confession d'un enfant du siècle*, avec une large toile de fond de coulisses littéraires et politiques de la Pologne indépendante.

L'essai de Marian PANKOWSKI est une ébauche d'un « Art Poétique » contemporain.

Les *Archives Politiques* de KULTURA contiennent deux points de vue sur la crise politique de la Pologne exilée. Stanislaw MACKIEWICZ, récemment nommé premier ministre par le Président Zaleski, expose les raisons de l'hostilité du gouvernement au « conseil politique » des partis en exil. L'article de Juliusz MIEROSZEWSKI représente une prise de position de KULTURA : il appelle, en vue de l'échec apparent de l' « Union » des exilés, à bloquer les fonds du « Trésor National ».

Stanislaw ZARZEWSKI analyse, dans un article intitulé *Fin de l'Asie... des Européens ?* la présente crise mondiale.

Jerzy ZUBRZYCKI a entrepris une étude sociologique de l'émigration polonaise en Grande-Bretagne. Il suit les étapes de son assimilation, assez particulière d'ailleurs pour mériter le nom qu'il lui donne : « accommodement ».

Janusz KOWALEWSKI, membre du parti communiste polonais avant la guerre, a passé des années dans des camps de concentration soviétiques. Après la guerre, il a déployé une activité très effective de journaliste anti-stalinien. Engagé par la « Voix de l'Amérique » à Munich (et ayant donné tous les détails sur son activité passée), il a été licencié — sans motif apparent — après la fameuse visite européenne de MM. Cohn et Shine, confidents du sénateur McCarthy. Il adresse dans le présent numéro une lettre ouverte au Président Eisenhower, intitulée *L'Amérique, hélas !* L'Amérique reste l'espoir unique du monde libre : hélas ! car les méthodes maccarthystes nous rappellent trop ce que nous combattons.

K. A. JELENSKI nous dit sa déception à propos du premier numéro de la revue des étudiants du Collège de l'Europe Libre à Strasbourg, *Horizons*. Comment se fait-il, demande l'auteur de l'article, que des jeunes gens qui ont tous une expérience directe de l'histoire aussi riche et variée s'expriment d'une façon conventionnelle, en « bons élèves » quelconques ?

La *Chronique Allemande* de KULTURA examine le dilemme de la liberté en Allemagne. Des jeunes Allemands se plaignent souvent de restrictions de liberté qui leur sont imposées par les puissances occidentales — précisément au nom de principes libéraux.

Dans la section de *La plus récente histoire de Pologne*, KULTURA publie des mémoires du professeur Marek St. KOROWICZ, qui a récemment choisi la liberté avec éclat, en demandant l'asile aux autorités américaines le lendemain de son arrivée à New-York en tant que membre de la délégation polonaise aux Nations Unies. M. Korowicz donne des détails inédits sur la vie universitaire en Pologne, sur les conditions de travail au Ministère des Affaires étrangères de Varsovie. Son récit contient des portraits intéressants de personnalités politiques polonaises.

Jan ULATOWSKI nous donne — à propos de deux expositions de Picasso à Paris — un essai sur la critique artistique. Il s'efforce de serrer de plus près et de définir la révélation d'un monde « en-soi » que lui apporte l'art de Picasso.

L'ambassadeur Michal SOKOLNICKI admire l'honnêteté des mémoires du comte de Saint-Aulaire : il ajoute à son compte rendu des détails de négociations politiques auxquelles il prit part avec M. de Saint-Aulaire.

Jerzy RENCKI continue son « alphabet » des organisations internationales.

Des revues de livres récents étrangers et polonais et de revues mensuelles complètent le numéro.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-(IVe).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 3e trimestre 1954

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

◆

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.0.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia Barcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; **Hanna Lekszycka,** rua Guiarâ 139, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-IVe	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **Stan. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; **Stanisław Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec"** (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau. **St. Mikiciuk,** Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Łubiński, Fagerturveien, Bestun-Oslo	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kaliskärsgatan 8/IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Malvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski, «Gryf Publ.»,** 615, Henry St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew-Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; **Christian M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; **Andrzej Pleszczyński,** P.O. Box 750, Santa Barbara, California; **M. Szyprowski,** 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; **Kazimierz Trojanowski,** 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; **S. Sokołowski,** 2719 E. Indiana St., Philadelphia 34, Pa.; **Polish American Book Center,** 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169 171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

◆

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porto 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru : 30 frs.

◆

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka +50%)

Najnowsze wydawnictwa Biblioteki "Kultury"

TOM VII

STEFANA KORBOŃSKIEGO

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ...

Jak powstało Polskie Państwo Podziemne? — Jakie były wewnętrzne konflikty pomiędzy Politycznym Komitetem Porozumiewawczym, Dowództwem Armii Krajowej i Delegaturą Rządu? — Jakie były formy łączności pomiędzy Krajem i Rządem w Londynie? — Czy były formy współpracy polsko-niemieckiej w Kraju pod okupacją? — Czym była ,,Walka Cywilna''? — Skąd czerpała swe informacje radiostacja ,,Świt''? — Jaka jest prawda o podziemnym wymiarze sprawiedliwości? — Jaka była rola armii ludowej Żymierskiego? — Dlaczego Berling popadł w niełaskę? — Jaki był stosunek polskich władz podziemnych do komunistów? — Jakie były losy tajnej misji Retingera? — Dlaczego Kierownik Walki Cywilnej dowiedział się o wybuchu Powstania przypadkiem? — Jakie były pierwsze kroki Mikołajczyka po powrocie do Polski? — Jak wyglądały stosunki w U.B.?

Na te pytania odpowiada książka Korbońskiego.

Cena egzemplarza wynosi : 1,250 frs (dol. 3,50; sh. 25)

TOM VIII

JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

ZŁOTA HRAMOTA

ZŁOTA HRAMOTA stanowi zwarty zbiór poematów i wierszy, osadzonych na tej samej osi tematycznej. Jest to poetycka próba rozrachunku polsko-ukraińskiego zarówno w płaszczyźnie historiozoficznej jak moralnej.

Do książki dołączono kilka wierszy tego zbioru w przekładach na ukraiński, dokonanych przez Horodyńskiego, Połtawę i Sławutycza.

Cena egzemplarza : 700 frs (14 sh., 2 dolary)

Zamówienia można nadsyłać do Redakcji ,,Kultury''
1, av. Corneille, MAISONS LAFFITTE (S.-et-O.), France
oraz do Przedstawicielstw.

Imprimerie RICHARD, Paris-18e

Cena 300 frs.